debata numer 1 WRZESIEŃ – PAŹDZIERNIK 1993

Spis rzeczy:

diagnozy

RYSZARD LEGUTKO – Rozterki konserwatysty w niepodległej Polsce..... 3

polityka polska

RAFAŁ MATYJA – Polityka polska po komunizmie..... 6

WOJCIECH ZAJĄCZKOWSKI – Czas na politykę zagraniczną..... 10

nowe państwo

Jakiego państwa potrzebuje polska gospodarka?

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI – Polskie zaniechania..... 15

ANDRZEJ OLECHOWSKI – Siły napędowe rozwoju gospodarczego Polski..... 16

KAZIMIERZ PAZGAN – Zostawić obywatelom ich kapitał..... 18

JAN MARIA ROKITA – Chore państwo..... 21

JAN KRZYSZTOF BIELECKI – Jaki protekcjonizm..... 23

ANDRZEJ MACHALSKI– Obecność państwa w gospodarce..... 26

WALERIAN PIOTROWSKI – Konstytucyjne gwarancje praw socjalnych..... 27

KAZIMIERZ M. UJAZDOWSKI – Musimy odejść od socjalizmu..... 28

ANDRZEJ CELIŃSKI – Potrzeba autorytatywnego przywództwa..... 30

JAN KULCZYK – Rola polskiego kapitału w przebudowie państwa i gospodarki... 31

ROMAN KLUSKA – Bariery rozwoju prywatnego biznesu..... 34

MAREK GOLISZEWSKI – Lobbing polskich sfer gospodarczych..... 38

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI – Tezy do programu nowej koalicji..... 40

podpatrzone

Polityk Gospodarczy - rozmowa z FRIEDRICHEM ADOLFEM JAHNEM..... 43

państwo prawa

ADAM STRZEMBOSZ – Prawo bez obyczajów..... 45

STANISŁAW MICHALKIEWICZ – Państwo prawa - natura i wynaturzenia..... 49

scena polityczna

ROBERT KOSTRO – Późny potomek Margrabiego..... 53

PIOTR ZAREMBA – Metoda polityczna Łopuszańskiego..... 56

konteksty

CEZARY MICHALSKI – Także francuscy socjaliści kochają wielki kapitał..... 61

KOMITET PATRONACKI

Krzysztof Pawłowski – przewodniczący
Kazimierz Grabek
Kazimierz Pazgan
Witold Pereta
Kazimierz M. Ujazdowski
CASINOS POLAND

DYREKTOR GENERALNY

Jarosław Baran

REDAKTOR

Waldemar Gasper

KOLEGIUM REDAKCYJNE

Andrzej Horubała,
Rajmund Kalicki,
Jacek Kopciński,
Robert Kostro,
Rafał Matyja,
Cezary Michalski,
Agnieszka Piwowarska (sekretarz redakcji),
Agnieszka Sadurska (opracowanie graficzne),
Wojciech Tomczyk,
Jan Wróbel,
Wojciech Zajączkowski

WYDAWCA

DEBATA PRESS, ul. Marszałkowska 34/50
00-554 Warszawa,

polityka i sztuka

ANDRZEJ KIJOWSKI – Ethos społeczny literatury polskiej 69

WACŁAW LEWANDOWSKI – Niepodległość literacko nieatrakcyjna? 76

Kryzys polskości?

PAWEŁ HERTZ – Polskość jako wspólnota otwarta 80

HANNA SUCHOCKA – Próba polskości 84

WIESŁAW CHRZANOWSKI – Naród zamiast tłumu 85

MACIEJ ZIĘBA OP– Profesor Pimko kontra profesor Gombrowicz 87

dawni mistrzowie

STEFAN KISIELEWSKI – O ideologię polityczną nowoczesnego Polaka 90

maski prometeusza

JACEK KOPCIŃSKI – Kościół– pisarze– dialog 93

ANDRZEJ HORUBAŁA – Tropami Andrzeja Kijowskiego 100

koniec wieku

PAWEŁ LISICKI– Chrześcijanin w III Rzeczypospolitej 106

Judaizm to sposób pojmowania życia – rozmowa z CLAUDEM VIGEE 111

kroniki

KSIĄŻKA DO debaty

JADWIGA STANISZKIS – Pisanie o Rosji –
czyli uroki poruszania się w ciemności 116

JERZY MAREK NOWAKOWSKI – Dwa scenariusze 119

sądy i przesądy

MARJORIE ROSENBERG – Jak wymyślono homoseksualistę 121

prosto z mostu

MAREK TABOR – Polityczne Przyzwoitki dekonstruują pana Skrzetuskiego 128

młot na czarownice

WOJCIECH TOMCZYK – Od lat osiemnastu 130

déjà vu

JAN WRÓBEL – Peron 132

o potrzebie głupoty

RAJMUND KALICKI – Nędza felietonu 133

męska piaskownica

CEZARY MICHALSKI – Nowa żdanowszczyzna 135

nadesłane do redakcji

OŚWIADCZENIE GRUPY WINDSOR 138

ADRES REDAKCJI

00-554 Warszawa,
ul Marszałkowska 34/50
Telefony: 49-01-09 21-01-38

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

PRENUMERATA

Cena jednego egzemplarza wynosi 30 000 zł i nie ulegnie zmianie do końca 1993 roku. Prenumeratę można opłacać na dowolny adres, w dowolnym terminie. Koszty przesyłki ponosi redakcja.

Wpłat należy dokonywać na blankiecie przekazu bankowego podając imię, nazwisko i dokładny adres prenumeratora, na konto:
DEBATA PRESS, 00-554 Warszawa,
ul Marszałkowska 34/50
PKO Bank Państwowy VI o/Warszawa,
nr 1560-940494-136

REDAKCJA PRAGNIE SERDECZNIE PODZIĘKOWAĆ PANU JERZEMU GÓRSKIEMU ZA POMOC UDZIELONĄ W TRAKCIE PRZYGOTOWANIA PISMA.

Pismo zostało przygotowanie przy wykorzystaniu oprogramowania opracowanego przez Piotra Filipowicza.

ROZTERKI KONSERWATYSTY W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

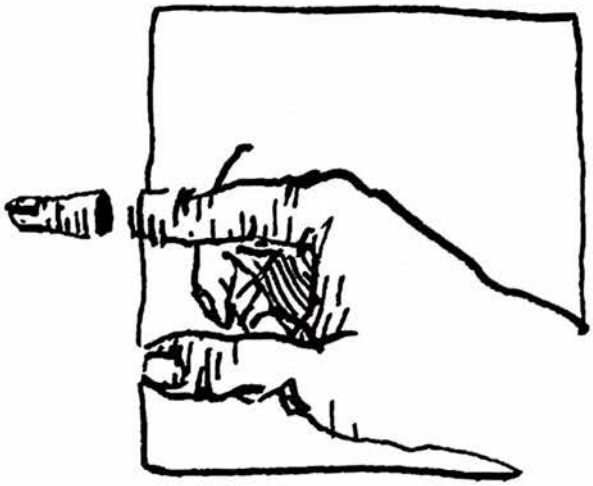

Ryszard Legutko

Zwycięstwo polityczne prawicy - jeśli w ogóle możliwe i jeśli jest coś takiego jak dający się zidentyfikować ruch prawicowy w Polsce - niczego nie zmieni, o ile nie będzie za tym, a raczej równocześnie z tym szła jakaś wyraźna formacja kulturowa. W przeciwnym razie prawica popadnie w obsesję lewicowego oblężenia. Symptomy tego stanu rzeczy są już zresztą widoczne.

Żyjemy w czasach wielkiego pomieszania. Po upadku komunizmu powstała w świecie zachodnim oraz na jego obrzeżach sytuacja, której identyfikacji jeszcze nie dokonano; niektórzy sądzą, że nie ma w tym niczego dziwnego i że zadowalająca identyfikacja nie jest na razie możliwa. Zatem, posługujemy się tymczasem w opisie naszej epoki starymi schematami, starymi, to nie znaczy złymi, ale często zbyt wygodnymi i zbyt bezrefleksyjnymi. Mówimy więc o fin de siècle'u i typowym dla tego czasu pomieszaniu oraz skłonności do dekadencji; mówimy o relatywizmie i nihilizmie. Takie opinie wypowiadają obserwatorzy zatroskani stanem rzeczy. Mówimy o starciu nowoczesności z tradycją. Ten sąd pada z ust obserwatorów zaangażowanych. Ci ostatni wydają się mieć wiele racji, jako że są dziś miejsca na świecie, bardzo widoczne, gdzie nowoczesność i tradycja występują w formach ewidentnie zbarbaryzowanych. Mówimy też o dzisiejszej epoce jako o epoce post: postliberalizm, postindustrializm, postkomunizm, postmodernizm. Taką diagnozę formułują teoretycy podkreślający nieprzystawalność starych kategorii do nowej sytuacji. Mówimy też o rodzeniu się nowej epoki pluralizmu i różnorodności, epoki wielu nieporównywalnych ze sobą centrów kulturowych i wielu nieprzekładalnych hierarchii. Takiej opinii towarzyszy nierzadko optymizm i podziw dla rodzącej się cywilizacji wolności. Ale – tu krótka dygresja – hasła pluralizmu i różnorodności wywołują u niektórych, na przykład u wypowiadającego te słowa, poczucie wątpliwości. Tak jak nasilenie się frazeologii odwołującej się do tego, co narodowe, rodzime, ojczyźniane jest najczęściej sygnałem, iż poczucie wspólnotowe zostało zagrożone i ujawniły się silne tendencje dezintegracyjne, tak intensywna frazeologia pluralizmu i różnorodności świadczyć musi nie tyle o triumfie pluralizmu i różnorodności, ile o strachu przed rosnącą homogenizacją i ujednoliceniem. Istotnie, przy coraz większej hałaśliwości haseł odnoszących się do odrębności kulturowych i przy rosnącym wpływie ideologii pluralizmu, świat wydaje się coraz bardziej ujednolicony i coraz bardziej histerycznie buntujący się z tego powodu.

Wypada zapytać – w jaki sposób ten stan pomieszania i trudności z identyfikacją naszych czasów wiąże się z polskimi sprawami. Według mnie związek jest zasadniczy. Żyjemy bowiem w czasach przełomowych, które jednak są jeszcze na tyle płynne i nieokreślone, że od tego, co ustalimy dzisiaj i jak dzisiaj zinterpretujemy dziejące się procesy, zależeć będzie w dużym stopniu to, jakie będzie nasze widzenie świata przez następny okres. Toczy się obecnie

RYSZARD LEGUTKO - ur. 1949, filozof; opublikował: "Dylematy kapitalizmu" (1986), "Bez gniewu i uprzedzenia" (1989), "Krytyka demokracji w filozofii politycznej Platona" (1990), "Nie lubię tolerancji" (1993). Stale współpracuje z dwumiesięcznikiem "ARKA". Publikowany artykuł stanowi tekst wystąpienia wygłoszonego podczas konferencji "Kultura i niepodległość", zorganizowanej przez redakcję "ARKI", w Krakowie w dniach 12-13 czerwca 1993.

Tak jak nasilenie się frazeologii odwołującej się do tego, co narodowe, ojczyste, rodzime, ojczyźniane jest najczęściej sygnałem, iż poczucie wspólnotowe zostało zagrożone i ujawniły się silne tendencje dezintegracyjne, tak intensywna frazeologia pluralizmu i różnorodności świadczyć musi nie tyle o triumfie pluralizmu i różnorodności, ile o strachu przed rosnącą homogenizacją i ujednoliceniem.

swoista wojna o słowa, pojęcia i wyobrażenia, i o ich wpływ na życie umysłowe w nowych czasach. Kto wygra tę rywalizację, ten ukształtuje język nowej epoki i zdeterminuje jej widzenie oraz przyszłe schematy myślenia. Nie chcę, żeby powyższe zdanie zostało zrozumiane nazbyt militarnie, gdyż to nie sam spór jest tutaj czymś szczególnym, ale jego natura. Rywalizacja światopoglądowa była wszak zjawiskiem odwiecznym i fakt ten generalnie dobrze przysłużył się ludzkości. Moje zmartwienie polega na czymś dokładnie przeciwnym, a mianowicie, iż grozi nam wielki zastój w ruchu idei: toczący się spór może z czasem doprowadzić do całkowitego zwycięstwa jednej strony, a w takim wypadku rywalizacja, która była stałym elementem świata i człowieka, przestanie odgrywać swoją rolę.

Moim zdaniem, dokonują się we współczesnej kulturze niezwykle istotne zmiany. Potężny stał się ten nurt myślenia, czy wręcz ten nurt kultury, który można by nazwać liberalnym modernizmem. Powiedziałem nurt kultury, bo mamy tu do czynienia ze zjawiskiem nie tylko intelektualnym, ale z czymś, co obejmuje także politykę, prawo, obyczaj, sztukę. Niekiedy odnoszę wrażenie, że przez naszą świadomość przejeżdża od pewnego czasu potężny walec, który wszystko sprowadza do jednego poziomu i jednej miary. Wytwarza się potężny monopol myśli, który jest tym szczególniejszy, że pozostaje przez wielu nie zauważony, a nie zauważony bywa on dlatego, że nie dokonał się przez podbój fizyczny czy planową indoktrynację ludzkiej świadomości. Liberalny modernizm nie jest ruchem, lecz raczej stanem umysłu – całkowicie samowystarczalnym i bezkrytycznym – który doskonale obywa się bez wszystkiego co nieliberalne i niemodernistyczne. Lektura współczesnych tekstów mieszczących się w tej orientacji, a one stanowią dominującą produkcję, wprawić może w osłupienie. Nie chodzi przy tym o rozmaitych ekscentryków i skandalistów współczesnej filozofii, ale o ludzi, których skłonni jesteśmy cenić za erudycję i biegłość intelektualną. Otóż ogromna ich większość akceptuje świadomie lub nieświadomie założenie, iż bezpowrotnie minęła pewna epoka w dziejach ludzkości i że odeszła w przeszłość ta tradycja myśli, której początek zwykliśmy upatrywać w filozofii greckiej i judeochrześcijańskiej. Ten model (czy modele) metafizyki i poznania uznany zostaje za całkowicie anachroniczny i nie przystający do naszych czasów. Wiąże się to oczywiście z zanikiem wpływu chrześcijaństwa i jego kultury oraz z gwałtownie postępującą sekularyzacją i dehellenizacją. Tego rodzaju poglądów nie należy bagatelizować, mimo że często wydaje nam się, iż argumenty, jakie stoją za tezą o wyczerpaniu się tradycji helleńskiej i judeochrześcijańskiej, są naiwne czy wręcz, z racji swej powierzchowności, śmieszne. Nie należy ich lekceważyć właśnie dlatego, że wyrażają one stan świadomości, a nie wspiera ich przekonująca argumentacja. Z argumentacją można polemizować, ale co zrobić z psychiczną niemożnością czy zobojętnieniem na cały wielki obszar kulturowy?

Czy ten rodzaj myślenia i stanu świadomości dociera do nas i jak dalece jesteśmy nań podatni? To trudne pytanie i w odpowiedzi jesteśmy zdani raczej na spekulacje. Nie wydaje mi się, abyśmy mieli tutaj do czynienia ze zjawiskiem o takim nasileniu, jaki mamy na Zachodzie. Jestem skłonny sądzić, że nasi moderniści, czy "Europejczycy", jak kąśliwie nazywają ich przeciwnicy, ilustrują raczej typowo polski prowincjonalizm niż wielki świat kosmopolitycznej Europy, tak jak im się to zarzuca. Oni nie tyle rozpowszechniają liberalny modernizm świadomie, z oddaniem, ze zrozumieniem i przemyślaną akceptacją, ile atakują – przy pomocy argumentów i schematów, jakie są obecnie w użyciu i jakie mają wzięcie – polski tradycjonalizm i jego wszystkie wady, które wydają im się liczne i zasługujące na potępienie. Chcieliby Polski nowoczesnej i światłej, lecz na drodze do osiągnięcia owego celu stoją wszystkie przypadłości społeczeństwa, które były przedmiotem krytyki wielu pokoleń naszych pisarzy i publicystów przez ostatnie kilka stuleci. Nasi Europejczycy ilustrują typowe dla tej części świata nastawienie intelektualistów do społeczeństwa, nastawienie, które jest swoistym zmieszaniem miłości i nienawiści. W sposób skrajny reprezentowała to zawsze inteligencja rosyjska. U nas zjawisko to ma oczywiście formę dużo mniej skrajną, ale w swoim schemacie jest podobne. Syndrom miłości-nienawiści wynika z wielkiego pragnienia, aby polską mizerię raz na zawsze zlikwidować i wreszcie wprowadzić kraj na poziom cywilizacyjny, oraz z wielkiego oburzenia, że to zadanie nie znajduje powszechnej akceptacji i że ludzie z jakichś trudnych do pojęcia powodów wydają się być oporni na hasła cywilizacyjnej krucjaty. Gdybym miał ująć różnicę między zachodnimi a polskimi intelektualistami w tym względzie ująłbym to tak: dla zachodnich intelektualistów liberalny modernizm pojawił się jako reakcja na powstałą i urzeczywistnioną cywilizację; u nas ma on służyć jej budowaniu.

Nie znaczy to oczywiście, że należy bagatelizować rozpowszechnianie dziś w Polsce tego typu mentalności. Na razie występują one w formie popularnej, przede wszystkim prasowo-telewizyjnej. Widać jednak wyraźnie, że znajdują one przychylne ucho wśród polskiej publiczności i to szerokiej, niekoniecznie profesorsko-artystycznej. Kariera pism wyrażających takie poglądy jest tu znamienna i powinna dać dużo do myślenia. Nie da się tego do końca wytłumaczyć specyfiką rynkową, wczesnym zaistnieniem na rynku, złym rozdziałem starych tytułów, itd. Jest widoczne, jakie poglądy mają dzisiaj wzięcie. Nikt przecież nie stoi przy kioskach i nie zmusza ludzi do kupowania "Gazety Wyborczej". Nikt nie zmuszał ludzi do tego, żeby nie kupowali "Spotkań" i żeby rzucali się na "Wprost" czy "Politykę". Nie chcę tych pism demonizować i nie uznaję ich wcale za przyczynę zła. Sądzę raczej, że wyrażają one ducha czasów; są rezultatem zmian duchowych, a nie ich źródłem. Pokazują one jak wielkie jest dzisiaj zapotrzebowanie na ideologię nowoczesności (której przejęcie jest oczywiście wielokrotnie łatwiejsze niż zbudowanie nowoczesnej cywilizacji).

Nie ulega wątpliwości, że taka sytuacja musi stanowić dla polskich konserwatystów i intelektualistów prawicowych wielkie wyzwanie. Jak zatem – wypada zapytać – wywiązali się oni z tego zadania? Otóż muszę stwierdzić, że w tym względzie Polska niepodległa przyniosła największe rozczarowanie. Orientacja konserwatywno-prawicowa właściwie nie zmaterializowała się. Zainteresowanie konserwatyzmem, jakie pojawiło się po raz pierwszy pod koniec lat siedemdziesiątych i jakie było wówczas dość szerokie, powinno było zaowocować większym ruchem intelektualnym, zważywszy na Polski tradycjonalizm oraz na antykomunizm, który w dużym stopniu wyrastał z owego tradycjonalizmu. Tymczasem nic takiego się nie stało. Polscy intelektualiści-konserwatyści to zjawisko niezwykle rzadkie, a sprawy konserwatyzmu i prawicy zostały oddane w ręce najmniej odpowiednie: w ręce dziennikarzy i polityków. Gdy zapytać ludzi na ulicy, z kim sobie kojarzą orientację konserwatywno-prawicową to z pewnością odpowiedzą wskazując na publicystów gazetowych oraz na polityków. Kto zna dzieje konserwatyzmu zachodniego ten wie, że wybitną rolę odgrywali w nim pojedynczy dziennikarze oraz pojedynczy politycy; generalnie natomiast oba te zawody były uznawane za mało przydatne dla sprawy konserwatyzmu. Oba zawody są z natury rzeczy uwikłane w doraźność, w konflikty bieżące i w łatwą stronniczość. Oba zawody cechuje powierzchowność. Dajcie dziennikarzowi i politykowi najsubtelniejszą i najwartościowszą ideę, a jest gwarancja, że zrobią z niej prymitywny tytuł prasowy lub slogan wyborczy.

Z politykami mamy jeszcze dodatkową komplikację, bo pragną oni często uzyskać wygodną płaszczyznę atakowania swoich przeciwników, i traktują ogólne idee dość instrumentalnie. Tak zwana polska prawica polityczna jest tu dobrym przykładem. Jej prawicowość ma charakter niemal wyłącznie deklaratywny i na dobrą sprawę arbitralny. Nie mówię już o tym, że wykazała ona zadziwiającą niekompetencję polityczną i bałagan myślowy, ale to są rzeczy, w które teraz wchodzić nie będę.

Stosunek klasycznego konserwatysty do dziennikarzy i polityków jest więc w istocie pełen dystansu, pobłażliwości, ironii, a w niektórych przypadkach, wyniosłości. Tymczasem polscy konserwatyści nie tylko takiego stosunku nie mają, nie tylko są wobec nich pokorni i pochlebczy, ale pozwolili oni rozpłynąć się konserwatyzmowi w polityczno-publicystycznej marności. W takiej postawie widzę coś więcej niż błąd; widzę chęć osiągnięcia łatwego zwycięstwa politycznego. Zwycięstwo polityczne prawicy – jeśli w ogóle możliwe i jeśli jest coś takiego jak dający się zidentyfikować ruch prawicowy w Polsce – niczego nie zmieni, o ile nie będzie za tym, a raczej równocześnie z tym szła jakaś wyraźna formacja kulturowa. W przeciwnym razie prawica popadnie w obsesję lewicowego oblężenia. Symptomy tego stanu rzeczy są już zresztą widoczne.

Jeżeli prawdą jest, że następują ogólnocywilizacyjne zmiany światopoglądowe i utrwala się ten rodzaj stanu umysłu, który nazwałem liberalnym modernizmem, to przymierze dziennikarzy i polityków prawicowych nie tylko nie będzie mogło nic z tym zrobić i temu przeciwdziałać, ale, jestem pewny, z czasem ulegnie nowym ideom. Jeśli zaś im nie ulegnie, to będzie ono niezdolne do stworzenia mocnej alternatywy i pozostanie tylko reakcja krzykliwego odrzucenia, politycznych protestów, awantur i personalnych utarczek. Jak powiedziałem, symptomy tego są już widoczne, bo zwiększający się wpływ liberalnego modernizmu w języku, stereotypach, obiegowych poglądach powoduje, iż konserwatyzm staje się stroną przegrywającą zanim jeszcze objawi swoje argumenty, co niektórych przedstawicieli prawicy wprawia w szaloną irytację. Ale jeśli tendencje duchowe naszych czasów są takie, to najgorszym z rozwiązań – bo jałowym – jest krzyk protestu. W niektórych konfliktach ogniskujących potęgę modernistycznych stereotypów, polski konserwatyzm prawie w ogóle nie zaistniał jako alternatywa, a ponieważ nie zaistniał, to doznał kolejnej porażki.

Konkludując: sądzę, że jeśli nie powstanie jakaś formacyjna orientacja światopoglądowa w naszym kraju, jeśli nie odbierze ona idei konserwatywnych dziennikarzom i politykom, jeśli stworzone przez nią kategorie myślowe nie zaistnieją na polskim rynku umysłowym, jeśli nie będą one miały wpływu na szkoły, uniwersytety, na język prywatny i publiczny, jeśli nie powstaną poważne książki, seminaria, instytucje, środowiska intelektualne, dzieła myśli i wyobraźni, to walec liberalnego modernizmu przejedzie przez nas, a pozostali przy życiu konserwatyści staną się pojedynczymi eksponatami zoologicznymi. Czego ani Państwu, ani sobie nie życzę. ▩

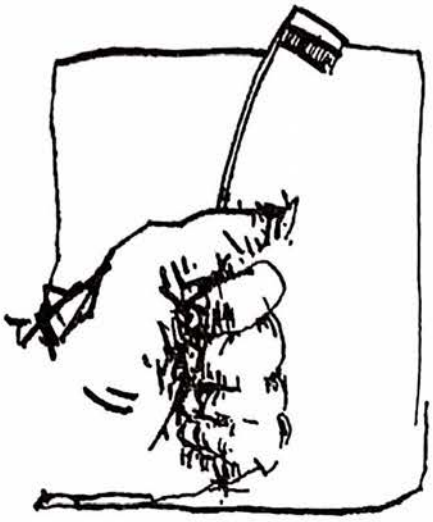

POLITYKA POLSKA PO KOMUNIZMIE

Rafał Matyja

Spór o kształt polityki polskiej był jednym z podstawowych konfliktów II Rzeczypospolitej. Dotyczył najważniejszych zagadnień polityki zagranicznej, charakteru odrodzonego państwa, perspektyw narodowych Polaków. Brak podobnej dyskusji we współczesnej Polsce jest być może owocem powszechnej zgody Polaków w zasadniczych dla nich sprawach. Może jednak oznaczać - i ta teza wydaje się bardziej prawdopodobna - że nie istnieje dziś żadna koncepcja polityki polskiej, o którą warto by się spierać.

Polityka polska skończyła się praktycznie w połowie lat czterdziestych, kiedy to utraciliśmy instrument jej uprawiania, jakim było suwerenne państwo a totalitarny charakter PRL uniemożliwił Polakom jakąkolwiek samoorganizację poza państwem. W latach osiemdziesiątych – kiedy istniały już skromne, ale realne możliwości uprawiania polityki polskiej – nasze elity polityczne formułowały cele na zupełnie innej płaszczyźnie – obrony interesów pracowniczych, praw obywatelskich czy budowy samorządnej Rzeczypospolitej.

Po roku 1989, kiedy na środowiska opozycyjne spadł ciężar odpowiedzialności za państwo, nie można było dobrze rządzić, odwołując się do intelektualnego dorobku głównego nurtu opozycji lat osiemdziesiątych. Rządzono więc w pewnego rodzaju umysłowej próżni, podporządkowując strategiczne decyzje bieżącym wskazówkom. Brak strategicznej wizji polityki polskiej ma zatem swe źródło w genezie obecnych elit politycznych. Opozycyjna aktywność lat osiemdziesiątych odwoływała się w gruncie rzeczy do schematu konfliktu między władzą a społeczeństwem. Schemat ten, odtwarzany dziś wielokrotnie przez polityków i publicystów, polega na szukaniu nowego wroga publicznego. Dla jednych miał być nim szowinizm i populizm, a później również klerykalizm. Dla ich przeciwników wrogiem byli dążący do wynarodowienia i laicyzacji "Europejczycy". Inni wreszcie szukali wroga w nieformalnych układach tworzonych przez ludzi dawnego systemu wspólnie z częścią elit Solidarności.

Postrzega się zatem Polskę jako kraj, w którym każdy czuje się zagrożony totalistycznymi zapędami pozostałych obywateli. Co nie mniej ważne, poczucie zagrożenia łączy się z rozczarowaniem rzeczywistym kształtem III Rzeczypospolitej. Pluralizm rozczarował swoich najgłośniejszych apologetów. Dzisiejsi Polacy nie podobają się zagorzałym narodowcom, a zwolennicy prezydentury Lecha Wałęsy poczuli się zagrożeni jego realnymi rządami.

Największe wzięcie ma zatem polityka oblężonej twierdzy – obrony przed szowinizmem, laicyzacją, klerykalizmem, populizmem czy rekomunizacją. Lubimy mieć wroga, zaś najlepiej czujemy się w sytuacji, gdy

RAFAŁ MATYJA - ur. 1967, publicysta, historyk. Publikował m.in. w "Rzeczypospolitej", "Polityce Polskiej", "Przeglądzie Politycznym", "Ładzie". Współautor książek: "Świat dyplomacji, polityki i idei. Słownik podręczny." (1992) oraz "Równi i równiejsi - rzecz o związkach zawodowych w Polsce" (1993). Przewodniczący Stowarzyszenia Kraj, członek Rady Politycznej Partii Konserwatywnej.

zagrożenie ma charakter totalny. Trudno w takich warunkach myśleć o polityce mającej za przedmiot dobro wspólne, polityce przechodzącej do porządku dziennego nad konfliktami wewnętrznymi.

Do tego strachu przed sobą dodaliśmy zresztą szybko niefrasobliwość w myśleniu o pozycji Polski w otoczeniu międzynarodowym. Nasze przekonania zdominował pogląd o rychłym przyjęciu Polski do Wspólnot Europejskich. Pogląd ten, wzmacniany przez niektóre środowiska imperatywem przebudowy społeczeństwa na – nie istniejącą zresztą – modłę europejską, stał się nawet pewnego rodzaju aksjomatem myślenia o przyszłości Polski. Jego zwolennicy chcą ograniczyć obecność Kościoła w życiu publicznym, nie bacząc na przykład na to, że w wielu krajach Zachodu utrzymano po dziś dzień religię państwową. W imię stosowania standardów europejskich wpisuje się do projektu naszej konstytucji bezprecedensowe zapisy o ochronie różnych orientacji seksualnych, podczas gdy na przykład konstytucja niemiecka stoi na gruncie obrony moralności publicznej. Przekonuje się nas wreszcie do szeregu gwarancji socjalnych, istniejących w krajach europejskich, nie bacząc, że podstawowym warunkiem ich istnienia jest sprawna gospodarka i zamożne społeczeństwo.

Do podważenia tej koncepcji – jako jedynej możliwej – nie trzeba jednak wytaczać argumentów o charakterze ideowym, wskazujących na pozytywną rolę utrzymania tożsamości narodów europejskich. Wystarczy wyciągnąć wnioski z dotychczasowego przebiegu procesu integracji Polski ze Wspólnotami Europejskimi. Nasza wersja eurosceptycyzmu musi polegać na – mającym wiele racjonalnych uzasadnień – przypuszczeniu, iż szybka ścieżka integracji może być dla nas niedostępna. Już ta pragmatyczna przesłanka jest dostatecznym powodem poszukiwań alternatywnej koncepcji polityki polskiej. Być może nie zdobędzie sobie ona równorzędnej pozycji ze strategią nadziei na szybką integrację, jednak wobec niepewności skutków polityki europejskiej może via facti stać się jedynym realnym programem.

Polityka polska stawia sobie za cel dobro narodu rozumianego jako wspólnota polityczna i kulturowa. Zwłaszcza ten drugi wymiar pojęcia narodu ma w polskich warunkach istotne znaczenie ze względu na historyczne doświadczenie funkcjonowania narodu bez państwa lub w państwie "wrogim", silnie oddziaływujące także na współczesne zachowania Polaków.

Zapoznanie przez polską myśl socjologiczną i polityczną kategorii narodu – nadal czytelnej i będącej istotnym punktem spontanicznego i pozytywnego odniesienia dla wielu Polaków – owocuje brakiem szeroko akceptowanej idei porządku publicznego. Jeżeli opisujemy wydarzenia ostatniej dekady posługując się kategoriami ruchu społecznego, społeczeństwa obywatelskiego, budowy demokratycznego państwa prawa, unikając jednocześnie posługiwania się pojęciem narodu, to skazujemy się na ideologiczne ograniczenie wypaczające istotną treść omawianych procesów.

Solidarność lat 1980–1981 była ruchem o charakterze narodowym (gdy chodzi o zakres stawianych sobie celów), a nie – jak się chętnie interpretuje – obywatelskim. Nie była zrywem dokonanym z Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela w ręku lecz ruchem patriotycznych emocji, posługującym się przede wszystkim emblematami narodowymi i religijnymi. Nie namawiam nikogo do afirmacji takiego stylu działania i wyrażania swych poglądów, jednak nie powinniśmy oszukiwać się fałszywym wspomnieniem rewolucji obywatelskiej. Koncepcja ruchu obywatelskiego, wykorzenionego z powszechnie zrozumiałych argumentów patriotycznych, czy narodowych brzmi nadal jak jakieś wątpliwe ideologiczne uzasadnienie dokonanej w ostatnich latach wymiany elit. Polacy zawsze rozumieli obywatelskość jako zobowiązanie narodowe, wobec wspólnoty. Dziś z trudem przekładają to tradycyjne rozumienie obywatelskości na wypraną z treści obywatelskość państwową lub jeszcze bardziej abstrakcyjną – ogólnoludzką. Jeżeli zatem w opisie wydarzeń lat osiemdziesiątych zabraknie kategorii narodu, to rzeczywistość po roku 1989 będzie musiała się jawić jako kakofonia sprzecznych interesów, egoistycznych karier, walki politycznej pozbawionej tej rangi jaką nadaje mu spór o przyszłość narodu, o kierunek polityki polskiej. Naturalnym wyborem jest więc powrót do porzuconej idei porządku publicznego, zakorzenionej w tradycjach cywilizacji chrześcijańskiej oraz polskiej tożsamości narodowej.

Zobowiązanie do troski o dobro wspólne ma swój podstawowy wymiar w zobowiązaniach człowieka wobec narodu, któremu zawdzięcza język, uczestnictwo w kulturze, dostęp do wartości uniwersalnych. Takie pojmowanie zobowiązań jest bliskie polskiej kulturze politycznej, także ostatnich dziesięcioleci. Identyfikowanie głównego celu ruchu Solidarności lat 1980–1981 i postaw Polaków z roku 1989 jako woli życia w suwerennym państwie, woli samostanowienia narodowego pozwala na wskazanie istotnych kierunków polityki po roku 1989.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości nie jest bowiem osiągnięciem, które raz na zawsze odsuwa wszelkie zagrożenia. Należy je raczej traktować jako wyposażenie narodu w instrument, którego przez lata był pozbawiony – w suwerenne i demokratyczne państwo. Polityka polska po upadku PRL musi zatem stawiać sobie za cel przede wszystkim wewnętrzne wzmocnienie państwowości oraz uczynienie z państwa sprawnego instrumentu w rękach jego obywateli.

Mówimy o wzmocnieniu wewnętrznym dlatego, że istnieje społeczna rutyna lekceważenia państwa, nie

Politykę polską, nie będącą ksenofobiczną reakcją na procesy integracyjne można uprawiać nawet w jednoczącej się Europie, można uprawiać w świecie, którego logikę kształtują postulaty globalistów czy regionalistów. Jej warunkiem nie jest bowiem istnienie państwa, czy nawet istnienie nowoczesnego narodu, lecz żywa kultura narodowa i wola jakiejś części polityczno-intelektualnej elity identyfikującej się z polskością.

uznawania go za swoje. Z drugiej strony towarzyszy jej polityczna rutyna państwa istniejącego dla siebie, a nie dla obywateli. Dopiero uczynienie z państwa rzeczywistego dobra wspólnego oznaczać będzie jego suwerenność w warunkach demokracji.

Podstawowe zagadnienie to budowa harmonii między odradzającym się powoli społeczeństwem obywatelskim a równie wolno dekomunizującym się państwem, przezwyciężenie – jak to określają niektórzy – syndromu wrogiego państwa opiekuńczego, państwa od którego wszystkiego się żąda, a jednocześnie się je oszukuje i nim pogardza. Dzisiejsza fikcyjna harmonia opiekuńczego państwa z ignorującym własne zobowiązania społeczeństwem to model, w którym państwo jest w istocie obce, lecz legitymizowane przez funkcje opiekuńcze. Gdy dodamy do tego jeszcze traktowanie demokracji i wyborów parlamentarnych raczej w kategoriach legitymizacji władzy niż regulacji kierunku polityki państwa, wówczas otrzymamy bliski rzeczywistemu model państwa demokratycznego i suwerennego ale nadal obcego wobec obywateli. Głosowanie, którego podstawową funkcję widzimy w udzieleniu zezwolenia na sprawowanie władzy jest w istocie uchyleniem się od odpowiedzialności za losy państwa i narodu. Sugeruje, iż wybór polega na aprobacie lub odmowie poparcia dla rządzących elit, które i tak wszystko rozstrzygną we własnym gronie.

Poczucie obcości zostało utrwalone w III Rzeczypospolitej przez znaczne koszty reform gospodarczych, jakie spadły na stosunkowo szerokie grupy społeczne. Państwo, które wraz z demokracją miało przynieść poprawę bytu materialnego, stworzyło jedynie warunki do rozwoju prywatnej przedsiębiorczości. Nie mogło zaradzić utracie pozycji społecznej i życiowej wielu Polaków. Wiele wskazuje na to, że interes wspólny – rozumiany jako pewna wysoce opłacalna dla wszystkich inwestycja – w tym krytycznym momencie polskiej historii nie pokrywał się z chwilowym interesem większości. Paradoks ten nie może być jednak podniesiony do rangi reguły. Na dłuższą metę nie sposób prowadzić – nawet w imię racji państwowych, czy narodowych – polityki stojącej w sprzeczności z interesem przeważającej większości Polaków.

Istnieje jednak inny – niż funkcjonujący obecnie – możliwy model harmonii: układ, w którym państwo czynnie współdziała w odbudowie sił społeczeństwa, pomagając przede wszystkim aktywnym; biernym stwarzając jedynie minimum konieczne do życia. Byłoby to zatem państwo ograniczone i nieprzychylne tym, którzy dotąd żyli dzięki rewindykacjom. Popierające własny przemysł, społeczne szkolnictwo, inicjatywy charytatywne, kulturalne – i nie starające się rozwijać własnych form opiekuńczości, by przelicytować socjalny dobrobyt PRL. Zmiana polityki społecznej władz – od dziurawej opiekuńczości ku współpracy w budowie społeczeństwa samodzielnych obywateli ma zatem charakter fundamentalnej decyzji o przyszłym kształcie państwowości polskiej.

Inny niż w epoce PRL kształt harmonii między państwem a społeczeństwem owocować winien także przyjęciem zmodyfikowanych zasad polityki zagranicznej. Prymat interesu narodowego – łączącego dobro państwa z pożytkiem dla jego obywateli – oznaczać tu musi odstąpienie od pryncypiów ideologicznych, afirmujących lub odrzucających z góry członkowstwo Polski we Wspólnotach Europejskich. Polityka zbliżenia do Europy Zachodniej musi być rozpatrywana przede wszystkim w kontekście realnych zysków dla naszego kraju, miejsca Polski w systemie nowych stref wpływów w Europie środkowej i wschodniej oraz planu rozwoju ekonomicznego Polski.

Polityka polska w epoce "dostosowania się" nie musi cieszyć się poparciem większości elity politycznej. W historii Polski nierzadko zdarzały się okresy, w których polityka polska stanowiła margines uprawianej w kraju polityki: dynastycznej, walk koterii, czy stronnictw. Współczesna koncepcja polityki polskiej nie nawiązuje do sformułowanej w początkach XX wieku doktryny Narodowej Demokracji autorstwa Dmowskiego i Popławskiego, jest bowiem zjawiskiem wykraczającym poza tamto historyczne wcielenie. Nacjonalizm tamtej epoki jest we współczesnym świecie anachroniczny – choć odsyłanie wraz z nim do lamusa pojęć takich jak naród, czy polityka polska jest intelektualną pomyłką. Polityka polska – świadoma swych celów – pojawia się bowiem z narodzinami kultury i świadomości narodowej. I choć w Europie wieku XV czy

XVI dominowała jeszcze polityka dynastyczna, choć potem pojawiły się ostre konflikty wyznaniowe i sprowadzanie nowożytnej czy średniowiecznej polityki do poziomu rywalizacji narodów byłoby nieporozumieniem, to jednak także wtedy istniały elity uprawiające politykę nie w interesie króla i dynastii, czy własnego stanu – lecz w interesie Polski. Najlepsze okresy dawnej polskiej historii zdarzały się rzecz jasna wtedy, gdy polityka polska zyskiwała poparcie monarchy i większości szlacheckiej elity.

Termin polityka polska nie jest zatem związany z konkretną historyczną postacią poczucia narodowego, z tym kształtem narodu z jakim mieliśmy do czynienia u progu dwudziestego wieku. Politykę polską, nie będącą ksenofobiczną reakcją na procesy integracyjne można uprawiać nawet w jednoczącej się Europie, można uprawiać w świecie, którego logikę kształtują postulaty globalistów czy regionalistów. Jej warunkiem nie jest bowiem istnienie państwa, czy nawet istnienie nowoczesnego narodu, lecz żywa kultura narodowa i wola jakiejś części polityczno – intelektualnej elity identyfikującej się z polskością. Polityka polska w czasie kiedy szybka integracja jest wątpliwa oznacza przede wszystkim politykę odbudowy i odzyskania państwa, wzmocnienia jego międzynarodowej pozycji i stworzenia możliwie silnych gwarancji suwerenności. Ta sama polityka uprawiana w warunkach zjednoczonej Europy byłaby polityką promocji polskiego przemysłu, polskiej kultury, rozwoju cywilizacyjnego kraju, polityką przechodzenia z pozycji europejskich peryferii na miejsce równoprawnego i liczącego się członka europejskiej rodziny narodów.

I jakkolwiek niektórzy politycy mówiliby – trawestując wypowiedź Seweryna Rzewuskiego – "Nie mówię już o przeszłej Polsce i Polakach (...) Ja już jestem Europejczykiem na zawsze", to fundament polityki polskiej nie zostanie przez to zachwiany. Zarówno bowiem polski język, kultura i jak i świadomość narodowa Polaków wydają się być trwalszymi podstawami polityki niż utopijna wizja zjednoczonej Europy z zatartymi narodowymi odrębnościami.

Polityka polska jako wartość intelektualna odrodzić się może dziś na obrzeżach systemu politycznego, poza partykularyzmem kierownictw partii, i wraz ze zmianami, jakie nieuchronnie czekają polski system polityczny, zostać wprowadzona do praktyki. Zmiany te nastąpią wraz z wkroczeniem do życia publicznego pokolenia nie znającego z autopsji konfliktu władzy komunistycznej z demokratyczną opozycją, nastąpią wraz z awansem najlepszych polityków lokalnych do ogólnopolskiej elity władzy. Nastąpią wreszcie wskutek naturalnych przewartościowań ideowych, wynikających z krystalizowania się stanowisk politycznych.

Polityka polska nie musi stać się w przyszłości doktryną jednego stronnictwa czy obozu politycznego. Aby była jednak realnie obecna w życiu publicznym i umysłowym kraju muszą istnieć instytucje pracujące nad jej teoretycznym i praktycznym kształtem. ▩

... naród jest właśnie grupą zorganizowaną, lecz nie na zasadzie władzy, tylko na zasadzie przodownictwa. Jest to, jak lud, grupa kulturalna, lecz o przynależności do niego rozstrzyga nie samo podobieństwo jednostki do wzoru idealnego, opartego na wspólnej kulturze, lecz świadome a uznane przez innych dążenie tej jednostki do uczestniczenia w tej wspólnej kulturze.

Stosunek między państwem i narodem, które mają większość wspólnych członków, rozmaicie kształtować się może. Nawet jednak przy najdalej idącym współdziałaniu każda grupa zachowuje swój ustrój: państwo - przymusowego poddania się władzy, naród - dobrowolnego współdziałania z przodownikami. Bywa oczywiście nieraz, że te same osoby są członkami rządu państwowego i przodownikami w instytucjach narodowych, lecz to jeszcze nie stanowi o związku grup niezależnych od siebie. Stosunek współdziałania narodu i państwa polega na tym, że państwo uznaje za swoje i sankcjonuje prawnie pewne instytucje narodowe (na przykład szkoły), naród uznaje za swoje i sankcjonuje moralnie pewne instytucje państwowe (na przykład wojsko).

FLORIAN ZNANIECKI

CZAS NA POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ

Wojciech Zajączkowski

Przed rokiem 1989 polska polityka zagraniczna (nie mylić z dyplomacją) nie istniała. Po upadku rządów komunistycznych zabrakło czasu na długie rozważania nad jej kształtem – trzeba było od razu przystąpić do szukania odpowiedzi na pytanie o miejsce Polski w świecie po upadku totalitaryzmu w Europie Środkowej, po zjednoczniu Niemiec, po wybuchu wojny nad Zatoką Perską, po rozpadzie ZSRR...

Jeśli domagano się zmian w polskiej polityce zagranicznej, czyniono to głównie z myślą o konkretnych przypadkach i kierowano się w znacznej mierze interesami partykularnymi lub względami ideologicznymi. W pewnym momencie można było odnieść wrażenie, że takie pojęcia jak "bezpieczeństwo", "zagrożenie", "integracja", "interes narodowy" i inne stają się abstrakcją, ponieważ giną gdzieś leżące u podstaw każdej zdrowej polityki zagranicznej fundamentalne zasady, które mówią, że:

Po pierwsze, polityka zagraniczna nie jest autonomiczną dziedziną działalności, lecz jednym z wielu rodzajów aktywności politycznej, mających stworzyć jak najkorzystniejsze warunki dla rozwoju danego społeczeństwa.

Po drugie, polityka zagraniczna powinna uwzględniać charakter zbiorowości, której interesy realizuje, a zatem jej tradycje historyczne i kulturowe, poziom rozwoju cywilizacyjnego, potencjał ekonomiczny i militarny.

Po trzecie, zasadnicze cele polityki zagranicznej, a do pewnego stopnia również sposoby ich osiągnięcia, winny być przedmiotem consensusu elit społecznych i gospodarczych, definiować je powinien znacznie szerszy krąg osób niż grono samych wykonawców czyli zawodowych dyplomatów.

Czy polska polityka zagraniczna uwzględniała w ciągu ostatnich lat powyższe zasady? Czy w ogóle mogła je uwzględniać? Cele strategiczne, przyświecające działalności MSZ, minister Krzysztof Skubiszewski konsekwentnie ujmował i ujmuje następująco: "utwierdzanie suwerenności i bezpieczeństwa państwa, wspieranie postępu cywilizacyjnego kraju, uzyskiwanie mocnej pozycji dla Polski w Europie i na świecie". Pod sformułowaniem tym może podpisać się praktycznie każdy polityk; rozbieżności pojawiają się dopiero w momencie przekładu owej deklaracji na język konkretnych działań.

Praktyczne cele wyznaczone polskiej polityce zagranicznej w latach 1989-1990 i realizowane do dziś obejmują kilka kluczowych punktów, z których część została już urzeczywistniona, część zaś pozostaje nadal w sferze planów. Ich lista objęła między innymi:

– uwolnienie się od ideologicznego, politycznego i militarnego uzależnienia od ZSRR;
– nawiązanie normalnych stosunków państwowych z nowymi sąsiadami Polski, zwłaszcza zaś ze zjednoczonymi Niemcami;
– akces do zachodnich struktur bezpieczeństwa, ściślej zaś mówiąc do NATO;
– przystąpienie do Wspólnoty Europejskiej, najpierw na zasadzie stowarzyszenia z nią, później zaś na zasadzie pełnego członkowstwa;
– rozwój współpracy regionalnej, zwłaszcza z krajami Europy Środkowej.

W całości niemal zostały zrealizowane tylko dwa pierwsze punkty – jesienią 1993 roku, gdy terytorium Rzeczypospolitej opuści ostatni żołnierz rosyjski, będzie można mówić o ostatecznym spełnieniu pierwszego postulatu, a po podpisaniu traktatu międzypaństwowego z Litwą, zakończony zostanie proces regulowania stosunków dwustronnych z naszymi sąsiadami. Pozostałe kwestie utknęły w miejscu. Polska podpisała, co prawda, układ o stowarzyszeniu ze Wspólnotą Europejską, lecz nie został on jeszcze ratyfikowany przez naszych zachodnich partnerów. Uzyskanie pełnych praw członkowskich w tym gremium przedstawia się natomiast dosyć mgliście, zważywszy na przeszkody, które stoją na drodze do tego celu. Prowadzący z ramienia strony polskiej

WOJCIECH ZAJĄCZKOWSKI – ur. 1963; historyk, publicysta, pracownik Ośrodka Studiów Wschodnich oraz senackiego Ośrodka Studiów Międzynarodowych. Publikował m.in. w: "Rzeczpospolitej", "Obserwatorze Codziennym", "Res Publice", "Przeglądzie Politycznym". Wydał ostatnio książkę "Czy Rosja przetrwa do roku 2000?"

negocjacje nad traktatem stowarzyszeniowym Jacek Saryusz-Wolski przyznaje, iż wszyscy liczyli się z "barierą transformacyjną", czyli ze zdolnością przystosowania się Polski do warunków, które narzuca akces do zjednoczonej Europy, mało kto natomiast brał pod uwagę "barierę adaptacyjną", to znaczy gotowość Zachodu do zaakceptowania nowych członków Wspólnoty. Owo zaskoczenie polskich dyplomatów tym zjawiskiem może budzić z kolei zdziwienie u każdego, komu znana jest historia zjednoczonej Europy.

Przystępując do starań o przyjęcie Polski do tego gremium, należało się przecież liczyć nie tylko z awanturami o wołowinę, wiśnie, wyroby stalowe czy produkty przemysłu chemicznego, trzeba było się liczyć przede wszystkim z oporami drugiej strony przed rozregulowaniem bardzo precyzyjnego mechanizmu politycznego i finansowego. Wystarczy przysłuchać się dyskusjom nad przyjęciem do tego grona Szwecji, Norwegii, Finlandii i Austrii, a więc krajów, które z uwagi na poziom rozwoju cywilizacyjnego i ekonomicznego nie mają do czynienia z "barierą transformacyjną". Przystąpienie tej czwórki do Wspólnoty może spowodować zmiany w podziale dotacji dla słabiej rozwiniętych regionów, zmianom ulegną proporcje głosów przysługujących poszczególnym członkom w Komisji Europejskiej oraz w Radzie Premierów, powstanie konieczność opracowania w różnych dziedzinach nowych norm europejskich uwzględniających warunki klimatyczne i geograficzne Skandynawii.

Niezależnie od problemów ogólnych dotyczących Wspólnoty jako całości, istotną rolę odgrywają interesy partykularne poszczególnych krajów. Warto zwrócić choćby uwagę na obawy mniejszych członków tej organizacji, konkretnie państw Beneluksu czy Danii, przed utratą znaczenia na rzecz państw silniejszych. "Jeśli wielcy zamierzają zepchnąć małych na margines – oświadczył w wypowiedzi dla "Le Monde Diplomatique" jeden z wysokich urzędników Rady – będzie to prawdziwą bombą z opóźnionym zapłonem".

Wszystkie te czynniki będą odgrywać rolę w dyskusji nad przyjęciem do Wspólnoty Europejskiej krajów postkomunistycznych, przy czym zasadnicze znaczenie będą miały w ich przypadku kwestie finansowe. W 1989 roku na każde 100 ECU wpłacone do kasy Wspólnoty Irlandia otrzymywała 461, Grecja – 453, Portugalia – 206. Nie należy się zatem dziwić niepokojom niektórych krajów Wspólnoty, czy przypadkiem Szwecja lub Finlandia nie zechcą upomnieć się o jakieś pieniądze na rozwój na przykład Laponii. Nawet jednak gdyby do tego doszło, uszczerbek byłby minimalny w porównaniu z trzęsieniem ziemi, do którego mogłoby dojść w przypadku pojawienia się takich obszarów jak polska "ściana wschodnia".

Osobnym problemem, z którym nie potrafią się uporać do końca sami członkowie Wspólnoty jest unia walutowa. Pytanie, w jaki sposób Polska mogłaby się wpisać w europejską politykę monetarną, długo więc jeszcze będzie miało charakter czysto retoryczny.

"Bariera adaptacyjna" dała znać o sobie również w dziedzinie bezpieczeństwa. Starania Rzeczypospolitej o przyjęcie do NATO lub o jakąś formę stowarzyszenia z tą organizacją spełzły na niczym. Trudno się temu dziwić, jeśli weźmie się pod uwagę, że Pakt Północnoatlantycki został powołany do życia jako tarcza mająca ochronić Europę Zachodnią przed agresją ze strony ZSRR. Rozpad bloku wschodniego, a następnie samego Związku Sowieckiego postawił pod znakiem zapytania sens istnienia NATO. Ostatecznie przetrwało ono jako czynnik mający zapewnić większą stabilność i bezpieczeństwo na naszym kontynencie.

W praktyce, zachodnioeuropejskie struktury bezpieczeństwa okazały się niezdolne do zapobieżenia konfliktom lokalnym, zwłaszcza zaś wojnie w Jugosławii. Ta ostatnia ujawniła z kolei, że mimo europejskiej retoryki, w konkretnych przypadkach państwa zachodnie kierują się własnymi interesami, że nie ma "europejskiej polityki zagranicznej", jest natomiast polityka poszczególnych krajów. Przykładu dostarczyła polityka Niemiec wobec Chorwacji i Słowenii, Grecji wobec Macedonii tudzież rozbieżne reakcje na wydarzenia w Bośni – od wojowniczej postawy Francuzów, po wstrzemięźliwość Brytyjczyków.

Z tego punktu widzenia nadzieje Polski na przystąpienie do NATO jeszcze długo pozostaną niespełnione, gdyż większość państw zachodnich nie ma w Europie Środkowej interesów, które skłaniałyby je do przyspieszenia procesów integracyjnych. Dotyczy to zarówno sfery bezpieczeństwa jak i ekonomii. Niezwykle ważnym wyjątkiem są tu Niemcy zainteresowane, by u ich wschodnich granic panował spokój oraz by ich sąsiedzi nie byli nędzarzami wyciągającymi ręce po wsparcie, ale partnerami przyczyniającymi się do ogólnego wzrostu gospodarczego.

Pewnym remedium na wolne tempo procesów zjednoczeniowych miała być współpraca regionalna. Początkowo przybrała ona postać Heksagonale, które padło ofiarą wojny jugosłowiańskiej. Później zaczęto podkreślać znaczenie współdziałania w ramach grupy wyszehradzkiej, wydaje się jednak, iż oczekiwania żywione wobec niej były i są niewspółmierne do rzeczywistych możliwości. Wynika to przede wszystkim z przyczyn ekonomicznych. Gospodarki Polski, Czech, Słowacji i Węgier nie są wobec siebie komplementarne, w wielu dziedzinach są natomiast konkurentami. Każdy z tych krajów dąży do osiągnięcia podobnych celów w polityce zagranicznej i mimo wspólnych deklaracji traktuje innych jak rywali. W Pradze i Budapeszcie niejednokrotnie dają się słyszeć głosy, że Polska stanowi kulę u nogi w staraniach o akces do Wspólnoty Europejskiej. O żadnych sentymentach typu "Europy środka" nie ma tu mowy, o czym świadczy postawa Czechów, którzy zdecydowali się odwołać do tak radykalnych posunięć, jak podział państwa, byle pozbyć się Słowacji. Jedną z głównych przyczyn tej decyzji była obawa, że Słowacja będzie opóźniać integrację z Zachodem.

Czy polska polityka zagraniczna mogła ustrzec się złudzeń związanych z tempem zjednoczenia ze Wspólnotą Europejską oraz ze współpracą regionalną? Teoretycznie tak, aczkolwiek można tu przytoczyć kilka argumentów na jej usprawiedliwienie. Po pierwsze, w latach 1989–1990 tworzono zręby polskiej polityki zagranicznej niemal od zera w szybko zmieniających się warunkach wewnętrznych i zewnętrznych, nie mając w zasadzie żadnego punktu oparcia w przeszłości. Po drugie, nie istniały jeszcze elity gospodarcze,

które mogłyby wziąć udział w programowaniu polityki zagranicznej. Po trzecie wreszcie, nie sposób było przewidzieć, jak będzie przebiegał rozwój polityczny i gospodarczy Polski w nowych warunkach ekonomicznych. Jednak w roku 1992 pewne rzeczy były już wiadome. Przede wszystkim rozpadł się Związek Sowiecki i należało się spodziewać, iż proces dezintegracji tego obszaru będzie postępował. Oczywiste stały się również możliwości adaptacyjne (a właściwie ich brak) Europy Zachodniej oraz ograniczone perspektywy współpracy w ramach grupy wyszehradzkiej. W kraju natomiast ukształtowały się środowiska gospodarcze mogące podjąć dyskusję na temat polityki zagranicznej, wyraźna stała się również hierarchia zainteresowań polskiego biznesu: Zachód, Wschód i dopiero na końcu Południe. Po pewnym czasie okazało się, że trzeba brać pod uwagę także ujemny bilans w wymianie handlowej ze Wspólnotą Europejską oraz przegrywanie rywalizacji o inwestycje zagraniczne.

Polskie elity polityczne nie zareagowały na te zjawiska. Nie zdołano wypracować mechanizmu, który rekompensowałby opóźnienia w integracji europejskiej, nie powstał program działań na okres przejściowy mogący przecież potrwać dość długo. Zarzut ten odnosi się nie tylko do ministerstwa spraw zagranicznych.

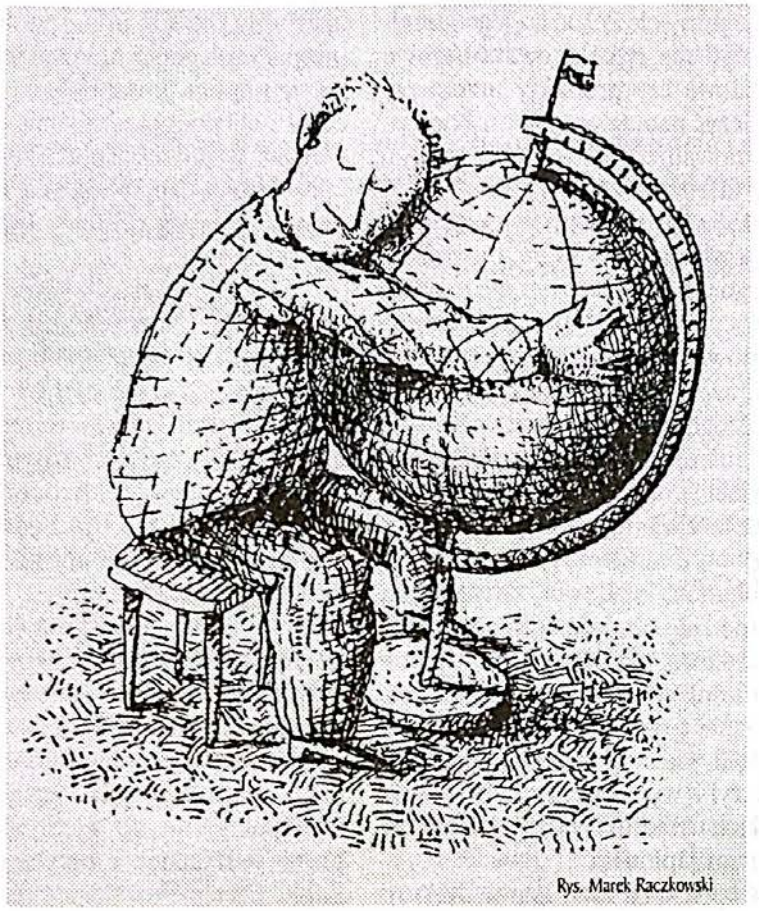

Rys. Marek Raczkowski

Nie stworzono przede wszystkim warunków sprzyjających napływowi do Polski obcego kapitału. Po czterech latach reform, pod względem zainwestowanego kapitału zagranicznego w przeliczeniu na jednego mieszkańca, wypadamy gorzej nie tylko od Węgier i Czech, ale również od Słowenii; dwa pierwsze państwa biją nas również na głowę w liczbach bezwzględnych. Przedstawiciele firm zachodnich wśród najważniejszych przyczyn tego stanu rzeczy wymieniają niestabilność polityczną, słabą dyscyplinę w przemyśle, niską wydolność administracji, brak przejrzystych przepisów prawnych i podatkowych. Niekorzystnie odbijają się również oszczędności na promocji Polski za granicą.

Nie powstał w naszym kraju przejrzysty mechanizm kształtowania polityki zagranicznej. W praktyce zajmuje się nią kilka ośrodków – Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, Kancelaria Prezydenta, Urząd Rady Ministrów, parlament, oraz Ministerstwo Obrony Narodowej. Układ ten ma kilka słabych punktów. Wymienić tu można przede wszystkim brak koordynacji, a chwilami wręcz sprzeczność działań poszczególnych instytucji (najjaskrawszym tego przykładem jest idea NATO-bis, EWG-bis oraz poczynania resortu obrony za rządów Jana Olszewskiego). Wynika to zarówno z osobistych ambicji różnych osób jak i z archaicznego podziału zadań – Ministerstwo Spraw Zagranicznych odpowiada za politykę, Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą za gospodarkę. Wielu przykładów nieporozumień spowodowanych tym stanem rzeczy dostarcza polityka wschodnia. Zarówno tradycja, jak i dzień dzisiejszy zdają się świadczyć, iż aktywniejsze działania na Wschodzie mogłyby złagodzić przynajmniej częściowo skutki przyhamowania naszego marszu do Wspólnoty Europejskiej. Zainteresowanie polskich kręgów gospodarczych obszarem byłego ZSRR jest z pewnością większe od zainteresowania Węgrami, Czechami czy Słowacją. Wydawać by się zatem mogło, iż odpowiednie resorty wesprą ich wysiłki swymi działaniami. To nieporozumienie. MWGZ ogranicza swe zainteresowania do ropy, gazu tudzież połowów ryb na Morzu Ochockim, zaś MSZ do wąsko pojętych prac nad przygotowaniem kolejnych wizyt i dokumentów międzypaństwowych.

Wschód zwykło się traktować przede wszystkim jako kierunek, skąd należy się spodziewać zagrożeń. Uważnie obserwowane są stosunki między Moskwą, Mińskiem i Kijowem; polscy politycy zdają sobie sprawę z tego, że Rosja uważa obszar byłego ZSRR za swą strefę wpływów i niechętnie spogląda na ożywioną współpracę polityczną dawnych republik z innymi partnerami. Świadomość ta przysłoniła wielu osobom w Warszawie fakt, iż wiele rzeczy można wygrać w samej Rosji, nie sprzeniewierzając się przy tym zasadom, które leżą u podstaw naszych stosunków z Białorusią, Ukrainą czy krajami bałtyckimi.

Już w kilka miesięcy po rozpadzie ZSRR było wiadome, że procesy decentralizacji i dezintegracji nie zostały zahamowane i ogarnęły Federację Rosyjską. Faktyczne możliwości rosyjskich władz centralnych, zwłaszcza w dziedzinie gospodarki, zostały ograniczone na rzecz prowincji, gdzie pojawiły się nowe ośrodki decyzyjne. Nie zareagowała na to żadna z polskich instytucji zajmujących się polityką zagraniczną, choć była

to wyjątkowa okazja, by ułatwić polskim kręgom gospodarczym nawiązanie kontaktów z nabierającymi właśnie znaczenia elitami lokalnymi. Oczywiście, istniało pewne ryzyko, że działalność ta spotka się z niezadowoleniem Moskwy, należało je jednak skalkulować. Przykład Węgrów, Czechów, Bułgarów czy Austriaków pokazuje, że ryzyko było opłacalne. W Warszawie natomiast jedni mówią o koniecznej ostrożności, tuszując tym własne niedbalstwo, inni zaś nadal żyją w błogiej nieświadomości, przekonani, "iż na Wschodzie bez zmian".

Osobnym problemem pozostaje styl uprawiania polityki wschodniej. Chcąc tam coś znaczyć, coś załatwić, trzeba tam bywać. Jeśli przyjmiemy, że aktywność polityków na jakimś obszarze jest funkcją interesów, które ma tam reprezentowane przez nich państwo, dojdziemy do wniosku, iż interesy niemieckie w Rosji są olbrzymie, polskie natomiast żadne. Kanclerz Kohl, bynajmniej nie gwoli własnej przyjemności, jechał do Irkucka, by pójść do łaźni z Borysem Jelcynem, zaś prezydent Węgier Arpad Göncz mógł wymyśleć inną trasę wakacyjnych wędrówek niż wizyta w zadymionych i zatrutych miastach Uralu – Sarańsku, Syktywkarze, Iżewsku, Ufie – w towarzystwie grupy biznesmenów. (Oba te wydarzenia miały miejsce latem 1993.)

Polscy politycy często nie poczuwają się do obowiązku podejmowania się takich przedsięwzięć, gdyż są "samorządni i niezależni", nie pełnią roli służebnej wobec rodzimego biznesu, lecz realizują to, co sami uważają za właściwe dla Rzeczypospolitej. Ów woluntaryzm nie jest zjawiskiem nie do przezwyciężenia, o czym świadczy przykład aktywności polskiej w obwodzie królewieckim. Przygotowując porozumienie o współpracy przygranicznej, MSZ miał na uwadze przede wszystkim interesy województw graniczących z tym obszarem. Ważną rolę odegrała tu jednak umiejętność sformułowania konkretnych postulatów pod adresem władz centralnych, którą wykazała miejscowa administracja, politycy i przedsiębiorcy.

Właśnie brak dostatecznie silnych środowisk i grup nacisku, które byłyby w stanie podjąć dyskusję na temat kierunków polskiej polityki zagranicznej zaważył na tym, iż w ciągu minionego roku nie została podjęta próba korekty założeń przyjętych w latach 1989–1990. Różne grupy producentów potrafiły się zorganizować co najwyżej po to, by domagać się zmiany stawek celnych, natomiast polityka zagraniczna rozumiana jako zespół zagadnień związanych zarówno z gospodarką, jak i z bezpieczeństwem państwa nie stała się przedmiotem publicznej debaty.

Sytuacja ta może się powtórzyć w przypadku nowych wyzwań. Najważniejszym z nich zdaje się być jej miejsce w nowym ładzie międzynarodowym oraz problem współpracy Polski z instytucjami międzynarodowymi. Już porozumienia z Bankiem Światowym i Międzynarodowym Funduszem Walutowym spotkały się z zarzutami, iż są przejawem popadania naszego kraju w nową zależność, tym razem finansową, od jakichś sił zewnętrznych. Doszło do tego, mimo że sytuacja była w tym przypadku dość jasna – wiadomo dlaczego Polska potrzebuje tych organizacji i jakie są ich wymagania. Dążenie do pełnego członkostwa we Wspólnocie Europejskiej zakłada oddelegowanie do instytucji europejskich prawa podejmowania decyzji w odniesieniu do pewnych zagadnień, o których zwykło decydować samodzielnie każde suwerenne państwo.

Zwolennicy integracji mówią o jej pożytecznym wpływie na gospodarkę polską, są to jednak dość ogólne deklaracje, będące raczej wyrazem poglądów poszczególnych osób, aniżeli efektem bilansu wszystkich "za" i "przeciw". Czasami dochodzi wręcz do nieporozumień, jak w przypadku wypowiedzi dyrektora Jarosława Mulewicza, który stwierdził, iż "od momentu wejścia układu w życie skończy się dowolność i woluntartyzm w polityce ekonomicznej naszego kraju. Trzeba będzie wszystkie podstawowe rozwiązania (...) konsultować z Brukselą. Stworzy to pewność i stabilność polityki ekonomicznej."

Wydawać by się mogło, że Wspólnota ma być miejscem – przestrzenią prawną i gospodarczą – które ułatwi realizację pewnych celów ekonomicznych, wynikających z tempa, kierunków i poziomu rozwoju danego kraju. Okazuje się jednak, iż możliwe jest inne podejście do tego zagadnienia – akuszerkę przebiera się w strój żandarma.

W przypadku państw zachodnich, jednym z poważniejszych argumentów przemawiających na rzecz stworzenia Europy bez granic, gdzie możliwy stałby się swobodny przepływ ludzi, towarów, usług i pieniędzy, był raport Cechiniego *Koszt nie-Europy*. Dzisiaj szwedzki minister do spraw europejskich, Ulf Dinkelspiel stwierdza, iż "Wspólnota powinna podejmować działanie tylko w tym przypadku, gdy dany cel łatwiej będzie osiągnąć w całej pełni na poziomie wspólnotowym, aniżeli na poziomie poszczególnych państw członkowskich". Szwedzi uważają po prostu, iż pewne rzeczy zrobią lepiej sami, przekazując instytucjom europejskim tylko niezbędne minimum swych uprawnień.

Zarówno decyzja o stworzeniu struktur europejskich w ich obecnym kształcie podjęta przez sygnatariuszy Jednolitego Aktu Europejskiego, jak i dążenie Szwedów, by nie ograniczać się zbytnio regorami narzucanymi przez owe struktury, zostały poprzedzone rzeczowymi kalkulacjami. Coś podobnego przydałoby się również w Polsce; przydałby się zwłaszcza bilans strat i zysków związanych z integracją. Powinien on stać się przedmiotem dyskusji nie tylko w gronie zawodowych dyplomatów i naukowców, ale również w gronie ludzi związanych z gospodarką. Celem akcesu do Wspólnoty Europejskiej powinno być dobro obywateli Rzeczypospolitej pojmowane nie tylko jako komfortowe poczucie przynależności do elitarnego klubu Europejczyków, ale również jako konkretne, wymierne korzyści.

Wiele osób wzdraga się przed czynieniem z polityki zagranicznej przedmiotu dyskusji publicznej, obawiając się demagogii. Wydaje się jednak, iż możliwe jest również inne podejście do tego problemu – właśnie dyskusja publiczna może stać się znakomitą okazją do wyeliminowania demagogii i doktrynerstwa, okazją do sformułowania pewnych pragmatycznych celów odzwierciedlających interesy grup społecznych decydujących o rozwoju społecznym i ekonomicznym Rzeczypospolitej. ▩

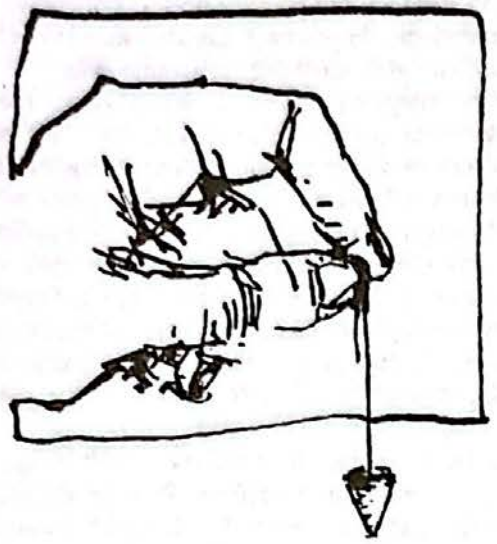

JAKIEGO PAŃSTWA POTRZEBUJE POLSKA GOSPODARKA?

"Polska potrzebuje długofalowej strategii rozwoju". "Polsce potrzebny jest dziś plan główny". "Brakuje nam programu określającego najważniejsze pryncypia polityki państwa" – te, i podobnie brzmiące, zdania politycy powtarzają dziś bardzo często. Warunkiem wstępnym wypracowania postulowanej koncepcji programowej jest przeprowadzenie zasadniczej dyskusji na temat strategii rozwoju Polski. Dyskusji toczonej w szerokim, ponadpartyjnym gronie, mającym wolę, i co nie mniej ważne, możliwości wprowadzenia w życie uzgodnionych wspólnie rozwiązań. O ciągłości polityki państwa musi bowiem wreszcie decydować zasadność przyjętych założeń a nie tylko "parlamentarna arytmetyka".

Taki zamiar towarzyszył – senatorowi Krzysztofowi Pawłowskiemu i środowisku "Debaty" – organizatorom spotkania, które miało miejsce pod koniec czerwca br. w Pałacyku na Wodzie w warszawskich Łazienkach.

Jego uczestnicy podjęli próbę sformułowania odpowiedzi na pytanie "Jakiego państwa potrzebuje polska gospodarka?" Dyskusja koncentrowała się zatem na kierunkach odbudowy państwa. Na wypracowaniu koncepcji NOWEGO PAŃSTWA, które zrezygnuje z zajmowania się produkcją i reglamentacją dóbr gwarantując w zamian stabilność i skuteczność systemu prawnego, stworzenie instytucji wspierającej rozwój wolnego rynku, obronę interesów polskiego producenta.

debata

Polskie zaniechania

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Korzystając z przywileju osoby prowadzącej spotkanie chciałbym dokonać bardzo krótkiej oceny sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Przerwana kadencja polskiego parlamentu nie została wykorzystana dla osiągnięcia najważniejszego celu, jakim jest dokończenie przebudowy państwa. Polska jest dzisiaj państwem bez konstytucji, rządzonym przez nowe elity działające w starych strukturach. Podstawowa dla funkcjonowania całego systemu prawnego ustawa konstytucyjna sklecona jest z kilku wzajemnie niekoherentnych nowelizacji.

Podjęte przez rząd pani Hanny Suchockiej prace nad reformą administracji publicznej nie weszły w fazę legislacyjną. Najważniejszy dla uruchomienia procesu decentralizacji akt prawny, jakim będzie ustawa o samorządzie powiatowym, nie został przez ustępujący Sejm uchwalony. Nie trafiły do Sejmu ważne regulacje dotyczące zamówień publicznych oraz urzędników państwowych. Podstawowa dla interesów państwa dekomunizacja struktur została zatem powstrzymana. Inną sferą, w której nie udało się uzyskać decyzji parlamentu, jest przebudowa systemu finansów publicznych. Budżet na rok 1993 był bez wątpienia budżetem kontynuacji, a prace nad budżetem przyszłorocznym zostaną w znacznym stopniu zdezorganizowane. Nie sposób uznać za zakończoną pracę nad uporządkowaniem systemu podatkowego. Brakuje skutecznych instrumentów proinwestycyjnych, wzmacniających tendencje rozwojowe w gospodarce, bez naruszania dyscypliny w polityce pieniężnej państwa. Trzeba też przypomnieć o istnieniu bezpośredniej zależności reformy systemu finansów publicznych od decyzji w zakresie decentralizacji państwa i przekazania samorządom znacznej części środków będących dziś w dyspozycji centrum, oraz od zapoczątkowania absolutnie niezbędnej reformy ubezpieczeń społecznych, oświaty i służby zdrowia.

Podstawowe pytanie naszego spotkania: *Jakiej polityki potrzebuje dziś polska gospodarka?*, nie znajduje odpowiedzi w sferze cudownych recept czy mitów. Polska gospodarka potrzebuje przede wszystkim sprawnego i stabilnego państwa, w którym normy konstytucyjne gwarantują poszanowanie własności prywatnej i uczciwości obrotu gospodarczego. Potrzebuje państwa z wiarygodnym, posiadającym społeczne poparcie rządem, który nie okazuje raz po raz swojej bezradności, lecz posiada administrację pozwalającą na realne rządzenie krajem. Polska gospodarka potrzebuje wreszcie takiej polityki finansowej, która nie obciąży jej kosztami rozbudowanej i nieskutecznej polityki socjalnej, natomiast stworzy dla niej dogodne warunki inwestowania i rozwoju. Jest to zestaw podstawowych aksjomatów, które podczas tej debaty powinniśmy rozwinąć, szukając ich praktycznego zastosowania w połowie 1993 roku. ■

Polska gospodarka potrzebuje przede wszystkim sprawnego i stabilnego państwa, w którym normy konstytucyjne gwarantują poszanowanie własności prywatnej i uczciwości obrotu gospodarczego. Potrzebuje państwa z wiarygodnym, posiadającym społeczne poparcie rządem, który nie okazuje raz po raz swojej bezradności, lecz posiada administrację pozwalajacą na realne rządzenie krajem. Polska gospodarka potrzebuje wreszcie takiej polityki finansowej, która nie obciąży jej kosztami rozbudowanej i nieskutecznej polityki socjalnej, natomiast stworzy dla niej dogodne warunki inwestowania i rozwoju.

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI – 47 lat, fizyk, senator nowosądecki dwóch ostatnich kadencji. Współtwórca Business Centre Club, członek władz Krajowej Izby Gospodarczej. Prowadzi działania na rzecz ekonomicznej promocji regionu, jest założycielem Wyższej Szkoły Biznesu w Nowym Sączu, będącej filią amerykańskiego National – Louis University oraz prezesem Sądeckiej Izby Gospodarczej.
Jest członkiem Partii Chrześcijańskich Demokratów, mieszka w Nowym Sączu.

Siły napędowe rozwoju gospodarczego Polski

ANDRZEJ OLECHOWSKI

Chciałbym rozpocząć od postawionego przez Krzysztofa Pawłowskiego pytania o siły napędowe rozwoju gospodarczego Polski. Podoba mi się w tym pytaniu sformułowanie "siły napędowe", ponieważ napędzać można, jak rozumiem, jedynie obiekt, który został już wprawiony w ruch. A ja uważam, że polska gospodarka znajduje się w ruchu. W maju tego roku wskaźnik produkcji przemysłowej osiągnął poziom średni z 1990 roku. Przestała się zwiększać liczba bezrobotnych. Mamy do czynienia z wieloma objawami ożywienia gospodarczego, wzrostu gospodarczego, których nikt nie może negować. Za pomocą jakich działań możemy zagwarantować, że ten wzrost będzie dalej postępował?

Otóż uważam, że władza państwowa – rozumiana jako szeroki kompleks składający się z parlamentu, rządu i prezydenta – może i powinna być siłą napędową rozwoju gospodarczego w Polsce. To, że dzisiaj nie spełnia takiej roli wynika między innymi z koalicyjnego charakteru rządu i jego parlamentarnego zaplecza. Obecny układ władzy nie jest wprawdzie siłą opóźniającą, czy też uniemożliwiającą wzrost gospodarczy, ale raczej źródłem wielu drobnych sygnałów, które muszą mieć w sumie negatywne efekty gospodarcze.

W odpowiedzi na pytanie, jaki rząd stanowiłby siłę napędową gospodarki wymieniłbym jego cztery cechy. Po pierwsze – rząd taki musiałby być zdolny do prowadzenia stabilnej i ścisłej polityki pieniężnej. Szczególnie ścisłość, czy też zdyscyplinowanie polityki pieniężnej państwa wzbudza u nas wiele emocji. Pojawiają się "księżycowe" propozycje wprowadzenia otwartego budżetu. Politycy i pseudoekonomiści poszukują cudownych rozwiązań sprowadzających się za każdym razem do zwiększania wydatków państwa. Brak jednak w tych propozycjach odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób deficyt budżetu państwa finansować. Polski deficyt finansowany jest, poprzez dług wewnętrzny, pieniędzmi pożyczonymi w polskich bankach. Skoro bierze się pieniądze z polskich banków, to zostaje ich mało dla polskich przedsiębiorstw.

Druga cecha rządu sprzyjającego polskiej gospodarce, to otwartość na świat zachodni. Nasz handel z Zachodem ma w tej chwili ogromne znaczenie dla polskiej gospodarki. Sama tylko wymiana z EWG stanowi 60% naszych obrotów handlowych z zagranicą. Jest to handel, który zależy w niezwykle dużym stopniu od intensywności naszych stosunków politycznych. Już wkrótce Polska powinna wejść na międzynarodowe rynki finansowe. Tam będziemy szukali sposobów zewnętrznego finansowania naszego deficytu budżetowego. Każde 100 milionów dolarów pożyczone w ten sposób będzie oznaczać konkretną presję w kierunku obniżenia stóp procentowych przez polskie banki, bo o tyle pieniędzy więcej będą one musiały ulokować na polskim rynku kredytowym, wśród klientów prywatnych, wśród polskich przedsiębiorców. Będzie to oznaczało

ANDRZEJ OLECHOWSKI – 46 lat, doradca ekonomiczny Prezydenta Lecha Wałęsy. Doświadczony menedżer i polityk, wiceminister w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, W rządzie Jana Olszewskiego pełnił funkcję Ministra Finansów. Bezpartyjny, mieszka w Warszawie.

zadośćuczynienie części postulatów środowisk przedsiębiorców: zmniejszenie bankowych wymagań w zakresie zabezpieczeń kredytowych i obniżenie kosztu kredytów. Również na zachodnich rynkach finansowych będziemy musieli znaleźć środki na finansowanie deficytu w bilansie płatniczym, ponieważ za trochę więcej niż rok zacznie się od nas wymagać kolejnych spłat zadłużenia zewnętrznego. Z Zachodu także przychodzą impulsy dyscyplinujące, pewne kanony postępowania w zakresie zachowań gospodarczych. Tam jest nie tylko EWG, ale również mogące gwarantować nasze bezpieczeństwo struktury NATO. Ci z państwa, którzy by nie widzieli związku między udziałem w NATO a gospodarką dostrzegą go łatwiej, kiedy pomyślą, jak wiele przedsiębiorstw, które mogłyby inwestować w sposób znaczący w Polsce, będzie się bało to robić w kraju, który nie jest chroniony przez coś większego niż tylko jego własna armia.

Po trzecie, rząd odpowiedni dla polskiej gospodarki nie może mieć żadnych kompleksów w polityce wschodniej. Aby tempo wzrostu polskiego dochodu narodowego mogło wynosić, tak jak się to planuje, 7–8% rocznie, tempo wzrostu eksportu musi osiągnąć 10% rocznie. Taki wskaźnik nie może zostać osiągnięty w oparciu o ekspansję na same tylko rynki zachodnie. Nie tylko dlatego, że w Europie Zachodniej jest dzisiaj recesja, ale przede wszystkim z powodu takiej, a nie innej struktury naszej produkcji i eksportu, sprawiającej, że na niektórych rynkach zaczynamy już dochodzić do wysokich, nieprzekraczalnych udziałów. Nie da się rozwijać eksportu w tempie 10% bez zdobywania rynków wschodnich. Jest tam popyt, ale nie ma pieniędzy, i my tych pieniędzy nie dostarczymy. Myślę, że musimy ucywilizować tamtą stronę poprzez dostarczenie rozwiązań w prawie handlowym. Obroty na tamtym rynku odbywają się na zasadzie zupełnie barbarzyńskiej, wyłącznie w oparciu o wymianę barterową. Wysyła się towar – nie wiadomo co wróci. Musimy stworzyć mechanizm, który w okresie, kiedy tam nie ma porządnych pieniędzy będzie ubezpieczał naszych eksporterów. Sami tego nie zrobimy, bo nie mamy pieniędzy. Musimy zatem wciągnąć do tego banki międzynarodowe, które są do takich działań statutowo zobowiązane. Dzisiaj polski eksporter przegrywa na rynkach wschodnich nie dlatego że ma gorszy, bądź droższy towar, ale dlatego że nie może zaoferować takich warunków płatności, jakie oferuje jego konkurent niemiecki, francuski, amerykański, który jest wspierany przez rządową agencję ubezpieczeń kredytów.

Czwarta cecha rządu pożytecznego dla polskiej gospodarki, to jego większościowy charakter. Musi to być rząd silny. Ma bowiem do wykonania dwa zadania, których rząd mniejszościowy nie będzie mógł dokonać. Pierwsze z nich to reforma sfery budżetowej. Nie warto już nawet powtarzać, że szkoły i szpitale funkcjonują dokładnie tak jak 20 lat temu, a właśnie reforma systemu edukacji i ubezpieczeń zdrowotnych jest w każdym kraju najboleśniejsza, wymaga determinacji w działaniu i politycznego oparcia w parlamencie. Drugie zadanie, do którego wykonania jest potrzebny silny rząd większościowy, to doprowadzenie do zawarcia szerokiego paktu społecznego. Wielu spraw w gospodarce nie można załatwić bez porozumienia pracodawców, pracobiorców i rządu. Najważniejszą z tych spraw jest możliwość obniżenia inflacji o więcej niż o te parę punktów rocznie. Inflacja mogłaby już wkrótce spaść do poziomu poniżej 10%, gdyby wszystkie strony, których zachowania wpływają na przebieg procesów gospodarczych po prostu się co do tego umówiły. Tym, którzy nie wierzą polecam zapoznanie się z praktyką paktu meksykańskiego, który przyniósł oczekiwane rezultaty już po 6 miesiącach. Mechanizm jest niezwykle prosty: jeśli przedsiębiorcy nie podnoszą cen, pracownicy nie domagaja się wyższych płac, a rząd nie podnosi cen regulowanych, to inflacja nie ma się skąd wziąć.

Na zakończenie powtórzę zatem jeszcze raz cztery cechy rządu, którego potrzebuje polska gospodarka: prowadzący stabilną i zdyscyplinowana politykę pieniężną, otwarty na świat zachodni, pozbawiony kompleksów i uprzedzeń w polityce wschodniej i silny swoim większościowym charakterem. ▒

...powtórzę zatem jeszcze raz cztery cechy rządu, którego potrzebuje polska gospodarka: prowadzący stabilną i zdyscyplinowana politykę pieniężną, otwarty na świat zachodni, pozbawiony kompleksów i uprzedzeń w polityce wschodniej i silny swoim większościowym charakterem.

Zostawić obywatelom ich kapitał

KAZIMIERZ PAZGAN

Nieco upraszczając można powiedzieć, że istnieją dwie podstawowe filozofie rozwoju gospodarczego. Pierwsza z nich polega na tym, że dany kraj zadłuża się za granicą, by za pożyczone pieniądze starać się zrestrukturyzować, najczęściej według centralnie opracowanych planów, swoją gospodarkę. Równocześnie blokowane są zazwyczaj – na przykład poprzez wadliwą konstrukcję systemu podatkowego, czy zasady udzielania kredytów bankowych – podstawowe mechanizmy pobudzające przedsiębiorczość obywateli. Jest i druga filozofia, mówiąca, że należy wytwarzać w kraju jak największą ilość produktów konkurencyjnych pod względem jakości i ceny, po to, by sprzedać je za granicą, a za zarobione pieniądze uruchamiać nowe inwestycje w kraju. Wybór pierwszej drogi, bez względu na deklarowane głośno ideologiczne podstawy na jakich się go dokonało, nie prowadzi wcale do zwiększenia efektywności gospodarki, jako że kredyty zagraniczne są traktowane jako pomoc, a nie inwestycja. W drugim wypadku pieniądze otrzymane dzięki sprzedaży wyprodukowanych przez siebie towarów otrzymuje i reinwestuje konkretny producent.

Środowisko polskich przedsiębiorców opowiada się jednoznacznie za drugą koncepcją rozwoju gospodarczego. Jej skuteczność potwierdziły przykłady takich krajów jak USA, Wielka Brytania czy Niemcy. Naprawdę trudno jest odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ciągle jeszcze jako polityczne sukcesy poszczególnych ekip przedstawia się załatwienie kolejnego miliona dolarów pomocy na restrukturyzację jakiegoś regionu, czy kilkuset milionów dolarów kolejnej pożyczki, podczas gdy nie załatwiona pozostaje sprawa ostatecznego uporządkowania systemu podatkowego, czy zasad przyznawania kredytów inwestycyjnych i stworzenia tym samym impulsu, który pozwoliłby polskiej gospodarce rozwijać się i reformować.

Potrzeba systemu ulg inwestycyjnych

Potrzebne nam są rozwiązania wspomagające ekspansję polskiej gospodarki, rozwiązania, które wymuszałyby niejako rozwój i inwestycje. Takimi rozwiązaniami, wypracowanymi i sprawdzonymi przez wszystkie rozwijające się światowe są odpowiednie konstrukcje systemów podatkowych. Powinniśmy zacząć od tego właśnie narzędzia dopuszczalnej ingerencji państwa w gospodarkę i ustalić raz na zawsze podstawowe zasady tworzenia budżetu państwa. Czy tworzymy budżet przez konsumpcję, czy poprzez fiskalizm? Czy zaopatruje budżet państwa 40 – 50 milionów konsumentów płacących podatek od wartości dodanej (płacić go będą także wszyscy przyjeżdżający do Polski i kupujący u nas jakieś towary lub usługi), czy też kilka tysięcy największych polskich producentów płacących nadmierne podatki bezpośrednie i pośrednie w postaci wpływających na zbyt wysokie ceny produktów finalnych dopłat do cen energii i paliw? O ile głównym źródłem zasilania budżetu centralnego powinien być podatek od wartości dodanej opodatkowujący najsilniej nadmierną konsumpcję, to podatek dochodowy

KAZIMIERZ PAZGAN – 45 lat, pełni obowiązki przewodniczącego Krajowej Izby Gospodarczej, prezes zarządu firmy Konspol. Jako jeden z większych prywatnych eksporterów opowiada się za wzmocnieniem polityki gospodarczej promującej produkty wytwarzane w polskich przedsiębiorstwach. Mieszka w Nowym Sączu.

powinien stać się podstawową formą gromadzenia kapitału własnego. Zostawiając obywatelom pensję brutto tworzymy społeczeństwo z kapitałem. Dotyczy to nie tylko biznesmena, ale także robotnika, nauczyciela, inżyniera. Wszyscy oni otrzymują pensję, swój dochód brutto. Od tego dochodu jest oczywiście naliczany podatek dochodowy, który nie może być przeznaczony na konsumpcję, ale musi być zainwestowany. Jednak to od osoby płacącej ten podatek, a nie od dysponentów budżetu państwa zależeć powinno w co te pieniądze zostaną zainwestowane. Podatnik przeznaczy je na budowę domu, kupno akcji prywatyzowanej firmy, lub odłoży je na wyższą od przeciętnej emeryturę na własnym koncie ubezpieczeniowym. Mechanizm ten chroni pieniądze, które powinny być zainwestowane, zakumulowane, przed wydaniem ich, tak jak to się dzieje obecnie, na bieżące potrzeby budżetu centralnego.

Obecnie płacę kilkadziesiąt milionów złotych rocznie na składki ubezpieczeniowe, a kiedy zachoruję muszę i tak wybrać się do prywatnego specjalisty i wcale nie jestem pewien czy państwo rzeczywiście przeznaczyło moje pieniądze na modernizację szpitali, czy kupno sprzętu medycznego. To wszystko jest dla mnie nielogiczne – dla mnie, jako właściciela pewnego zgromadzonego w ciągu roku kapitału.

Problem dysponowania własnym kapitałem jest aktualny także w odniesieniu do przedsiębiorstw prywatnych. Niech państwo nalicza podatek dochodowy, ale niech jednocześnie powstanie spójny system ulg inwestycyjnych. Jak mogę konkurować z przedsiębiorstwami zachodnioeuropejskimi, jeśli one w przeciwieństwie do mnie mogą dysponować zgromadzonym przez siebie kapitałem. Dzięki możliwości zainwestowania części podatku dochodowego moi konkurenci stają się automatycznie i bez względu na moje wysiłki bardziej ekspansywni; szybciej się modernizują, zwiększają produkcję itd. Chciałbym tu przypomnieć dość oczywistą prawdę, że każda inwestycja pomnaża majątek indywidualny i narodowy, tworzy nowe miejsca pracy, stwarza okazję zastosowania nowych technologii i wreszcie wtórnie pomnaża budżet państwa, poprzez podatek od wartości dodanej. Koło zamachowe gospodarki dzięki inwestycjom zaczyna kręcić się coraz szybciej.

Oparcie budżetu państwa przede wszystkim na podatku od wartości dodanej, jeśli weźmiemy pod uwagę wyzwolony reformą systemu podatkowego wzrost gospodarczy, wcale nie doprowadzi do pojawienia się luki budżetowej. Wszystkie przedsiębiorstwa, w tym importerzy, do dwudziestego dnia każdego miesiąca odprowadzać będą do urzędów skarbowych podatki od wartości dodanej. Mamy w ten sposób zachowaną płynność finansową i mamy budżet.

Gospodarka bez kredytów

Kolejny problem polskich przedsiębiorców to brak kredytów, brak rzeczywistego zaplecza finansowego w postaci banków. Łatwo zrozumieć nieufność banków wywołaną przykrymi doświadczeniami z niesolidnymi dłużnikami. Trzeba jednak zauważyć, że polskie banki znalazły się od ubiegłego roku w dość komfortowej sytuacji; nauczyły się zarabiać na międzybankowych operacjach finansowych, oraz na stosunkowo bezpiecznym finansowaniu deficytu budżetowego. Są w stanie utrzymać się nawet bez prowadzenia działalności kredytowej i nie spełniają najważniejszej funkcji systemu bankowego, jaką jest finansowanie produkcji i inwestycji. Rzeczą prawie niemożliwą jest dzisiaj otrzymanie kredytu w polskim banku. Wymagane są zabezpieczenia finansowe wielokrotnie przewyższające wartość pożyczki. Stosowane procedury mają zniechęcać potencjalnych klientów, a nie zwiększać bezpieczeństwo kredytu. Tak samo zachowują się przy tym wszystkie rodzaje banków powstałe w wyniku rozpoczętej przed czterema laty reformy polskiej bankowości. Moja firma jedyny znaczący kredyt w wysokości 16 mln USD uzyskała w banku zagranicznym, gdzie wszystkie formalności trwały zaledwie kilka miesięcy.

Chciałbym tu przypomnieć dość oczywistą prawdę, że każda inwestycja pomnaża majątek indywidualny i narodowy, tworzy nowe miejsca pracy, stwarza okazję zastosowania nowych technologii i wreszcie wtórnie pomnaża budżet państwa, poprzez podatek od wartości dodanej. Koło zamachowe gospodarki dzięki inwestycjom zaczyna kręcić się coraz szybciej.

Dzięki temu kredytowi kończę budowę najnowocześniejszych w Europie zakładów przetwórstwa drobiu pod Poznaniem. Będzie tam pracowało 500 osób.

Będąc prywatnym przedsiębiorcą nie jestem wcale ideologicznym przeciwnikiem sektora państwowego. Myślę, że wielu prywatnych przedsiębiorców rozumie związek pomiędzy sprawnym funkcjonowaniem sektora państwowego, a ich własną sytuacją. Wszędzie na świecie istnieją przedsiębiorstwa będące własnością Skarbu Państwa. W Polsce przyjęło się jednak traktować je automatycznie jako obciążenie budżetu. Tymczasem przedsiębiorstwo państwowe musi także stać się biznesem. Jeżeli przyjmiemy zasadę jednakowego traktowania wszystkich podmiotów gospodarczych, to majątek Skarbu Państwa powinien być traktowany jako jedno z najważniejszych źródeł dochodu dla swego właściciela. Powinien on nawet docelowo stać się drugim, obok podatku od wartości dodanej, źródłem dochodów budżetowych.

Tracimy atuty

Aby uniknąć nadciągających poważnych problemów gospodarczych, aby ożywić polską gospodarkę należy po prostu nie przeszkadzać polskim producentom, nie obniżać cenowej konkurencyjności ich produktów na światowych rynkach. Napędem gospodarki każdego rozwijającego się kraju są zdolni ludzie i tania siła robocza. My posiadamy oba te atuty. Teoretycznie jesteśmy w stanie produkować tanio i dobrze. Nasze towary stają się droższe od towarów zachodnich w wyniku pewnych decyzji wynikających z polityki gospodarczej państwa. Budowanie budżetu poprzez windowanie cen energii i paliw, poprzez odprowadzane w całości do budżetu centralnego podatki, prowadzi do szybkiego, niezależnego od działań polskich producentów, wzrostu cen naszych towarów. Taki sposób tworzenia budżetu państwa uniemożliwia także zahamowanie inflacji mającej wpływ na wysoką cenę kredytu – jeszcze jeden czynnik wpływający na wysokie ceny polskich produktów i na spadek ich konkurencyjności.

Aby uniknąć nadciągających poważnych problemów gospodarczych, aby ożywić polską gospodarkę należy po prostu nie przeszkadzać polskim producentom, nie obniżać cenowej konkurencyjności ich produktów na światowych rynkach. Nasze towary stają się droższe od towarów zachodnich w wyniku pewnych decyzji wynikających z polityki gospodarczej państwa. Budowanie budżetu poprzez windowanie cen energii i paliw, poprzez odprowadzane w całości do budżetu centralnego podatki, prowadzi do szybkiego, niezależnego od działań polskich producentów, wzrostu cen naszych towarów.

Polscy przedsiębiorcy przy każdej okazji starają się przedstawiać te wszystkie zastrzeżenia politykom i urzędnikom państwowym. Uważamy, że rząd, w swoich działaniach gospodarczych powinien zachowywać się w pewnym stopniu służebnie w stosunku do środowisk biznesowych. Rząd powinien torować polskim przedsiębiorcom drogę na obce rynki, tak jak to robią rządy innych państw. W Niemczech jest rzeczą niewyobrażalną, żeby ministerstwa gospodarcze obsadzali politycy nieznani, czy nieakceptowani przez środowisko ludzi zajmujących się gospodarką na co dzień. Szefowie resortów gospodarczych powinni zwracać się do przedstawicieli poszczególnych branż, środowisk biznesowych i pytać: jakie przepisy, jakie działania administracji państwowej przeszkadzają wam produkować i sprzedawać. Z drugiej strony samorząd gospodarczy powinien stać się instytucją naprawdę reprezentatywną, który odpowiedzi na takie pytania będzie udzielał i który będzie potrafił organizować stały nacisk środowisk biznesowych na polityków i urzędników. Bowiem tylko stały dopływ informacji i nacisk ze strony środowisk polskiego biznesu pozwoli przeforsować decyzje polityczne sprzyjające ekspansji polskiej gospodarki. ■

Chore państwo

JAN MARIA ROKITA

Na zadane tu pytanie o to, jak powinno funkcjonować państwo w dziedzinach związanych z transformacją gospodarczą, nikt nie udzielił jeszcze satysfakcjonującej odpowiedzi. Co więcej, nie wydaje mi się, żeby taka odpowiedź mogła zostać udzielona gdziekolwiek indziej niż w podręcznikach filozofii politycznej. Działania państwa kształtują się bowiem pod wpływem wielu różnych i nie zawsze dających się skoordynować dążeń, procesów i prób reform, nie osiągając w związku z tym nigdy ostatecznego, docelowego kształtu. Poza ideologami nikt nigdy nie formułuje postulatów definitywnego ukształtowania modelu państwa, a ja akurat człowiekiem o mentalności ideologicznej zdecydowanie nie jestem. Toteż chciałbym raczej wypowiedzieć kilka sądów o pragmatycznie postrzeganej polskiej rzeczywistości, niż o jakimś ideologicznym modelu, do którego Polska powinna zmierzać.

Jedno, co mogę dzisiaj powiedzieć z pełnym przekonaniem, z perspektywy człowieka, któremu przyszło przez jedenaście miesięcy pełnić, w imieniu premiera, funkcję organizatora i zwierzchnika administracji państwowej, to uwaga, że struktury tego państwa są całkowicie chore. Jeśli miałbym wymienić najważniejsze znamiona tej choroby, to musiałbym powiedzieć o trzech jej najbardziej istotnych objawach.

Pierwszym z nich jest po prostu bieda. Bieda państwa jako całości i bieda społeczeństwa jako całości. To jest jeden z podstawowych, o ile nie najpoważniejszy, problem, z którym to państwo nie jest się w stanie uporać ani do niego dostosować. A to głównie z powodu odmowy uznania tego faktu przez większość społeczeństwa, nieprzyswojenia tego faktu przez społeczną świadomość, czego przyczyn należy się dopatrywać w rozmaitych powtarzających się kampaniach obietnic, do których zaliczyć trzeba także naszą wielką solidarnościową kampanię z 1989 roku. Świadomość zbiorowa nie akceptuje faktu, że po drugiej stronie naszej zachodniej granicy znajduje się państwo, które ma wielokrotnie większy dochód narodowy. W związku z tym oczekiwania opinii publicznej rozmijają się z realnymi możliwościami każdej polskiej administracji, bez względu na to, czy realizowałaby program politycznego szaleństwa, czy politycznego rozsądku. Jeśli zatem oczekujemy głębszej interwencji państwa w gospodarkę, to innymi słowy oczekujemy, że to państwo jest bogatsze niż jest w istocie.

Drugie znamię choroby toczącej państwo polskie, to brak zdolnych do działania struktur ustrojowych i organizacyjnych państwa. PRL istniała przed rokiem 1989, zachowując pewną spójność funkcjonowania swoich instytucji, dzięki temu, że ówczesny system opierał się na trzech podstawowych pionach, które wypełniały trzy zadania związane z rządzeniem. Po pierwsze PRL opierał się na aparacie partyjnym, na monopolistycznej partii, która pełniła nie funkcje partyjne, ale funkcje rządzące. Biały Dom na rogu Alei Jerozolimskich i podobne mu budynki w 49 miastach były zaludnione przez rzesze lepszych i gorszych specjalistów, którzy wypracowywali politykę państwa w hutnictwie, w rolnictwie, w oświacie itd. Tam właśnie prowadzono w sposób zorganizowany politykę kadrową państwa, to znaczy politykę doboru i oceniania urzędników i funkcjonariuszy państwowych. Po drugie, system opierał się na strukturze, która dostarczała rządzącym informacji. Tą strukturą była SB, a szerzej, cały aparat

JAN MARIA ROKITA – 34 lata; prawnik, poseł na Sejm dwóch ostatnich kadencji. Minister – Szef Urzędu Rady Ministrów w rządzie Hanny Suchockiej. Rozpoczął proces reformy URM, zmierzający do przekształcenia go w sprawne zaplecze premiera i Rady Ministrów oraz wydzieloną agendę rządową, nadzorującą prace administracji. Doprowadził do wzmocnienia obsługujących kierownictwo rządu służb informacyjnych. Pod jego kierunkiem przygotowany został pakiet aktów prawnych mających na celu decentralizację państwa – poszerzenie kompetencji samorządów miejskich, wprowadzenie powiatów samorządowych. Jest członkiem Unii Demokratycznej, mieszka w Krakowie.

MSW. Dopiero na ostatnim miejscu państwo komunistyczne opierało się na administracji, wykonującej decyzje polityczne sformułowane przez instancje partyjne i w oparciu o informacje dostarczone przez MSW.

W 1989 roku zafundowaliśmy sobie, w sposób rewolucyjnie głęboko uzasadniony, likwidację dwóch z trzech podstawowych pionów struktury państwa. Pozostał wyłącznie pion administracyjny, niezdolny do wypracowania jakiejkolwiek polityki i odcięty od jakiejkolwiek informacji. Do tych wad, czy braku pewnych struktur, dochodzi jeszcze paranoidalny stopień centralizacji decyzji w państwie.

Obecny podział administracyjny kraju wymusza redystrybucję, wymusza zajmowanie sie przez Warszawę mnóstwem spraw w terenie. 88% publicznych pieniędzy znajduje się w dyspozycji centrum, a tylko 12% jest pod kontrolą władz lokalnych. Przez ostatnie trzy lata parlament konsekwentnie fundował nam nowe narzędzia centralizacji powołując coraz to nowe administracje specjalne, które ilekroć były powoływane skutecznie uniemożliwiały zarządzanie kolejnymi segmentami państwa. Kiedy pan Olechowski najzupełniej słusznie mówi, że rząd powinien przeprowadzić reformę strukturalną służby zdrowia i oświaty, to ja mogę odpowiedzieć, że jeżeli nie zostanie zreformowana struktura tego państwa, to żaden rząd nie będzie w stanie tego rodzaju operacji przeprowadzić, bo nie ma po temu żadnych instrumentów. Stąd właśnie moje nadzieje związane z decentralizacją państwa, stąd pomysł na reformę powiatową i przekazanie ogromnej części publicznego pieniądza w gestię samorządów terytorialnych, bo właśnie one mają ochotę na przeprowadzenie reform, których z centrum nigdy przeprowadzić się nie da.

I jeszcze jedna sprawa związana z niewydolnością struktur administracji państwowej. To państwo stanęło nagle przed koniecznością dokonywania publicznych zakupów na rynku. Do 1989 roku wydawało się pieniądze wyłącznie poprzez nakazy wydawane takiemu czy innemu przedsiębiorstwu państwowemu, żeby wyprodukowało dla rządu spinacze, czołgi, czy lokomotywy. I nagle wszystko się zmieniło: za astronomiczne pieniądze pochodzące z podatków urzędnicy zaczęli kupować wszystkie te rzeczy na rynku, gdzie jest konkurencja, gdzie wszyscy starają się o niesłychanie atrakcyjne zamówienia rządowe. Jeśli w Polsce nie wprowadzi się w najbliższym czasie systemu zakupów publicznych, z którego urzędnik dowie się, jak ma wydawać publiczne pieniądze na rynku – na jakich zasadach, zgodnie z jakimi procedurami, to nie można będzie mieć pretensji o to, że państwo jest skorumpowane, bo taka sytuacja do korupcji wręcz skłania.

Obecny podział administracyjny kraju wymusza redystrybucję, wymusza zajmowanie się przez Warszawę mnóstwem spraw w terenie, bo nikt inny nie jest w stanie się tym zająć. 88% publicznych pieniędzy znajduje się w dyspozycji centrum, a tylko 12% jest pod kontrolą władz lokalnych. Przez ostatnie 3 lata parlament konsekwentnie fundował nam nowe narzędzia centralizacji, powołując coraz to nowe administracje specjalne, które ilekroć były powoływane, skutecznie uniemożliwiały zarządzanie kolejnymi segmentami państwa.

Trzeba powiedzieć wreszcie o trzecim objawie głębokiej choroby naszego państwa. Można by go nazwać, parafrazując Lenina, dziecięcą chorobą demokracji. Dotyka ona polskiego systemu politycznego i sprawia, że nie jest on w stanie pracować ani na rzecz wzrostu gospodarczego, ani na rzecz koniecznej reformy struktur państwa. Istniejące w Polsce partie polityczne są zatroskane głównie o swoją wewnętrzną tozsamość i nie są organicznie zdolne do wytworzenia porozumienia politycznego, wykraczającego poza swoje, wąsko rozumiane, cele doktrynalne. Potrzebujemy silnego rządu, a fundujemy sobie stan rządzącego parlamentu i to parlamentu głęboko rozdrobnionego. Ponadto, w okresie, kiedy naszym głównym zadaniem jest wzrost gospodarczy a nie zwiększanie konsumpcji, jako jedyną skutecznie funkcjonującą i silną instytucję ustrojową, instytucję pośredniczącą, instalujemy związki zawodowe, działające w sposób naturalny na rzecz zwiększenia bieżącej konsumpcji.

Na zakończenie krótko o szansach wyjścia z tej sytuacji. Na chorobę pierwszą, to znaczy na biedę, jedynym remedium jest wzrost gospodarczy, będący rezultatem świadomej polityki rządu. Na brak sprawnych struktur ustrojowych remedium jest reforma i decentralizacja państwa. Na dotykającą system polityczny dziecięcą chorobę demokracji jedynym remedium jest, obawiam się, czas. To brzmi w sumie dosyć sceptycznie, ale jest w tym nutka optymizmu, wynikająca z mojej głębokiej wiary w to, że ugruntowanie w Polsce systemu demokracji parlamentarnej da w perspektywie wielu lat możliwość przezwyciężenia dwóch pierwszych chorób naszego państwa. ■

Jaki protekcjonizm?

JAN KRZYSZTOF BIELECKI

Nim przejdę do głównego wątku mego wystąpienia, chciałbym odnieść się polemicznie do kilku poglądów sformułowanych przez mego przedmówcę. Otóż nie zgodziłbym się z niezwykle pesymistyczną oceną ministra Rokity, który twierdzi, że bez reformy państwa nic nie można zrobić. Jeśli popatrzymy na to, co wydarzyło się w naszym kraju przez ostatnie cztery lata, to widać wyraźnie, że przy tym słabym państwie, przy państwie o niewydolnych strukturach, właśnie ta wyśmiana do absurdu "niewidzialna ręka rynku" niezwykle dużo dobrego zrobiła. Bo przecież polityka Balcerowicza sprowadzała się do tego, że skoro nie można działać poprzez struktury państwa, trzeba działać przez mechanizmy makroekonomiczne i przez nie wymuszać kierunek zmian w gospodarce. Udało się to w znacznym stopniu. Gospodarka w 1989 roku w 70% zmonopolizowana, w 90% państwowa zmieniła się w ciągu kilku lat w tempie zaskakująco szybkim. Oczywiście, im dalej tym trudniej, ale trzeba zauważyć, że rynek jednak sprawdza się jako regulator.

Trzeba dziś stwierdzić, że najpoważniejszą potrzebą państwa jest dziś potrzeba przywództwa. Wydaje się, że można mówić o dwóch rodzajach przywództwa. Jedno, to przywództwo pasywne, reagujące jedynie na impulsy przychodzące z zewnątrz, próbujące wyciągnąć z nich niemalże średnią arytmetyczną. Drugi model to przywództwo aktywne, które samo wyznacza cele, stara się przekonywać do nich ludzi. Takie przywództwo wydaje się szczególnie pożądane w obecnej sytuacji naszego państwa i w sytuacji kryzysu przywództwa w Europie Zachodniej, kiedy nie ma jasności co do tego, jak ta nowa Wspólnota Europejska ma wyglądać i jakie mają być jej granice.

Instrumentami przywództwa aktywnego powinna być, jak słusznie zwrócił już na to uwagę pan Olechowski, polityka pieniężna, polityka budżetowa i polityka kursu walutowego. Ta ostatnia może sprzyjać zarówno modernizacji naszego państwa, naszej gospodarki, jak też stabilizacji naszych stosunków ze światem zewnętrznym, utrzymaniu wiarygodności na międzynarodowych rynkach finansowych. Obawiam się, że kierunek sporu politycznego wytyczony już na początku kampanii wyborczej może doprowadzić do zachwiania tych trzech podstawowych elementów właściwej obecności państwa w gospodarce.

Aktywne przywództwo musi się opierać na szczerym przekonaniu, że demokracja jest systemem wymagającym znacznego stopnia społecznej samoorganizacji. Jedynie rozwój struktur społeczeństwa obywatelskiego, struktur samorządowych, lobby i organizacji gospodarczych może pozwolić nam na stworzenie w miarę stabilnego systemu politycznego. Ten "rząd większościowy", jakiego domaga się pan Olechowski musi być oparty o taką rozwijającą się, żyjącą strukturę polityczną społeczeństwa obywatelskiego. Inaczej uzyskamy rząd większościowy podobny do koalicji w tym parlamencie, oparty o te same paradoksy, o to, że partie co innego mówią w trakcie kampanii wyborczej, a inaczej zachowują się w parlamencie.

Tyle tytułem polemiki. Przejdę teraz do zasadniczego tematu mojego wystąpienia, a mianowicie spróbuję odpowiedzieć na pytanie o zakres protekcjonizmu.

Jest to niewątpliwie jedno z najważniejszych, ale i najtrudniejszych pytań, jakie stawiamy sobie od początku reform gospodarczych. W miarę

JAN KRZYSZTOF BIELECKI – 42 lata, poseł na Sejm dwóch ostatnich kadencji. Jako premier (od stycznia do grudnia 1991 r.) prowadził politykę kontynuacji działań rządu Tadeusza Mazowieckiego, pozostawiając m.in. na stanowisku ministra finansów Leszka Balcerowicza. W rządzie Hanny Suchockiej objął funkcję ministra do spraw integracji europejskiej. Determinację w prowadzeniu Polski do zbliżenia ze Wspólnotami Europejskimi łączy z krytyczną oceną stopnia otwartości zachodnich partnerów na propozycje Polski, Czech i Węgier. Jest członkiem Kongresu Liberalno – Demokratycznego. Mieszka w Warszawie.

upływu czasu staje się to także jedno z najbardziej politycznie "gorących" pytań. Rośnie liczba osób, które postrzegają poszczególne partie polityczne i samych polityków przez pryzmat ich stosunku do ochrony polskiej gospodarki.

Dziś chciałbym oddzielić od siebie dwie zasadnicze warstwy patrzenia na protekcjonizm – polityczną i gospodarczą – i skupić się na tej drugiej. Co w żadnej mierze nie oznacza, że w swojej naiwności wierzę w możliwość odseparowania tych sfer w praktyce życia politycznego jakiegokolwiek kraju. Ale porozmawiajmy wpierw o klarownym systemie zależności wyłącznie ekonomicznych.

Zakres i głębokość ochrony polskiego rynku musi ewoluować – w granicach zdrowego rozsądku i możliwości finansowych budżetu – w miarę zmian zachodzących w polskiej gospodarce.

W punkcie wyjścia reform polska gospodarka potrzebowała silnej redukcji protekcjonizmu. Stopień zmonopolizowania naszej gospodarki przekraczał wówczas 70% – zmuszał zatem do otwarcia jej na świat. Bez konkurencji gospodarka umiera – skoro nie było konkurencji wewnętrznej, stworzyliśmy konkurencję z zewnątrz. Gdyby nie liberalizacja handlu, na którą wspaniale i bardzo szybko odpowiedziały tysiące ludzi, reforma gospodarcza nie "zaskoczyłaby". To była jedyna droga wymuszenia efektywności; nie było też innej drogi zlikwidowania niedoborów. Bez konkurencji i tak nastąpiłby silny spadek produkcji – tyle, że zupełnie jałowy, bo nie związany z dostosowywaniem się gospodarki do sygnałów o rzeczywistych potrzebach i wymogach rynku. Pojawiające się już wówczas głosy o potrzebie ochrony polskiego producenta były głosami w obronie gospodarki o starej, niewydolnej strukturze. Protekcjonizm w pierwszej fazie reform byłby takim samym absurdem jak przymiarki do polityki przemysłowej. Wpierw trzeba było oczyścić pole.

W miarę upływu czasu zaczęły się w naszej gospodarce pojawiać zjawiska warte pewnej ochrony. I następowała ewolucja w podejściu do stopnia ochrony rynku (choć warto przypomnieć, że od samego początku konkurencja zewnętrzna była ograniczona – stałym, i przez pierwsze miesiące wysokim kursem dolara). Nastąpiła dewaluacja złotówki oraz odejście od sztywnego kursu na rzecz tak zwanego *crawling peg*. W lecie 1991 roku wprowadziliśmy nową taryfę celną, która podniosła średnią stawkę z około 4% do 15%, równocześnie bardziej różnicując ochronę w zależności od zdolności reakcji naszych producentów na sygnały z rynku (osłona dla tych, którzy bardziej na nią zasługiwali). Zrozumienie tego faktu widać nawet w umowie ze Wspólnotami Europejskimi, gdzie jest klauzula restrukturyzacyjna, umożliwiająca wprowadzenie przez nas zwiększonej protekcji w szczególnych przypadkach, wobec regionów najsilniej dotkniętych recesją i bezrobociem, skutkami restrukturyzacji, a także wobec rodzącego się przemysłu, którego rozwój może mieć wpływ na stan polskiej gospodarki w przyszłości. Klauzulę tę wykorzystaliśmy dla wzmocnienia ochrony naszej elektroniki.

...demokracja jest systemem wymagającym znacznego stopnia społecznej samoorganizacji. Jedynie rozwój struktur społeczeństwa obywatelskiego, struktur samorządowych, lobbies i organizacji gospodarczych może nam stworzyć w pewnym momencie masę krytyczną pozwalającą na zbudowanie w miarę stabilnego systemu.

Liberalizm w handlu zagranicznym jest konieczny, ale nie może być traktowany jako dogmat. Tym bardziej, że nasi główni partnerzy są dalecy od otwierania swoich rynków. Pełzający protekcjonizm w gospodarce światowej jest już faktem i utrzyma się do czasu wyjścia krajów najbardziej rozwiniętych z obecnej recesji.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że jestem jak najdalej od budowania murów protekcjonizmu wokół Polski. Ale nie jestem też zwolennikiem totalnego braku osłony. Trzeba jednak rozróżnić dwa rodzaje protekcjonizmu – krótkookresowy (tam, gdzie przekształcenia gospodarki oznaczają wysokie

koszty społeczne i gdzie zewnętrzna konkurencja podniosłaby konieczne koszty powyżej progu społecznej akceptacji) oraz długookresowy (dziedziny wymagające opieki ze względu na ich spodziewane znaczenie dla gospodarki w przyszłości). Oba rodzaje protekcjonizmu są w pewnym stopniu nieuniknione. Pozostaje pytanie, który z nich należy traktować priorytetowo, skoro brak pierwszego oznacza napięcia dziś, a brak drugiego może się źle odbić na przyszłych wynikach gospodarki. Pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi póki sobie nie poradzimy z budżetem, reformą systemu socjalnego i paroma innymi zagadnieniami. Bo interwencjonizm czy protekcjonizm nie zastąpi działań na rzecz tamtych, bardziej zasadniczych celów. Protekcjonizm może być tylko dodatkiem, nie rozwiązaniem.

Zagrożenia płynące z wprowadzenia elementów protekcjonizmu do polityki gospodarczej są poważne, wymienię kilka z nich:
- ugruntowanie zachowań opartych na przyzwyczajeniu, że zasługuje się na "specjalne traktowanie";
- koncentrowanie się przez podmioty gospodarcze nie na własnej efektywności, ale na wywalczeniu ulg w postaci dodatkowej ochrony;
- zatarcie obrazu rzeczywistej rentowności;
- nierynkowa alokacja zasobów gospodarki.

Gospodarka otwarta – czyli konkurencja i import kapitału – najlepiej stymuluje rozwój; czyni to znacznie lepiej niż ustawodawstwo antytrustowe, zarządzenia administracyjne czy manipulowanie cłami. Nie da się jednak uniknąć ochrony rynku – ale bardzo umiarkowanej i nie chaotycznej, dokonywanej pod wpływem różnych grup nacisku. Każdy protekcjonizm oznacza redystrybucję dochodu narodowego i jego koszty ponosi całe społeczeństwo – bezpośrednio, gdy płaci wyższe ceny, albo pośrednio (przez podatki, by pokryć wkład budżetu w interwencjonizm).

Polska gospodarka jest w okresie transformacji. Sytuacja jest więc dynamiczna – i dlatego używane w polityce gospodarczej instrumenty muszą być dynamicznie dostosowane do potrzeb. Protekcjonizm – choć nieunikniony – pod żadnym pozorem nie może objąć całej gospodarki. Nie można też ustalić jego zasad na długie lata. Protekcjonizm może jedynie spełniać rolę czasowego, dodatkowego wsparcia.

Fundamentalną zasadą gospodarki rynkowej jest konkurencja. Dlatego nie wolno dopuścić, by czas wzmożonej ostrożności związanej po pierwsze z potrzebami restrukturyzacyjnymi, a po drugie z recesją w gospodarce światowej, nie oznaczał trwałego wprowadzenia w Polsce sztywnych mechanizmów protekcjonizmu. Protekcjonizm zabija konkurencję, a gospodarka bez konkurencji, to gospodarka socjalizmu. Ten ekonomicznie klarowny obraz trudno przełożyć na język przekonywującej polityki. Konkurencja boli, widać ją, łatwo więc przerzucać na nią odpowiedzialność za własną nieudolność. Protekcjonizm jest ukryty; widać go przede wszystkim na poziomie budżetu państwa, a ten budżet – jak wiemy – nie jest poziomem łatwej komunikacji.

Gospodarka to – w dużym uproszczeniu – gra producenta z konsumentem. Po polu, na którym dodatkową rolę odgrywają interesy polityczne, poruszamy się – moim zdaniem – świadomie i póki co bez większych błędów.

Sytuacja jest więc dynamiczna – i dlatego używane w polityce gospodarczej instrumenty muszą być dynamicznie dostosowane do potrzeb. Protekcjonizm – choć nieunikniony – pod żadnym pozorem nie może objąć całej gospodarki. Nie można też ustalić jego zasad na długie lata. Protekcjonizm może jedynie spełniać rolę czasowego, dodatkowego wsparcia.

Obecność państwa w gospodarce

ANDRZEJ MACHALSKI

Zestaw pytań przedstawionych przez senatora Pawłowskiego sprowadza się w istocie do pytania, czy państwa w gospodarce jest obecnie za mało, czy też oczekiwania względem państwa są za duże.

Wydaje mi się, że podstawowy problem bierze się stąd, że obecność państwa w gospodarce jest niezbędna, jednak państwo zaczęło wybierać niewłaściwe pola tej obecności. Ostatnie cztery rządy, zachowując pewną ciągłość polityki gospodarczej, różniły się jedynie poziomem zmęczenia. Szczególnie ostatni rząd wydawał się niesłychanie zmęczony oczekiwaniami społecznymi wymuszającymi na nim zaangażowanie w gospodarkę nie na tej płaszczyźnie, na której rząd powinien był działać.

Jeśli podzielimy na dwa sektory sprawy, którymi rząd w gospodarce zajmuje się w sposób uprawniony, to pierwszy obejmuje zagadnienia decydujące o dynamice gospodarczej, drugi zaś zagadnienia decydujące o regulacjach i równowadze. W sektorze pierwszym rząd po roku 1989 zachowywał się prawidłowo. Balcerowicz trafnie zidentyfikował zadania dynamizujące rządu jako przede wszystkim stworzenie wolności gospodarczej i konkurencji oraz wprowadzenie do gospodarki zdrowego pieniądza. Niemniej po dwóch latach skuteczność tego typu narzędzi wyczerpała się i należało podjąć nowe działania. Konieczne stało się odciążenie gospodarki od nadmiernych ciężarów finansowych i rzeczowych. Podstawową sprawą stało się to zmniejszenie świadczeń na rzecz budżetu. Gdy są one większe – dynamika gospodarki jest mniejsza, gdy są redukowane – wówczas możemy osiągnąć pożądaną dynamikę wzrostu gospodarczego.

Drugi sektor obciążeń gospodarki, nie wiążący się już bezpośrednio z polityką budżetową, to cały szereg "czarnych dziur" w gospodarce, miejsc, które zasysają pieniądze, blokując płynność finansową całej gospodarki. Owe miejsca zostały już imiennie zidentyfikowane. Trwa oczekiwanie, że rząd wyrazi wreszcie polityczną zgodę na bankructwa przedsiębiorstw będących kamieniem u szyi polskiej gospodarki. Te decyzje są jednak odsuwane już nie z miesiąca na miesiąc, ale z roku na rok. Takie przedsiębiorstwo jak na przykład "Ursus" kosztuje gospodarkę nie tylko biliony złotych, ale blokuje płynność finansową w ogromnej sferze gospodarki z nim kooperującej. Ta sprawa już od lat wymyka się egzekucji. Decydenci zadowalają się wynikami bilansowymi, starając się nie zauważać, że w tej chwili przedsiębiorstwo to uciekło ze swoimi obciążeniami w kierunku kooperantów i kilkaset firm bierze na konto "Ursusa" niespłacalne kredyty.

Inna rzecz, to sprawa uporządkowania prawnego kontekstu istnienia przedsiębiorstw państwowych i ich praw własności. Ustawa o przedsiębiorstwie państwowym powoduje, że przedsiębiorstwa te są z jednej strony zakładami pracy, z drugiej strony zakładami produkcyjnymi, a nie są w żadnym wypadku przedsiębiorstwem. Podobnie spółki z udziałem skarbu państwa nie są w pełni przedsiębiorstwami, ponieważ udział czynnika pracowniczego jest tam nadmierny, podczas gdy udział czynnika zarządzania jest za mało wyeksponowany. Nasze prawo jest zdecydowanie przeciążone interesami jednej strony – strony pracowniczej i związkowej. Jest tak, ponieważ prawo gospodarcze było tworzone pod wpływem tylko tej jednej siły. I taka sytuacja w ostatecznym rozrachunku jest niekorzystna dla wszystkich, także dla pracowników.

ANDRZEJ MACHALSKI – 51 lat, przedsiębiorca, senator częstochowski w latach 1989–1991. Prezes Konfederacji Pracodawców Polskich. Inicjator powołania Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie (1987) oraz Akcji Gospodarczej (1988) – lobby stawiającego sobie za cel promowanie rozwiązań rynkowych.
Były Prezes Rady Nadzorczej kombinatu Polska Miedź SA.
Jest członkiem Kongresu Liberalno – Demokratycznego. Mieszka w Warszawie.

Konstytucyjne gwarancje praw socjalnych

WALERIAN PIOTROWSKI

Bez dobrej konstytucji nie może być mowy o prawidłowej legislacji. Sądzę, że uchwalenie konstytucji jest dziś zadaniem priorytetowym dla rozwoju państwa, dla jego umocnienia i dla przyjęcia właściwej, wieloletniej strategii rozwoju. Mówiąc o konstytucji myślę o jej podstawowej warstwie określającej ustrój polityczny państwa. W tym zakresie sprawą ogromnie ważną dla stabilizacji państwa jest wyraźne określenie relacji pomiędzy władzą ustawodawczą i wykonawczą, a w obszarze władzy wykonawczej, najważniejsza jest ustrojowa decyzja co do kształtu relacji pomiędzy Prezydentem a Radą Ministrów. Dzisiaj podstawowym problemem konstytucyjnym w Polsce wydaje się być miejsce prezydenta. Jest to sprawa bardzo ważna dla stabilizacji państwa, a także dla demokratycznego wychowania i dla akceptacji państwa w sferze świadomości społecznej.

Przyznaję, że ważne jest określenie w konstytucji elementów ustroju społeczno-gospodarczego. Akcentuje się potrzebę zagwarantowania w konstytucji ochrony własności i obrotu gospodarczego. Natomiast ja chciałbym zwrócić uwagę państwa i poddać pod rozwagę problem polityki socjalnej. Czy państwo polskie ma się określić jako państwo prawa, czy być może – na wzór Republiki Federalnej Niemiec – ma się określić również jako państwo socjalne? Myślę, że nie możemy sobie pozwolić na to, by w przyszłej konstytucji nie gwarantować praw socjalnych. Powołam się tutaj na opinię profesora Schönbecka z Katedry Prawa Konstutycyjnego Uniwersytetu w Salzburgu, pełniącego także funkcję prezydenta austriackiego Bundesratu, który twierdzi, że konstytucje współczesnych państw nie powinny poprzestawać na określaniu praw socjalnych gwarantowanych przez państwo, mogących stanowić podstawę indywidualnych roszczeń. Uważa on, że niezbędne jest wprowadzenie do ustawy zasadniczej także pewnych zapisów o charakterze deklaratoryjnym, które będą na stałe ukierunkowywały politykę poszczególnych rządów.

Jeżeli mówimy dzisiaj, że Polska potrzebuje wieloletniej strategii rozwoju, która nadałaby perspektywę wielu dziedzinom aktywności państwa, od polityki zagranicznej począwszy, poprzez plany decentralizacji i zmiany struktury administracyjnej kraju, na polityce przemysłowej skończywszy, to ja sądzę, że politykę przemysłową powinna uzupełniać polityka rolna i z całą pewnością także polityka socjalna.

W tym miejscu chciałbym nawiązać do innej kwestii wskazanej w zaproszeniu do dzisiejszej debaty. Do roli związków zawodowych i ich politycznej pozycji w naszym kraju. Byłoby niewątpliwie dobrze, gdyby związki zawodowe chciały ograniczyć się do roli czysto związkowej, socjalnej. Ale rozwój wydarzeń w naszym kraju, ogromny nacisk problemów socjalnych sprawia, że żaden związek zawodowy nie wyrzeknie się aspirowania do roli politycznej, jako gwarancji skuteczności nacisku. Równocześnie państwo nie ma możliwości politycznych, by tę rolę związków skutecznie ograniczyć. Gdyby nawet w parlamencie powstała działająca w kierunku takiego ograniczenia koalicja, to myślę, że jej siła kończyłaby się w murach tego parlamentu.

Byłoby niewątpliwie dobrze, gdyby związki zawodowe chciały ograniczyć się do roli czysto związkowej, socjalnej. Ale rozwój wydarzeń w naszym kraju, ogromny nacisk problemów socjalnych sprawia, że żaden związek zawodowy nie wyrzeknie się aspirowania do roli politycznej, jako gwarancji skuteczności nacisku. Równocześnie państwo nie ma możliwości politycznych, by tę rolę związków skutecznie ograniczyć. Gdyby nawet w parlamencie powstała działająca w kierunku takiego ograniczenia koalicja, to myślę, że jej siła kończyłaby się w murach tego parlamentu.

WALERIAN PIOTROWSKI – 65 lat, prawnik, senator zielonogórski dwóch ostatnich kadencji. Przewodniczący Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Ceniony w pracy Komisji Ustawodawczej Senatu prawnik – legislator. Bezpartyjny, członek Klubu Parlamentarnego Zjednoczenia Chrześcijańsko – Narodowego. Mieszka w Zielonej Górze.

Musimy odejść od socjalizmu

KAZIMIERZ UJAZDOWSKI

Polskiej gospodarce potrzeba państwa, które stanowczo chroni własność prywatną, prawo jednostki do prowadzenia swobodnej działalności gospodarczej i pewność obrotu gospodarczego. Prawo państwowe powinno wyznaczać stabilne reguły, w ramach których funkcjonują podmioty gospodarcze. Powinnością państwa, mającą ogromny wpływ na prawidłowy rozwój gospodarki, jest zapewnienie bezstronnego, a przede wszystkim sprawnego, wymiaru sprawiedliwości. Są to obszary, w których efektywna obecność państwa może gospodarce pomóc. Natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości, że państwo powinno ograniczyć do minimum swój udział w życiu gospodarczym w roli przedsiębiorcy i właściciela. Te dwie formy obecności państwa w gospodarce, wraz z szerokimi uprawnieniami koncesyjnymi władzy, nie tylko rządowej, ale także samorządowej zakłócają regulację rynkową i powodują, że kapitalizm staje się nieautentyczny, nieuczciwy. Kapitał i sukces ekonomiczny przestają być wynikiem aktywności, talentu, pracy, ale rodzą się z nieformalnych relacji pomiędzy biznesem a światem władzy. Koncesyjne uprawnienia administracji publicznej są głównym źródłem wynaturzenia kapitalizmu i korupcji władzy. Dlatego też rzeczywistą działalnością antykorupcyjną powinno być dążenie przez państwo do drastycznego ograniczenia koncesyjnych uprawnień administracji rządowej i samorządowej oraz do zminimalizowania dowolności w działaniach administracyjnych. Myślę tu na przykład o propozycji wprowadzenia przymusowej procedury przetargu przy zamówieniach rządowych lub przy podejmowaniu decyzji dotyczących kontyngentów eksportowych.

Jako posła, który pracował w Komisji Konstytucyjnej interesują mnie również w sposób szczególny decyzje mogące przesądzić o kształcie ustrojowym państwa. Sądzę, że kształt przyszłej konstytucji będzie miał ogromny wpływ na przebieg procesów gospodarczych w naszym kraju. Pan Senator Walerian Piotrowski powiedział w swoim wystąpieniu, że polskiemu państwu trzeba nadać charakter państwa socjalnego. Zdecydowanie nie zgadzam się z tym stanowiskiem. Państwo polskie w chwili obecnej, niezależnie od przebiegu debaty konstytucyjnej, nadal w wielu obszarach swojej aktywności pozostaje socjalistyczne. Mamy do czynienia z przerostem funkcji socjalnych państwa. Państwo wydaje na opiekę socjalną kilkakrotnie więcej pieniędzy niż na bezpieczeństwo wewnętrzne czy edukację. Tylko zdeklarowani socjaldemokraci mogą nazywać współczesne państwo polskie państwem neoliberalnym. W rzeczywistości jest ono wyposażone w instytucje opieki społecznej rozbudowane ponad miarę i niesprawne.

W sporach wokół rozmiaru socjalnych zobowiązań państwa powraca często przykład Niemiec traktowany jako wzór, do którego powinniśmy dążyć. Nasze instytucje socjalne są tymczasem bardziej rozbudowane i bliższe socjalizmu niż instytucje niemieckie. Konstytucja niemiecka zobowiązuje wprawdzie państwo do wykonywania funkcji socjalnych. W przeciwieństwie jednak do polskich przepisów konstytucyjnych i praktyki ich stosowania, norma ta nie przyj-

KAZIMIERZ MICHAŁ UJAZDOWSKI – 29 lat, poseł na Sejm I kadencji. Członek Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Przeciwnik szerokiej konstytucjonalizacji praw socjalnych. Od stycznia 1992 prowadził kampanię przeciwko nadmiernym przywilejom związków zawodowych. Autor projektu ustawy ograniczającej polityczne prawa związków. Współautor książki "Równi równiejsi. Rzecz o związkach zawodowych w Polsce" (1993) Jest wiceprzewodniczącym Partii Konserwatywnej. Mieszka w Warszawie.

muje w Konstytucji Niemieckiej charakteru normy fundamentalnej. To znaczy nie można tam, tak jak w Polsce, na podstawie zapisów dotyczących socjalnych zobowiązań państwa, uchylić podstawowych praw jednostki, czy zakwestionować własności prywatnej. Ze względu na "sprawiedliwość społeczną", która jest w Polsce normą podstawową, umieszczoną w pierwszym artykule Konstytucji, prawo własności bywa kwestionowane. W jednym ze swoich orzeczeń Trybunał Konstytucyjny ze względu na "sprawiedliwość społeczną" zalegalizował zabór cudzego mienia. W przypadku sporu o majątek związkowy między "Solidarnością" a OPZZ zalegalizowane zostało korzystanie z tej części majątku przejętego przez OPZZ, która została wykorzystana na potrzeby członków "Solidarności" wstępujących po 1982 roku do OPZZ. Trybunał Konstytucyjny odnosi zresztą zasadę sprawiedliwości społecznej prawie wyłącznie do kształtowania dochodów i materialnych roszczeń pracowniczych. W dotychczasowej praktyce polskiego orzecznictwa "sprawiedliwość społeczna" jest nie tyle granicą niezbywalnych praw jednostki, co ciągle wyraźną ich alternatywą, zaprzeczeniem swobody działalności gospodarczej i własności prywatnej.

W Polsce nie toczy się obecnie spór o to, czy prawa socjalne mają, czy nie mają być obecne w konstytucji. Poza wyrazicielami poglądów liberalnych w ich najskrajniejszej formie wszystkie formacje polityczne akceptują społeczny wymiar działalności państwa. Trzy podstawowe prawa społeczne: wolność pracy, prawo do nauki i prawo do zabezpieczenia socjalnego powinny, zgodnie z Polską tradycją konstytucyjną, znaleźć się w ustawie zasadniczej.

Toczy się natomiast inny realny spór, spór o to w jakim zakresie chronić konstytucyjnie prawa socjalne. Wiele środowisk lewicowych, zarówno komunistycznej, jak też solidarnościowej proweniencji, domaga się wpisania do ustawy zasadniczej niemalże wszystkich uprawnień pracowniczych, łącznie z prawem do urlopu, szkolenia zawodowego, czterdziestodwugodzinnego tygodnia pracy i prawem do zawierania układów zbiorowych. Są to pomysły na przekształcenie konstytucji z aktu regulującego stosunek obywatela do państwa w podniesiony do rangi konstytucyjnej kodeks pracy. W takiej sytuacji konstytucja staje się orężem pracownika, a nie orężem obywatela. Projekty dalszej socjaldemokratyzacji polskiej Konstytucji, obecne w programie Unii Pracy, w *Karcie Praw Społecznych i Ekonomicznych* SLD, czy w socjaldemokratycznych interpretacjach społecznego nauczania Kościoła, naruszają zasadę równości obywateli wobec prawa. Obywatele występujący w innej roli społecznej niż pracownicy, są w efekcie krzywdzeni, bo ich uprawnienia, na przykład jako pracodawców, nie są w tych projektach "konstytucji socjalnej" chronione. Ponadto, przyjęcie takich rozwiązań konstytucyjnych oznacza zahamowanie cywilizacyjnego i gospodarczego rozwoju Polski. Rozwój naszego kraju nie będzie możliwy w sytuacji recydywy etatyzmu, istnienia gwarancji konstytucyjnych dla interwencjonizmu państwowego i przyjęcia tak szerokiej konstytucyjnej ochrony praw socjalnych, że zablokuje ona proces prywatyzacji, modernizację gospodarki i reformę edukacji.

Jeżeli układ zbiorowy pracy zostanie podniesiony do rangi zapisu konstytucyjnego z możliwością skarżenia do sądu ustaw, które regulują stosunki pracy i płacy w trybie innym niż tryb układu zbiorowego, to konstytucja zahamuje rozwój gospodarczy i transformację ustrojową Polski, nie tylko w wymiarze rozwoju biznesu prywatnego, ale także autentycznej reformy sektora publicznego.Wzgląd na równość obywateli wobec prawa, a także pragnienie by konstytucja nie stała się hamulcem dla rozwoju gospodarczego Polski, to dwa podstawowe powody, dla których nie tylko nie należy akceptować szerszej niż obecnie konstytucyjnej ochrony praw socjalnych ale powinno się dążyć do usunięcia szczegółowych regulacji socjalnych z konstytucji i do pozostawienia tam praw socjalnych wyłącznie w wymiarze podstawowym. ■

Projekty dalszej socjaldemokratyzacji polskiej Konstytucji, obecne w programie Unii Pracy, w "Karcie Praw Społecznych i Ekonomicznych" SLD, czy w socjaldemokratycznych interpretacjach społecznego nauczania Kościoła, naruszają zasadę równości obywateli wobec prawa. Obywatele występujący w innej roli społecznej niż pracownicy, są w efekcie krzywdzeni, bo ich uprawnienia, na przykład jako pracodawców, nie są w tych projektach "konstytucji socjalnej" chronione.

Potrzeba autorytatywnego przywództwa

ANDRZEJ CELIŃSKI

Jestem przekonany, że tylko autorytatywne przywództwo może, choć oczywiście nie musi, poprzez swoją sprawność przekonać Polaków do zmiany kulturowej, która w miejsce "sprawiedliwości rozdzielanej przez państwo" postawi kryterium konkurencyjności.

Swoje wystąpienie chciałbym rozpocząć od zwrócenia uwagi na okoliczność będącą jak sądzę zasadniczym handicapem procesu modernizacji Polski. Wydaje się, że większość społeczeństwa jest powściągliwa, jeśli chodzi o wyrażenie zgody na taki model stosunków społecznych i taki model stratyfikacji społecznej, który byłby oparty na konkurencji, a nie na przykład na tak zwanej sprawiedliwej redystrybucji dóbr i pozycji dokonywanej przez państwo. Także większość polityków nie znajduje się w pierwszym szeregu walki o wprowadzenie kryterium konkurencji jako podstawowego dla przyszłego ładu społecznego. To samo odnosi się także do roli prawa w regulowaniu stosunków społecznych i gospodarczych. Reprezentacje dużych grup społecznych i partie polityczne wcale nie mają ochoty porzucić filozofii prawa, którą ukształtowały stosunki pomiędzy podmiotami gospodarczymi i pomiędzy ludźmi, jakie cechowały naszą historię powojenną do roku 1989. Zdaje się, że te przyzwyczajenia są daleko głębsze aniżeli wola zmian, a zwłaszcza wola ponoszenia kosztów zmian.

Klucz do przełamania tych obciążeń leży oczywiście w polityce, którą rozumiem banalnie jako zorganizowanie społeczeństwa do celów nieosiągalnych bez tego zorganizowania. Zgadzam się, że Polska potrzebuje przywództwa. Występuję konsekwentnie przeciwko systemowi rad. My nie potrzebujemy balansu pomiędzy władzami wykonawczymi w kraju, ale jednoznacznie określonej, silnej władzy wykonawczej. Nie potrzebujemy balansu między Radą Ministrów, a Urzędem Prezydenta. My potrzebujemy w okresie transformacji i modernizacji kraju albo prezydenta, który tworzy rząd, albo rządu parlamentarnego bez prezydenta. Tutaj trzeba wybrać. W sytuacji, o której mówi Bielecki, kiedy ludzi trzeba do wielu rzeczy przekonać politycy nie mogą schlebiać ludzkim przyzwyczajeniom, walczyć o przypodobanie się im. Tak samo potrzebujemy gubernatora prowincji i starosty powiatu wybieranych w powszechnych, bezpośrednich wyborach, który bierze w swoje ręce całą pulę władzy i który ponosi pełnię odpowiedzialności przed wyborcami. Polityk reprezentujący władzę wykonawczą nie może wyłącznie realizować poleceń rozmaitych rad, nazwanych Sejmem, albo radą miejską, które nie ponoszą później wyraźnej odpowiedzialności za efekty narzuconej przez siebie polityki. Oznacza to oczywiście także, że Polska potrzebuje rzeczywiście niezależnego sądownictwa. I to nie tylko w odniesieniu do sądów administracyjnych, ale przede wszystkim w odniesieniu do sądów konstytucyjnych.

Jestem przekonany, że tylko autorytatywne przywództwo może, choć oczywiście nie musi, poprzez swoją sprawność przekonać Polaków do zmiany kulturowej, która w miejsce "sprawiedliwości rozdzielanej przez państwo" postawi kryterium konkurencyjności. Nie mówię teraz wyłącznie o gospodarce, chociaż w gospodarce to jest szczególnie istotne, jako że ciągle mamy problem z alokacją i – o czym była tu już mowa – z wydłużaniem agonii beznadziejnie

ANDRZEJ CELIŃSKI – 43 lata, socjolog, senator płocki dwóch ostatnich kadencji. Podczas sprawowania tej funkcji akcentował zaangażowanie na rzecz ekonomicznego i społecznego rozwoju regionu. Doprowadził m.in. do inwestycji firmy Levis w Płocku, uznany też został przez "Życie Warszawy" za polityka roku 1991. Ostro krytykuje sposób wywiązywania się przez elity polityczne z podjętych zobowiązań, wskazując na brak fachowości i skuteczności w rozwiązywaniu problemów kraju.
Jest wiceprzewodniczącym Unii Demokratycznej. Mieszka w Warszawie.

chorych jednostek gospodarczych kosztem niedofinansowania jednostek rozwojowych. Takim problemem gospodarczym wynikającym z politycznej nieskuteczności jest wspominany tu brak kapitału dla prywatnych przedsiębiorców. Kredyt bankowy postrzega się w Polsce jako jedyny sposób finansowania przedsiębiorczości. Tymczasem nikt w świecie nie ruszył przedsiębiorczości od stanu zerowego kredytem bankowym. Dysponenci kapitału w Polsce, zaczynając od Ministerstwa Finansów a kończąc na bankach państwowych, które dominują na polskim rynku finansowym, albo nie mają pojęcia o instytucjach kapitałowych, albo nie widzą interesu w zmianie swoich dotychczasowych zachowań, czy raczej braku zachowań. Jeśli wiceprezesi największych polskich banków nie wiedzą, co to znaczy "finansowanie udziałem" i uważają, że obecne banki mogą dysponować kapitałem poszukującym, to znowu oznacza, że nie sprawdziło się nasze przywództwo polityczne, bo to są państwowe banki, czyli podległe władzy politycznej.

Kończąc, pragnę zaznaczyć, że jeśli chcemy namówić Polaków do wykorzystania jeszcze sześciu lat, jakie nam z tej dekady pozostały, to potrzebne jest przywództwo, które nie będzie bało się być o krok do przodu, które nie będzie kłaniało się takiej czy innej kwartalnej modzie, które nie będzie udawało, że żyje i działa mądrością ludu, bo samo musi być mądre, samo musi być agresywne, samo musi ciągnąć te zmiany. Jeśli nie zna celu i funkcji celu, niech zejdzie ze sceny, bo czasu już jest nie więcej niż połowa tego, co mieliśmy w punkcie wyjścia. ▩

Rola polskiego kapitału w przebudowie państwa i gospodarki

JAN KULCZYK

Każde działanie powinno być poprzedzone wyznaczeniem wyraźnego celu tego działania. Następnie stwierdza się jakie do osiągnięcia tego celu potrzebne są środki i dobiera się ludzi. Mówiąc o obozie proreformatorskim i o reformach w Polsce trzeba ustalić przede wszystkim jaki jest konkretny cel reformy państwa i gospodarki. Każde porozumienie ludzi i ugrupowań na rzecz reform musi rozpocząć swoją pracę, od wyraźnego zdefiniowania celu reformy państwa. Sądzę, że w przypadku środowisk gospodarczych takim punktem wyjścia może być 12 tez zawartych w Karcie Zasad Gospodarczych przygotowanej na zlecenie Prezydenta przez Radę Gospodarczą przy Prezydencie RP. Są tam pewne sformułowania mało ostre, ale jest to wynikiem osiągniętego kompromisu pomiędzy interesami przedsiębiorców i środowisk pracowniczych.

Nie uważam zresztą, żeby istniał nierozwiązywalny konflikt pracodawca – pracownik, rozumiany po marksowsku, jako niszczący konflikt klasowy. Wspólnym

JAN KULCZYK – 42 lata; prawnik, generalny przedstawiciel Audi i Volkswagena na Polskę. Utworzył też Eurokonsorcjum Rolnicze, prowadzące handel artykułami rolnymi w krajach b. ZSRR. Członek Polskiej Rady Biznesu.

mianownikiem obu interesów jest interes przedsiębiorstwa. Jeżeli pracodawca plajtuje, to pracobiorca staje się bezrobotnym. Tutaj nie można mówić o znoszących się interesach, ale o zbieżności dających się uzgodnić interesów. Oczywiście pod warunkiem, że mamy do czynienia z rzeczywistym przedsiębiorstwem, a nie z państwowym urzędem służącym do zatrudniania. Prawdziwe przedsiębiorstwo służy wyłącznie do racjonalnego wypracowywania dochodu. Część tego dochodu może być później redystrybuowana w rozmaity sposób, ale to już powinno się dokonywać poza przedsiębiorstwem. W przedsiębiorstwie jest miejsce tylko na stosowanie reguł ekonomicznych. Prywatny właściciel przedsiębiorstwa podejmuje decyzje gospodarcze bez względu na swoje sympatie polityczne. Jeśli podejmuje inne decyzje, jego przedsiębiorstwo przechodzi w cudze ręce, albo przestaje istnieć. Tak rozumiane przedsiębiorstwo jest fundamentem gospodarki.

Jaka jest zatem rola państwa w tym wszystkim? Udział państwa powinien ograniczać się do stworzenia maksymalnie dogodnych warunków makroekonomicznych przedsiębiorstwom, które zresztą to państwo utrzymują. Z kolei przedsiębiorstwa powinny utrzymywać struktury państwowe w takim wymiarze, w jakim umożliwia to spełnianie podstawowych funkcji państwa, to znaczy zapewnienie bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego oraz utrzymanie sfer niedochodowych, ochrony socjalnej, zdrowotnej, kultury, w zakresie, w jakim działanie w tych sferach przekracza możliwości przedsiębiorstw. W każdej innej sferze państwo powinno przekazać zarządzanie majątkiem narodowym w ręce osób prywatnych, które muszą ponosić odpowiedzialność wyłącznie za wyniki finansowe przedsiębiorstw.

Wracając teraz do sprawy uczestnictwa polskich przedsiębiorców w reformie państwa i gospodarki chciałbym zwrócić uwagę na nie do końca właściwe użycie pojęcia "polski kapitał". Dla mnie kapitał nie ma narodowości. To gdzie się dokapitalizuję wynika tylko z rachunku ekonomicznego. Jeżeli kupuję pieniądze w banku japońskim, a nie szwajcarskim czy polskim, jest to jedynie pewna decyzja co do tego, czy zgodzę się ponieść związane z tą transakcją ryzyko kursowe. Powinniśmy natomiast używać terminu polski podmiot gospodarczy, polskie przedsiębiorstwo, to znaczy przedsiębiorstwo z siedzibą w Polsce. I ważne będzie wówczas mówienie o ochronie przez państwo interesów polskich przedsiębiorstw i przedsiębiorców. Ta ochrona wiąże się ze sprawą otwartości polskiej gospodarki na świat i wzajemności tej otwartości. Nie można reformować polskiej gospodarki przy zamkniętych granicach, bo uzyskamy co najwyżej efekt albański. Natomiast nasza integracja z rynkiem zachodnioeuropejskim czy światowym nie może być działaniem jednostronnym, opartym o jakieś przesłanki ideologiczne. Te same warunki, jakie stwarzamy w Polsce firmom zagranicznym muszą być także stwarzane firmom polskim za granicą. Jeżeli na przykład bez ograniczeń wpuszczamy na polski rynek niemieckie firmy budowlane, to na podobnych warunkach powinny być do Niemiec wpuszczane polskie firmy. Tak się obecnie nie dzieje. Tam mamy do czynienia z limitami i kontyngentami. Uważam, że za każdym razem musi być zachowana zasada symetrii. I nad zachowaniem tej równości szans w dostępie do rynku musi dbać państwo, bo na prawny kontekst działalności gospodarczej przedsiębiorstwo nie ma wpływu i nie powinno się tym zajmować.

Tak samo jak państwowe zakłady były urzędami zatrudniającymi i produkującymi, a nie przedsiębiorstwami wypracowującymi w sposób racjonalny zysk, tak samo nasze banki są nadal urzędami państwowymi, a nie stały się przedsiębiorstwami sprzedającymi i kupującymi pieniądze.

Natomiast absolutnie niedopuszczalna jest sytuacja, w której państwo, zobowiązane przecież do pewnego partykularyzmu, do szczególnej ochrony interesów swoich obywateli, tworzy warunki preferencyjne dla firm zagranicznych w stosunku do polskich podmiotów gospodarczych. A tak się dzieje obecnie. Zagraniczna firma w Polsce, z uwagi na wielkość swoich inwestycji, może być zwolniona z płacenia podatku dochodowego na okres do pięciu lat. To jest realny i maksymalnie korzystny odpis inwestycyjny, którego polski inwestor nie ma szansy dla siebie wywalczyć. Resort prywatyzacji twierdzi, że dzięki tym ulgom ściąga do kraju kapitał. Ale powtarzam jeszcze raz, polscy przedsiębiorcy dysponując takimi ulgami i możliwościami udziału w prywatyzacji także potrafiliby ściągnąć ten kapitał. Poza tym, jak każdy przywilej, także i ten jest kryminogenny. Są przypadki, że Polacy działają z zagranicy, żeby otrzymać przywileje podatkowe niedostępne im jako obywatelom tego państwa. I tego typu chorobliwa sytuacja występuje w związku z pry-

watyzacją, która ma przecież podstawowe znaczenie dla powodzenia polskiej reformy ustrojowej. Jeśli nie ruszymy prywatyzacji, rezerwując dla polskich firm strategiczne gałęzie gospodarki, to za kilka lat zdekapitalizowany, bezwartościowy majątek narodowy zostanie i tak przejęty przez zachodnie firmy, co będzie oznaczało sprowadzenie nas do poziomu Ameryki Łacińskiej i faktyczną utratę suwerenności, poprzez utratę suwerenności gospodarczej. W tym wymiarze prywatyzacja jest opłacalna. Jest błędem ocenianie jej poprzez pryzmat wpływów do budżetu jakie przynosi. Koszt zakupu majątku państwowego jest rzeczą wtórną i marginalną. Są potrzebne ogromne fundusze na sanację tych państwowych przedsiębiorstw ze zdekapitalizowanym majątkiem. I tutaj różne formy kredytowania prywatyzacji z udziałem polskich przedsiębiorców są uzasadnione. Są uzasadnione, bo kredyty na prywatyzację to nie jest żaden pusty pieniądz wypuszczany na rynek z ryzykiem destabilizacji. Prywatny właściciel, który włożył całe swoje oszczędności w pierwszą ratę wykupu i otrzymał kredyt na resztę wartości przedsiębiorstwa jest już z tym przedsiębiorstwem związany. Status właściciela wymusza na nim wieloletnie ograniczanie kosztów i rozkręcanie produkcji na rynek, jeśli chce spłacić resztę wartości posiadanego majątku.

Pytanie, czy mamy w kraju fundusze na finansowanie prywatyzacji jest pytaniem o stan naszego systemu bankowego. Polskie banki mają nadpłynność, ale cały system bankowy nadal nie jest zapleczem przedsiębiorstw, ale zapleczem budżetu państwa. Aby skłonić banki do udziału w prywatyzacji i tworzeniu tych polskich podmiotów gospodarczych, trzeba je wyłączyć spod politycznej kontroli poprzez ich faktyczną prywatyzację. Banki nie podejmują obecnie ryzyka angażowania się w działania gospodarcze, bo mają komfort bycia urzędami państwowymi. Tak samo jak państwowe zakłady były urzędami zatrudniającymi i produkującymi, a nie przedsiębiorstwami wypracowywującymi w sposób racjonalny zysk, tak samo nasze banki są nadal urzędami państwowymi, a nie stały się przedsiębiorstwami sprzedającymi i kupującymi pieniądze.

Jeśli mówię o faktycznej prywatyzacji banków, to mam na myśli przejęcie odpowiedzialności za ich zarządzanie przez konkretnych właścicieli. Z tego punktu widzenia fikcją jest na przykład prywatyzacja Wielkopolskiego Banku Kredytowego, którego właścicielem przed prywatyzacją było polskie Ministerstwo Finansów, a teraz jest nim dalej polskie Ministerstwo Finansów i ministrowie finansów innych państw, poprzez Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju, który nie jest bankiem, tylko międzynarodową instytucją będącą własnością poszczególnych rządów. Do prywatyzacji polskich banków należałoby dopuścić zachodnie banki komercyjne. W zamian za mniejszościowe pakiety udziałów kupowalibyśmy w ten sposób know how, technologie i wiedzę o zarządzaniu bankowością. Ale przy prywatyzacji banków, tak samo jak przy prywatyzacji przemysłu, daleko idące ułatwienia powinni otrzymać polscy przedsiębiorcy. Mogąc inwestować na dogodnych warunkach w wykup właściwie wycenionego przedsiębiorstwa, czy banku mogą oni wówczas ściągnąć do kraju dowolny kapitał. Instytucje finansowe na całym świecie cierpią na nadpłynność. Jest za mało wiarygodnych partnerów i dobrych, zamkniętych kilkuletnich biznesplanów. Nie ma pieniędzy na projekty ryzykowne i niesprawdzalne.

Tutaj znowu powracamy do oczekiwanego przez nas udziału państwa w procesach gospodarczych. Konieczne są gwarancje polityczne. Nie dotyczące brania odpowiedzialności za konkretne decyzje gospodarcze, bo do tego państwo nie powinno się mieszać. Chodzi o gwarancje o charakterze politycznym, a nawet ustrojowym, zapewniające niezmienność przepisów prawnych dotyczących transferów kapitałowych, praw własności itp. Z punktu widzenia środowisk gospodarczych krokiem we właściwym kierunku jest, jak już powiedziałem na wstępie, przyjęcie przez Prezydenta i kolejne partie polityczne Karty Zasad Gospodarczych. Owe gwarancje powinny się znaleźć w Konstytucji i z nich wyprowadzony powinien zostać cały system legislacyjny. Wierzymy, że następny parlament okaże się zdolny do wykonania tej pracy. Na razie deklaracja poparcia dla Karty ze strony Urzędu Prezydenta może być gwarancją, że Prezydent nie będzie kontrasygnował projektów ustaw sprzecznych z ustaleniami Karty. ▩

...powracamy do oczekiwanego przez nas udziału państwa w procesach gospodarczych. Konieczne są gwarancje polityczne. Nie dotyczące brania odpowiedzialności za konkretne decyzje gospodarcze, bo do tego państwo nie powinno się mieszać. Chodzi o gwarancje o charakterze politycznym, a nawet ustrojowym, zapewniające niezmienność przepisów prawnych dotyczących transferów kapitałowych, praw własności itp.

Bariery rozwoju prywatnego biznesu

ROMAN KLUSKA

O przyszłości prywatnego biznesu w Polsce, o dynamice jego rozwoju zadecydują przede wszystkim dwie sprawy: dostęp do kapitału umożliwiającego ekspansję ekonomiczną rodzącego się w Polsce sektora prywatnej gospodarki oraz prawne reguły gry gospodarczej, w oparciu o które funkcjonują przedsiębiorstwa.

Zacznę od problemu kapitału. Ponieważ system, który panował w naszym kraju, skutecznie uniemożliwiał nagromadzenie kapitału przez osoby prywatne większości z nas przychodziło startować praktycznie od zera. Przy takiej sytuacji wyjściowej, bez pomocy banków, bez dobrego systemu bankowego, umożliwiającego finansowanie nowo powstających przedsiębiorstw, trudno spodziewać się sukcesów

Na problem kredytów bankowych, ich ceny i dostępności dla prywatnego przedsiębiorcy patrzę dzisiaj z trochę innej perspektywy niż przed kilkoma jeszcze miesiącami. Stworzone przeze mnie przedsiębiorstwo "Optimus" przedarło się po czterech latach istnienia przez barierę, jaką stanowi dla każdej nowo powstającej firmy brak normalnego wsparcia finansowego. Dzięki wytworzeniu odpowiedniego zysku i zgromadzeniu własnego kapitału przestaliśmy mieć problemy z pozyskaniem kredytu. Jeśli możemy zaangażować w jakieś przedsięwzięcie duży kapitał własny to łatwiej uzyskać nam – pożyczyć – brakujące pieniądze. Natomiast dobrze pamiętam drogę przez mękę, jaką moja firma całkiem jeszcze niedawno przebywała. Branża komputerowa wymaga ogromnego wsparcia kapitałowego. Stosunkowo drobna część komputera może kosztować kilkaset, a nawet tysiąc dolarów. Jeśli do miesięcznej produkcji potrzebujemy tysięcy sztuk takich części, to możemy sobie wyobrazić skalę kapitału, jaki musi być tutaj obecny.

Jestem ekonomistą i rozumiem, że oprocentowanie kredytów udzielanych przez banki producentom nie może być niższe od wskaźnika inflacji. Dla dobrze zorganizowanego przedsiębiorstwa nie jest problemem obsługa nawet tak drogiego kredytu. Większym problemem okazuje się dla prywatnego przedsiębiorcy samo pozyskanie kredytu. Banki oczekują w pierwszym rzędzie gwarancji – nie do uzyskania, kiedy firma rozpoczyna dopiero swoją działalność. Zresztą przedstawienie takiej zadawalającej bank gwarancji kredytowej bywa również problemem, kiedy przedsiębiorstwo jest duże i obraca milionami dolarów miesięcznie.

Kapitał w bankach jest, ale jest on nieosiągalny dla prywatnych przedsiębiorców, którzy udowodnili, że potrafią przetworzyć go na produkcję, miejsca pracy oraz na zysk dla siebie i dla budżetu państwa. Obciążone "złymi kredytami" banki boją się pożyczać, wybierają bezpieczne dochody w postaci bonów skarbowych emitowanych przez Ministerstwo Finansów w celu finansowania deficytu budżetowego. Prowadzi to jednak do przedłużania się trwającego od czterech lat chronicznego braku kapitału dla prywatnych przedsiębiorstw, dla sfery produkcyjnej.

Kredyty dla uczciwych

Myślę, że istnieje możliwość wyjścia z "klinczu kredytowego". Proponowane przeze mnie rozwiązanie pozwalałoby w dodatku pogodzić interes rozwijających się szybko firm prywatnych z interesem budżetu państwa. Wystarczyłoby wprowadzić możliwość uzyskiwania przez daną firmę rządowych gwarancji kredy-

ROMAN KLUSKA – szef założonej w 1989 roku firmy "Optimus", która w roku 1992 zdobyła pozycję pierwszego producenta komputerów w Polsce. Firma ta jest konkurencyjnym eksporterem na rynki państw Europy Zachodniej.

towych równych na przykład 50% wpływów do budżetu, jakie firma ta wpłaciła w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Najlepszym firmom prywatnym umożliwia się w ten sposób szybszy rozwój, a tym samym gwarantuje się w nieodległej przyszłości dalszy wzrost dochodów budżetu państwa. Gdybym uzyskał gwarancję rządową na 50% sumy, którą odprowadziłem do budżetu w ciągu ostatnich 12 miesięcy w postaci wszelkiego rodzaju podatków i składek, moja firma byłaby dzisiaj dwa razy większa, a do budżetu wpłaciłbym nie 100 miliardów lecz 200 miliardów złotych. Mało tego, zapłaciłbym jeszcze rządowi za tę gwarancję, a sama gwarancja kredytowa nie oznaczałaby zamrożenia, czy wypłacenia jakichkolwiek dodatkowych pieniędzy z budżetu państwa. Gdyby firmy mające ustabilizowaną sytuację finansową, potwierdzoną odprowadzanymi do budżetu państwa sumami z tytułu podatków i składek, mogły skorzystać z takich gwarancji, to podejrzewam, że znaczna część dzisiejszej dziury budżetowej byłaby załatana, a przy tym nie nadszarpnięto by szczupłych zasobów kapitałowych kraju, gdyż posiadając gwarancję kredytową mógłbym zaciągnąć pożyczkę także za granicą, tak jak to robią otrzymujące obecnie gwarancje kredytowe budżetu państwa, często deficytowe, duże przedsiębiorstwa państwowe.

W przypadku udzielania rządowych gwarancji kredytowych pojawia się oczywiście ryzyko wykorzystania takich gwarancji przez przedsiębiorców lub banki na szkodę budżetu państwa. Wystarczyłoby przecież kupić firmę, która spłacała wcześniej swoje zobowiązania wobec budżetu i zaciągnąć kredyt z góry licząc się z możliwością jego nie spłacenia. Można by także dojść do porozumienia z bankiem nie ponoszącym żadnej odpowiedzialności za gwarantowany przez budżet państwa kredyt. Dlatego też nie zwolniłbym całkowicie banków z finansowej odpowiedzialności za udzielanie ich klientom gwarantowanych przez budżet kredytów. Gwarancja rządowa mogłaby sięgać na przykład połowy pożyczanej sumy. Jestem przekonany, że już taka pięćdziesięcioprocentowa gwarancja uruchomiłaby mechanizm kredytowania najuczciwszych przedsiębiorców i najefektywniejszych przedsięwzięć sektora prywatnego.

Inną korzyścią, wynikającą z zastosowania jakiejś wersji zaproponowanego przeze mnie rozwiązania, byłoby moralne i materialne wynagrodzenie przedsiębiorstw, które nie wykorzystują otwierających się przed nimi możliwości unikania płacenia zobowiązań względem budżetu państwa. Zaznaczam, że nie chodzi mi tutaj o tak zwaną "szarą strefę" gospodarki, ale o firmy wykorzystujące zupełnie legalnie stworzone w ciągu kilku ostatnich lat luki prawne, pozwalające płacić minimalną część pieniędzy należnych z tytułu podatków i składek.

"Optimus" nigdy nie korzystał ze zwolnień podatkowych, mimo że było to bardzo kuszące i wymagało jedynie dokonania kilku prostych zabiegów prawnych. Mogłem na przykład przerejestrować firmę na innego członka mojej rodziny, zatrudnię się w niej jako dyrektor i w wyniku tego odprowadzać do budżetu, zupełnie legalnie, nieporównanie mniejszy podatek dochodowy. Także składki na ZUS płacimy od pełnych, stosunkowo wysokich pensji naszych pracowników. Nie korzystamy z innych, znowu całkowicie legalnych, sposobów wypłacania wynagrodzeń umożliwiających zmniejszenie obciążeń. O ile zresztą płacenie nie zaniżanych sztucznie podatków uważam za coś w rodzaju moralnego wyboru; wyboru współtworzenia nowej rzeczywistości w Polsce, to płacenie pełnych składek zusowskich budzi także pewne moje wątpliwości moralne. Dopóki istnieje nadal obecny system ubezpieczeń społecznych, pieniądze z tytułu składek trafiają w całości do kasy centralnej. Za płacone przeze mnie, dużo wyższe od przeciętnej krajowej pieniądze, moi pracownicy nie mogą sobie zapewnić lepszych świadczeń. Jeśli płacę więcej na opiekę zdrowotną i na emerytury moich pracowników, to znaczy, że oni sami, ich praca, a wobec tego także ich zdrowie, czy poczucie bezpieczeństwa socjalnego są dla mnie odpowiednio ważniejsze. Oni udowadniają swoją – większą od przeciętnej – wartość tym, że mają także wyższe od przeciętnej kwalifikacje i lepiej niż przeciętnie pracują. Tymczasem, dopóki moi pracownicy nie mają własnych, wydzielonych kont w ubezpieczalni, to za te bez porównania większe pieniądze nie są w stanie zapewnić sobie korzystania z dobrze wyposażonego szpitala, czy wyższej emerytury.

Gdybym uzyskał gwarancję rządową na 50% sumy, którą odprowadziłem do budżetu w ciągu ostatnich 12 miesięcy w postaci wszelkiego rodzaju podatków i składek, moja firma byłaby dzisiaj dwa razy większa, a do budżetu wpłaciłbym nie 100 miliardów lecz 200 miliardów złotych. Mało tego, zapłaciłbym jeszcze rządowi za tę gwarancję, a sama gwarancja kredytowa nie oznaczałaby zamrożenia, czy wypłacenia jakichkolwiek dodatkowych pieniędzy z budżetu państwa. Gdyby firmy mające ustabilizowaną sytuację finansową, potwierdzoną odprowadzanymi do budżetu państwa sumami z tytułu podatków i składek, mogły skorzystać z takich gwarancji, to podejrzewam, że znaczna część dzisiejszej dziury budżetowej byłaby załatana, a przy tym nie nadszarpnięto by szczupłych zasobów kapitałowych kraju, gdyż posiadając gwarancję kredytową mógłbym zaciągnąć pożyczkę także za granicą, tak jak to robią otrzymujące obecnie gwarancje kredytowe budżetu państwa – często deficytowe – duże przedsiębiorstwa państwowe.

Kto się boi wolnego rynku

Kolejna sprawa dotyczy reguł gry gospodarczej w Polsce. Mówi się, że polscy prywatni producenci pragną także pewnych form interwencji państwa, pragną ochraniającego ich protekcjonizmu. Tymczasem w moim przypadku, w przypadku polskich producentów komputerów, to czego naprawdę pragniemy, to zapewnienia nam przez państwo równości szans wobec naszych zagranicznych konkurentów.

Tradycją stało się już narzekanie na sytuację gospodarczą w naszym kraju. Tymczasem obserwatorzy zagraniczni traktują nas jako coś w rodzaju Japonii Europy Wschodniej. Na początku maja uczestniczyłem w odbywającym się we Włoszech spotkaniu europejskich producentów komputerów używających twardych dysków firmy Maxtor. Obecni tam Węgrzy, Czesi i Słowacy z pewną zazdrością przyjmowali informację o wielkości obrotów "Optimusa" (w ubiegłym roku otrzymaliśmy nagrodę za najszybszy rozwój w Europie przyznaną przez koncern Maxtor dla najszybciej rozwijającej się europejskiej firmy komputerowej). Jednocześnie jednak mówiło się"no tak, ale taka firma mogła powstać tylko w polskich, relatywnie liberalnych warunkach".

Kluczem do tego sukcesu było bowiem właśnie rzucenie nas na głęboką wodę, zmuszenie do ogromnego wysiłku konkurowania, ale na równych warunkach, z firmami taiwańskimi, singapurskimi, niemieckimi, amerykańskimi. Jednak ci, którzy dali sobie radę w takich warunkach, zbudowali silne, zdrowe firmy.

Cofnijmy się w czasie. Do stycznia 1990 roku na każdy ruch w branży komputerowej potrzebne było tak zwane pozwolenie przywozu, a to pozwolenie wydawał jeden, jedyny urzędnik w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Moim największym marzeniem było przyjechać do Warszawy i zrobię wszystko, żeby otrzymać to zezwolenie w ciągu jednego dnia. Oczywiście produkcja komputerów w Polsce była w takiej sytuacji niemożliwa, bo musiałbym uzyskiwać setki zezwoleń na każdą część osobno. Wobec tego mogłem importować tylko gotowe komputery. Większość polskich firm ograniczyła się do małego, "walizkowego" importu, bo tu pozwolenia przywozu nie były potrzebne. I tak do Polski przyjeżdżały pojedyncze komputery w bagażnikach samochodów, czy też w paczkach lotniczych.

I oto nadszedł rok 1990. W Polsce nie było praktycznie branży producentów komputerów. Jednak od stycznia 1990 roku weszło 0% cło, 0% podatek na komputery i części, a także zniesiono ograniczenia w przywozie sprzętu komputerowego. Małe polskie firmy zostały rzucone na głęboką wodę. Miały za konkurentów silne przedsiębiorstwa singapurskie oraz tajwańskie. Rozwiązanie było tylko jedno: paść w wolnej konkurencji, albo produkować lepiej i taniej niż firmy w Singapurze. Sprawdziliśmy z jakich części produkuje IBM, a następnie próbowaliśmy je kupić od tych samych producentów. I w ten sposób, po około trzech latach zaczęliśmy produkować komputery o jakości porównywalnej, co do większości parametrów, z IBM. Robiliśmy to w Polsce po groszowych kosztach, a nasze komputery okazały sie lepsze i tańsze od singapurskich, a także o wiele tańsze od komputerów produkowanych przez zachodnioeuropejskich konkurentów. Mając szybko rosnący rynek, zapragnęliśmy pójść dalej. Już nie tylko montowaliśmy w Polsce komputery w oparciu o importowane części, ale nasi inżynierowie zaczęli doskonalić poszczególne podzespoły. Staliśmy się prawdziwym producentem, kiedy wytwórcy detali na Zachodzie zaczęli produkować w oparciu o nasze rozwiązania techniczne. Okazało się, że mając zdolnych ludzi, można bardzo szybko wymyślić coś lepszego niż ci najsilniejsi na świecie.

Ale pierwszego marca 1992 państwo uczyniło coś, co zawiodło moje oczekiwania jako obywatela. Weszła wówczas w życie decyzja wprowadzająca zerowe cło na import komputerów z EWG. My – polscy producenci – musieliśmy natomiast płacić 20% cła za komponenty sprowadzane spoza tego obszaru. Państwo zatem dokonało interwencji w reguły gospodarowania, ale nie na korzyść własnych producentów, tylko o 20% uprzywilejowując ich zagraniczną konkurencję. Kiedy w grudniu 1991 roku pojawiły sie pierwsze informacje o przygotowywaniu takiej decyzji, żaden z producentów komputerów nie interweniował, bo po prostu nie potraktowaliśmy tego poważnie. Myśleliśmy, że w ostatniej chwili pojawi się pełna wersja dokumentu, albo jakieś przepisy uzupełniające. Wcześniej, co pół roku przedłużano nam zawieszenie ceł na sprzęt komputerowy i informowano o tym w przeddzień wejścia w życie takiego przedłużenia. Nie pomagało to w planowaniu inwestycji i działania firm, ale przyzwyczailiśmy się do takiej procedury.

Mówi się, że polscy prywatni producenci pragną także pewnych form interwencji państwa, pragną ochraniającego ich protekcjonizmu. Tymczasem w moim przypadku, w przypadku polskich producentów komputerów, to czego naprawdę pragniemy, to zapewnienia nam przez państwo równości szans wobec naszych zagranicznych konkurentów.

Paradoksalnie także firmy zachodnie nie potraktowały tych informacji poważnie. Nie wierzyły, że państwo może działać tak wyraźnie na niekorzyść własnych producentów i straciły prawie rok. Mogłyby przecież bez trudu przygotować sobie sprzedawców i po pierwszym marca zalać Polskę swoim sprzętem. Nie byłoby już dzisiaj na rynku "Optimusa" ani żadnej większej polskiej firmy. Dopiero pod koniec 1992 roku, kiedy decyzja dotycząca ceł została zrealizowana i utrzymana, firmy zagraniczne zaczęły wchodzić na nasz rynek. Pierwsi obudzili się Niemcy. Wymyślili, że mogą odbudować przemysł elektroniczny w byłej NRD korzystając z uprzywilejowanego dostępu do polskiego rynku zbytu. Od początku 1993 roku sytuacja zrobiła się dramatyczna. Począwszy od Siemensa – wszystkie firmy, z większym od naszego, kapitałem zrozumiały, że muszą zrobić interes na rynku, na którym posiadają 20% ulgę wobec lokalnych producentów.

Stworzyć lobby przeciwko... niekompetencji

Urzędnik państwowy, który wydał taką decyzję, musiał to zrobić w wyniku niekompetencji, albo za łapówkę od firmy zagranicznej. Ta druga hipoteza nie wchodzi raczej w rachubę, ponieważ, jak już powiedziałem, żadna z firm zachodnich początkowo nie skorzystała z nowej sytuacji. Nikt na Zachodzie nie wierzył, że taki przywilej rzeczywiście od państwa polskiego otrzyma. Pozostaje zatem niekompetencja, niewiedza urzędnika w ministerstwie, co się w polskiej branży konputerowej właściwie dzieje, połączona z ideologiczną fascynacją hasłem zbliżenia do Europy. Taki niekompetentny urzędnik pomyślał sobie: może sprawię, by wspaniałe zachodnioeuropejskie komputery trafiły do naszego kraju, podczas gdy polska produkcja to na pewno jakieś żelastwo. Tak więc w tym konkretnym przypadku ja bym winił nie tyle tego człowieka, czy grupę ludzi, co raczej fakt braku wówczas jakiegoś ciała konsultacyjnego, które informowało by urzędników państwowych.

My, producenci polscy, zaczęliśmy interweniować dopiero po pierwszym marca 1992. Najpierw zresztą trzeba było przekonać szefów firm, że w ogóle da się coś zrobić, bo wielu chciało już likwidować interes, albo przenosić produkcję za granicę. Do czerwca zorganizowała się jednak grupa największych producentów komputerów i podzespołów, którzy upoważnili mnie i dyrektora państwowego zakładu Mera – Elzab do rozmów z politykami i urzędnikami. To był stały nacisk, trwający przez osiem miesięcy. Musiałem co tydzień jeździć do Warszawy. Każdy z nas ciągle odwiedzał ministerstwa i znajomych polityków, żeby przypominać, że sprawa nie jest jeszcze załatwiona. Powstała zresztą wkrótce inna grupa nacisku – słabe firmy, które postanowiły stanowić pomost dla zachodnich eksporterów w zamian za podział tego 20% dodatkowego zysku stworzonego przez przepisy celne.

W końcu jednak firmom mającym ambicje produkowania dobrych i tanich komputerów w Polsce udało się przeforsować decyzję wprowadzenia bezcłowych kontyngentów części do produkcji komputerów w Polsce, co ponownie wyrównuje szanse naszych i zagranicznych producentów. Powołaliśmy też Krajową Izbę Gospodarczą Elektroniki, która zajmuje się bierzącą konsultacją decyzji dotyczących w jakikolwiek sposób branży komputerowej. Braliśmy udział w przygotowywaniu nowych taryf celnych, które są teraz rozpatrywane przez KERM. Mam nadzieję, że doprowadzą one do trwałego wyrównania szans wszystkich firm komputerowych konkurujących na polskim rynku, bez uciekania się do środków zaradczych w rodzaju kontyngentu.

Doświadczenie branży komputerowej i powołanie Krajowej Izby Gospodarczej Elektroniki pokazuje drogę do stworzenia stałego mechanizmu oddziaływania sfer biznesowych na polityków i urzędników państwowych. Obecnie istnieje wiele organizacji biznesu, mniej lub bardziej reprezentatywnych. Istnieje też Krajowa Izba Gospodarcza, ale nie może ona znać wszystkich problemów poszczególnych branż. Moim zdaniem należałoby, wzorem przemysłu elektronicznego, stworzyć dodatkowo izby branżowe, które zrzeszałyby polskich przedsiębiorców specjalizujących się w poszczególnych rodzajach produkcji i usług. Dopiero takie izby branżowe mogłyby się stać kompetentnym partnerem dla administracji państwowej, reprezentującym wobec niej interesy polskiej gospodarki nie po to, podkreślam ponownie, aby walczyć o ograniczenie liberalnych mechanizmów gospodarczych, ale by bronić równości szans polskich producentów. ▩

Obecnie istnieje wiele organizacji biznesu, mniej lub bardziej reprezentatywnych. Istnieje też Krajowa Izba Gospodarcza, ale nie może ona znać wszystkich problemów poszczególnych branż. Moim zdaniem należałoby, wzorem przemysłu elektronicznego, stworzyć dodatkowo izby branżowe, które zrzeszałyby polskich przedsiębiorców specjalizujących się w poszczególnych rodzajach produkcji i usług. Dopiero takie izby branżowe mogłyby się stać kompetentnym partnerem dla administracji państwowej.

Lobbing polskich sfer gospodarczych

MAREK GOLISZEWSKI

Czy w naszych warunkach możliwy jest skuteczny lobbing polskich sfer gospodarczych? Odpowiedź na to pytanie należałoby zacząć od pytania, o jakie sfery gospodarcze tutaj chodzi. Jeśli chodzi o pracowników sektora publicznego, albo o część środowisk wiejskich, to lobbing jest bardzo widoczny. Przybiera postać strajków, blokad dróg, wysiadywania na korytarzach ministerstw. Ten lobbing jest naprawdę skuteczny, bo doprowadził do powstrzymania prywatyzacji, do ocalenia nierentownych kopalń, do ustalenia cen zboża poza rynkiem. Skuteczności tego lobbingu sprzyjało rozdrobnienie parlamentu, niejasne podziały polityczne i programy partii.

Natomiast lobbing środowiska prywatnych przedsiębiorców jest bardzo mało skuteczny. Na to wskazuje choćby wysoki podatek dochodowy, absurdalny system *ZUS*owski, brak właściwych odpisów inwestycyjnych. Ulgi inwestycyjne dla przedsiębiorstw działających na terenach szczególnie zagrożonych bezrobociem, o które się dopominaliśmy, zostały wprowadzone dopiero po roku i to już – być może w związku z rozpoczynającą się kampanią wyborczą.

Co powinniśmy zrobić, żeby ten lobbing sfer gospodarczych, związanych z orientacją prorynkową, był skuteczny? Skoro nie można posłużyć się strajkiem, skoro nie należy nie płacić podatków, to trzeba dążyć do zmian instytucjonalnych. Po pierwsze należy ograniczyć rozdrobnienie parlamentu. Chodzi o to, by w parlamencie pojawiły się wyraźne, czytelne grupy interesów.

Druga sprawa, to negatywna funkcja zbyt silnych związków zawodowych w okresie transformacji. Ta siła musi być zrównoważona, ograniczona. Trzeba to zrobić ustawowo.

Trzecia sprawa, to wsparcie naszego środowiska dla partii politycznych o wyraźnie prorynkowym i proinwestycyjnym programie. Inną wersją tego wsparcia, byłoby wspieranie kampanii wyborczej konkretnych ludzi, którzy po pierwsze rozumieją na czym polega gospodarka rynkowa, a po drugie są profesjonalnymi politykami, chcącymi i umiejącymi pracować na forum parlamentu. To nie powinni być biznesmeni mający własne przedsiębiorstwa, ale ludzie, którzy wiedzą na czym polega codzienna, ciężka praca w komisjach sejmowych.

Warunkiem zrealizowania tych zadań jest stworzenie skutecznych instytucji lobbingu. W prawidłowym funkcjonowaniu lobbingu wyróżniłbym dwa elementy. Pierwszy to służba gospodarce jako takiej, służba państwu, chociażby przez to, że praktycy gospodarczy przekazują swoją wiedzę ustawodawcom i władzy wykonawczej. Druga sprawa, to służba grupie, której interesy reprezentuje się na forum publicznym. Tutaj najniebezpieczniejsze jest ryzyko działań niejawnych i wiążące się z tym ryzyko korupcji. Na dłuższą metę może to uniemożliwić skuteczny i uczciwy lobbing. Nasze środowisko zastanawiało się w jaki sposób obronić się przed zarzutami "kupowania" polityków, jakie stworzyć mechanizmy ochronne i gwarancje. Doszliśmy do wniosku, że po pierwsze trzeba

Jeśli chodzi o pracowników sektora publicznego, albo o część środowisk wiejskich, to lobbing jest bardzo widoczny. Przybiera postać strajków, blokad dróg, wysiadywania na korytarzach ministerstw. Ten lobbing jest naprawdę skuteczny bo doprowadził do powstrzymania prywatyzacji, do ocalenia nierentownych kopalń, do ustalenia cen zboża poza rynkiem. Skuteczności tego lobbingu sprzyjało rozdrobnienie parlamentu, niejasne podziały polityczne i programy partii.

MAREK GOLISZEWSKI – przewodniczący Rady Business Centre Club. Bezpartyjny, kandyduje do Sejmu z listy Unii Demokratycznej. Mieszka w Warszawie.

opracować system rejestrowania osób i organizacji, które prowadzą lobbing i podać do publicznej wiadomości listy tych osób i instytucji. Oprócz danych adresowych taka lista powinna zawierać wykaz spraw, na rzecz których prowadzony jest lobbing, a także nazwiska klientów i ilość wydawanych na poszczególne akcje pieniędzy. Takie rozwiązania są na świecie praktykowane. Po drugie należy opracować regulaminy i instrukcje dotyczące postępowania parlamentarzystów i urzędników państwowych w kontaktach z takimi lobbystami zewnętrznymi. Tutaj należałoby, naszym zdaniem, przyjąć założenie, że członkowie parlamentu mogą występować w charakterze lobbystów wewnętrznych i pobierać wynagrodzenie jako konsultanci. Na to powinna być zgoda i to powinno być legalne, z tym, że musi być wprowadzony obowiązek ujawniania takiej działalności, oraz wysokości wynagrodzenia. Tak jak to jest na przykład w Wielkiej Brytanii. Parlamentarzysta, który zajmuje się lobbingiem na rzecz jakiegoś rozwiązania ustawowego nie powinien brać udziału w głosowaniach dotyczących tej ustawy.

Parlamentarzysta, ewentualnie urzędnik państwowy, który jest oficjalnym lobbystą lub konsultantem, po opuszczeniu stanowiska publicznego przynajmniej przez rok nie powinien mieć możliwości zawodowego zajmowania się sprawami, którymi zajmował się jako urzędnik państwowy. Aby lobbing był skuteczny, musi być maksymalnie uczciwy. Prawnicy i przedsiębiorcy powinni opracować kodeks etyczny lobbysty, a także określić, powinno być to nawet zaznaczone w konstytucji, te ciała, na które lobbyści nie mają prawa wywierać swojego nacisku, tak jak to jest praktykowane w konstytucjach niektórych państw. Dopiero wykonanie tej całej pracy przygotowawczej pozwoli nam mieć nadzieję na skuteczność lobbingu w trzech kategoriach: interesu państwa, czyli ogółu obywateli, szeregu partykularnych interesów grupowych i nade wszystko uczciwości ludzi, którzy się lobbingiem będą w Polsce zajmować.

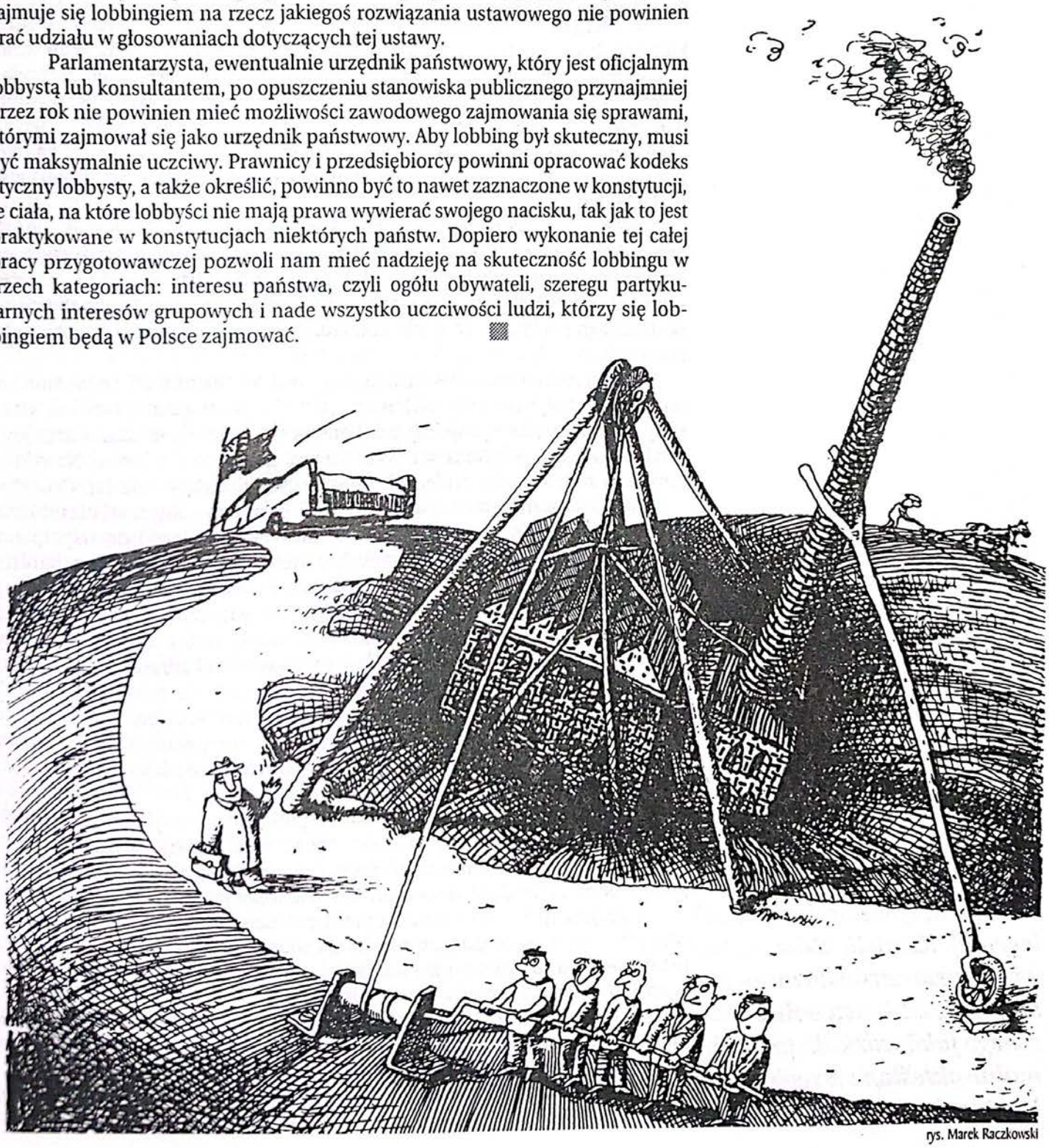

rys. Marek Raczkowski

Tezy do programu nowej koalicji

(Podsumowanie dyskusji)

Gospodarka polska ponad wszelką wątpliwość potrzebuje rządu, który działa w sposób obliczalny i państwa, którego system prawny podtrzymuje korzystne, długofalowe warunki podejmowania przedsięwzięć gospodarczych. Nie ulega wątpliwości, że w dobie powszechnego protekcjonizmu gospodarczego państwo to nie może być obojętne na interes rodzimych przedsiębiorców. Wynikający stąd interwencjonizm gospodarczy nie powinien naruszać jednak w poważnym stopniu zasady konkurencji i tworzyć nowej, sztucznej logiki rynku krajowego.

Z wypowiedzi Andrzeja Olechowskiego i Jana Marii Rokity wynika, iż jednym z koniecznych warunków stabilnej i wiarygodnej polityki państwa jest wzmocnienie rządu. Wydaje się, że Mała Konstytucja dała władzy wykonawczej – Prezydentowi i Radzie Ministrów – niezbędne minimum kompetencji do skutecznego rządzenia, choć nie przesądziła, który z ośrodków ma charakter dominujący.

Teza Andrzeja Celińskiego, który mówił o konieczności dokonania – w imię zasady przywództwa – wyboru między silnym urzędem prezydenckim a silnym rządem, nie wydaje się przekonująca. To nie rozwiązania ustrojowe osłabiają zasadę przywództwa, lecz nawyki polityczne Polaków. Nawyki te można, a nawet trzeba zmieniać, musi to jednak zająć wiele lat. Osobiście uważam, że znacznie groźniejszą cechą polskiej kultury politycznej niż unikanie jednoosobowej odpowiedzialności, jest niewielka zdolność do współpracy, lojalnej kooperacji, w podejmowanych wspólnie inicjatywach. Tym bardziej trzeba przypomnieć, że nie wszystkie istotne przeobrażenia, wielkie reformy, przeprowadzone zostały przez wybitne indywidualności. Szereg takich zamierzeń, ze znakomitym efektem, realizowały dobre zespoły. Niestety, najbardziej celnym zarzutem, jaki da się wysunąć pod adresem rządu Hanny Suchockiej nie jest zarzut braku przywództwa lecz to, że rząd ten nie stał się zespołem, dążącym do osiągnięcia wspólnych celów. Problem nie leży więc w braku radykalnych przesądzeń ustrojowych lecz w trwałości politycznej bazy władzy wykonawczej, osobistej woli liderów koalicji rządzącej do przeprowadzenia koniecznych zmian.

Efektywność i właściwy kierunek prac obu izb może zagwarantować tylko powstanie silnej koalicji legislacyjnej. Koalicji, która wykorzysta zarówno autorytet przywództwa politycznego jak i warunki formalne określone w regulaminach izb.

Można zatem stwierdzić, że Polska potrzebuje nie tylko przywódcy ale całego zespołu liderów. Zespołu, który będzie w stanie wskazać kierunek rozwoju Polski oraz przełamie złą tradycję ostatnich trzech lat – podejmowania przez rządzące elity działań niezbornych, a nawet wzajemnie sprzecznych.

Zadaniem nowego rządu, oprócz gwarantowania stabilności podstawowych warunków gospodarki rynkowej i polityki pieniężnej, musi stać się też usunięcie – na to zgadzają się wszyscy – nadmiernych obciążeń podmiotów gospodarczych i obywateli na rzecz budżetu państwa.

Diagnoza przedstawiona przez Jana Rokitę, wskazująca biedę – niski, jak na państwo europejskie, poziom dochodu narodowego – jako istotną barierę rozwoju państwa każe nam myśleć nie tylko o strategii rozwoju gospodarczego, która zgodnie z zapowiedzią premier Suchockiej z jesieni zeszłego roku, pozwoliłaby na podwojenie dochodu narodowego w ciągu najbliższych dziesię-

ciu lat. Musimy tak skroić aktywność socjalną państwa, by odpowiadała ona poziomowi naszego rozwoju ekonomicznego.

Podstawową konstatacją, wyznaczającą kierunek reform, jest bowiem – o czym mówił Andrzej Machalski – zmniejszenie fiskalnego obciążenia gospodarki, a ściślej reforma rozbudowanej sfery budżetowej. Wydaje się, że ze względu na trwającą niemal nieustannie kampanię wyborczą, na ciągłą obawę przed nową falą strajków, główne siły polityczne nie są w stanie uruchomić zmian w szkolnictwie i służbie zdrowia, podobnie jak obawiają się podjęcia zdecydowanych kroków w stosunku do deficytowych przedsiębiorstw państwowych.

Ta operacja – operacja w sferze budżetowej – staje się jednak coraz bardziej niezbędna. Andrzej Olechowski słusznie wskazuje, że jej podstawowym warunkiem jest posiadanie przez rząd silnego poparcia parlamentu. Efektywność i właściwy kierunek prac obu izb może zagwarantować tylko powstanie silnej koalicji legislacyjnej. Koalicji, która wykorzysta zarówno autorytet przywództwa politycznego jak i warunki formalne określone w regulaminach izb. Powstałe podczas funkcjonowania rządu Hanny Suchockiej instrumenty budowania koalicji legislacyjnej (takie jak choćby organizowane przez ministra Kamińskiego konsultacje międzypartyjne przed sesjami sejmu) były na pewno krokiem uczynionym w dobrym kierunku. Stwarzały dodatkowe – prócz Rady Ministrów – forum szerokiego uzgadniania działań legislacyjnych, nie burząc jednocześnie demokratycznych zasad funkcjonowania parlamentu. Trzeba zresztą stwierdzić, że gdyby takimi instrumentami dysponowała zdecydowanie większościowa koalicja, mielibyśmy do czynienia z sukcesem na znacznie większą skalę.

Warto zatem przyjrzeć się dwom podstawowym warunkom powstania i funkcjonowania koalicji legislacyjnej. Pierwszy warunek ma charakter czysto polityczny i zależy w znacznej mierze od arytmetycznego kształtu nowego Sejmu. Zapraszając do dyskusji polityków związanych z głównymi siłami, tworzącymi rząd Hanny Suchockiej, oraz reprezentanta Urzędu Prezydenta RP chciałem dać wyraz przekonaniu, że te właśnie siły polityczne mogłyby stać się osią nowego układu politycznego. Konieczne zmiany nie mogą bowiem oznaczać totalnego zerwania z dotychczasową polityką. Byłby to eksperyment, którego koszty poniosłaby przede wszystkim polska gospodarka.

Drugi warunek ma charakter merytoryczny. Koalicja legislacyjna – jeżeli ma być czymś więcej niż wsparciem dla inicjatyw ustawodawczych rządu – musi ustalić pryncypia całego procesu tworzenia prawa w Polsce oraz doprowadzić do szybkiego uchwalenia Konstytucji. W przeciwnym razie nie zostałby spełniony jej istotny cel, jakim jest uporządkowanie polskiego systemu prawnego. Koalicja legislacyjna musi zatem posiadać realne struktury, pozwalające na wypracowywanie decyzji politycznych określających zasadnicze kierunki zmian w prawie oraz merytoryczne zaplecze, koordynujące pracę legislacyjną rządu i parlamentu. Warto byłoby także wskazać na potrzebę istnienia zespołów doradczych, funkcjonujących poza strukturami administracji państwowej, ale przygotowujących zasadnicze projekty reform. Uwolniłoby to koalicję rządzącą od konieczności korzystania tylko i wyłącznie z opinii urzędniczego lobby, którego interesy w znacznym stopniu wpływają na koncepcję zmian.

Czego zatem potrzebujemy w najbliższym czasie? Jakie wnioski płyną z odbytej w końcu czerwca debaty polityków i przedsiębiorców? Otóż, przede wszystkim musimy wskazać sposoby jak najlepszego wykorzystania najbliższych miesięcy dla wzmocnienia państwa i dokonania dwóch zasadniczych korekt jego polityki: reformy sfery budżetowej i finansów publicznych oraz podjęcia aktywności wzmacniającej pozycję polskiego przedsiębiorcy.

Recepty przedstawione przez Jana Rokitę: wzrost gospodarczy i czas, sprzyjający dojrzewaniu polskiej elity politycznej, mogą odsunąć korzystne dla Polski rozwiązania na lata. Mogą odsunąć je poza kres obecnej koniunktury

Koalicja legislacyjna – jeżeli ma być czymś więcej niż wsparciem dla inicjatyw ustawodawczych rządu – musi ustalić pryncypia całego procesu tworzenia prawa w Polsce oraz doprowadzić do szybkiego uchwalenia Konstytucji. W przeciwnym razie nie zostałby spełniony jej istotny cel, jakim jest uporządkowanie polskiego systemu prawnego.

międzynarodowej, sprawić, że Polska nie wykorzysta historycznej szansy. W pełni aprobując wskazany przezeń cel strategiczny, chciałbym podkreślić konieczność sformułowania programu na trzy ostatnie miesiące tego roku, który pozwoli obronić podstawowe reformy rządu Hanny Suchockiej oraz, co ważniejsze, przygotuje grunt pod dokonanie strategicznej korekty polityki polskiej w roku 1994. Ze względu na kalendarz prac budżetowych nie sposób nie doceniać tego, co stanie się pod koniec bieżącego i na początku następnego roku.

Należy zatem uznać, że:

1. Utworzona przez nowy parlament koalicja rządząca winna być - nawet za cenę pewnych kompromisów - koalicją wyraźnie większościową. Powinna zaakceptować zasadę przywództwa premiera i zezwolić mu na skompletowanie Rady Ministrów mogącej stać się zespołem realizującym wspólną politykę i uwzględniającym konieczność dokonania dwóch wspomnianych wyżej korekt polityki państwa.

2. Koalicja ta nie może mieć charakteru wyłącznie rządowego, lecz także legislacyjny. Zawarcie koalicji legislacyjnej powinno mieć charakter jawnego aktu woli politycznej i odnieść powinno się do merytorycznej materii proponowanych zmian prawnych oraz podstawowych zasad nowej konstytucji.

3. Trzy ostatnie miesiące 1993 roku wykorzystać trzeba na utrwalenie dorobku rządu Hanny Suchockiej, zwłaszcza przez uchwalenie aktów prawnych przygotowanych po rozwiązaniu parlamentu, lub będących wówczas przedmiotem jego prac. Trzeba ponadto przygotować budżetowe podstawy zamierzonych korekt polityki państwa oraz stworzyć intelektualne i organizacyjne podstawy ich wprowadzenia.

4. Pierwsze półrocze nowego parlamentu nie może się stać okresem politycznej niepewności i zamętu, gdyż pogrążyłoby to wiele projektów zmian i zachwiało międzynarodową opinią o Polsce. To przekonanie powinno określać charakter kampanii wyborczej oraz zachowania w pierwszym okresie po wyborach. Gdyby w czasie trwania pierwszej kadencji odrodzonego polskiego parlamentu nie zabrakło takiej woli, historia polityczna kraju potoczyłaby się z pewnością inaczej. Szereg zjawisk rozkładających nasz system polityczny dałoby się zdławić w zarodku.

Październik, listopad i grudzień 1993 to miesiące, których nie możemy zmarnować.

POLITYK GOSPODARCZY

Rozmowa z FRIEDRICHEM ADOLFEM JAHNEM - Prezesem Niemieckiego Związku Posiadaczy Gruntów i Nieruchomości, deputowanym do Bundestagu, rzecznikiem frakcji CDU/CSU w pracach nad nowelizacją Konstytucji RFN

debata: **Podczas wystąpienia na organizowanym pod patronatem Krajowej Izby Gospodarczej spotkaniu polskich przedsiębiorców i przedstawicieli zachodnioeuropejskich instytucji politycznych i gospodarczych określił Pan siebie jako "polityka gospodarczego", reprezentującego na forum politycznym interesy kół gospodarczych. Czy zechciałby Pan zdefiniować szerzej specyficzną rolę "polityka gospodarczego", szczególnie w opozycji do polityków będących przede wszystkim urzędnikami państwowymi, lub przede wszystkim działaczami partyjnymi, dbającymi o pozyskiwanie dla swojej partii poparcia masowego elektoratu?**

Friedrich A. Jahn: Nie jestem oczywiście wyłącznie "politykiem gospodarczym", ale istotnie w ciągu dwudziestu lat, które spędziłem w Bundestagu zawsze starałem się tam być przedstawicielem kręgów gospodarczych i traktowałem zagadnienia gospodarcze jako nadrzędne, najważniejsze dla sprawnego funkcjonowania państwa. Mówiąc o kręgach gospodarczych mam przede wszystkim na myśli drobny i średni biznes prywatny. Gospodarka tylko wtedy może być zdrowa, kiedy oprócz skoncentrowanych gigantów gospodarczych istnieją także silne środowiska drobnego i średniego biznesu, które - ze względu na swoją zdolność do szybkiego reagowania na zmianę koniunktury, czy ze względu na szybkość przyswajania nowych rozwiązań technicznych i organizacyjnych, są w stanie bez zewnętrznej ingerencji, w swojej masie, przetrwać wszelkie kryzysy.

- Odpowiadając na Pana wystąpienie jeden z polskich przedsiębiorców stwierdził, że zazdrości Niemcom, gdzie połowa posłów (miał na myśli frakcję CDU/CSU, której jest pan przedstawicielem) broni w parlamencie interesów środowisk biznesowych. Czy taka optymistyczna wizja jest uzasadniona? Czy cała frakcja CDU/CSU składa się z "polityków gospodarczych"?

- Musimy rozróżniać pomiędzy tymi, którzy formalnie, w czasie kampanii wyborczej, opowiedzieli się po stronie stanu średniego, a tymi, którzy konsekwentnie, przez całą kadencję uważają, że od jego powodzenia zależy siła państwa. Można powiedzieć, że większość polityków frakcji CDU/CSU rzeczywiście broni interesów niemieckiego stanu średniego. Pozostała część zajmuje się przede wszystkim polityką socjalną i w ten sposób stara się zapewnić sobie pewną popularność. Oczywiście staramy się harmonizować obie te preferencje, co jest o tyle łatwiejsze, że niemiecka Chrześcijańska Demokracja realizuje zasady Społecznej Gospodarki Rynkowej, tak jak zostały one sformułowane przez Ludwiga Erharda. Wiemy, że tylko niezakłócona aktywność gospodarcza całego stanu średniego może sfinansować konstrukcję niemieckich świadczeń społecznych.

- Jakie są najważniejsze osiągnięcia lobby gospodarczego na forum niemieckiego parlamentu?

- Nie chciałbym zagłębiać się tutaj w wyliczanie wszystkich rozwiązań prawnych jakie wywalczyliśmy, czy jakie obroniliśmy. Powiem tylko, że nasze wysiłki skupiają się na sprawie tworzeniu systemu podatkowego i na sprawie państwowych subwencji dla deficytowych przedsiębiorstw. Nasza frakcja dąży do, o ile nie całkowitego zablokowania, to zwolnienia tempa redystrybucji. Nie chodzi tu zresztą o problem redystrybucji w obrębie państwa, nie chodzi o świadczenia socjalne, ale o państwową redystrybucję w obrębie samej gospodarki gdzie pieniądze uzyskiwane przez państwo z jednych jej sektorów trafiają do innych w formie dopłat, ulg i dotacji. Uważamy, że drobni i średni przedsiębiorcy powinni ponosić niższe obciążenia podatkowe, biorąc pod uwagę fakt, że to nie oni są profitentem państwowych subwencji. W momencie, kiedy wielkie przedsiębiorstwo wpada w jakieś tarapaty, to państwo ingeruje, przyznając mu subwencje. Jest to zrozumiałe w kategoriach politycznych, być

może czasami konieczne, w mniejszej skali niż to ma miejsce obecnie. Grupa polityków, którą reprezentuję, uważa, że takie działanie państwa prowadzi na dłuższą metę do zaburzeń w funkcjonowaniu całej gospodarki, a przede wszystkim do niepożądanej zmiany postaw i oczekiwań szefów i pracowników takich ratowanych przedsiębiorstw. Z kolei małe i średnie przedsiębiorstwa nie potrzebują subwencji. Wystarczy, że państwo pomoże im utrzymując niskie obciążenia fiskalne i nie zmuszając do ratowania bankrutów, podczas gdy podatki wielkich firm, osiągających znaczne zyski, ale też bardziej wrażliwych na skoki koniunktury, tworzyć powinny fundusz wspierający na zasadzie kasy wzajemnej pomocy, dzięki któremu państwo mogłoby dotować niektóre kluczowe przedsiębiorstwa bez dodatkowego obciążania innych sektorów gospodarki.

Zostałem zapytany o konkretne osiągnięcia lobby gospodarczego. Otóż są to osiągnięcia w pewnym stopniu defensywne. Polegają na skutecznej obronie obecnego systemu podatkowego, który zapewnia minimalną równowagę pomiędzy potrzebami gospodarki, a potrzebami rozbudowanego w Niemczech systemu opieki społecznej. Interpretując niemiecką konstytucję dochodzimy do wniosku, że mamy w Niemczech społeczną gospodarkę rynkową. Z tego sformułowania wynika, że każdy pieniądz wydany na cele socjalne musi być wcześniej wypracowany w wolnorynkowej gospodarce. Właściwa interpretacja pojęcia społeczna gospodarka rynkowa, interpretacja, której był wierny jej twórca Erhard i której broni lobby gospodarcze, da się wyrazić w następujący sposób: należy dopasować zakres państwa opiekuńczego do zdolności rozwijającej się gospodarki, a nie dopasowywać obciążenia fiskalne gospodarki do jakiejś założonej wizji państwa opiekuńczego. Obrona takiej interpretacji rodzi oczywiście konflikty i jest trudna. Dlatego mówię o defensywnych sukcesach niemieckiego lobby gospodarczego. Funkcjonujący w Niemczech system podatkowy ciągle jeszcze pozwala osobom z inicjatywą zarobić duże pieniądze, a także zainwestować je w dalszy rozwój swego interesu. Osiągnęliśmy w Niemczech wysoki poziom świadczeń socjalnych bez zdławienia gospodarki. Wydaje się też, że w porównaniu z sąsiadami, niezbyt zauważalna jest w Niemczech zawiść społeczna. Niemcy potrafią zrozumieć, że ktoś, kto wytwarza szczególnie cenny towar, lub dysponuje szczególnie cennymi zdolnościami powinien też szczególnie dużo zarabiać. Umieliśmy też pokazać społeczeństwu, że różnice w dochodach zwiększają produktywność jednostek, a także dają się przełożyć na wzrost świadczeń socjalnych. Ale z drugiej strony Niemcy są na maleńki krok przed magiczną granicą obciążeń fiskalnych, poza którą nie ma już bodźców do lepszej pracy, a co się z tym wiąże, nie ma wzrostu gospodarczego. Osiągnęliśmy górną granicę i mam nadzieję, że napięcia związane ze zjednoczeniem Niemiec nie stworzą pokus do jej przekroczenia.

– Co przesądziło o pana samookreśleniu się jako "polityka gospodarczego" i o takim właśnie wyborze miejsca na scenie politycznej? Czy rozpoczęcie kariery politycznej poprzedziła w pana wypadku kariera biznesmena?

– Nie, nie byłem przedsiębiorcą, który zabrał się nagle, bez przygotowania, za czynną politykę. To są dziedziny w ustabilizowanej demokracji wyspecjalizowane i łączenie obu tych aktywności nie prowadzi do niczego dobrego. Moja kariera polityczna przebiegała bardzo tradycyjnie. Ukończyłem prawo i pracowałem jako asystent na uniwersytecie w Münster. Trafiłem do samorządu komunalnego i przez trzy lata kierowałem pracą samorządów w okręgu Münster. Dopiero później trafiłem do "wielkiej polityki". W 1972 zostałem wybrany deputowanym z ramienia CDU. Kiedy w 1982 roku Chrześcijańska Demokracja powróciła do władzy zostałem sekretarzem stanu w Ministerstwie Budownictwa. Mogę uważać za sukces mojej ekipy fakt, że w tym czasie gminy niemieckie rozpoczęły ożywioną działalność budowlaną i remontową. Udało nam się przeforsować rozwiązania prawne przesuwające decyzje i środki finansowe w gestię samorządów lokalnych. Uważałem, że miasta i wsie należy reformować od środka na zewnątrz, a nie odwrotnie. Im głębiej sięgnie się do tradycji dawnej wspólnoty, im głębiej zejdzie się w jej historię, aby na bazie lokalnych tradycji określić kierunek jej modernizacji, tym większa jest identyfikacja mieszkańców gminy z realizowanymi programami modernizacji. Później przez cztery lata byłem czymś w rodzaju łącznika pomiędzy Ministerstwem Sprawiedliwości, a parlamentem. Był to okres, kiedy przygotowywaliśmy prawne aspekty zjednoczenia Niemiec. Przez rok byłem przewodniczącym Komisji Rozwoju Budownictwa w Bundestagu. Obecnie pełnię funkcję rzecznika grupy parlamementarnej CDU/CSU w pracach nad nowelizacją niemieckiej konstytucji. Jak więc pan widzi, moje uczestnictwo w lobby gospodarczym nie wynika z własnych doświadczeń biznesowych, ale raczej z wyboru pewnej filozofii rządzenia i pewnej wizji państwa; z przekonania, że państwo niemieckie, jako państwo silne i demokratyczne, opiera się na własności prywatnej. Wobec tego obrona interesów stanu średniego jest działaniem na rzecz umocnienia państwa. Po raz pierwszy, w 1972 roku, mandat poselski został mi niejako podany na tacy. Myślę o wsparciu udzielonym mojej kampanii wyborczej. Nie był to ze strony środowisk biznesowych sposób na nakłonienie mnie do pewnych zachowań, ale raczej konsekwencja wyznawanych przeze mnie poglądów i mojego postępowania, jako polityka samorządowego. Polityk, który traktuje poparcie środowisk biznesowych wyłącznie jako napęd swojej kariery, nigdy nie będzie skutecznym "politykiem gospodarczym". Będąc już politykiem szczebla centralnego, łatwo znaleźć sobie innych mecenasów.

PRAWO BEZ OBYCZAJÓW

Adam Strzembosz

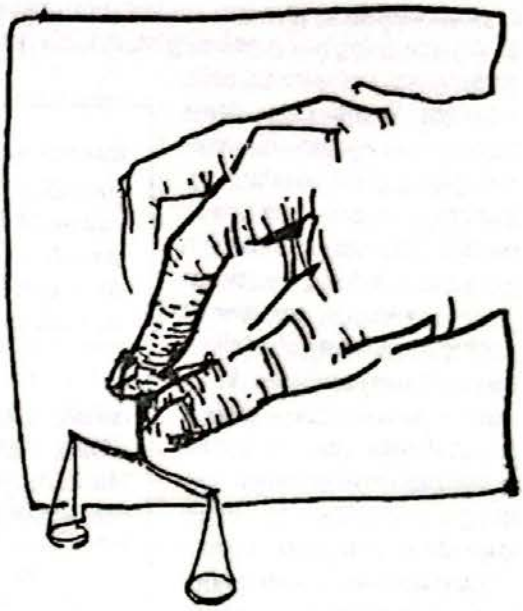

W cztery lata po stworzeniu pierwszego, częściowo niekomunistycznego rządu część polskiego społeczeństwa jest skłonna uważać, jak wskazują na to choćby wyniki badań opinii publicznej przeprowadzonych ostatnio na zlecenie dziennika "Rzeczypospolita", że prawo RP nie jest ani lepsze, ani sprawiedliwsze niż prawo PRL, państwa komunistycznego i niesuwerennego.

Potoczne rozumienie sprawiedliwości

Chcąc skomentować panujące powszechnie opinie na temat prawa, należałoby na wstępie poczynić dwie uwagi, zmierzające do ustalenia, czym kierują się osoby odpowiadające na ankiety socjologów.

Po pierwsze, kierują się one tak zwanymi ogólnymi przekonaniami, wynikającymi z ich wiedzy o prawie i jego stanowieniu. W środkach masowego przekazu narzeka się ostatnio na działalność parlamentu, na to, że prawo jest tam niestarannie, źle pisane, że stale się zmienia – jak choćby prawo bankowe. Obywatele dysponują zatem wyrazistym obrazem wszelkich wad systemu prawnego. Natomiast nie mówi się i nie pamięta o rzeczach, które mają wartość fundamentalną, a które w ciągu ostatnich czterech lat prawnie i ustrojowo zagwarantowano. Wprowadzono ustawę o stowarzyszeniach, zapewniającą pełną swobodę ich rejestracji. Wolność zakładania czasopism jest, od strony prawnej, nieograniczona. Nie ma cenzury. Wybory nie są już formalnością, którą każdy musi zaliczyć, a pewną rzeczywistością. Sejm uchwala ustawy, a nie pod dyktando jakiegoś innego organu "zaklepuje" nadesłane mu projekty. Jawność życia publicznego ogranicza nadużycia władzy, a to przecież także jest wynikiem działalności ustawodawczej. Mamy zagwarantowaną prawem niezawisłość sądów i odbudowujemy samorząd terytorialny. Myślę, że tak powszechnie i mocno nagłaśniane narzekania na organ uchwalający prawo powodują deprecjację wszystkiego, co Sejm uchwalił.

Druga kwestia to sposób rozumienia sprawiedliwości. Jeżeli sprawiedliwość rozumie się egalitarnie, "każdemu po równo", a takie rozumienie było przez wiele lat lansowane, choć oczywiście nie było realizowane, obecne przeobrażenia wydają się niesprawiedliwe. Jeżeli istnieje wielka nierówność w wysokości stopy życiowej, w tempie bogacenia się, ludzie to odbierają jako podstawową niesprawiedliwość. Słusznie, bo jeśli wprowadza się wolny rynek i swobodę gospodarowania, a jednocześnie prawo niedostatecznie kontroluje różne nadużycia, nie jest w stanie doprowadzić do ukarania przestępców gospodarczych, wówczas nie jest gwarantowana nawet równość szans i jakiś związek między niesprawiedliwością a prawem istnieje.

Chociaż od wielu lat zajmuję się na co dzień stosowaniem prawa, zasadnicze trudności sprawia mi obiektywna ocena prawa obowiązującego w Polsce po drugiej wojnie światowej. Odpowiadając na pytanie, co w tym prawie było rzeczywiście oparte na zasadach sprawiedliwości mam spore wątpliwości. W naszym piśmiennictwie, a w konsekwencji i ustawodawstwie, niezwykle mocno podkreśla się cezurę 1956 roku,

ADAM STRZEMBOSZ – ur. 1930, prawnik, prof. dr hab., wykładowca KUL, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego RP.

chociaż osobiście uważam, że jest ona ważniejsza dla historyków, socjologów, psychologów niż dla prawnika-konstytucjonalisty. Państwo zmieniło wówczas formy zniewalania obywateli, ale samo zniewolenie pozostało i trudno zauważyć wyraźny przełom z punktu widzenia zasadniczych wolności ludzkich. Jednocześnie ta cezura, tak mocno podkreślana, kiedy chodziło o różne ustawy kombatanckie, o uznanie za nieważne wyroków za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego, nie jest w ogóle zauważana tam, gdzie chodzi o tajnych współpracowników. Są oni chronieni bez względu na okres, w którym współpracowali z totalitarnymi władzami. Po wojnie bardzo wielu tajnych współpracowników czy agentów kripo i gestapo przeszło do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa. A ci, którzy współdziałali z NKWD na terenach pod okupacją sowiecką, jeśli tylko przeżyli, przeszli prawie bez wyjątku do współpracy z UB. Ochrona tych ludzi obecnie jest czymś szczególnie bulwersującym. Wydaje się, że wprowadzenie tu co najmniej cezury 56. roku byłoby sprawą elementarnej przyzwoitości. Oczywiście jest wiele innych przypadków, w których działania prawne czy ich zaniechanie ze względu na interes polityczny poszczególnych grup lub osób są odbierane jako niesprawiedliwe i podważają przekonanie o prawości obowiązującego i tworzonego prawa.

Sprawiedliwość zza grubej kreski

Myślę też, że poza ustawodawstwem, które jest dla poczucia praworządności bardzo ważne, równie istotna jest praktyka realizowania norm systemu prawnego. Mówiąc kiedyś o "grubej kresce" myślano o niej jako o cezurze z punktu widzenia możliwości działania obywatelskiego czy politycznego, ale nie jako o przekreśleniu odpowiedzialności za popełnione przestępstwa. Jednak "gruba kreska" została później bardzo pogrubiona. Formułowane są dopiero pierwsze akty oskarżenia przeciwko ludziom, którzy są niewątpliwie sprawcami zbrodni przeciwko ludzkości popełnianych w okresie stalinizmu. Szereg osób, które dopuściły się przestępstw w późniejszym okresie, pozostaje nie ściganych. Nie ściga się osób, które wydały instrukcję zalecającą, jak to się ładnie nazywało, "działalność dezintegracyjną", w której mieściły się pomówienia, oszczerstwa, prowokacje, różnego rodzaju szantaże, podpalenia itd. Zasada "rękę karaj nie ślepy miecz", nie może być zastosowana, bo "gruba kreska" chroni osoby, które są winne podżegania do przestępstwa. Osoby będące w odczuciu społecznym sprawcami dziesiątków, setek przestępstw nawet nie wyszły z obiegu życia towarzyskiego, nie zostały napiętnowane. To musi bulwersować opinię społeczną i stwarza – chyba słusznie – wrażenie, że mamy do czynienia raczej z kontynuacją, niż z radykalnym przełomem. W kanonie środków wychowania do przyzwoitości, do liczenia się z normami moralnymi, leży także nagradzanie tego, co jest dobre i karanie tego, co jest złe. Tymczasem ludzie głęboko zaangażowani w podtrzymywanie tamtego ustroju nie tylko nadal należą do partii politycznej, będącej kontynuacją pewnej filozofii tamtego ustroju, bo się od tego "dorobku" wyraźnie nie odcięła, ale także są mile widziani jako kandydaci na posłów i senatorów w innych ugrupowaniach. Nagradza się w ten sposób działanie, które jest postrzegane jako bardzo niemoralne, działanie skierowane przeciwko podmiotowości tego społeczeństwa. Demoralizująca jest w polskiej tradycji ciągłość tego procesu. Zamach majowy nie został rozliczony. Zrobiono to, zresztą w sposób jednostronny i krzywdzący, dopiero na emigracji, po upadku II Rzeczypospolitej. Działalność okupacyjna, która była związana z jednej strony z ogromnym bohaterstwem, z drugiej strony stawała się okazją do wielu działań przestępczych, też nie została rozliczona. Osoby, które współpracowały z Niemcami, znalazły się na odpowiedzialnych stanowiskach w Polsce Ludowej. Pomijam już fakt, że te resztki różnych ugrupowań komunistycznych w Polsce aż do 41 roku współpracowały z Niemcami, bo tak samo robił Związek Radziecki. A jeśli jest się obywatelem danego państwa, jakaś lojalność wobec tego napadniętego państwa obowiązuje i to nie zostało rozliczone. I teraz także cały okres *PRL*u nie został rozliczony. W takim razie, jaki z tego wynika morał dla społeczeństwa, co się opłaca? Być zawsze z rządzącymi, z tymi,

> ***...Poza tym stoję na stanowisku, że w dawnych przepisach można doszukiwać się nowej treści. Dotyczy to również Konstytucji z 1952 roku. Ciągle mi się zarzuca, że powołuję się na konstytucję stalinowską. Odpowiadam na te zarzuty, że Konstytucja ta zmieniła swój sens i trzeba ją dzisiaj inaczej odczytywać.***
>
> ***... Jeżeli chodzi o podstawę praw i wolności obywatelskich, to jest nią Konstytucja i prawo międzynarodowe. Sądzę więc, że tworzenie katalogu o randze aktu konstytucyjnego jest zbyteczne, tym bardziej, że w obecnej Konstytucji jest rozdział "Prawa i obowiązki obywateli".***
>
> ***"Jako rzecznik bronię litery prawa..."***
> **Tadeusz Zieliński, Znak, listopad 1992**
>
> **Mała Konstytucja z komentarzem, czyli Ustawa Konstytucyjna z dnia 17 października 1992r. z rozdziału 8, Podstawowe prawa i obowiązki obywateli,**
>
> ***Art.75. Rzeczypospolita Polska troszczy się o rozwój literatury i sztuki wyrażających potrzeby i dążenia narodu, odpowiadającym najlepszym postępowym tradycjom twórczości polskiej.***
>
> ***Art.93.1 Czujność wobec wrogów narodu oraz pilne strzeżenie tajemnicy państwowej jest obowiązkiem każdego obywatela Rzeczypospolitej Polskiej.***
>
> ***2. Zdrada Ojczyzny: szpiegostwo, osłabianie sił zbrojnych, przejście na stronę wroga – karana jest z całą surowością prawa jako najcięższa zbrodnia.***

którzy mają siłę. Takie ustawienie zawsze przynosi korzyści. Gwałtowna zmiana frontu może człowieka ocalić od odpowiedzialności za naganne postępowanie, a nawet za zbrodnie. Myślę, że tu chodzi nie tylko o to, żeby ścigać karnie. Chodzi także o to, żeby wytworzyły się jakieś dobre obyczaje. Komuś się podaje rękę, komuś tej ręki się nie podaje. Powiedziała mi kiedyś pewna miła i inteligentna pani: wszyscy, którzy głosowali w wyborach 4 czerwca 1989 roku, głosowali równocześnie za bezkarnością Jaruzelskiego, Kiszczaka i im podobnych. Ten pomysł przypomina mi bardzo referendum z 1946 roku, z ówczesnym 3 x Tak. Twierdzono wówczas, że ten, kto głosował za ziemiami zachodnimi, głosował jednocześnie za oddaniem ziem wschodnich. To też jest bardzo ważny kontekst państwa prawa, gdyż opiera się ono jednak na zasadach słuszności, sprawiedliwości, przyzwoitości i trudno sobie wyobrazić państwo prawne, którego prawo i praktyka społeczna naruszają te zasady.

Profesor Strzembosz proponował, aby – po uchwaleniu katalogu praw obywatelskich – Sąd Najwyższy "w konkretnych przypadkach oceniał, które akty prawne są ważne, a które nieważne. A dlaczego ma to robić Sąd Najwyższy, skoro może to zrobić ustawodawca?

...profesor Strzembosz występuje w swej koncepcji przeciw trójpodziałowi władz. Jeżeli powiada, że Sąd Najwyższy ma oceniać, które akty obowiązują, a które nie, to w gruncie rzeczy proponuje, aby kompetencje ustawodawcy przejął Sąd Najwyższy. Dla mnie trójdział władzy jest bardzo istotny. Jako ombudsman respektuję ten podział, będąc organem kontrolującym prawidłowość działań całego systemu. Kontroluję bowiem władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą (w zakresie dotyczącym praw i wolności obywatelskich).

Jako rzecznik bronię litery prawa...
Tadeusz Zieliński, "Znak", listopada 1992

Sprawiedliwość i moralność

Takie pojęcia jak słuszność, sprawiedliwość, prawość prawa mogą być oceniane niezwykle subiektywnie. Jestem przeciwko państwu ideologicznemu, przeciwko państwu, które ma w konstytucji zapisane ideologiczne deklaracje. Istnieją jednak pewne wyznaczniki sprawiedliwości funkcjonujące w naszym kręgu kulturowym jako niepodważalne tło systemu prawnego. Nazywam to "drugą tablicą Dziesięciorga Przykazań". Byłbym przeciwko takiej ideologizacji konstytucji, która powoduje, że część społeczeństwa nie czuje się całkowicie pełnoprawnymi obywatelami tego państwa. Natomiast uważam, że nie da się stanowić prawa, które byłoby aksjologicznie neutralne. Przy dyskusji nad konkretną ustawą, albo wypracowuje się pewne kompromisy pozwalające znaleźć wspólny mianownik różnych światopoglądów, albo też dochodzi do zwycięstwa większości. I w jednym, i w drugim przypadku jakieś wartości leżą u podłoża prawa i muszą być zaaprobowane przez ustawodawcę – jeżeli on chce, żeby ludzie się w ogóle z tym prawem identyfikowali. Straszliwym nieszczęściem jest dla prawa sytuacja, kiedy wyłącznie bat policjanta może wymusić jego przestrzeganie. Prawo skuteczne to jest prawo internalizowane, gdzie to ja siebie karzę łamiąc prawo, tak samo jak jestem karany przez własne sumienie, jeżeli postępuję sprzecznie z normami, które uznaję. Przy tego rodzaju założeniu, jeżeli człowiek identyfikuje się ze swoim państwem i wie, w jakiej ono jest sytuacji, to po prostu płaci podatki. A jak robi kanty, albo jeździ na gapę w tramwaju to wie, że zachowuje się poniżej pewnych minimalnych wymagań moralnych. Chodzi jednak o to, by podatki były sprawiedliwe i by były jako sprawiedliwe odbierane przez społeczeństwo. Chodzi o to, by normy, które się stanowi, były zaaprobowane jako nie pozostające w jawnej sprzeczności z podstawowymi normami moralnymi, które zostały przyjęte przez większość społeczeństwa. Jeżeli natomiast sprzeczność pomiędzy prawem i przekonaniami moralnymi społeczeństwa istnieje, to w ostatecznym rachunku albo dojdzie do demoralizacji społeczeństwa i zmiany wartości etycznych, albo dojdzie do odrzucenia prawa.

Spuścizna dawnego prawa

Innego typu napięcia rodzi niespójność obowiązującego prawa. Jeżeli mamy obecnie konglomerat ustaw: stalinowskich (na szczęście coraz mniej), tych z okresu 56–89 oraz nowego ustawodawstwa, opartego w przeważającej mierze na takich wartościach jak demokracja, pluralizm, poszanowanie elementarnych praw człowieka, to przede wszystkim trzeba podjąć ogromny wysiłek zharmonizowania tego prawa poprzez jego właściwą interpretację. Bardzo często występuję do poszczególnych Izb Sądu Najwyższego z pytaniami dotyczącymi interpretacji prawa w konkretnych sytuacjach. Próbuję też, w takim zakresie, w jakim mogę mieć wpływ na Sąd Najwyższy, promować wartości, które z III Rzecząpospolitą powinny się łączyć. Tam jednak, gdzie obowiązujące prawo jest tak sformułowane, że nie da się go zinterpretować w sposób zgodny z obowiązującymi w wolnym społeczeństwie wartościami, chciałbym to prawo jak najszybciej zmienić. Z tym się zresztą na pewno zgadzają także pani Łętowska i pan Zieliński. Ale z drugiej strony, obowiązujące a anachroniczne prawo traktuję jako przejściowe. Jest to element istotny, który często różni nasze poglądy. W okresie międzywojennym obowiązywało ustawodawstwo zaborcze, ale każdy wiedział, że to jest tylko substrat, istniejący dopóki nie odbudujemy w całości systemu prawnego niepodległej Polski. W tym sensie było to gorsze prawo, traktowane jako malum necessarium.

Grzechy zaniechania

Poza tym, zawsze twierdziłem, że oficjalni zwolennicy przestrzegania każdego prawa wcale nie chcą go tak automatycznie przestrzegać. Kiedy gorszyłem się powoływaniem przez panią

Łętowską na *Ustawę o Oświacie i Wychowaniu* z 1961 roku i mówiłem, że to jest najbardziej jaskrawa pozostałość stalinizmu, jaką można wyłowić z ustawodawstwa lat 60., to z drugiej strony zauważyłem, że pani Łętowska nie chce na przykład pana Jerzego Urbana pociągać do odpowiedzialności za rozpowszechnianie fałszywych informacji, mimo że on to robi, i że istnieją odpowiednie przepisy karne z epoki PRLu, ścigające takie postępowanie. Z kolei na łamach "Trybuny" jest publikowanych wiele tekstów, które można by uznać - zgodnie z orzecznictwem sądu PRL - za poniżające obecny ustrój. Istnieje prawny obowiązek ścigania tego typu publikacji, wynikający z obowiązującego peerelowskiego ustawodawstwa, ale nikt tego oczywiście nie ma zamiaru robić. Podobnie przedstawia się sprawa rozpowszechniania pornografii. Pan Lew Starowicz opowiadał podczas swego niedawnego wystąpienia w telewizji, że jest zasypywany prośbami o opinię, czy dany film, albo kaseta video zawierają treści pornograficzne, czy nie. Obowiązująca dotąd wykładnia mówi, że dzieło pornograficzne to takie dzieło, którego jedynym celem jest osiągnięcie podniecenia seksualnego. Pan Starowicz powiedział, że dla niego jest to niesłuszna i niewystarczająca definicja, bo podniecać się jest bardzo przyjemnie i on nic przeciwko temu nie ma. Ale jest obowiązująca interpretacja, jest orzecznictwo sądowe, czytelna wola ustawodawcy. Więc jak to jest z tym przestrzeganiem każdego obowiązującego prawa? Moim zdaniem pewne normy komunistycznego prawa bronione są przez tych, którym po prostu odpowiadają, a którzy wcale nie chcieliby przestrzegać wszystkich norm odziedziczonych przez nas po *PRLu*.

Kłopoty ze sprawiedliwością społeczną

Na koniec chciałbym powrócić jeszcze raz do kluczowego dla poczucia prawości prawa pojęcia sprawiedliwości. W nowelizacji Konstytucji dokonanej jeszcze przez Sejm kontraktowy z inicjatywy OKP używa się w art.1 pojęcia sprawiedliwości społecznej. Oczywiście można to pojęcie rozmaicie definiować i nie ma tam nic, co wykluczałoby z niego na przykład ochronę własności. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewien fenomen związany z absolutyzacją tego pojęcia. W niedawnym wydaniu encyklopedii PWN nie ma w ogóle hasła sprawiedliwość. Jest wyłącznie hasło sprawiedliwość społeczna. Jak można coś węższego interpretować, nie odwołując się do czegoś szerszego? Chyba jedynie w celu relatywizacji pojęcia ogólnego. Widać w tym pozostałości pewnego myślenia. W komunizmie sprawiedliwe było wszystko to, co służyło dyktaturze. Nawet jeśli większość tego nie rozumiała, to świadoma mniejszość wiedziała, co tej większości służy i wszystko, co miało jej służyć, łącznie z morderstwem, szantażem i kłamstwem, było usprawiedliwione. Po 1956 roku nikt nie mógł się już odwoływać do tak skrajnego kryterium sprawiedliwości. Zaczęto wobec tego stosować dość prymitywnie rozumiany pozytywizm prawniczy. Przybierał on formę wulgarnej interpretacji reguły dura lex sed lex, to znaczy "obowiązujące prawo jest może dyskusyjne, ale uchwalił je odpowiedni organ, wobec czego należy mu się bez oporu podporządkować". Tak rozumiany pozytywizm prawniczy potwornie zaciążył na polskim prawie i na całej humanistyce. Wyzwolenie się z tego jest dla prawników bardzo trudne. Pan Wiesław Lang, ile razy słyszy takie zarzuty, oburza się i powtarza, że pozytywizm był w gruncie rzeczy humanistyczny, a nawet pozwalał bronić pewnych wartości. Ale taka była interpretacja pozytywizmu prawniczego na poziomie elit, podczas gdy szary peerelowski prawnik, czy humanista rozumiał przez pozytywizm skrajnie relatywny stosunek do prawa i podporządkowanie się wszystkiemu, co aktualnie obowiązuje. Manewr zacierający jaskrawą sprzeczność pomiędzy pozytywizmem a teorią marksizmu był bardzo skuteczny. Po prostu taka cyniczna interpretacja pozytywizmu nie pozwalała w ogóle zastanawiać się nad treścią prawa. Podtrzymywanie tej interpretacji prawa jest bardzo znamienne. Utrwala się stary sposób rozumowania, żeby usprawiedliwić i utrwalić stary sposób zachowania.

W wielu dyskusjach toczących się przez ostatnie cztery lata padało często pojęcie sprawiedliwości, szczególnie w kontekście stanowienia prawa. Nie było jednak szerokiej dyskusji publicznej o tym, co jest sprawiedliwe w odniesieniu do różnych konkretnych rozwiązań ustrojowych i prawnych. Takiej dyskusji nie przeprowadzono na przykład w kontekście reprywatyzacji. Bo z jednej strony reprywatyzacja, jeśli łączy się bezpośrednio z rekompensatą, to znaczy z obciążeniem budżetu, musi obciążyć każdego obywatela. Z drugiej jednak strony, tolerowanie sytuacji, w której ludzie wykupują rzecz odebraną kiedyś bezprawnie komuś innemu, jest jaskrawym złamaniem poczucia prawa, gdyż narusza zasady sprawiedliwości. W wyniku organizowanej przez państwo licytacji, osoby, które mogą sobie pozwolić na kupno, czy wydzierżawienie tysiąca hektarów wchodzą w posiadanie *PGRu*. Natomiast właściciel, który został kiedyś z majątku wyrzucony, jest pozbawiony wszelkich szans jego odzyskania i startuje finansowo od zera. Trudno wywłaszczać kogoś, kto nabył taką własność w dobrej wierze, ale można próbować równoważyć negatywy różnych rozwiązań. Można na przykład wykorzystać w charakterze rekompensaty ogromną ciągle pulę marnotrawionej własności państwowej. Wiadomo, ile *PGRów* rozpada się i jest rozkradane na ziemiach zachodnich. Tego typu rezerwę można wykorzystać bez dodatkowego finansowego zaangażowania Skarbu Państwa. Można proponować wiele innych rozwiązań "wypośrodkowujących" interesy Skarbu Państwa i dawnych właścicieli. Nie było jednak poważnej publicznej dyskusji wokół poszczególnych rozwiązań. Społeczeństwo nie zostało przyzwyczajone do tego, że w sprawach kluczowych dla kształtu naszego ustroju przeprowadza się merytoryczną, głęboką dyskusję odwołującą się do wartości podstawowych, do pewnych imponderabiliów. Takiej dyskusji nie przeprowadzono ani przy okazji ustawowego rozwiązywania problemów własnościowych, ani przy okazji tworzenia systemu podatkowego. A to ułatwiać będzie zawsze atakowanie podstaw ustrojowych. Do przeprowadzenia takich dyskusji nie nadaje się może samo forum parlamentarne, ale na pewno mogą się tym zajmować komisje, w których przygotowywane są projekty ustaw. Polityk występujący z projektem jakiejś ustawy rozpoczyna przecież zawsze od pewnych wartości i zasad moralnych, a później dopiero mówi: "spróbujmy dopasować do tego nasze rozwiązania prawne, biorąc oczywiście pod uwagę określone uwarunkowania i możliwości". Polityka to oczywiście realizowanie tego, co jest możliwe, ale możliwe z punktu widzenia jakiegoś celu, a nie wyłącznie z punktu widzenia czyjegoś interesu i dostosowywania się do sytuacji, która jest nam dana. ■

PAŃSTWO PRAWA - NATURA I WYNATURZENIA

Stanisław Michalkiewicz

Jednym z haseł, pod którym startowała w 1989 roku nasza "młoda demokracja", było "państwo prawne". W odbiorze potocznym oznaczało ono po pierwsze położenie kresu jawnemu, czy nawet ostentacyjnemu łamaniu prawa zapisanego w ustawach i aktach niższego rządu, a po drugie – budowę systemu prawnego opartego na jakimś trwalszym i bardziej akceptowalnym niż "wola klasy panującej" fundamencie. Odpowiedzią na te oczekiwania była zmiana konstytucji, wprowadzająca między innymi deklarację, że Polska jest "demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej".

Konstytucja jest, jak wiadomo, podstawą wszelkiego ustawodawstwa również w tym sensie, że powinna zawierać w sobie zarówno dyrektywy dla ustawodawcy, określające granice dopuszczalnej ingerencji prawa w życie ludzi oraz sposób tej ingerencji, a także dyrektywy dla organów stanowiących prawo, w jaki sposób należy to prawo interpretować. Stąd też wynika naturalny postulat wobec ustawy zasadniczej, by była ona jurydyczna, to znaczy operowała pojęciami mającymi możliwie jednoznaczny sens prawny. Spełnienie tego postulatu wobec ustawy zasadniczej jest warunkiem umożliwiającym pełnienie przez konstytucję roli fundamentu ustawodawstwa zwykłego.

Z tego punktu widzenia należałoby zastanowić się, czy deklaracja konstytucyjna, mówiąca o Polsce jako o "demokratycznym państwie prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej", jest jurydyczna czy nie? Sformułowanie "demokratyczne państwo prawne" dostarcza informacji, że mamy do czynienia z państwem, w którym obowiązuje prawo tworzone metodą demokratyczną, a więc na podstawie decyzji większości obywateli, wyrażonej drogą głosowania powszechnego – bezpośrednio lub pośrednio. Z takiego sformułowania wynika, że prawem państwa jest to, co zostanie przez taką większość za prawo uznane. Oznaczałoby to brak jakiegokolwiek skrępowania owej większości w tworzeniu prawa, a więc też brak jakiejkolwiek informacji o tym, co w takim państwie może być uznane za prawo, a co za prawo uznane być nie może. Na przykład, zgodna z tą zasadą konstytucyjną mogłaby być zasada, że można krzywdzić jedną grupę obywateli po to, by przysporzyć korzyści innej grupie, pod warunkiem, że zaakceptuje tę zasadę, zgodnie z zasadami demokracji, większość obywateli.

To przypuszczenie uprawdopodobnia zresztą drugi człon konstytucyjnej deklaracji, mówiący o realizowaniu przez państwo "zasad sprawiedliwości społecznej". O ile bowiem takie pojęcia jak "demokracja", czy "państwo prawne" mają przynajmniej pozory jurydyczności, o tyle pojęcie "sprawiedliwości społecznej" nawet takich pozorów nie ma, bo dodanie przymiotnika "społeczna" sugeruje, że chodzi tu o jakiś szczególny rodzaj sprawiedliwości, odmienny od sprawiedliwości zwyczajnej. Na czym ów szczególny rodzaj polega – na to pytanie padają różne

STANISŁAW MICHALKIEWICZ – ur. 1947, prawnik, publicysta, redaktor naczelny "Najwyższego Czasu", sekretarz Rady Głównej UPR.

odpowiedzi, uzależnione na ogół od ideologii wyznawanej przez odpowiadającego. Wyraźna sugestia, że państwo ma być nie tylko "demokratyczne", ale i realizować zasady "sprawiedliwości społecznej" sprawia, że taka konstytucyjna dyrektywa – być może całkiem niezależnie od intencji jej autorów –wystawia system prawny państwa polskiego na działanie zmiennych mód ideologicznych, przez co odbiera i konstytucji i systemowi prawnemu pożądaną cechę stabilności.

Ale nie tylko przymiotnik "społeczna" powoduje, że o sprawiedliwości bardzo trudno wypowiedzieć się jednoznacznie. Również samo pojęcie sprawiedliwości jest rozmaicie rozumiane. Najogólniej biorąc, istnieją dwa sposoby rozumienia tego pojęcia. Pierwszy traktuje sprawiedliwość jako idealny stan, po osiągnięciu którego miałoby nastąpić coś w rodzaju końca historii. Drugi traktuje sprawiedliwość jako sposób życia. Wyraża to doskonale definicja, według której *iustitia est firma et perpetua voluntas suum cuique tribuendi* (sprawiedliwość jest to niezłomna i stała wola oddawania każdemu, co mu się należy). Pójdźmy tropem tej definicji.

"Państwo prawne" z punktu widzenia treści systemu prawnego: jest to państwo, którego system prawny ufundowany jest na niezmiennych cechach natury ludzkiej, jak życie, wolność i własność i który – dzięki wewnętrznej spójności – te trzy wartości ochrania. Z takiej definicji wynika, że państwo prawne, jeśli jest demokratyczne, to może być demokratyczne tylko do pewnego stopnia – w tym sensie, że nawet najbardziej demokratyczna większość nie może poważyć się na targnięcie się na którąkolwiek z tych trzech wartości. Innymi słowy, państwo prawne jest raczej nomokratyczne niż demokratyczne, to znaczy, że ludźmi rządzą wartości prawne, a nie ludzkie upodobania wartościami prawnymi.

Na samym początku nasuwa nam się pytanie, skąd możemy wiedzieć, co się komu należy? Zwolennicy poglądu, według którego sprawiedliwość miałaby być tym idealnym stanem, odpowiedź mieli gotową: "od każdego podług jego możliwości, każdemu według jego potrzeb". Taka odpowiedź zakładała jednak konieczność jakiegoś autorytetu, który z jednej strony decydowałby ostatecznie o "możliwościach", a z drugiej – o "potrzebach". Czy takim autorytetem mogłaby być, zmienna przecież, większość demokratyczna? Mam wątpliwości. Ale nawet gdyby miało tak być, oznaczałoby to, że ani o "możliwościach", ani o "potrzebach" nie potrafimy powiedzieć nic pewnego, bo nie potrafimy przewidzieć jakiego rodzaju preferencje będą miały kolejne demokratyczne większości, podobnie, jak nie potrafimy przewidzieć kaprysów tyrana.

Jak zatem możemy odpowiedzieć na pytanie, co się komu należy, skoro autorytetem w tym względzie nie jest ani demokratyczna większość, ani despota, niechby i oświecony? Czy taki autorytet w ogóle istnieje? Na szczęście tak. Jest nim sam człowiek, który potrafi sprecyzować swoje oczekiwania, czyli określić, co mu się należy. Jednak jest rzeczą oczywistą, że nie ma najmniejszego powodu, by wierzyć mu bezkrytycznie. Czy zatem istnieje jakaś metoda weryfikacji trafności ludzkich oczekiwań?

Życie społeczne polega na tym, że ludzie porozumiewają się ze sobą. Niektóre z tych porozumień przybierają postać wzajemnych zobowiązań, a te z kolei polegają na tym, iż ludzie zawierający te zobowiązania komunikują sobie nawzajem "co im się należy". Rzymscy prawnicy uszeregowali te komunikaty w cztery grupy: "do ut des" (daję żebyś dał), "do ut facias" (daję żebyś czynił), "facio ut des" (czynię żebyś dał) i "facio ut facias" (czynię żebyś czynił). Jak się okazuje, ludzie nie tylko potrafią zupełnie samodzielnie sformułować swoje oczekiwania "tego, co im się należy", ale i najsprawniejszym i najskuteczniejszym weryfikatorem ich oczekiwań jest drugi kontrahent. Pod jednym wszelako warunkiem – że zobowiązanie jest dobrowolne. W ten sposób dochodzimy do wniosku, że dobrowolność, czyli swoboda wyboru jest warunkiem sine qua non praktykowania sprawiedliwości w skali społecznej.

Swoboda wyboru, o której zasadniczym znaczeniu dla sprawiedliwości przed chwilą przekonaliśmy się, jest wolnością. Nie jest ona prawem w znaczeniu: "uprawnienie". Jest to cecha człowieka. Człowiek jest zdolny do dokonywania wyboru i w zasadzie nie traci tej zdolności bez względu na warunki, w jakich się znajduje. Skoro tak jest, a istnienia tej cechy natury ludzkiej nikt jeszcze w sposób przekonywujący nie zanegował, to byłoby rozsądne uznać, że tak rozumiana wolność winna być fundamentem systemu prawnego.

Jak wspomniałem, zobowiązania, jakie ludzie nawzajem wobec siebie zaciągają, mają za przedmiot na ogół jakieś mienie, albo usługi dające się określić co do wartości. Zatem przedmiotem zobowiązań jest jakieś bogactwo. Dlaczego w ogóle istnieje jakieś bogactwo, skąd się ono bierze? Bierze się stąd, że ludzie mają zdolność do wytwarzania bogactwa i do dysponowania nim. Istnienie tej zdolności stanowi podstawę, która umożliwia w ogóle tę formę porozumiewania się ludzi ze sobą, jaką stanowią zobowiązania (kontrakty). W ten oto sposób dochodzimy do poznania drugiego fundamentu systemu prawnego, jakim jest własność, rozumiana jako zdolność do wytwarzania bogactwa i dysponowania nim. Jest ona cechą ludzkiej natury, nie wynika z czyjegoś nadania, przeto nie może być ludziom odjęta. Jeśli tak jest i jeśli ponadto zważymy, że ta cecha jest motorem gospodarki i społecznego dobrobytu, to rozsądek nakazuje, by system

prawny nie podejmował prób wykorzenienia tej cechy, czy osłabienia dobroczynnej siły jej oddziaływania. Innymi słowy, pożądane jest, by system prawny przyjmował wobec własności postawę pełną respektu. I podobnie jak przy wolności, nie tylko przez wzgląd na swą stabilność, ale także dlatego, że ludzie na ogół przywiązani są do własności i gotowi są jej bronić.

Zarówno zażywanie wolności, jak i czerpanie pożytków z własności możliwe jest, gdy człowiek żyje. Życie jest również cechą natury ludzkiej, warunkującą istnienie wszystkich pozostałych cech. Ponieważ mogą zdarzać się zamachy na życie, przeto prawo musi zająć wobec tej cechy jakieś stanowisko. Trudno byłoby sobie wyobrazić, by stanowisko to mogło być inne, niż nacechowane respektem dla życia ludzkiego i nakierowaniem się na jego ochronę. W ten oto sposób dochodzimy wreszcie do wyjaśnienia terminu: "państwo prawne" z punktu widzenia treści systemu prawnego. Jest to państwo, którego system prawny ufundowany jest na niezmiennych cechach natury ludzkiej, jak życie, wolność i własność i który – dzięki wewnętrznej spójności – te trzy wartości ochrania. Z takiej definicji wynika, że państwo prawne, jeśli jest demokratyczne, to może być demokratyczne tylko do pewnego stopnia – w tym sensie, że nawet najbardziej demokratyczna większość nie może poważyć się na targnięcie się na którąkolwiek z tych trzech wartości. Innymi słowy, państwo prawne jest raczej nomokratyczne niż demokratyczne, to znaczy, że ludźmi rządzą wartości prawne, a nie ludzkie upodobania wartościami prawnymi. Rzecz prosta, że tak rozumiane państwo prawne musi realizować zasadę sprawiedliwości, to znaczy czuwać nad przestrzeganiem reguły oddawania każdemu, co mu się należy i zapobiegać nadużywaniu zaufania przy realizowaniu dobrowolnych kontraktów. Zadaniem państwa prawnego jest pełnienie funkcji strażnika umów prywatnych oraz karanie przestępców. Czy jest w tym miejsce na praktykowanie "sprawiedliwości społecznej", bez względu na to, co miałaby ona oznaczać? Bardzo wątpię i ta wątpliwość potwierdza wyrażony pogląd o negatywnych konsekwencjach używania w konstytucji terminów niejasnych, czy wręcz nie dających się określić jurydycznie.

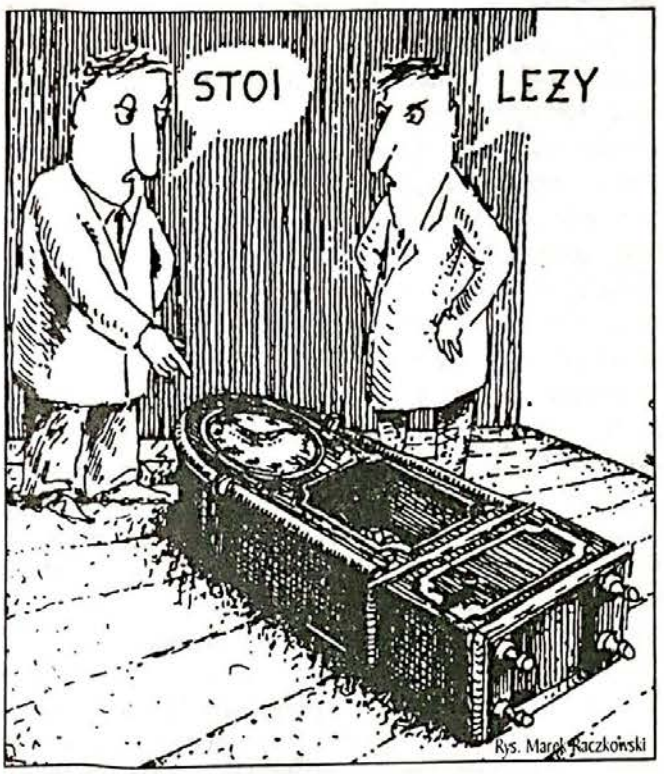

Nie jest to, niestety, jedyny zarzut, ani nawet zarzut najpoważniejszy, jaki można postawić polskiemu systemowi prawnemu. Czytając polską konstytucję i analizując wyprowadzany z niej system prawny odnosi się bowiem wrażenie, jakby ustawodawca nie do końca rozumiał treść ustanawianego prawa, a co za tym idzie, niezupełnie doceniał konieczność minimalnej choćby, intelektualnej dyscypliny przy działalności legislacyjnej.

W art. 7 Konstytucji zawarta jest gwarancja własności: "Rzeczpospolita Polska chroni własność i prawo dziedziczenia oraz poręcza całkowitą ochronę własności osobistej. Wywłaszczenie jest dopuszczalne wyłącznie na cele publiczne i za słusznym odszkodowaniem."

W rozumieniu prawnym własność jest to plena in re potestas – pełne władztwo nad rzeczą, które przysługuje właścicielowi z wyłączeniem innych osób. Słowo własność oznacza dokładnie to i tylko to. Jeżeli zatem używamy terminu "własność" dla opisania stanu, kiedy na przykład władztwo nad rzeczą pełne nie jest, wprowadzamy chaos pojęciowy, który prędzej czy później dotkliwie da o sobie znać. Z drugiej strony, jeśli nawet używamy terminu "własność" prawidłowo, to musimy zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie nakłada to na ustawodawcę.

Wróćmy zatem do gwarancji własności, zawartej w art. 7 Konstytucji. Zasada tam wyrażona oznacza, że państwo, poprzez system prawny i instytucje, chroni własność niezależnie od jej rozmiarów. Jednocześnie w systemie prawnym ufundowanym na tej konstytucji obowiązuje ustawa o podatku dochodowym od osób fizycznych. Ustawa ta wprowadza ostrą progresję podatkową, to znaczy, że dochód podzielony jest na części i każda z tych części opodatkowana jest inną, rosnącą stawką.

Dochód w postaci sumy pieniężnej jest przedmiotem własności – takim samym jak każda inna rzecz. Konfiskata części tej własności w postaci podatku dochodowego, a ściślej – rozmiar tej konfiskaty, uzależniony jest od rozmiaru dochodu, czyli od rozmiaru rzeczy. Zatem ustawa o podatku dochodowym rządzi się inną zasadą niż art. 7 Konstytucji. O ile konstytucja nie uzależnia ochrony własności od rozmiarów, o tyle ustawa wprowadzająca podatek progresywny kieruje się zasadą, iż ochrona własności słabnie wraz ze wzrostem jej rozmi-

arów. Jest to oczywista sprzeczność, a zważywszy, że ustawy podatkowe nie mają rangi ustawy zasadniczej, należałoby uznać progresję podatkową za nielegalną z powodu sprzeczności z konstytucją. Nie przypominam sobie jednak, by któryś z Rzeczników Praw Obywatelskich zwrócił na to uwagę.

Nie zaskakuje mnie to, ponieważ nie zauważyli oni sprzeczności znacznie większej. Otóż, mimo istnienia art. 7 Konstytucji, obowiązuje w Polsce ustawa z 23 maja 1991 roku o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, która – jako jedną z metod rozstrzygania tych sporów – dopuszcza strajk okupacyjny. Już z samej nazwy tego strajku wynika, że stanowi on zamach na własność (occupatio znaczy: zawłaszczenie). To zawłaszczenie w dodatku dokonuje się nie na podstawie jakiegoś orzeczenia sądowego, tylko na mocy decyzji osób, które "działając wspólnie i w porozumieniu" starają się doprowadzić inną osobę do "niekorzystnego rozporządzenia swoim mieniem". Celowo używam tu sformułowań zaczerpniętych z opisu różnych przestępstw w kodeksie karnym, by wskazać, że ta forma strajku wyczerpuje przynajmniej niektóre znamiona przestępstwa. Okolicznością sprawiającą, iż tego rodzaju czyny przestępstwami nie są, ma być fakt, że dopuszczają się ich "związki zawodowe". W myśl ustawy z 23 maja 1991 roku o związkach zawodowych, do utworzenia takiej organizacji wystarczy grupa dziesięciu osób (art. 12 ust. 1). Jeżeli zmowa dziesięciu osób przybierze sobie nazwę związku zawodowego, to prawo polskie stwarza możliwość różnych działań władczych, nie tylko z prawem pozbawienia własności osób trzecich, ale nawet z pewnymi uprawnieniami władzy państwowej.

Zgodnie z art. 1 ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych "spór zbiorowy pracowników z pracodawcą lub pracodawcami może dotyczyć warunków pracy, płac lub świadczeń socjalnych oraz praw i wolności związkowych pracowników lub innych grup, którym przysługuje prawo zrzeszania się w związki zawodowe". Z brzmienia tego przepisu wynika prawo zakładowej organizacji związkowej do legalnego wywierania presji na pracodawcę (właściciela przedsiębiorstwa), by niekorzystnie rozporządził swoim mieniem, nawet wbrew postanowieniom zawartej z nim uprzednio umowy. Co więcej, "spór" z pracodawcą wcale nie musi dotyczyć pracowników jego firmy, ale zupełnie innych osób, które nie pozostają w żadnym stosunku prawnym z właścicielem przedsiębiorstwa, na którego organizuje się presję. Presja ta może przybrać formę strajku okupacyjnego. Zgodnie z art. 20 ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych "strajk zakładowy ogłasza zakładowa organizacja związkowa po uzyskaniu zgody większości głosujących pracowników, jeżeli w głosowaniu wzięło udział co najmniej 50% pracowników zakładu pracy".

Pewne światło na to, jakie mechanizmy perswazyjne mogą być zastosowane, by nakłonić pracowników do proklamowania strajku, rzuca art. 12 ust.1, ustawy z 16 kwietnia 1993 roku o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji. Czynem nieuczciwej konkurencji – stanowi ten przepis – jest nakłanianie pracownika do niewykonania albo złego wykonywania obowiązków umownych w celu szkodzenia przedsiębiorcy. Jest to w zasadzie zakazane, ale ust. 3 tego artykułu stwierdza, że takie czyny nie są uważane za czyny nieuczciwej konkurencji, o ile dopuszczają się ich związki zawodowe w ramach sporu zbiorowego. Zatem związki zawodowe mają prawo działać "w celu szkodzenia przedsiębiorcy" jeśli na przykład nakłoni je do tego jego konkurent, pod warunkiem, że swoje postępowanie nazwą "sporem zbiorowym". Jakiś pretekst, ma się rozumieć, już sobie wymyślą.

Żeby postawić kropkę nad "i", trzeba też wspomnieć o art. 26 ust. 3 ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych. Stanowi on, że za szkody wyrządzone strajkiem lub inną akcją protestacyjną organizatorzy tych akcji odpowiadają tylko wtedy, gdy strajk lub "akcja" zorganizowana została "wbrew przepisom ustawy". W innych przypadkach wszelkie materialne skutki "akcji protestacyjnych" obciążają właściciela przedsiębiorstwa.

Ale na tym nie koniec. O ile art. 26 ust. 3 stwarza przynajmniej jakieś pozory istnienia reguł odpowiedzialności, to nie można już tego powiedzieć o zasadzie, którą wprowadza art. 25 ust. 2 tej ustawy. Stanowi on, że "rolnicy mają prawo do akcji protestacyjnej w sposób ustalony przez związki zawodowe rolników". Ustawa zatem uchyla się w tym przypadku nawet od zachowania pozorów. Pełną władzę w określaniu co jest legalne, a co nie, ceduje na związki zawodowe rolników, które w ten sposób uzyskują uprawnienia normalnie zastrzeżone dla organów władzy państwowej.

W takiej sytuacji trzeba postawić pytanie: chroni Rzeczypospolita Polska własność, czy nie chroni? "Koń jaki jest – każdy widzi" – pisał w "Nowych Atenach, czyli Akademii wszelkiej scjencji pełnej" ksiądz Benedykt Chmielowski. Całe szczęście, że większość ludzi w Polsce nie czyta ustaw, a zaszczepione przez katolickie wychowanie poczucie przyzwoitości, chroni jeszcze społeczeństwo przed stoczeniem się w odmęty barbarzyństwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że aktualne ustawodawstwo energicznie je w tym kierunku popycha.

Tych kilka przykładów pokazuje, jaką stajnię Augiasza trzeba będzie w Polsce uprzątnąć. Wymaga to nie tylko herkulesowych sił, ale i woli, która popychała Herkulesa do czynów heroicznych. Tymczasem tej woli widać tyle, ile miał jej Herkules podczas pobytu u Omfale.

PÓŹNY POTOMEK MARGRABIEGO

Robert Kostro

Polityk, chcąc nie chcąc, zawsze dopisuje się do pewnej tradycji historycznej. Bynajmniej nie dlatego, że historia się powtarza, ale dlatego, że powtarzają się ludzkie charaktery i style politycznego postępowania. W Polsce są dwa rodzaje bohaterów – powstańczy przywódcy patronują czasom niewoli oraz reformatorzy, którzy patronują Niepodległej. Trauguttów i Piłsudskich nie trzeba nikomu przypominać. Tych każdy Polak z mlekiem matki... Z drugimi jest nieco gorzej. Ale i tu wykształcony obywatel potrafi coś wymyślić: w gospodarce był Drucki-Lubecki, Grabski a w dziedzinie reformy zarządzania państwem... Wielopolski. Trzecia Rzeczpospolita ma już swoich pierwszych bohaterów: rolę gospodarczego demiurga, zmieniającego logikę gospodarki zyskał Leszek Balcerowicz. Kolejnym politykiem, którego aspiracje sięgają reformatorskiego Panteonu jest Jan Maria Rokita. Czy jednak cień poprzednika – margrabiego Wielopolskiego – nie zaciąży nad odważnymi projektami reform?

Jan Maria Rokita jest politykiem, który mimo młodego wieku wykazał już niemały talent polityczny. Obecny szef administracji państwowej zaczynał karierę jako działacz pacyfistycznego ruchu "Wolność i Pokój". Angażował się w działalność na rzecz poszanowania prawa, współpracował ze Zbigniewem Romaszewskim. Był pragmatycznym uczestnikiem opozycji solidarnościowej, interesującym się konkretnymi sprawami, które poszerzają zakres swobody obywatelskiej.

Pierwszym poważnym przedsięwzięciem, w którym uczestniczył stał się "okrągły stół" (w podzespole ds. młodzieży). Wydaje się, że pozostawał wówczas solidarnościowym "radykałem". Kwestionował wagę kontraktowych wyborów. Uważał, że najważniejsze jest przywrócenie "Solidarności". "Marzy mi się – mówił – by "okrągły stół" nie oznaczał dla nielicznych wejścia do establishmentu, a dla pozostałej części społeczeństwa braku jakichkolwiek zmian". To określenie trafiło zresztą do wymyślonej przezeń koncepcji "Centrum Radykalnego", formacji abstrahującej od sporów prawicy i lewicy, ale wyraźnie antykomunistycznej, niechętnej tryumfowi ducha Magdalenki. Ten "radykalizm" sprawił, że Rokita zaangażował się w prace komisji sejmowej, badającej przypadki morderstw politycznych dokonanych przez władze w latach osiemdziesiątych. Poza tym krytycznie oceniał dokonywane przez rząd Mazowieckiego reformy.

W Sejmie okazał się utalentowanym mówcą. Podczas pierwszego zebrania OKP starł się z profesorem Geremkiem i... został wiceprzewodniczącym Klubu. Swoje wejście do elity solidarnościowej zawdzięcza błyskotliwości umysłu i umiejętności krytycznej oceny polityki własnego obozu. Ta postawa wiecznego sceptyka praktykowana była także później, w Unii Demokratycznej. Wkrótce po porażce prezydenckiej Tadeusza Mazowieckiego Rokita poddał ostrej krytyce sposób prowadzenia kampanii i powyborczą atmosferę w tworzącej się Unii. Przysporzył tym sobie wielu wrogów – krytykował,

Polonia semper reformanda - takie hasło powinno kiedyś zostać dopisane do naszego godła narodowego. Obok powstań niepodległościowych reformowanie państwa jest bowiem drugą naszą specjalnością narodową. I nie przypadkiem wśród narodowych świąt Polaków znajduje się rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja, która była zaledwie śmiałym projektem reformy państwa.

ROBERT KOSTRO – ur. 1967, historyk, publicysta; drukował w "Polityce Polskiej" i "Życiu Warszawy". Współautor słownika "Świat dyplomacji, polityki i idei" (1992). Członek Zarządu Stowarzyszenia "Kraj"

rozdrapywał ledwo gojące się rany, ale zdobywał jednocześnie popularność – może dlatego, że nigdy nie przekraczał wytyczonych środowiskowymi konwenansami granic. Na pierwszym zjeździe Unii Demokratycznej zdobył w wyborach do Rady Politycznej wysoką – drugą – pozycję (Mazowiecki, Frasyniuk, Hall i Kuroń nie kandydowali).

Rokita chętnie prowokuje nieszablonowe sytuacje. Metodą "próbnych balonów" sonduje nowe pomysły polityczne. Zdarza mu się bowiem zaprezentować w sposób błyskotliwy pewną koncepcję, za którą u innego polityka poszłaby z pewnością jakaś akcja polityczna, próba wprowadzenia pomysłu w życie, kilkumiesięczne "zanudzanie" argumentami. Rokita "strzela" i milknie, obserwuje reakcje i często nigdy nie podejmuje powtórnie tej myśli. Zdecydowanie w słowach nie idzie w parze z determinacją w realizacji celów. Zważywszy na niektóre jego działania – jak udział w tworzeniu rządu Pawlaka – nie zawsze należy tego żałować. Ale były też przedsięwzięcia, które budziły pewne nadzieje. Choćby wspomniana komisja Rokity albo idea stworzenia szerokiego "obozu promodernizacyjnego" przed tegorocznymi wyborami. W jego obrębie miała się znaleźć zarówno umiarkowana lewica, liberałowie jak i tradycjonalistyczna prawica z ZChN. Natomiast kompletnym nieporozumieniem skończyła się próba gry z Kościołem. Jego krytyczny wobec postawy hierarchii w okresie reform głos został odczytany jako element toczącej się gry, w której lewicowe środowiska usiłują wypchnąć Kościół na margines życia społecznego... Rokita padł ofiarą własnej metody.

Trudno na podstawie wypowiedzi dokładnie opisać stosunek Rokity do Kościoła. Na pewno uważa on, że Kościół nie tylko nie powinien przeciwstawiać się przemianom zachodzącym w Polsce, ale wręcz przeciwnie – może skutecznie je wspierać. Służyć temu powinno krzewienie etyki pracy oraz lojalności wobec państwa. Ale wypowiedzi szefa URM, w których oskarżył Kościół o niedostateczne popieranie reform, nie przysporzyły mu zaufania wśród hierarchii i w środowiskach prawicowych. Nie dadzą się też w żaden sposób uzasadnić próbami pozyskania sympatii lewicy. Wszystko wskazuje na to, że Rokita wypowiedział po prostu słowa dobrze odzwierciedlające jego poglądy na państwo i rolę jaką powinien odgrywać w nim Kościół. Jest to wyraz swoistego neojózefinizmu – przekonania, że zadaniem Kościoła jest podtrzymywanie istniejącego porządku.

Po powstaniu rządu Hanny Suchockiej Rokita ujawnił się w pełni jako "państwowiec". Nie poprzestał na administrowaniu lecz ogłosił zamiar zasadniczego zreformowania powierzonego mu Urzędu Rady Ministrów. Były członek sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych po objęciu urzędu stwierdził, że jest zaszokowany stanem powierzonych jego pieczy instytucji. Diagnoza brzmiała: URM jest strukturą przystosowany do systemu, w którym decyzje zapadały poza głównymi instytucjami władzy państwowej – w Biurze Politycznym KC PZPR.

Rokita postanowił przywrócić podstawowe instrumenty władzy – przede wszystkim służby informacyjne – przynajmniej w najbliższym otoczeniu premiera. Przygotowana została reforma polegająca na wydzieleniu ze struktury URM segmentów obsługujących premiera, Radę Ministrów oraz sprawujących nadzór nad funkcjonowaniem administracji wojewódzkiej.

Rokita uznał też, że reform wymaga rządowa administracja terenowa, dzielona zgodnie z systemem łupów partyjnych i uwikłana w układy lokalne. Przypominał zatem wojewodom, iż są przedstawicielami rządu w terenie, a nie reprezentantami lokalnych lobbies. Próbował wypracować nową, odmienną od przyjętej w latach 1989–1991 koncepcję urzędu wojewody – apolitycznego i lojalnego wobec rządu oraz wolnego od zobowiązań partyjnych czy koteryjnych.

Szybko wszedł w konflikt z elitami politycznymi. Przyjęte przy nominacjach kryterium lojalności wobec rządu obudziło nieufność. Rokita z niechęcią traktował wszelkich kandydatów, którzy popierani byli przez lokalne układy polityczne albo inne lobbies (również we własnej partii). W pewnym momencie okazało się, że przynależność do Unii może okazać się przeszkodą w objęciu urzędu wojewody. Poza tym domagał się od wojewodów – posłów lojalności w czasie głosowania rządowych projektów. Ci, którzy odmawiali im poparcia, tracili stanowiska. Zarówno opozycja jak i partie koalicyjne czuły się dotknięte arbitralnością decyzji Rokity. Nieustannie

padały zarzuty o usilowanie podporządkowania sobie ważnych struktur państwowych. Porażka w wyborach do wladz partii na kwietniowym zjeździe UD stala się publicznym dowodem nieakceptowania jego postawy przez znaczną część partii.

Jan Maria Rokita nie potrafil zadbać o utworzenie silnego zaplecza politycznego. W trakcie rocznego urzędowania jego pozycja w Unii Demokratycznej uległa osłabieniu. Trudno dziś wskazać mandat, z jakiego mógłby skorzystać, aby móc kontynuować rozpoczęte prace. Ta właśnie cecha – brak wysilków dla zbudowania politycznego zaplecza – pozwala przymierzyć jego osobę do reformatora sprzed stulecia – Aleksandra Wielopolskiego.

Poszukuje wprawdzie pewnych rozwiązań, które umacniałyby rozpoczęte reformy. W pierwszych miesiącach trwania rządu Suchockiej prezentował się jako zwolennik stworzenia silnego, szerokiego "obozu promodernizacyjnego". W jego obrębie powinna znaleźć się – twierdził – zarówno umiarkowana lewica, liberalowie jak i tradycjonalistyczna prawica z ZChN. Jednak idea ta nie wyszła poza fazę projektu.

Jego śmiale plany bywają jednak często postrzegane jako element podejrzanych machinacji i niezrozumiałych zabiegów. Brakuje mu cierpliwości w tłumaczeniu intencji i przesłanek działania. Brak mu chęci do cierpliwego wiązania plączących się nitek koalicyjnych układów. Być może brakuje mu też pokory i umiejętności słuchania ludzi mniej inteligentnych. A – jak powiedział kiedyś Chesterton – ludzie wolą być uważani za złych niż za głupich.

Margrabia Wielopolski przyjechał do Warszawy na początku 1861 roku. Zamierzał rozwiązać dyskutowaną w Polsce od czasów Sejmu Wielkiego kwestię włościańską. Postanowił zlikwidować prawne bariery separujące Żydów od reszty społeczeństwa, uniemożliwiające ich asymilację i blokujące rozwój miast. Zmierzał do przywrócenia zlikwidowanej po upadku powstania listopadowego autonomii Królestwa i do reformy systemu administracyjnego. Zamierzając dokonać gruntownej modernizacji struktur społecznych i administracyjnych Królestwa Polskiego był człowiekiem politycznie osamotnionym. Nie zadbał o stworzenie sobie legitymacji – jedyną była carska nominacja. Jego misję sceptycznie przyjęto nawet w środowiskach ziemiańskich. Zraził sobie krakowski "Czas". "Do nazwiska szlacheckiego dołączasz na wieczne czasy nazwisko zdrajcy i szpiega (...) do tego doprowadziła Cię duma i pycha" – pisał podekscytowany czytelnik organu krakowskich zachowawców. Cień Wielopolskiego towarzyszy Rokicie, który był założycielem współczesnej edycji krakowskiego "Czasu", z którym dziś znajduje się w ostrym konflikcie. Logika reform narzuca zdecydowane działania. Jednak zapamiętanie w reformach grozi utratą pozycji politycznej, a co za tym idzie upadkiem całego przedsięwzięcia.

Konflikt Wielopolskiego z Kościołem rozpoczął się niemal nazajutrz po objęciu Komisji Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (2.IV.1861), kiedy naraził się publicznie krytykując udział księży w niepodległościowych uroczystościach. Upominanie pojednawczo nastawionych biskupów, którzy mieli ograniczony wpływ na polityczne zaangażowanie kleru było przedsięwzięciem niezbyt mądrym. Jednak górę wzięło specyficznie rozumiane poczucie misji państwowej.

Śladami swego poprzednika Rokita snuje więc swe plany w sposób konstruktywistyczny. Ważne i często słuszne koncepcje chce realizować w oderwaniu od społecznej rzeczywistości i politycznych uwarunkowań. Klamrę spinającą próby reform polskiej państwowości podjęte przez odległych od siebie o ponad stulecie polityków stanowi sposób rozumienia i obrony autorytetu państwa. Obie prowadzone wbrew woli i – poniekąd – świadomości elit politycznych, z niezrozumieniem pozycji Kościoła i zapatrzeniem w fundamentalną dla rozumienia historii, porządkującą chaos życia społecznego rolę instytucji państwa. Memento dla krakowskiego polityka może być awantura, w jaką Wielopolski dał się wciągnąć w porywie państwowotwórczej ekstazy w sprawie sztachet ogradzających Pałac Kazimierzowski. Margrabia wytoczył gimnazjalistom proces o zniszczenie płotu. W sądzie wygrał, ale przegrał z opinią. "Aby zmienić ten stosunek – pisze jego biograf – dniem i nocą pracował nad wygotowaniem projektów reform". ■

Doszło do wiadomości JO Księcia Namiestnika Królestwa, że od niejakiego czasu niektórzy duchowni katoliccy, publicznie w kościołach podczas spełniania swych obowiązków, dotykają przedmiotów politycznych: jedni zapominając, że kapłani z powołania swego powinni być rozkrzewicielami pokoju i jedności, otwarcie obudzają w narodzie nienawiść, oddając pochwały zaburzeniom i ganiąc środki przedsiębrane dla powściągnięcia takowych; inni usiłują zaszczepiać w narodzie nieufność względem rządu i podburzać przeciw niemu.

Przy tem Jego Książęca Mość wyraził, że nie wątpi, iż dostatecznym będzie uwiadomić władze diecezjalne o takiem karygodnem postępowaniu niektórych duchownych, w celu, aby też władze, z obowiązku prawdziwych zachowawców pokoju i miłości chrześcijańskiej, starał się bezzwłocznie zwrócić na drogę prawdy ludzi błądzących, którzy lekceważąc włożony na nich święty obowiązek, stają się sprawcami nieporządku i narażają Ojczyznę swą na działania siły zbrojnej i wszystkie połączone z takowemi następstwa.

Aleksander Wielopolski
do Biskupa Administratora
Diecezji Chełmińskiej
Warszawa, 22 kwietnia 1861

METODA POLITYCZNA ŁOPUSZAŃSKIEGO

Piotr Zaremba

Jan Łopuszański jest dziś postacią, która nie stoi na czele silnego nurtu polskiej sceny politycznej. Ugrupowanie, którego jest członkiem wybrało drogę, której on chciał uniknąć. Jednakże jego postawa wytycza pewien możliwy kierunek rozwoju polskiej prawicy. Kierunek radykalnej konfrontacji z ugrupowaniami liberalnymi, daleko posuniętej rewizji programu społecznego prawicy w kierunku rozbudowy opiekuńczych funkcji państwa, akcentujący hasła obrony interesu narodowego. Jednak nie tylko poglądy wyróżniają Łopuszańskiego na polskiej prawicy. Reprezentuje on bardzo charakterystyczną metodę walki o swoje przekonania. Przez wielu jest ona postrzegana jako technika przeciwskuteczna, nie służąca realizacji formułowanych przez Łopuszańskiego celów politycznych.

Przez kilka majowych tygodni Jan Łopuszański był, jeśli nie głównym to na pewno bardzo widocznym aktorem na politycznej scenie. Występował w roli samozwańczego akuszera nowego układu koalicyjnego mającego narodzić się po upadku rządu Suchockiej. Wielu widziało za jego plecami Belweder szykujący się do nowej "wojny na górze". Parlamentarzysta ZChN udzielał chętnie wywiadów, a w sejmowych kuluarach widywano go z coraz to nowymi posłami PC, RdR, PL, PSL i KPN. Dwa ostatnie kluby zaprosiły go na swoje posiedzenia, obsypały komplementami, przyjęły życzliwymi brawami. Najrzadziej u boku Łopuszańskiego można było zobaczyć liderów jego własnego klubu. Zżymali się po kątach na niesubordynację ambitnego polityka. – Trudno dziś egzekwować elementarną, partyjną dyscyplinę, bo każdy chce od razu zakładać własną partię – powiedział jeden z liderów *ZChN*u mając na myśli właśnie Łopuszańskiego. Ukoronowaniem jego benefisu był upadek rządu Suchockiej – niechęci do tego gabinetu nie ukrywał od dłuższego czasu. Wprawdzie on sam nie odważył się głosować przeciw ekipie rządowej, w skład której wchodzą politycy z jego partii. Niemniej w kuluarach mówiło się, że poradził głosowanie "przeciw" Piotrowi Krutulowi, jedynemu członkowi Porozumienia Ludowego, który się na to ostatecznie zdecydował. Jeśli nawet tak nie było, mogło się wydawać, że upadek gabinetu – jednym głosem właśnie – otwiera drogę dla realizacji koncepcji Łopuszańskiego – "zszywania" koalicji od PSL po ZChN, antykomunistycznej, antyunijnej i antyliberalnej, w ramach wciąż tego samego parlamentu.

– Prezydent nie rozwiąże Sejmu – zapewniał Łopuszański dziennikarzy wbrew groźnym pomrukom dobiegającym z Belwederu. – Może coś wie, wszak to mąż zaufania pana prezydenta – domniemywali niektórzy. Następnego dnia Lech Wałęsa rozwiązał parlament torując drogę temu, czego Łopuszański obawiał się najbardziej – wzmocnieniu lewicy różnych odcieni. Kolejnym ciosem dla Łopuszańskiego musiało być powołanie przez prezydenta BBWR – formacji odbierającej wyborców partiom "ideologicznym", także Zjednoczeniu.

– Na tle sejmowej mizerii, Łopuszański jest indywidualnością – mówi o nim pragnący zachować anonimowość, centroprawicowy polityk. – Ale jego błyskotliwe, logiczne wywody nie zawsze mają duży związek z rzeczywistością. Przypomina w tym trochę Korwina-Mikke, tyle że bez jego kabaretowej oprawy.

RADYKAŁ

Po raz pierwszy Polska poznała Łopuszańskiego, gdy w sierpniu 1989 roku w Sejmie "kontraktowym" rozpętała się dyskusja na temat pobicia przez milicję działaczy KPN. Młody poseł OKP z Radomia, z płomieniem w oczach piętnował nie tylko konkretnych milicjantów lecz cały, dziedziczony po PRL aparat przemocy. Stał się wówczas

PIOTR ZAREMBA – ur. 1963 historyk, dziennikarz "Życia Warszawy"

dla wielu telewidzów symbolem radykalnego antykomunizmu, który na darmo próbowali okiełznać skłonni do kompromisów przywódcy OKP. Rolę tę odgrywał przez cały czas trwania Sejmu "kontraktowego". To właśnie on okazał się głównym promotorem batalii o odebranie majątku byłej PZPR. – Komuniści nagromadzili dobra w sposób nielegalny, kosztem całego narodu, nie sposób stosować wobec nich zwykłego prawa własności – ścierał się już nie tylko z posłami postpezetpeerowskiej lewicy, ale i z Adamem Michnikiem. Jego zabiegi zakończyły się sukcesem dopiero w listopadzie 1990 roku. Na fali sukcesu kampanii Lecha Wałęsy, Sejm uchwalił wreszcie ustawę nacjonalizującą majątek PZPR, nazywaną "lex Łopuszański".

Szybko zaczęto go identyfikować ze Zjednoczeniem Chrześcijańsko-Narodowym, on sam bardzo się o to zresztą starał. Trójka parlamentarzystów ZChN (poza Łopuszańskim, Stefan Niesiołowski i Marek Jurek) wyróżniała się wówczas niebywałą wręcz aktywnością. – Zawsze któryś z nich jest na sali – pisała nie bez żalu publicystka "Gazety Wyborczej" Ewa Milewicz. Słynęli z ostrych sformułowań. – Dla mnie jako dla katolika droga do paktowania z Rokitą jest zamknięta – powiedział Łopuszański podczas pewnego, szczególnie drastycznego sporu, w którym członkowie UD stanęli już po przeciwnej stronie niż ich dawni koledzy z "drużyny Wałęsy".

– Taka bezkompromisowość zwalnia z konieczności zachowania kompromisu, czyli zwalnia z uprawiania polityki – oburzało się na to nomenklaturowo-liberalne "Wprost". Ale trzej ruchliwi reprezentanci ZChN w ławach tamtego Sejmu nie mogli być zainteresowani kompromisem. Po pierwsze dlatego, że chcieli dotychczasowy układ jak najszybciej rozbić. Po drugie dlatego, że jedynie na ustawicznym, radykalnym zaprzeczaniu racjom i poglądom kontraktowej większości mogli budować tożsamość i sukces własnego ugrupowania. Wyśmiewany przez większość prasy ZChN właśnie dzięki wyrazistości wystąpień swoich trzech posłów mógł trafić do swoich potencjalnych wyborców. W październiku 1991 roku Łopuszański powrócił na Wiejską już jako członek czterdziestodziewięcioosobowego klubu parlamentarnego.

TRADYCJONALISTA

Jako prezes Rady Naczelnej ZChN wkroczył w życie publiczne nie tylko jako antykomunista. Był i jest prawdziwym tradycjonalistą, politykiem, dla którego spory ideowe sięgające czasów rewolucji francuskiej są nie mniej ważne niż spór o kształt współczesnej Polski. Definiując jeszcze przed wyborami 1991 roku różnice między PC i ZChN zacytował, nie wiadomo czy prawdziwe, stwiedzenie Jarosława Kaczyńskiego: Oni w ZChN uważają, że rewolucja francuska stała się początkiem pasma europejskich nieszczęść, my w PC uważamy, że rewolucja francuska otworzyła przed Europą perspektywę wolności. – Jeśliby Kaczyński chciał walczyć po stronie rewolucji francuskiej, byłby chyba sam – komentował z autentycznym oburzeniem Łopuszański. – Nie wierzę, ażeby członkowie PC, ugrupowania chrześcijańskiego, mogli się zaangażować w walkę przeciw Kościołowi.

Kilka miesięcy później prezentując przed sejmową Komisją Ustawodawczą swój projekt ustawy o trybie uchwalania konstytucji mówił: Demokracja nie jest wartością bezwzględną. Nie można zaakceptować prawa arytmetycznej większości, która na przykład we Francji zadekretowała, że nie ma Boga. Tymi samymi argumentami Łopuszański toczył już w Sejmie "kontraktowym" walkę o ustawę antyaborcyjną. Jej przeciwników nazywał konsekwentnie zwolennikami legalnego zabijania. W komisji nadzwyczajnej Sejmu I kadencji stał się faktycznym przywódcą tradycjonalnej większości. We własnym klubie pojawiał się najczęściej w towarzystwie żarliwych zwolenniczek ruchu obrony życia – Bogumiły Boby i Haliny Nowiny-Konopki – stały się one z czasem trzonem jego frakcji.

W imię konsekwencji głosował – inaczej niż większość własnego klubu – przeciw złagodzonej przez Sejm wersji ustawy uważając, że byłaby to aprobata zabijania nienarodzonych. Stosunek do tego właśnie problemu jest dla niego jednym z najważniejszych kryteriów politycznej oceny innych osób. – Próbowałem go w 1992 roku przekonać do kandydatury Zbigniewa Romaszewskiego na prezesa NIK – wspomina dawny poseł PC. – Powiedział, że w swym sumieniu nie mógłby usprawiedliwić poparcia dla kogoś, kto jest za "legalnym zabijaniem".

– Prezydent nie rozwiąże Sejmu – zapewniał Łopuszański dziennikarzy wbrew groźnym pomrukom dobiegającym z Belwederu. – Może coś wie, wszak to mąż zaufania pana prezydenta – domniemywali niektórzy. Następnego dnia Lech Wałęsa rozwiązał parlament torując drogę temu, czego Łopuszański obawiał się najbardziej – wzmocnieniu lewicy różnych odcieni.

OBROŃCA SUWERENNOŚCI

W podziałach wewnątrz ZChN Łopuszański określany był zawsze mianem "narodowca". Wierzy, że Polska wcale nie musi iść tą samą drogą co reszta Europy. Co więcej Łopuszański wierzy również, że Europa zawróci z obranej przez siebie pochopnie drogi. – Elity europejskie muszą zrozumieć, że dla naszego kontynentu nie ma innego kierunku rozwoju niż cywilizacja chrześcijańska – przekonywał na początku 1992 roku, gdy Wałęsa krytykował w Strasburgu te właśnie elity za stosunek do Polski. Kiedy Francja głosowała nad ratyfikacją traktatu z Maastricht, Łopuszański wyrażał wiarę w odrzucenie przez naród francuski dotychczasowego modelu europejskiej integracji. Jest przekonany, że na dłuższą metę przyniesie ona naszemu kontynentowi nie tylko kulturowe wyjałowienie, lecz również zaburzenia ekonomiczne. – Różny poziom rozwoju poszczególnych państw czyni unię monetarną czy celną czymś niebezpiecznym zarówno dla krajów biedniejszych, jak i bogatszych – dowodził.

Przeciwnik integracji z EWG, sceptycznie odnosi się również do NATO, oceniając akces Polski do niego, jako tyleż mało realny, co wątpliwy w skutkach. Takie stanowisko było źródłem dysonansu między narodowym skrzydłem ZChN, a rządem Olszewskiego. Łopuszański czy Jurek postrzegali tę ekipę, popieraną formalnie przez ich partię, jako grupę nadogorliwych okcydentalistów tłoczących się w kolejce do Strasburga czy Brukseli. Także dziś nie ukrywają, iż nie był to rząd ich marzeń i nie wspominają go ciepło.

Jego poglądy na kwestie gospodarcze można by sprowadzić do słowa: suwerenność. Kiedy łamiąc dyscyplinę partyjną głosował przeciw programowi powszechnej prywatyzacji wniesionemu przez rząd Suchockiej, nie kierował się tylko – jak interpretowali to niektórzy obserwatorzy – niechęcią do liberalnego ministra Lewandowskiego czy wewnątrzpartyjną rozgrywką zmierzającą do wzmocnienia własnej frakcji wewnątrz ZChN. Swoje racje wykładał przejrzyście: uzyskanie wpływu na część majątku narodowego przez obce firmy konsultingowe, reprezentujące być może interesy konkurencji, jest sprzeczne z polskim interesem.

Nawet gdy nie mówi o suwerenności, Łopuszański jest wierny pierwotnemu programowi swojej partii. Jego niektórzy klubowi koledzy nazywają go żartobliwie "narodowym socjalistą", on sam uzasadnia swoje poglądy społeczną nauką Kościoła, nakazującą państwu opiekę nad rodziną i aktywność w walce z biedą. Nawołując ostatnio do tworzenia centroprawicowej koalicji Łopuszański mówił zarazem dużo o antyrecesyjnych działaniach państwa, o konieczności prowadzenia przez państwo prorodzinnej polityki socjalnej. Nic dziwnego, że swoje koalicyjne wezwania adresował do KPN, PSL czy "Solidarności", ugrupowań o lewicowych lub bliskich lewicy programach gospodarczych.

Tymczasem wielu innych polityków Zjednoczenia zaraziło się liberalnym bakcylem od swoich sojuszników z UD i KLD. – Prędzej czy później będziemy musieli określić jednoznacznie nasz stosunek do rynku, podjąć wysiłek, by wydrzeć prorynkowych wyborców liberałom – mówią zarówno zwolennicy wicepremiera Goryszewskiego, jak też ich niektórzy sprzymierzeńcy z mniej prorządowego skrzydła ZChN. Spory dotyczące roli państwa w gospodarce rynkowej wybuchały w szeregach Zjednoczenia, choćby wtedy, gdy klub musiał ustosunkować się do pomysłu podwyższenia podatku od najwyższych dochodów. Łopuszański stawał wówczas po stronie bardziej "etatystycznej". Ciekawe, czy ewentualne przemiany programu i świadomości członków Zjednoczenia oznaczają zmierzch wpływów takich "prawicowych lewicowców" jak on.

Łopuszańskiego można uznać za prawdziwego pioniera i najgorętszego obrońcę zbliżenia swojej partii z PSL Waldemara Pawlaka. Wierzył w porozumienie z ludowcami także w najczarniejszych chwilach wzajemnych stosunków. Przyznając, że za plecami "krótkotrwałego" premiera Waldemara Pawlaka czai się postkomunistyczny układ, jemu samemu przyznawał zawsze dobrą wolę. – Moją partię i PSL łączy wiele – mówi o ugrupowaniu, którego cały klub głosował konsekwentnie przeciw wszelkim inicjatywom dekomunizacyjnym, a więcej niż połowa przeciw zakazowi aborcji. Mówi tak, bo rozumie, że ludowców i chrześcijańskich narodowców łączy

wiara w dobroczynny skutek barier celnych, zamiar obrony tradycyjnego kształtu polskiej wsi, niechęć do ponadnarodowych instytucji finansowych i podobne rozumienie narodowego interesu. Milczał natomiast, gdy niektórzy liderzy jego partii odreagowywali wściekłość wobec "wiarołomnego Pawlaka". – Z PSL rozmawiano w sposób niewłaściwy – tłumaczył dotychczasowe doświadczenia z ugrupowaniem, które w Sejmie I kadencji szukało sojuszników tak samo chętnie wśród posłów SLD jak ZChN.

ZAUFANY BELWEDERU

Od czasu do czasu jakiś polityk – na ogół Jarosław Kaczyński – ogłasza, że w poszczególnych partiach działają proprezydenckie lobbies. Takie belwederskie frakcje miał do 1926 roku w partiach centrowych i lewicowych Józef Piłsudski. Gdy Kaczyński mówi to o ZChN, wielu kiwa głową ze zrozumieniem. – Wiadomo, Łopuszański – komentują.

O jego szczególnych związkach z prezydentem wiadomo było już za czasów gabinetu Olszewskiego. Jednak stały się one szczególnie widoczne dopiero po jego upadku – szef Rady Naczelnej ZChN był pierwszym politykiem dawnej centroprawicowej koalicji, który odwiedził Lecha Wałęsę po 4 czerwca. Zaraz potem pojawiły się pogłoski o wykluczeniu Macierewicza z partii.

– Był to wyraz mojej solidarności z prezydentem – tłumaczył Łopuszański na łamach "Słowa Powszechnego" tę nieco tajemniczą wizytę. Desygnowanie Pawlaka uznał za błąd Wałęsy, lecz równocześnie deklarował w "Ładzie": nie śmiem osądzać winy pana prezydenta. Wkrótce po upadku Olszewskiego tłumaczył, że jego rząd niepotrzebnie prowadził wojnę z Belwederem. – To ludzie, którzy budują swój ethos na konflikcie z Wałęsą – oceniał liderów PC. Aby się zdystansować od obalonego gabinetu z pozycji ortodoksyjnie prawicowych wypominał polityczną przeszłość Olszewskiemu, który jeszcze niedawno określał się przecież mianem niepodległościowego socjalisty.

Szczególnie niejasny był stosunek Łopuszańskiego do lustracji (inna sprawa, że taka postawa na przełomie maja i czerwca 1992 roku nie była wśród polskich elit politycznych czymś wyjątkowym). Domagał się jej głośno już w Sejmie kontraktowym i nic dziwnego, że uchwałę lustracyjną z 28 maja przyjął z nieskrywanym zadowoleniem. – Nareszcie dobro zostanie oddzielone od zła – mówił triumfalnie do dziennikarza "Życia Warszawy". – Żeby tę uchwałę wykonać wystarczy, że szef MSW przedstawi Sejmowi informację – dodawał.

Jednak wykonanie uchwały lustracyjnej bardzo szybko ocenił negatywnie, choć Macierewicz postąpił tylko zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami formułowanymi także przez posła Łopuszańskiego. Gdyby miał na myśli kruchą podstawę prawną całej procedury, powinien jako prawnik powiedzieć o niej jeszcze przed 4 czerwca. Chodziło mu więc chyba o to samo co innym liderom ZChN – o obecność na wykazach Macierewicza przywódcy Zjednoczenia, a dodatkowo zapewne o obecność na nich czołowych postaci Belwederu. Uważano go w każdym razie wówczas za głównego oponenta Macierewicza i inicjatora jego usunięcia z partii.

Niejasne wypowiedzi Łopuszańskiego dotyczyły nie tylko lustracji. Także, gdy przechodzi do oceny Belwederu, przestaje być precyzyjny i konkretny. – Prezydent popełnia błędy – przyznaje polityk ZChN i nie wymienia z reguły żadnego. Politykę Krzysztofa Skubiszewskiego uznaje za zgubną dla suwerenności Polski, natomiast Belweder, który Skubiszewskiego uporczywie podtrzymywał jest dla niego ośrodkiem, który broni (lepiej, gorzej, ale broni) narodowej suwerenności. Osiągnięcia polskiego państwa w zakresie łamania "grubej kreski" uznaje za więcej niż mizerne, ale nie widzi w tym udziału prezydenta, nawet gdy ten mówi o konieczności wzmocnienia "lewej nogi".

Wziąwszy udział w tworzeniu koalicji Suchockiej, Łopuszański w specyficzny sposób tłumaczył swoje działania. O ile Stefan Niesiołowski mówił o nowym rządzie jako o ratunku przed "rozwiązaniem belwederskim", o tyle Łopuszański ujmował sprawę inaczej. – Myślałem, że prezydent utworzy rząd swoich przyjaciół – mówił o sytuacji kryzysu rządowego po dymisji Olszewskiego. – On jednak tego nie zrobił, powstał więc rząd parlamentarny. ▩

Łopuszańskiego można uznać za prawdziwego pioniera i najgorętszego obrońcę zbliżenia swojej partii z PSL Waldemara Pawlaka. Wierzył w porozumienie z ludowcami także w najczarniejszych chwilach wzajemnych stosunków. Przyznając, że za plecami "krótkotrwałego" premiera Waldemara Pawlaka czai się postkomunistyczny układ, jemu samemu przyznawał zawsze dobrą wolę.

Dlaczego człowiek z trudem przełykający parlamentarne kompromisy, próbuje się równocześnie poruszać po labiryntach polityki Belwederu, którą trudno uznać za szczególnie pryncypialną?

Wyjaśnienia można by szukać w poglądach Łopuszańskiego. O ile wszyscy przywódcy ZChN są zwolennikami silnej władzy Prezydenta, on wyróżnia się wśród nich wyjątkowo konsekwentną afirmacją systemu prezydenckiego. Tak jak wielu innych polityków ulega też zapewne pokusie swoistego politycznego "zagospodarowania" Belwederu. "Przaśny" prezydent wydaje mu się wdzięcznym słuchaczem i obiecującym adresatem jego "suwerennościowych" i fundamentalnie katolickich poglądów. Ponadto Wałęsa – jeśli wierzyć opowieściom wielu polityków – lubi szafować obietnicami, schlebiać, łudzić mirażami zastępy przyszłych premierów i ministrów.

A może jakimś wytłumaczeniem jest też anegdota kursująca uporczywie po parlamencie. – Walka obozu Olszewskiego z Unią Demokratyczną to walka dwóch środowisk masońskich – miał tłumaczyć polityk ZChN swoim kolegom – Wałęsa jest wart poparcia, bo pozostaje niezależny od obu stron konfliktu.

POLITYK?

Było pewnym paradoksem, że jeden z najbardziej pryncypialnych polityków ZChN wziął istotny udział w formowaniu nieideologicznego układu rządowego z UD i KLD. Co więcej politycy PC do dziś nie mogą mu zapomnieć roli jaką wówczas odegrał. – Gdy opieraliśmy się kandydaturze Suchockiej, chcąc w zamian kogoś z centroprawicowej "piątki", Łopuszański wstał nagle i oświadczył: a nas właśnie ta kandydatura satysfakcjonuje. Wbił nam nóż w plecy – opowiada Ludwik Dorn z Porozumienia Centrum.

Później jednak wziął udział w podmywaniu bazy tego rządu podejmując różnorakie opozycyjne akcje wewnątrz Zjednoczenia, montując w swoim klubie parlamentarnym grupę, którą przeciwnicy nazywali ironicznie "różańcową". – To jest gra przed zjazdem ZChN – kwitowali prorządowi liderzy Zjednoczenia jego namiętne ataki na MSZ Skubiszewskiego w związku ze sprawą euroregionów. Zbierając wokół siebie "niezłomnych" nie zawahał się przed taktycznym sojuszem z członkami "Akcji Katolików". Gdy na zjeździe "niezłomni" przegrali, Łopuszański na jakiś czas zamilkł. Wrócił na pierwsze strony zwracając się do liderów "centroprawicy" z propozycją budowania nowej koalicji na gruzach rządu Suchockiej.

Jego koledzy z klubu twierdzą, że Łopuszański jest całkowicie niewrażliwy na pokusy materialne. – To człowiek, który może spać pod gazetą, ale musi mieć władzę, po to by realizować swoje koncepcje – opowiadał jeden z nich. Gdy będąc dotąd prezesem Rady Naczelnej zrezygnował na ostatnim zjeździe z kandydowania do jakichkolwiek władz partii, w ZChN przyjmowano to z niedowierzaniem i nieufnością. – Jeśli oddał dobrowolnie pole, to znaczy, że ma coś w zanadrzu, może jest już w jakimś nowym układzie, na przykład prezydenckim – szeptano.

Jednak choć Łopuszański rzucił pomysł koalicji centroprawicowej, to szybko wyprzedzili go inni, on zaś czuł się usatysfakcjonowany umysłowym fermentem jaki wywołał. Próbował przewidywać pomysły Belwederu, może nawet był przezeń inspirowany, okazało się jednak, że nie potrafił przewidzieć najprostszego posunięcia Wałęsy, które pokrzyżowało jego polityczne plany. Choć walka z Unią i liberałami przysporzyła mu nieco popularności, we własnej partii znalazł się na bocznym torze. Wymieniano go jako kandydata – bardziej Belwederu niż własnego ugrupowania – na różne urzędy lecz jak dotąd nie otrzymał żadnego, a w Sejmie sprawiał zawsze wrażenie trochę osamotnionego outsidera.

... jak wielu innych polityków ulega też zapewne pokusie swoistego politycznego "zagospodarowania" Belwederu. "Przaśny" prezydent wydaje mu się wdzięcznym słuchaczem i obiecującym adresatem jego "suwerennościowych" i katolickich poglądów.

Pozostaje zatem zasadnicze pytanie: czy metoda Jana Łopuszańskiego nie jest w swej istocie metodą "apolityczną"? Wszak przyniosła ZChN popularność i duży sukces wyborczy w roku 1991. Jednak analizując jej skuteczność w Sejmie I kadencji, nie możemy mówić ani o osobistym sukcesie tego niewątpliwie błyskotliwego polityka, ani nawet o powodzeniu reprezentowanych przez niego idei. Czy zatem postać Jana Łopuszańskiego jest niewykorzystanym atutem polskiej prawicy, czy raczej kolejnym obciążeniem utrudniającym jej rozwój? Droga, którą wybrał wiosną tego roku wydaje się być drogą zamkniętą. Odpowiedź na postawione tutaj pytania będzie trzeba zatem formułować na nowo obserwując postawę Łopuszańskiego po 19 września.

TAKŻE FRANCUSCY SOCJALIŚCI KOCHAJĄ WIELKI KAPITAŁ

Cezary Michalski

U progu kampanii wyborczej wielu polskich polityków, niezależnie od deklarowanej przez nich "lewicowości" czy "prawicowości" wzywa do budowy w Polsce kapitalizmu socjaldemokratycznego, mającego finansować gigantyczny i scentralizowany system redystrybucji i zakładającego bieżące ingerowanie państwa w gospodarkę, zarówno na poziomie makro, jak też mikroekonomicznym. Owa lansowana przez część polskich polityków i dziennikarzy moda na "trzecią drogę" państwowego interwencjonizmu zbiega się w czasie z dokładnie odwrotnym procesem jaki możemy zaobserwować w doświadczającej przez ostatnie 12 lat socjaldemokratycznego kapitalizmu Francji. Większość Francuzów uznała, że ich, silniejszej w końcu od naszej, gospodarki nie stać na utrzymanie takiego modelu państwa i odsunęła od władzy realizujących ten model socjalistów. Silne państwo reprezentujące wolę społeczeństwa i strzegące jego interesów jest rzeczą wysoce pożądaną. Przykład Francji, a także doświadczenia krajów, które wyprzedziły ją na drodze do etatyzmu, dowodzą jednak, że siła państwa rzadko idzie w parze z jego wszechobecnością. Wszechobecność państwa w ekonomii francuskiej, szczególnie w kontekście ostrego ideologicznego konfliktu pomiędzy francuską lewicą i prawicą, doprowadziła do podporządkowania decyzji makro i mikroekonomicznych wymaganiom bieżącej walki politycznej. Wszechobecność i pozorna wszechmoc państwa w okresie rządów socjalistycznych, zapowiadała tylko jego obecny kryzys. Oprócz tak spektakularnych przejawów tego kryzysu jak samobójstwo ostatniego socjalistycznego premiera Francji Pierre Beregovoy'a, jego oznaką są przede wszystkim: najwyższy po wojnie deficyt budżetowy, rekordowe bezrobocie i poważne osłabienie znaczenia Francji na arenie międzynarodowej. Z tymi właśnie pozostałościami etatystycznego eksperymentu będzie musiała uporać się powracająca do władzy francuska centroprawica.

CEZARY MICHALSKI – ur. 1963, absolwent polonistyki UJ i podyplomowych studiów slawistycznych na Sorbonie.
Publikował w "brulionie", "Tygodniku Literackim", "Czasie Krakowskim" i "Przeglądzie Politycznym".

Na początku była nacjonalizacja

Dwanaście lat temu, w maju 1981 roku, zakończył się we Francji pewien cykl rozpoczęty przez nieudaną, mniejszościową rewoltę maja 1968. Wraz z nowo wybranym socjalistycznym prezydentem Francois Mitterrandem, do władzy doszli ludzie i, w złagodzonej, ucywilizowanej wersji, także idee tamtej rewolty. Pierwsze deklaracje nowego Prezydenta Republiki zbudowane były wokół dwóch haseł: modernizacji archaicznej struktury francuskiej ekonomii i odrodzenia "etyki republikańskiej", czyli moralnego uzdrowienia instytucji francuskiego życia publicznego skompromitowanych przez liczne afery korupcyjne lat 70. Modernizacja i "uzdrowienie moralne"; socjalistyczna recepta na zrealizowanie obu tych haseł wydawała się prosta. Była nią nacjonalizacja; znaczące powiększenie części gospodarki bezpośrednio zarządzanej przez aparat państwowej administracji realizujący "racjonalny i perspektywiczny" program nowej elity politycznej. Przypomnijmy, że już pod rządami generała de Gaulle i jego centroprawicowych następców kultywujących ideały francuskiego "le dirigisme", (który przy odrobinie złej woli nazwać można "ręcznym sterowaniem" maksymalnie scentralizowaną gospodarką), wielkość sektora publicznego francuskiej ekonomii przewyższała znacznie udział państwa w gospodarce USA, Niemiec czy Japonii. Nowy, socjalistyczny rząd postanowił jednak pójść o wiele dalej. W 1982 roku znacjonalizowano największe francuskie konsorcja przemysłowe. Bardziej istotna okazała się jednak nacjonalizacja przeprowadzona w innym sektorze francuskiej gospodarki. Pierwszy socjalistyczny rząd znacjonalizował większość francuskich banków, bowiem właśnie swobodne dysponowanie ich rezerwami pieniężnymi miało być warunkiem przeprowadzenia zapowiadanej przez socjalistów modernizacji francuskiej gospodarki. Pośród 43 grup przemysłowych i finansowych, które przeszły na własność państwa w wyniku pierwszego etapu nacjonalizacji, znajdowało się aż 36 banków tworzących blisko 90% francuskiej sieci bankowej. Socjalistyczny minister finansów Jacques Delors, przedstawiając pod koniec 1981 we francuskim parlamencie projekt ustawy nacjonalizacyjnej, powiedział między innymi, że likwidowany właśnie we Francji system bankowy "był obojętny na interes ogólny, egoistyczny i rozrzutny". Ta argumentacja, przynajmniej po części, nie odpowiadała prawdzie. Właściciele i udziałowcy francuskich banków, podejmując decyzje o pożyczkach i inwestycjach, kierowali się oczywiście swoim egoistycznym interesem, co zresztą niekoniecznie trzeba traktować jako zarzut. Z całą pewnością, francuskie banki prywatne nie były jednak rozrzutne. Wręcz przeciwnie, to właśnie ich brak entuzjazmu dla finansowania deficytowych francuskich przedsiębiorstw, ich preferencje dla inwestowania poza granicami Francji sprawiły, że socjaliści poczuli się zmuszeni do roztoczenia nad nimi administracyjnej kontroli, umożliwionej przez nacjonalizację. Jacques Delors, a także jego następca na stanowisku ministra finansów w kolejnych socjalistycznych rządach, Pierre Beregovoy, uzasadniając decyzję nacjonalizacji francuskiej bankowości powoływali się często na przykład Niemiec. Wzajemne stosunki łączące niemieckie banki i przedsiębiorstwa mogą istotnie uchodzić za wzorcowe. Wystarczy choćby wspomnieć o popularnej w Niemczech instytucji "Hausbanku", związanego ze swoim przemysłowym klientem i partnerem szeregiem długoterminowych umów i dostarczającego mu środków na inwestycje i modernizację. W porównaniu z ową praktyką, stosunki panujące na początku lat 80. pomiędzy przedsiębiorstwami i bankami francuskimi były rzeczywiście archaiczne. Przedsiębiorstwa traktowano zawsze jako klienta najmniej godnego zaufania, dla którego pożyczki obciążano pirackim procentem. Zmuszało to francuskie przedsiębiorstwa do szukania kapitałów na giełdzie. Uzyskiwanie środków na inwestycje poprzez sprzedaż akcji ma z kolei dwie poważne wady: jest metodą niepewną, a uzyskiwane tą drogą środki rzadko bywają wystarczające. Znacjonalizowane przez socjalistów banki, w samym tylko 1982 roku dostarczyły największym, znacjonalizowanym, a także prywatnym konsorcjom pięciokrotnie więcej pieniędzy niż francuskie przedsiębiorstwa zdołały zebrać drogą sprzedaży akcji w latach 1976–1981. O ile jednak pieniądze zebrane od kupujących akcje drobnych ciułaczy i zainteresowanych zyskiem udziałowców były pieniędzmi realnymi, inwestowanymi w przedsiębiorstwa najlepiej prosperujące, to ogromne sumy przelewane na konta przedsiębiorstw przez znacjonalizowane banki na zlecenie Ministerstwa Finansów były formą dotacji, przeznaczonych nie dla najlepiej prosperujących, ale dla najbardziej potrzebujących. Niezbyt trafne okazało się także porównanie efektów nacjonalizacji do działania niemieckiego systemu bankowego. Niemieckie "Hausbanki" pozostawały bowiem bankami prywatnymi, których polityka kredytowa zachowywała całkowitą niezależność od woluntarystycznych programów państwowej administracji. Zaufanie jakim "Hausbanki" obdarzały swoich stałych klientów wynikało z oceny ich wypłacalności i racjonalności podejmowanych przez nich programów inwestycyjnych. W 1983 roku oczywista stała się nieskuteczność zaproponowanej przez socjalistów strategii gospodarczej. Pojawienie się na rynku ogromnej ilości pieniędzy doprowadziło do dwukrotnego wzrostu inflacji, a po wyczerpaniu się rezerw znacjonalizowanych banków, szybko wzrastać zaczął

Znacjonalizowane przez socjalistów banki, w samym tylko 1982 roku dostarczyły największym, znacjonalizowanym a także prywatnym konsorcjom pięciokrotnie więcej pieniędzy niż francuskie przedsiębiorstwa zdołały zebrać drogą sprzedaży akcji w latach 1976-1981. O ile jednak pieniądze zebrane od kupujących akcje drobnych ciułaczy i zainteresowanych zyskiem udziałowców były pieniędzmi realnymi, inwestowanymi w przedsiębiorstwa najlepiej prosperujące, to ogromne sumy przelewane na konta przedsiębiorstw przez znacjonalizowane banki na zlecenie ministerstwa finansów były formą dotacji, przeznaczonych nie dla najlepiej prosperujących, ale dla najbardziej potrzebujących.

deficyt budżetowy państwa. Wprawdzie dzięki polityce "łatwego pieniądza" francuska produkcja przemysłowa zmniejszyła się w okresie recesji lat 1981–1983 zaledwie o około 2% (produkcja przemysłowa Niemiec Zachodnich spadła w tym czasie o 4,4%), ale działo się to przy dwukrotnie przewyższającej zachodnioeuropejską średnią inflacji i za cenę wyczerpania rezerw finansowych państwa. Sytuacja ta uniemożliwiła wykorzystanie przez Francję trwającej od 1984 roku międzynarodowej koniunktury gospodarczej. Tak więc kiedy w latach 1984–1987 produkcja przemysłowa Niemiec wzrosła o 10,2%, bez wzrostu inflacji, przemysł francuski zwiększył produkcję zaledwie o 3,8%, by pogrążyć się znowu w recesji końca lat 80. W 1990 roku francuski przemysł zanotował jednoprocentowy spadek produkcji, a deficyt w wymianie handlowej Francji z zagranicą wyniósł 50 miliardów franków. Od 1988 do 1992 roku niepokojąco szybko wzrastał deficyt budżetowy, co roku przekraczając wcześniejsze szacunki ministerstwa finansów. Najpoważniejszym fiaskiem polityki ekonomicznej socjalistów okazało się jednak to, że mimo ogromnego zastrzyku finansowego, niezmieniona pozostała cała, odziedziczona po epoce gaullistowskiego "ręcznego sterowania", scentralizowana struktura francuskiej gospodarki.

Dawny ustrój i rewolucja

Edward Daladier, przemawiając w 1934 roku z trybuny zjazdu francuskiej partii radykalnej, po raz pierwszy napiętnował "władzę 200 rodzin", największych dynastii finansowych, które jego zdaniem podporządkowały sobie francuską ekonomię i skorumpowały francuską klasę polityczną. Owe "200 rodzin" stało się od tej pory głównym składnikiem ideologicznego mitu lewicy francuskiej. Do roku 1981 zmieniło się wiele nazwisk na liście owych rodzinnych imperiów. Dalekie od sprawowania przypisywanej im absolutnej władzy nad Francją, dynastie finansowe zachowały ważne miejsce we francuskiej gospodarce, stając się symbolem jej scentralizowania i archaizmu. Z biegiem czasu "rodziny" przystosowały się bowiem doskonale do działania na specyficznym, francuskim, zetatyzowanym rynku, na którym inwestycje wymuszane były zawsze raczej przez polityczno-finansowe lobby, niż przez wymagania współczesnej ekonomii. Właśnie spośród rodzinnych imperiów przemysłowych rządy epoki de GaulleŹ i Giscarda d'Estaing wytypowały grupę "champions nationaux", liderów przemysłu krajowego, obdarzonych wszystkimi, możliwymi w poddanej wpływowi państwa gospodarce, przywilejami: zamówieniami państwowymi, subsydiami, ulgami podatkowymi i wreszcie celną ochroną krajowego rynku swoich produktów. W 1980 roku istniało we Francji 20 takich "wiodących" konsorcjów przemysłowych, zatrudniających około 1,8 mln pracowników i skupiających 29,8% francuskiego potencjału przemysłowego. One właśnie stały się drugim obok banków celem nacjonalizacji. W oczach socjalistów te często deficytowe kolosy przemysłowe uosabiały przecież wszechwładzę wielkiego kapitału, a także symbolizowały zastój francuskiej gospodarki i woluntaryzm polityki ekonomicznej prawicowych rządów. Trudno jednak było spodziewać się po francuskich socjalistach entuzjazmu dla jakiejś socjaldemokratycznej wersji hasła "małe jest piękne". Scentralizowane imperia przemysłowe stały się, szczególnie po nacjonalizacji, idealnym narzędziem sprawowania rozszerzonej kontroli nad gospodarką. Zarządzanie nimi otwierało także przed socjalistami nową przestrzeń egzekwowania politycznej władzy. Dość wspomnieć o możliwościach wynagradzania nominacjami w gospodarce własnej klienteli politycznej i w końcu decydowania, jak za starych dobrych gaullistowskich czasów o tym, które z nieznacjonalizowanych jeszcze przedsiębiorstw otrzyma zamówienie od dominującego na rynku państwowego kontrahenta. Tak więc po 1981 roku największe konsorcja zmieniły tylko administratorów, otrzymując w zamian, przynajmniej do 1984 roku, możliwość swobodnego korzystania z zasobów znacjonalizowanych banków. Łatwy pieniądz okazał się dość wątpliwym katalizatorem modernizacji i reform. Doprowadził do utrwalenia scentralizowanej struktury gospodarki, a nawet przyspieszył procesy koncentracji kapitału i monopolizacji rynku. W 1989 roku, 20 największych konsorcjów przemysłowych skupiało już nie 29,8% ale 34% (a więc przeszło trzecią część) francuskiego potencjału przemysłowego.

Proces koncentracji francuskiego przemysłu postępował bez względu na częściową reprywatyzację, przeprowadzoną w latach 1986–1988, w okresie "koabitacji", kiedy Francją rządził socjalistyczny prezydent i wyłoniony po przegranych przez lewicę wyborach parlamentarnych, centroprawicowy rząd Jacquesa Chiraca. Znajdując się w opozycji, Chirac i jego najbliżsi współpracownicy używali języka liberalnej ideologii (często z ostrością i czystością jakiej nie powstydziłby się Korwin-Mikke). Chiracowska RPR, jako partia opozycyjna, starała się w pierwszej połowie lat 80. zerwać z tradycją francuskiego etatyzmu i reprezentować ideały rewolucji liberalnej która wyniosła do władzy Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. Praktyka zdominowanego przez chirakowskich młodych liberałów rządu epoki "koabitacji" różniła się jednak od deklaracji dawnych opozycjonistów. Francuska reprywatyzacja lat 1986–1988. nie wiązała się z modernizacją i decentralizacją struktury reprywatyzowanych przedsiębiorstw. Nie prowadziła też do zrealizowanego w pewnym stopniu przez Margaret Thatcher "upowszechnienia własności" poprzez preferencyjną sprzedaż akcji drobnym nabywcom, szczególnie pracownikom reprywatyzowanych przedsiębiorstw. Chirakowska prywatyzacja nie zawierała tym samym mechanizmów blokujących ewentualną ponowną nacjonalizację sprywatyzowanych przedsiębiorstw. Prywatyzacja wielkich grup przemysłowych, przy zachowaniu ich scentralizowanej struktury, oznaczała, podobnie jak wcześniej socjalistyczna nacjonalizacja, przede wszystkim okazję do szeregu nominacji i rozszerzenia własnych wpływów politycznych w świecie finansów. Tym bardziej, że Chirac nie zrezygnował z praktyki subsydiowania przedsiębiorstw, zarządzanych przez bliskich mu politycznie administratorów.

Drugim, obok centralizacji gospodarki, procesem, którego ciągłość zdumiewa, jeśli wziąć pod uwagę częste w latach 80. zmiany rządów i obietnice radykalnej zmiany polityki gospodarczej, był stały wzrost obciążeń finansowych prywatnych przedsiębiorstw, wzrost masy pieniądza podlegającej państwowej redystrybucji. Także w tym wypadku epoka socjalistycznych rządów nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dochody i wydatki państwa zawsze były we Francji wyższe niż w innych państwach wysokouprzemysłowionych. W okresie rządów generała de Gaulle'a suma pieniędzy ściąganych przez państwo w postaci składek socjalnych, oraz bezpośrednich i pośrednich podatków równała się 34% wartości francuskiego PNB. W latach rządów Giscarda d'Estaing suma ta wynosiła już przeciętnie 42%, a w latach 80. około 44% PNB. Największy skok wielkości państwowej

redystrybucji nastąpił w czasach prezydentury reprezentujacego ideały tradycyjnej francuskiej prawicy etatystycznej Giscarda d'Estaing. Co bardziej złośliwi dziennikarze francuscy lubili przypominać Giscardowi, że po swym zwycięstwie wyborczym obiecywał zahamować wydatki państwa i twierdził, że powyżej czterdziestoprocentowego wskaźnika redystrybucji zaczyna się socjalizm. Te słowa okazały się mieć moc wyroczni. Na początku lat 80. administracja decydowała już o rozdziale sumy równej blisko 43% wartości francuskiego PNB, a sam Giscard musiał oddać władzę nad przyzwyczajonym do wszechobecności państwa społeczeństwem w ręce uosabiających ideały etatyzmu socjaldemokratów. W 1990 roku wartość redystrybuowanych przez państwo pieniędzy równała się 44,1 % wartości francuskiego PNB. Prawie połowę tej sumy (43,6%) stanowiły obowiązkowe składki socjalne, a resztę bezpośrednie i pośrednie podatki. Ciągle nie wystarczało to zresztą na pokrycie gigantycznych wydatków państwa, które w 1992 roku szacowane były na około 45% wartości PNB (dla porównania, w 1991 wydatki państwa w USA wyniosły 33,9%, a w Japonii 26,5% wartości rocznego PNB tych krajów). Francuski deficyt budżetowy wyniósł w 1991 roku około 120 miliardów franków, a szacunki z początków b.r. mówiły o możliwości jego wzrostu w 1992 roku do 160 mld. Nadmierne obciążenie finansowe gospodarki uderzało przy tym szczególnie w małe przedsiębiorstwa. Wysokie opodatkowanie i szybko rosnące obowiązkowe składki socjalne tworzyły przed tysiącami małych, lub tworzonych dopiero firm, prawdziwą barierę fiskalną uniemożliwiającą inwestycje i blokująca perspektywy rozwoju. Większość pieniędzy ściąganych z małych i średnich przedsiębiorstw francuskich trafiało zresztą, w postaci dotacji i ulg podatkowych, do wielkich, często deficytowych konsorcjów. Kontynuacja przez PS polityki faworyzowania grup przemysłowych doprowadziła po 1982 roku do nieoczekiwanego zbliżenia pomiędzy socjalistami a organizacjami francuskiego patronatu, zrzeszającymi dyrektorów największych, zarówno prywatnych jak też znacjonalizowanych przedsiębiorstw. Rządzącym socjalistom z wielu względów opłaciło się okazywanie przychylności wielkim przedsiębiorstwom i grupom przemysłowym. Po pierwsze, zatrudniający trzy osoby producent skarpetek, lub kilkunastoosobowe biuro projektowe zachowują zbyt dużą niezależność od państwowej administracji. Firmy tej skali nie są potencjalnymi wykonawcami gigantycznych zamówień państwowych, za których przyznanie gotowe byłyby się odwdzięczyć przelewając sporą sumę na konto rządzącej partii, lub zatrudniając na dyrektorskim stanowisku jakiegoś młodego yuppie z szeregów partyjnego aparatu. Zniknięcie tysiąca przeciążonych fiskalnie małych firm, nawet jeśli zwiększy liczbę bezrobotnych o kilkanaście tysięcy osób, będzie miało mniejszy rezonans polityczny niż redukcja tysiąca miejsc pracy w jakimś "wiodącym" przedsiębiorstwie francuskim. W drugim przypadku można spodziewać się strajku (poziom zatrudnienia w dużych zakładach przemysłowych jest broniony przez silne i często współpracujące w zachowaniu status quo z dyrekcją, związki zawodowe), utyskiwania prasy nad nieudolnością rządu, i wreszcie interwencji lokalnych deputowanych. Na przykład; spektakularna dymisja socjalistycznego mera Clermont–Ferrand obroniła przed likwidacją znajdujące się w tym mieście zakłady produkcji opon "Michelin". Pod naciskiem skandalu politycznego spowodowanego tą dymisją, ówczesna pani premier Edith Cresson przyznała deficytowym zakładom dotację budżetową, a były mer stanął (jako faworyt) do regionalnych wyborów uzupełniających. Logika wzajemnych stosunków pomiędzy francuską klasą polityczną i francuską elitą gospodarczą sprawia, że tysiące małych przedsiębiorstw, nie posiadających własnego politycznego czy propagandowego lobby, ponosi koszty archaicznej polityki inwestycyjnej przemysłowych gigantów. Taki stan rzeczy ma jednak poważne konsekwencje dla całej gospodarki francuskiej. Bowiem mimo wysokiego stopnia koncentracji przemysłowej, to właśnie 266 tysięcy przedsiębiorstw zatrudniających do 500 pracowników, decyduje o ekspansywności francuskiej ekonomii i tworzy francuski rynek pracy. Bankructwa i spadek liczby nowo rejestrowanych małych przedsiębiorstw spowodowały dramatyczny wzrost liczby bezrobotnych, z 1,5 mln na początku lat 80. do trzech milionów (około10% populacji w wieku produkcyjnym) na początku 1993 roku, przy niezmienionej (1,8 mln) liczbie pracowników 20 największych francuskich grup przemysłowych.

Scentralizowane imperia przemysłowe stały się, szczególnie po nacjonalizacji, idealnym narzędziem sprawowania rozszerzonej kontroli nad gospodarką. Zarządzanie nimi otwierało także przed socjalistami nową przestrzeń egzekwowania politycznej władzy. Dość wspomnieć o możliwościach wynagradzania nominacjami w gospodarce własnej klienteli politycznej i w końcu decydowania, jak za starych dobrych gaullistowskich czasów,o tym, które z nieznacjonalizowanych jeszcze przedsiębiorstw otrzyma zamówienie od dominującego na rynku państwowego kontrahenta.

Nowe "200 rodzin"

Jedyną niekwestionowaną nowością jaką zaowocowało we francuskiej ekonomii 12 lat socjalistycznych rządów, było pojawienie się sporej grupy nowych postaci; przedsiębiorców i finansistów potrafiących równie umiejętnie korzystać z finansowej, jak też politycznej koniunktury. Większość z nich była oczywiście sympatykami lewicy, zdarzali się nawet wyżsi urzędnicy socjalistycznej administracji, którzy korzystając z zebranego doświadczenia i politycznego poparcia zaryzykowali karierę w świecie wielkich interesów. Przykładem umiejętnego wykorzystania politycznej pozycji może być błyskotliwa kariera Jeana–Charlesa Naouriego. Naouri, absolwent Ecole Normale Superieure i Ecole Nationale d'Administration, francuskiego odpowiednika *SGPiS*u, był w pierwszej połowie lat 80. działaczem PS i urzędnikiem Ministerstwa Finansów. Posiadał zatem dwa atuty pozwalające zasiąść do socjalistycznej wersji gry w "Monopol". Po dojściu do władzy socjalistów Naouri przygotował, na zlecenie Delorsa, projekt modernizacji francuskiej giełdy. W przeciwieństwie do USA i Wielkiej Brytanii,

francuskie ustawodawstwo giełdowe zawsze wyłączało z decydowania o losach przedsiębiorstwa właścicieli małych pakietów akcji. Preferencje dla "poważnych udziałowców" prowadziły do paradoksów w rodzaju możliwości kontrolowania spółki, lub szeregu spółek przez osobę posiadającą w każdej z nich zaledwie kilkunastoprocentowy udział. Projekt Naouriego nie proponował zmiany tej, ułatwiającej giełdowe spekulacje tradycji i "demokratyzacji" giełdy. Chodziło w nim raczej o rozbudowę mechanizmów kontrolnych pozwalających rządowi blokować "niewygodne" operacje giełdowe. "Reforma" miała też usprawiedliwić wyższe opodatkowanie obrotów giełdy. Po odejściu Delorsa w 1984 roku, Naouri awansuje na stanowisko dyrektora gabinetu nowego socjalistycznego ministra finansów Pierre Beregovoy'a. Dał się wówczas poznać jako zręczny negocjator. Na zlecenie Beregovoy'a prowadził m.in. rozmowy z Dawidem Rotschildem, który kilka lat po nacjonalizacji otrzymał od socjalistów zgodę na stworzenie nowego banku. W 1986 roku, po zwycięstwie prawicy, Naouriemu proponuje się marginalne stanowisko w ministerstwie. Zamiast korzystać z łaski prawicowego premiera Naouri woli jednak polegać na znajomościach jakie zawarł w okresie swego urzędowania. Jego wiarygodność w środowisku finansowym powiększa fakt, że w 1986 roku Francją ciągle rządził socjalistyczny prezydent, a i wynik wyborów prezydenckich w 1988 roku pozostawał wielką niewiadomą. Pod koniec 1986 roku J.C. Naouri startuje do interesów dysponując sumą 500 milionów franków, pożyczona u wielkich prywatnych inwestorów. Niektórzy z jego dobroczyńców to typowi różowi milionerzy, jak na przykład Robert Maxwell,długo wspierający finansowo brytyjskich socjaldemokratów, czy Andre Rousselet, mianowany przez socjalistów administrator płatnego programu francuskiej telewizji. W Nauriego inwestują zresztą także firmy, których dyrektorzy sprzyjają tradycyjnie prawicy, jak na przykład L'Oréal czy Carrefour. Pod koniec 1991 roku, działając w ramach zaprojektowanego przez samego siebie ustawodawstwa giełdowego, a także korzystając z poparcia swego dawnego przełożonego Pierre Beregovoy, (który po 1988 roku znowu piastował stanowisko ministra finansów, a następnie szefa rządu), Naouri, posiadacz pakietu akcji o wartości kilkuset milionów franków, kontroluje "kaskadę" holdingów o łącznym kapitale 3,5 miliarda franków. Innym biznesmenem z nominacji jest Jean Peyrelevade, nazywany "papieżem sektora publicznego". Mianowany na początku lat 80. dyrektorem znacjonalizowanego banku Suez, zostaje odwołany z tego stanowiska przy okazji reprywatyzacji banku przez rząd Chiraca. W rekompensacie za umiejętne postępowanie z prywatnymi udziałowcami "Suezu", Peyrelevade otrzymuje w latach "koabitacji" prezesurę małego banku inwestycyjnego "Stern". Ponowne powołanie socjalistycznego rządu w 1988 roku to także nowa, poważna nominacja. Peyrelevade zostaje dyrektorem największego, oczywiście znacjonalizowanego, francuskiego towarzystwa ubezpieczeniowego UAP. Pod koniec rządów socjalistycznych, pięćdziesięciodwuletni Jean Peyrelevade kontrolował trójkąt finansowy składający się z UAP, Banque Nationale de Paris i zreprywatyzowanego "Suezu", którego prezes, wywodzący się z tradycyjnej finansjery francuskiej Gerard Worms, zawdzięcza swoje stanowisko finansowemu poparciu ze strony Peyrelevade.

> ***Prywatyzacja wielkich grup przemysłowych, przy zachowaniu ich scentralizowanej struktury, oznaczała, podobnie jak wcześniej socjalistyczna nacjonalizacja, przede wszystkim okazję do szeregu nominacji i rozszerzenia własnych wpływów politycznych w świecie finansów.***

Do prowadzenia ambitnej polityki w świecie finansów potrzebne są oczywiście pieniądze. Jak już wspomnieliśmy, socjaliści zapewnili je sobie nacjonalizując banki i obsadzając swoimi ludźmi kluczowe stanowiska we francuskiej administracji bankowej. Centrum prowadzonych przez socjalistyczny rząd operacji finansowych stał się pod koniec lat 80. znacjonalizowany w 1982 roku bank "Crédit Lyonnais". Od 1988 jego dyrektorem jest Jean-Yves Harberer. Oczywiście jest on socjalistą. Przynajmniej w latach 80., gdyż w latach 60. Harberer, mający za sobą długą karierę we francuskiej bankowości, był przekonanym gaullistą, a w latach 70. giscardystą. Socjaliści zrobili jednak dla niego najwięcej, choćby dlatego, że dzięki nacjonalizacji ich możliwości "robienia czegoś" w świecie finansów znacznie się powiększyły. W 1982 roku Jean-Yves Harberer zostaje mianowany dyrektorem znacjonalizowanego banku przemysłowego "Paribas". W 1987 roku pada ofiarą chiracowskiej reprywatyzacji. Traci wówczas 10 kg wagi i popada w depresję nerwową. Otrząśnie się z niej dopiero pod koniec 1988, kiedy nowy socjalistyczny premier mianuje go dyrektorem "Crédit Lyonnais". Na nowym stanowisku Harberer zrobi wszystko by zapomnieć o odniesionym afroncie. "Crédit Lyonnais" staje się pod jego zarządem symbolem ekspansywności i wszechmocy francuskiego sektora państwowego. Także wszechmocy, gdyż niestety nowy "wiodący" bank działa w niejasnym kontekście prawnym. Prawicowej opozycji od 1989 do 1993 roku nie udaje się doprowadzić do powołania komisji parlamentarnej, która zbadałaby zgodność z prawem wielu, głośnych operacji finansowych "C.L.", jak choćby próby przejęcia, na polecenie Ministra Finansów, kontroli nad zreprywatyzowanym przez Chiraca bankiem "Société Générale". Wnioski opozycji są blokowane w parlamencie przez przewodniczącego Komisji Finansowej Zgromadzenia Narodowego, którym przez większą część ostatniej kadencji był skarbnik PS Henri Emmanuelli. Bez obawy popadnięcia w przesadę, zaryzykować można twierdzenie, że zarządzany przez Harberera "Crédit Lyonnais" właściwie przestał być bankiem. Bank powinien bowiem dbać przede wszystkim o rentowność prowadzonych przez siebie operacji finansowych. Tymczasem najbardziej znane operacje "C.L." były raczej akcjami propagandowymi i podejmując je z góry liczono się z poniesieniem znacznych strat finansowych. "Crédit Lyonnais" stracił ok. 1,7 miliarda franków zainwestowanych w fikcyjne imperium finansowe Maxwella. Zaledwie część z tych pieniędzy powróciła do Francji w postaci "darowizny" jaką Maxwell uczynił sponsorując celebrowane przez socjalistów obchody dwustulecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej. 6 miliardów franków "CL" pożyczył aresztowanemu później i oskarżonemu o współpracę z mafią Giancarlo Parrettiemu. Włoski finansista, doskonale znający polityczny podtekst francuskiego życia gospodarczego, rozpoczął swoją karierę we Francji, próbując uratować od bankructwa socjalistyczny dziennik "Le Matin de Paris". "C.L." pożyczył także 480 milionów

franków spółce "Max Theret Investissement", założonej przez Maxa Thereta, innego socjalistycznego milionera zamieszanego w większość afer gospodarczych lat 80. Tych pieniędzy także nie udało się nigdy odzyskać. W momencie otrzymywania półmiliardowej pożyczki spółka "MTI" posiadała zaledwie około miliona franków własnego kapitału. Jedna z filii "Crédit Lyonnais" stała się w końcu osobistym bankiem Bernarda Tapie, miliardera poruszającego się na granicy prawa, który, zanim stał się właścicielem holdingu o wielomiliardowym kapitale, ośmiokrotnie likwidował i "odbudowywał" swoją firmę, korzystając za każdym razem ze wszystkich możliwych ulg podatkowych i dotacji. Ostatnia głośna operacja finansowa Tapiego, przejęcie kontroli nad "Adidasem", została przeprowadzona wyłącznie dzięki pożyczce udzielonej mu przez "C.L." Operacja, której kosztów nie usprawiedliwiała zła sytuacja finansowa "Adidasa", miała wszelkie cechy politycznej akcji propagandowej. Chodziło w niej o udowodnienie, że francuski przedsiębiorca, będący w dodatku marsylskim deputowanym z ramienia PS, jest zdolny przejąć kontrolę nad znaną firmą niemiecką. Udział funduszy publicznych w całej tej operacji stał się zrozumiały dopiero pod koniec 1991 roku, kiedy nazwisko Bernarda Tapie znalazło się na czele listy socjalistycznych kandydatów w odbywających się w marcu 1992 wyborach władz największego regionu Francji, obejmującego Prowansję, Alpy i Lazurowe Wybrzeże. Tapie był lewicowym kontrkandydatem Jean Marie Le Pena, prowadzącego listę Frontu Narodowego w regionie, w którym partia ta cieszy się największym poparciem. Kupno przez Tapiego "Adidasa", sfinansowane przez "CL" za zgodą, lub nawet z inicjatywy ministra finansów, można uznać za największą państwową pożyczkę finansującą socjalistyczną kampanię wyborczą. Inwestycja w "Adidasa" opłaciła się Tapiemu i jego bankowi wyłącznie na planie politycznym. Klęska wyborcza socjalistów w wyborach regionalnych z marca 1992 roku okazała się istotnie najmniej dotkliwa na południu Francji, gdzie listę socjalistyczną prowadził Tapie – "Francuz, który kupił 'Adidasa' od Niemców". Natychmiast po wyborach Tapie, mianowany przez premiera Beregovoy'a w nagrodę za relatywny sukces wyborczy Ministrem ds. Miast, zaczął szukać sposobu pozbycia się kłopotliwego argumentu wyborczego. Mimo masowych redukcji "Adidas" przynosił rosnące z miesiąca na miesiąc straty. 6 lipca 1992 Tapie ogłasza, iż udało mu się znaleźć nabywcę. Wstępny kontrakt podpisuje z nim brytyjska firma prywatna "Pentland". Jednak już jesienią, przed ratyfikowaniem umowy, natomiast po zapoznaniu się z katastrofalną sytuacją "Adidasa" Anglicy rezygnują z transakcji. Zbliżają się wybory parlamentarne, w których socjaliści muszą ponieść klęskę. Tapie i jego przyjaciele z kierownictwa PS rozumieją, że mają przed sobą ostatnią okazję wykorzystania mechanizmów stworzonych przed dwunastu laty przez nacjonalizację. W styczniu 93. prezes "CL" Jean-Yves Harberer podejmuje swoją ostatnią polityczną decyzję i wraz z będącym także własnością państwa towarzystwem ubezpieczeniowym UAP wykupuje udziały Bernarda Tapie przejmując praktycznie kontrolę nad "Adidasem". Urzędnicy UAP informują prasę nieoficjalnie, że uczestnictwo ich firmy w przejęciu "Adidasa" zostało wymuszone przez Ministerstwo Finansów i Pałac Elizejski. Ów kontrolowany przeciek wynikał po trosze z tego, że szef UAP, Jean Peyrelevade przygotowywał się już do własnej "koabitacji" ze zwycięską prawicą. Skandal jest tym większy, że w tym samym momencie, na niecałe dwa miesiące przed wyborami i prawdopodobną utratą przez socjalistów politycznej kontroli nad sektorem państwowym, znacjonalizowana spółka ELF wykupuje kontrolę nad przedsiębiorstwem Yves Saint Laurent z rąk dotychczasowego dyrektora firmy Pierra Bergé, czołowego przedstawiciela paryskiej "kawiorowej lewicy", osobistego przyjaciela Mitterranda, wydawcy socjalistycznego tygodnika "Glob", pełniącego także z nominacji PS funkcję dyrektora Opery Paryskiej. Kilka dni po transakcji do prasy trafiają informacje o tragicznej sytuacji finansowej YSL, którego zyski spadły w ciągu samego tylko 1992 roku o 25%. Francuscy dziennikarze piszą, że socjaliści opuszczają instytucje republikańskie z *Kapitałem* w kieszeni. Deputowani centroprawicy wnioskują o powołanie parlamentarnej komisji śledczej, a Bernard Tapie mówi w jednym z przedwyborczych wywiadów: "sposób, w jaki prawicowi politycy atakują zawierane legalnie transakcje finansowe, dowodzi głębokiej pogardy ludzi prawicy dla przedsiębiorców".

Logika wzajemnych stosunków pomiędzy francuską klasą polityczną i francuską elitą gospodarczą sprawia, że tysiące małych przedsiębiorstw, nie posiadających własnego politycznego czy propagandowego lobby, ponosi koszty archaicznej polityki inwestycyjnej przemysłowych gigantów.

Kiedy państwo gra na giełdzie

Wbrew wyborczym obietnicom socjalistów "więcej państwa" oznaczało także więcej korupcji. Największe afery finansowe epoki Mitterranda miały przy tym zupełnie inny charakter niż "prywatna" korupcja znana z okresu rządów Giscarda. Wówczas prawo naruszał najczęściej pojedynczy przedsiębiorca i pojedynczy polityk (ewentualnie wraz z grupą swoich najbliższych współpracowników). W dekadzie socjalistycznej "gospodarki mieszanej" podmiotami afer korupcyjnych stały się całe grupy przemysłowe i partie polityczne. Korupcja czy, mówiąc bardziej oględnie, nielegalne finansowanie partii politycznych w zamian za dopuszczenie do gigantycznego rynku państwowych zamówień, z przestępstwa kryminalnego stało się nowym rodzajem półoficjalnej redystrybucji dóbr i kapitałów.

Najpoważniejszą aferą finansową końca lat 80., która skompromitowała rządzącą wówczas Partię Socjalistyczną, stał się skandal związany z fałszywymi fakturami, wystawianymi przez wielką firmę projektowo-budowlaną "Urba Technic". 17 kwietnia 1989 roku, w czasie niespodziewanej rewizji przeprowadzonej w marsylskich biurach towarzystwa "Urba", w ręce inspektora Antoine'a Gaudino, prowadzącego śledztwo w drobnej sprawie korupcyjnej, dostał się zeszyt z notatkami prowadzonymi przez jednego z dyrektorów "Urby", Josepha Delcroix. W "zeszycie Delcroix" znajdowała się długa lista nazwisk polityków, zwykle deputowanych różnych szczebli, przede wszystkim (ale nie tylko) socjalistycznych, którzy otrzymali od "Urby" pieniądze w zamian

za pomoc w przyznaniu tej firmie publicznych zamówień. Kwoty wpłacane na konta polityków lub bezpośrednio na konta różnych instancji PS "kryte" były w księgowości firmy przez fałszywe faktury wystawione za fikcyjne prace i nieistniejące budynki. Wiekszość z zatrzymanych przez Gaudino urzędników "Urby" złożyła wyczerpujące zeznania i inspektor miał wszelkie szanse na doprowadzenie do końca swego kompromitującego francuską klasę polityczną śledztwa. Jednak w tym samym czasie, w połowie 1989 roku, socjalistyczni posłowie przedstawili w Zgromadzeniu Narodowym projekt ustawy amnestyjnej obejmujący polityków zamieszanych w afery związane z nielegalnym finansowaniem partii politycznych, a szczególnie ostatniej kampanii przed wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi. Ustawa amnestyjna została wkrótce uchwalona. Poza socjalistyczną, mniejszościową frakcją parlamentarną, głosowała za jej przyjęciem także spora grupa posłów centroprawicy, których nazwiska znalazły się akurat w "zeszycie Delcroix". Dla pewnego, cytowanego wówczas przez prasę, anonimowego urzędnika "Urby" fakt płacenia łapówek politykom należącym do obu zwalczających się obozów, służył "zbliżeniu stanowisk i złagodzeniu ideologicznych sporów". Michel Reyt, prezes "SAGES" – innego wykorzystywanego przez socjalistów towarzystwa pośredniczącego w uzyskiwaniu państwowych zamówień, wyrażał się bardziej prostacko, mówiąc o swoich klientach z różnych partii: "miałem ich wszystkich w kieszeni". Tak czy inaczej, ustawa amnestyjna została uchwalona i sprawa "Urby" wydawała się zamknięta. Inspektor Gaudino, któremu tymczasem odebrano akta "Urby", opublikował jeszcze co prawda książkę *Niemożliwe śledztwo*, gdzie ujawnił nazwiska polityków wymienionych w "zeszycie Delcroix", ale został za to zawieszony w swoich funkcjach przez socjalistycznego ministra spraw wewnętrznych Pierra Joxe. Gaudino oskarżono o ujawnienie tajemnicy śledztwa.

Materiały zebrane przez odwołanego inspektora zostały przekazane prokuraturze, która, ku ogólnemu zaskoczeniu, zdecydowała że śledztwo może być kontynuowane. Amnestia z 1989 roku obejmowała tylko nielegalne finansowanie partii politycznych, nie podlegały jej przestępstwa związane z osobistym bogaceniem się polityków. Tymczasem z zebranych przez Gaudino informacji wynikało jednoznacznie, że wielu urzędników "Urby" i polityków zatrzymywało dla siebie, w charakterze prowizji, część przechodzących przez ich ręce sum. Na początku 1990 roku rozpoczęła się, trwająca dwa lata, walka proceduralna pomiędzy urzędnikami francuskiej prokuratury a ich zwierzchnikiem, socjalistycznym ministrem sprawiedliwości Henrim Nallete. Upór Nalleta w blokowaniu śledztwa wynikał z faktu, że przed objęciem funkcji ministerialnej był on skarbnikiem kampanii wyborczej prezydenta Mitterranda, w trakcie której popełniono, jak się wydaje, najwięcej finansowych nadużyć. Pod naciskiem Nalleta odwołani zostali trzej kolejni sędziowie śledczy, zajmujący się sprawą "Urby". Podobny los spotkał dwóch sędziów zbierających dowody przeciwko Jean-Michelowi Boucheron, byłemu socjalistycznemu merowi Angouleme, oskarżonemu o defraudację pieniędzy z kasy miejskiej. Tak jawne naruszanie niezawisłości wymiaru sprawiedliwości, spowodowało fenomen nazywany "buntem sędziów" skierowanym oczywiście przede wszystkim przeciw PS, partii ministra Nalleta i partii, która zainicjowała autoamnestię francuskiej klasy politycznej w roku 1989. Zastępujący odwołanych kolegów sędziowie uparcie kompletowali informacje dotyczące powierzonych sobie spraw. Renaud Van Ruymbeke, sędzia śledczy, któremu jako ostatniemu, w 1991 roku, powierzono sprawę "Urby", korzystając z prawie kompletnych materiałów, zebranych przez swoich poprzedników, przeprowadził 13 i 14 stycznia 1992 roku trzy rewizje. Rewizja przeprowadzona 13 stycznia w lokalu PS w Mans pozwoliła sędziemu Van Ruymbeke zatrzymać i postawić w stan oskarżenia dwóch lokalnych deputowanych socjalistycznych. Następnego dnia, Van Ruymbeke udał się do Paryża, nie powiadamiając przełożonych o celu swej misji. W stolicy sędzia śledczy w asyście grupy policjantów, przeprowadził gruntowną rewizję w paryskiej siedzibie towarzystwa "SAGES", konkurującej z "Urba" "pompy finansowej" PS. Następnie udał się do budynku przy ulicy Solferino, gdzie mieszczą się biura krajowych władz Partii Socjalistycznej. Dyskietki komputerowe znalezione przez sędziego w siedzibie partii rządzącej Francją zawierały nazwiska i numery kont bankowych posłów i polityków socjalistycznych bezpośrednio uczestniczących w "wymianie usług" pomiędzy PS a firmami "Urba" i "SAGES". Okazało się, że wiele operacji finansowych przeprowadzano zupełnie jawnie. Dyrektorzy finansujących PS przedsiębiorstw, rozzuchwaleni dwuznaczną aurą prawną otaczającą w początkach drugiej kadencji Mitterranda finansowanie partii politycznych, informowali o swoich poczynaniach nawet urząd podatkowy. I tak na przykład w deklaracji podatkowej swojej firmy za rok 1988, prezes towarzystwa "SAGES" Michel Reyt umieścił, jako koszta własne firmy, między innymi sumę zapłaconą za wydrukowanie 48 tysięcy ulotek wyborczych socjalistycznego premiera Michela Rocarda, opłatę za wydrukowanie plakatu wyborczego prezydenta Mitterranda, oraz rachunki za podróże, hotele i "uczty republikańskie", wyprawiane w czasie kampanii wyborczej 1988 przez dwudziestu socjalistycznych kandydatów na posłów do Zgromadzenia Narodowego.

> ***...opisana już przez Tocqueville'a tradycja francuskiego centralizmu, a także aktualny układ sił w przyzwyczajonym do państwowej redystrybucji społeczeństwie i scentralizowanej ekonomii francuskiej, wymusza zachowania proetatystyczne na wszystkich rządzących Francją ekipach, bez względu na ich wyborcze deklaracje i ideologiczne usytuowanie.***

Okazje do innego typu nadużyć stwarzają operacje giełdowe z udziałem znacjonalizowanych banków i przedsiębiorstw. Klasycznym przykładem skandalu polityczno-giełdowego była, datująca się z początków drugiej kadencji Mitterranda, afera "Pechiney". W grudniu 1988 roku socjalistyczny minister finansów Pierre Beregovoy poinformował o wykupieniu dużego pakietu akcji i przejęciu kontroli nad amerykańską firmą American National Can (Triangle) przez znacjonalizowany w 1982 roku francuski koncern metalurgiczny Pechiney. Wartość akcji Triangla na giełdach światowych natychmiast wzrosła. Dwa miesiące później francuska prasa poinformowała o śledztwie

prowadzonym przez COB – komisję kontrolującą prawidłowość operacji giełdy francuskiej. COB zainteresowały zakupy pakietów akcji Triangla dokonane w dniach 15,16,17 listopada, a więc na parę tygodni przed oficjalną deklaracją ministra finansów. Kupujący musieli zostać uprzedzeni o przygotowanej pod auspicjami Ministerstwa Finansów operacji. W żargonie francuskich inspektorów giełdowych udzielanie takich informacji i korzystanie z nich nazywane jest "przestępstwem wtajemniczonych". Przestępstwo takie narusza równość szans wszystkich klientów giełdy, i grożą za nie wysokie kary.

Akcje Triangla zakupiło przede wszystkim kilka banków szwajcarskich reprezentujących nieznanych zleceniodawców. Urzędnicy *COB*u zdołali ustalić tylko dwa nazwiska osób, które uczestniczyły bezpośrednio w spekulacjach akcjami amerykańskiej firmy. Jedną z nich był wspomniany już w tym artykule Max Theret, socjalistyczny finansista korzystający z niewyczerpanych rezerw państwowego banku "Crédit Lyonnais". Theret zakupił 32 300 akcji Triangla, które po zwyżce kursu przyniosły mu 8 milionów 800 tysięcy franków zysku. Drugim dobrze poinformowanym "ryzykantem" okazał się Roger–Patrice Pelat, także finansista, sympatyk PS. Jego przyjaźń z Mitterrandem sięgała jeszcze lat drugiej wojny światowej, kiedy wraz z przyszłym socjalistycznym prezydentem przebywał w niewoli niemieckiej. Pelat kupił 10 tysięcy akcji, które następnie odsprzedał, uzyskując około 2 milionów 200 tysięcy franków zysku. Prawdopodobnie także na zlecenie Pelata, 91 tysięcy akcji Triangla zakupił mały bank IDB z siedzibą na Antylach Brytyjskich. W czasie przeprowadzonego w lutym 1989 roku sondażu 80% pytanych Francuzów twierdziło, że afera Pechiney nie zostanie wyjaśniona do końca, że nigdy nie ujawni się wszystkich rzeczywistych beneficjentów dokonanej spekulacji giełdowej. Proces w sprawie Pechiney rozpoczął się istotnie dopiero cztery lata później, już po zwycięstwie wyborczym prawicy i pod nieobecność głównego podejrzanego. Roger Pelat zmarł nagle 7 marca 1989 roku, w kilka dni po oficjalnym postawieniu go w stan oskarżenia. Jego nagła śmierć odsłoniła zresztą kolejną aferę finansową końca socjalistycznej epoki, sprawę pożyczki Pelata dla ministra finansów, a następnie premiera Pierre Beregovoy'a. To właśnie urzędnicy podatkowi, porządkujący spuściznę podatkową po Pelacie, ujawnili, że dwa miliony franków przekazane przez niego socjalistycznemu ministrowi i wydane na zakup luksusowego apartamentu w centrum Paryża, były prawdopodobnie prezentem. Dorabiane nieudolnie w czasie prowadzonej kontroli dowody częściowego zwrotu tej sumy przez Beregovoy'a nie potwierdzały tezy o traktowaniu jej przez obie strony jako zwykłej pożyczki.

Fatum i demokracja

Dość już jednak o aferach i skandalach. Pisałem o nich wcale nie po to, by wykazać, że socjaliści, którzy doszli do władzy pod hasłami uzdrowienia moralnego polityki i ekonomii, okazali się bardziej skorumpowani niż reszta francuskiej klasy politycznej. Byli co najwyżej większymi hipokrytami. Ale do hipokryzji zmuszał ich, używany przez nich ciągle ideologiczny język, ukrywający grupowe interesy i walkę o polityczną dominację za ładnie brzmiącymi i nieokreślonymi hasłami "walki o społeczną sprawiedliwość" i "działania w imię wspólnego dobra". Oni też, kontynuując i przyspieszając procesy etatyzacji francuskiej ekonomii, stworzyli więcej pokus, więcej okazji do masowej korupcji, dla siebie i swoich ewentualnych następców.

Wracając jednak do głównego tematu tego tekstu, do analizy związków pomiędzy zjawiskami politycznymi i ekonomicznymi we Francji lat 80., muszę przyznać się do pewnej porażki. Przystępowałem do pisania tego artykułu jak do śledztwa. Zamiast na pytanie "Kto zabił pana X?" chciałem w nim co prawda odpowiedzieć na pytanie "Kto jest winien francuskiego zastoju gospodarczego i obsuwania się tego kraju po równi pochyłej etatyzmu ?". Upatrzyłem już sobie nawet winnego. Oczywiście mieli nim być socjaliści. Empiryczna uczciwość każe mi jednak przyznać, że opisana już przez Tocqueville'a tradycja francuskiego centralizmu, a także aktualny układ sił w przyzwyczajonym do państwowej redystrybucji społeczeństwie i scentralizowanej ekonomii francuskiej, wymusza zachowania proetatystyczne na wszystkich rządzących Francją ekipach, bez względu na ich wyborcze deklaracje i ideologiczne usytuowanie. A zatem jakieś francuskie, a może kontynentalne fatum? Fatum i demokracja? Już wyobrażam sobie śmiech Poppera komentujący tę konkluzję nazbyt zapalczywego publicysty. No więc dobrze, nie fatum, ale inercja systemu, będącego owocem szeregu konsekwentnych, podejmowanych przez następujące po sobie rządy, decyzji politycznych, szeregu wyborów mniejszego zła, mniejszego ryzyka przy ciągle malejącej swobodzie manewru. Jeżeli pomyślimy, z jakim trudem przychodzi zerwanie z półwiekową tradycją etatystycznych wyborów gospodarczych politykom rządzącym wyniszczoną gospodarczo Polską, nie będzie nas dziwić, że podobne trudności ma francuska klasa polityczna. Kolejne rządzące Francją ekipy mogą jeszcze pozwolić sobie na prowadzenie polityki ogromnego deficytu budżetowego. Państwo francuskie ma do dyspozycji "niewyczerpane" źródło dochodów w postaci nadmiernie obciążonych finansowo prywatnych przedsiębiorstw. Ciągle jeszcze jest za co finansować masowe obchody rocznicowe i imponujące inauguracje międzynarodowych imprez, mające przekonać Francuzów, że ich kraj pozostaje światowym mocarstwem. Dotychczasowe wybory polityczne Francuzów dowodziły, że są oni dalecy od zaryzykowania rozpadu scentralizowanego aparatu opieki społecznej. W zamian za obniżanie osobistych dochodów wysokimi podatkami i obowiązkowymi składkami socjalnymi, mieli oni przynajmniej jednego rozrzutnego ofiarodawcę – państwo. Każda próba radykalnego odejścia od tradycyjnej polityki ekonomicznej przynosiła podejmującej ją ekipie jedynie polityczną porażkę. Dowiodła tego choćby klęska Chiraca, który jako kandydat prawicy wystartował do wyborów prezydenckich 1988 roku z programem ultraliberalnym zrażając do siebie milionową rzeszę francuskich urzędników państwowych stanowiącą tradycyjny elektorat gaullistów i etatystycznej prawicy francuskiej. A jednak po 12 latach państwa maksimum, po dekadzie socjaldemokratycznego "kapitalizmu z ludzką twarzą urzędnika" coś się we Francji wydarzyło. Niespotykane zwycięstwo wyborcze centroprawicowej koalicji, praktyczne wyeliminowanie z parlamentu francuskiej lewicy przez 12 ostatnich lat forsującej politykę wszechobecności państwa w gospodarce i życiu społecznym sprawia, że powstała jedyna w historii V Republiki szansa na zmiany, na zrealizowanie przez centroprawicę wyborczych obietnic antyetatystycznego przełomu. Francuski elektorat wykazał zaskakującą polityczną odwagę. Ciągle jeszcze nie znamy odpowiedzi na pytanie, czy podobną odwagę okaże powracająca do władzy francuska prawica.

Otwierające dział "Polityka i Sztuka" teksty Andrzeja Kijowskiego i Wacława Lewandowskiego stawiają pytanie o, jak to sformułował Andrzej Kijowski, "pożyteczność" polskiej literatury współczesnej. Przywoływanie kryterium użyteczności w odniesieniu do literatury powstającej po wojnie w kraju wydaje się być o tyle uzasadnione, że stanowi jedynie wyciągnięcie konsekwencji z wyjątkowej pozycji społecznej jaką przez ostatnie 200 lat zajmowali w Polsce twórcy literatury, i wyjątkowej funkcji jaką miała w naszym kraju do spełnienia sama literatura traktowana przez Polaków jako świadectwo duchowej historii narodu, a także jako instytucja wychowawcza.

Konieczne jest zatem znalezienie odpowiedzi na pytanie o przyczyny ewidentnej słabości stawianych przez naszą literaturę powojenną diagnoz dotyczących narodu i państwa, a także zastanowienie się, czy polska literatura współczesna przygotowała społeczeństwo do życia w niepodległym państwie.

debata

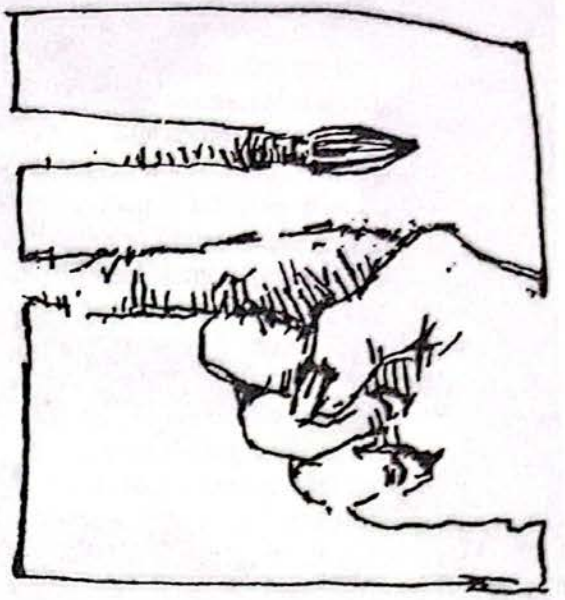

ETHOS SPOŁECZNY LITERATURY POLSKIEJ

Andrzej Kijowski

Może prościej: jak być w Polsce pożytecznym pisarzem? Za mojego życia w literaturze były na to dwa pomysły: służba w państwowej propagandzie oraz czynna opozycja. Służba w latach 1949–1954, może trochę dłużej, i potem opozycja w latach siedemdziesiątych. W środku były resztki służby i początki opozycji, czyli ni to, ni owo.

ANDRZEJ KIJOWSKI (1928 - 1985); autor zbiorów szkiców krytycznoliterackich: - m.in. "Różowe i czarne" (1957), "Arcydzieło nieznane" (1964), "Tropy" (1986), "Granice literatury" (1991), opowiadań - m.in. "Pseudonimy" (1964), esejów historycznych (m.in. "Listopadowy wieczór" (1971), a także scenariuszy filmowych - m.in. "Wesele" (1972), "Z dalekiego kraju" (1981). Redaktor "Twórczości", współpracownik "Dialogu", "Tygodnika Powszechnego", "Zapisu" i "Nowego Zapisu". W drugiej połowie lat 70. uczestnik opozycyjnego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego oraz Towarzystwa Kursów Naukowych. W latach 1981-1982 dyrektor Teatru Starego w Krakowie. Andrzej Kijowski był jedną z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych postaci życia intelektualnego PRL.

Jak to było z wzięciem literatury na służbę?

Trzeba by to powiedzieć, w jaki sposób społeczeństwo polskie zostało "przekonane" do swojej nowej sytuacji, a w szczególności w jaki sposób została "przekonana" inteligencja; jak doszło do tego, że ludzie różnych generacji i różnego doświadczenia politycznego w ciągu bardzo krótkiego czasu obracali się wokół swej ideowej osi i wstępowali do partii, którą mieli do niedawna za partię narodowej zdrady, publikowali w pismach, które mieli do niedawna za reżimowe gadzinówki, ba! ogłaszali mniej lub bardziej wymowne pochwały Stalina i coraz bardziej przymykali oczy na to, co się w Polsce wydarzyło. Oczywiście działał strach, ale nie był motywem ani jedynym ani głównym. Motywem głównym była **rozpacz**. Rozpacz, której dzieje zaczęły się już we wrześniu 1939, gdy ukochana "Najjaśniejsza", jak ją nazywano, Od-

Żaden z ogłoszonych dotąd utworów powstałych na fali opozycji nie zapowiada odnowy literatury. Wszystkie wyrastają z klimatu groteski i czarnej literatury lat sześćdziesiątych. Inaczej być nie może. Ale dziś właśnie jest moment, kiedy trzeba zastanowić się, zasłuchać w literaturę jutra, która – jak myślę – będzie, musi być literaturą w pełni odbudowanego społecznego ethosu...

rodzona, Zmartwychwstała Rzeczpospolita rozsypała się w ciągu paru dni. I to nie widok wojska w rozsypce wywołał taką rozpacz powszechną, lecz widok rządu w rozsypce, administracji państwowej w rozsypce, elity w rozsypce. Na zapylonych drogach wrześniowych społeczeństwo zobaczyło uciekające w popłochu państwo polskie. Pamiętali to najmłodsi nawet uczestnicy procesu zniewolenia w latach pięćdziesiątych; bodaj z dzieciństwa. Syndrom września był powszechny. Drugi był syndrom powstania warszawskiego, bodaj jeszcze silniejszy. Odezwała się znana z września niechęć do dowódców wojskowych i przywódców politycznych i pomnożona została o pretensję do Zachodu. Powstanie warszawskie było odpowiedzią polską na podział Europy dokonany przez Wielką Trójkę; i nie zmieniło w tym podziale nic. Społeczeństwo polskie, to znaczy inteligencja, bo ona właściwie decydowała o jego postawach, zachowała się jak kobieta, co opuszczona i zdradzona przez kochanka, oddaje rękę konkurentowi, który jej się wprawdzie nie podoba, ale rzeczywiście chce się ożenić.

Pisarze zachowali się jak większość inteligencji, z tym, że mieli jeszcze własne, dodatkowe motywy.

Czuli mianowicie "niewystarczalność" literatury wobec rzeczywistości. Wybuch wojny przypadł na słabą fazę rozwoju literatury. Dla znakomitej części społeczeństwa literatura polska kończyła się na Żeromskim, Wyspiańskim i Kasprowiczu, a cała reszta była literaturą dla literatów. I pisarze o tym wiedzieli. Mieli na to dowody w małych nakładach swych książek, w nikłym zainteresowaniu społecznym dla swej twórczości.

Wiedzieli jeszcze jedno: że w samym procesie twórczym, w formach literatury, w języku literackim nastąpiły zmiany, które im utrudniają kontakt ze społeczeństwem. Społeczeństwo domagało się żeby pisać "jak dawniej"; ani powieściopisarze, ani poeci nie umieli już, nie mogli, nie chcieli pisać "jak dawniej'. Zdarzają się takie zakłócenia w rytmie kultury; z zakłóceń takich powstają zjawiska dekadenckie. Takie zakłócenie powstało w dwudziestoleciu międzywojennym i pisarze wchodzący w nową rzeczywistość wojenną z dorobkiem i uformowaną już potencją twórczą wiedzieli, że nie sprostają temu, co się dzieje. Wiedzieli, że na opowiedzenie klęski wrześniowej, tragedii powstania, udręki obozu, więzienia i deportacji, romantyki partyzanckiej czy konspiracyjnej, trzeba by pióra Żeromskiego, Sienkiewicza, trzeba by potęgi twórczej Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego. A tymczasem fala tajemniczego odpływu zniosła ich na mielizny, skąd już nie ma powrotu. To młodzież literacka zaczynająca w samym środku wojennej burzy umiała uderzyć w ton właściwy: to Baczyński, Gajcy i Stroiński targnęli te struny romantyczne. I poginęli. Dojrzali pisarze po zakończeniu wojny zgłaszali się do wydawców z maszynopisami, które niewiele różniły się od ich przedwojennych poezji i powieści. Kto myślał, że wojna"coś" z nim zrobi, że go przemieni, wyniesie z mielizn na główny nurt wielkiej epiki czy wielkiej poezji – mylił się. Oczywiście były wyjątki: Miłosz, Nałkowska, Andrzejewski. Oczywiście, były wielkie, powojenne debiuty: Różewicz, Borowski, Żukrowski.

Ale święto nowych książek trwało bardzo krótko. W dwa lata po wojnie krytyka pytała o dalszy ciąg, o nową literaturę. Nad literaturą zawisła psychoza przełomu. Jak to: przeżyliśmy nowe, niewidziane dotąd rzeczy, mamy nową sytuację, nową rzeczywistość, jak możemy nie mieć zupełnie nowej literatury?

Więc kiedy pisarzom ofiarowano realizm socjalistyczny i ogłoszono przełom urzędowo, przyjęli dekret z zadowoleniem i jęli zachowywać się jak należy w takich chwilach: ogłaszali manifesty, teorie, wyznania i domagali się pobłażliwości dla pierwocin "nowej literatury".

Literatura została więc wzięta na służbę w aurze literackiego przełomu, którego tło psychologiczne stanowiła powojenna rozpacz: literatura została wzięta na służbę z misją tworzenia nadziei na lepszą przyszłość. Wobec konfliktu prawdy urzędowej i prawdy empirycznej – literatura znalazła się po stronie tej pierwszej. Znalazła się po jej stronie z przekonaniem, że jest to prawda większa, bo filozoficzna, bo dialektycznie uzasadniona. Cała rzeczywistość jest w ruchu – mówi dialektyka – cała rzeczywistość zmierza do swego wypełnienia w przyszłości. Zmierza do wypełnienia poprzez stadia przejściowe. Wszelkie zło jest przejściowe, i cóż z tego, że się je stwierdzi naocznie? Jego istnienie potwierdza tylko generalne prawa rozwoju. Pewnie, że jest bieda w kraju, bo gdzież się miała podziać. Dialektycznie należy do przeszłości. Cała teraźniejszość jest już przeszłością, już jej nie ma. Oczywiście, że jest terror, bo jakże inaczej nowa rzeczywistość ma się przełamać przez starą, jeśli nie siłą? Oczywiście, że kłamiemy w konwencjonalnym sensie tego słowa, bo nie mówimy i nie piszemy, jak jest; to nie jest jednak zwyczajne, trywialne kłamstwo nasze, lecz wzniosłe kłamstwo ideologii i sztuki.

Opcja na rzecz ruchu, rozwoju jest wrodzona wszelkiej twórczości. Artysta czuje instynktowną niechęć do świata, który go otacza, do jego inercji, do – ależ tak! – do tego, co jest naprawdę. Świat taki jaki jest, cóż w tym ciekawego? Przeciw nowej rzeczywistości człowiek opiera się całą siłą społecznego instynktu, całą siłą narodowej i religijnej tradycji. I cóż stąd? To **naturalne**. Sztuka jest przeciw temu, co **naturalne**, albowiem jej najwyższym pragnieniem jest stworzyć naturę nową. Staje więc po stronie ideologii, która wszystko zmienia: instynkty, tradycje, odruchy. Człowiek – cóż jest człowiek ze swą nędzą i ograniczeniem; jakie są jego możliwości – oto pytanie; pokazać go w trakcie ich realizacji, jak się przemienia w nadczłowieka – oto zadanie. Cóż zdarzenie, fakt poszczególny – liczą się prawa, które z następstwa faktów można wyprowadzić, a z praw dalsze i najdalsze ich ciągi. Z pogardą patrzył pisarz–ideolog na naiwnych socrealistów wierzących w to, że ich obrazki odpowiadają jakiejkolwiek rzeczywistości; z równą pogardą patrzył na "realistów", którzy – jak na przykład Józef Kuśmierek – uparcie twierdzili, że rzeczywistość z ideologią nie ma nic wspólnego. Dla pisarza–ideologa nie było to odkrycie: wiedział, że ideologia to rzeczywistość zastępcza, a słowo "prawda" budziło na jego twarzy uśmiech politowania.

Literatura i prawda?

Każda wizja literacka jest zniekształceniem prawdy empirycznej. Pisarz widzi świat poprzez formę. Rzecz opowiedziana nie jest tą samą rzeczą, która się zdarzyła. Odtworzona w konwencji literackiej, w stylu indywidualnym, w języku, jest już rzeczą wyobrażoną. Wraz z formą opowiadania narzucamy odbiorcy intencję, jaka nami powoduje. Może chcemy go tylko zainteresować; może chcemy zwrócić uwagę na siebie; może chcemy go przekonać do tego, do czego sami jesteśmy przekonani; może chcemy go do czegoś skłonić; pouczyć, wychować, naprawić. Rzeczywistość przedstawiona jest podobna do cebuli: składają się na nią warstwy form, wśród których forma opowieści – czyli konwencja literacka – jest tylko jedną z wielu. Każda z intencji – a jest ich wiele (osobista, społeczna, okolicznościowa) – jest swoistą formą, w której obraz rzeczywistości załamuje się i zniekształca. Utwór literacki powstaje z pomieszania intencji, wśród których wszakże toruje sobie drogę jedna, najsilniejsza. Która to będzie? Estetyczna? Chęć zabłyśnięcia formą czystą, dobrą sztuką? Osobista? Chęć zdominowania odbiorcy i narzucenia mu swej osobowości? Chęć wypowiedzenia się, odsłonięcia? Niepohamowany rozwój pierwszej intencji prowadzi do estetyzmu, rozwój drugiej do egotyzmu i wszelkich form patologii. Te właśnie intencje wyroiły się obficie w literaturze dwudziestolecia, zwłaszcza w ostatnich jego latach; realizm socjalistyczny przydusił je i za obowiązującą obwołał intencję społeczną, wychowawczą – w duchu dialektycznego rozwoju. Byliśmy dekadentami – powiedzieli sobie pisarze – teraz przekraczamy Rubikon formy nowej i treści nowej. Socrealizmu nie zadekretowali urzędnicy, lecz krytycy, i stało się to nie w aurze administracyjnego przykręcania śruby, lecz w aurze wielkiego przełomu, wedle scenariusza znanego z historii literatury, z walki klasyków z romantykami albo z walki "starych" z "młodymi" po roku 1864, kiedy tworzył się pozytywizm i realizm. Nie było konfrontacji władzy z pisarzem, lecz pisarza z krytykiem lub pisarza przekonanego z pisarzem nieprzekonanym. Nie było też konfliktu pisarza z władzą i później gdy – a stało się to rychło – "nowa literatura" ujawniła sprzeczności swych założeń: jak można było na przykład pogodzić jej ideologiczną fantastykę z wymogami "realizmu"? Gdy nowa literatura okazała się doskonałym przedmiotem teorii, natomiast nie do zrealizowania w praktyce, i gdy wzgardzona rzeczywistość wołała coraz głośniej do sumień, konflikt, jaki stąd powstał, przeciwstawił pisarza krytykom, teoretykom, ewentualnie wydawcom, nie zaś władzy. Ta ostatnia, wzywana na arbitra, stawała z reguły po stronie pisarza, gromiąc krytykę za "lakiernictwo", "schematyzm" czy jak się tam nazywały te wszystkie grzechy literackie w ówczesnym żargonie. W ten sposób spór o literaturę został przeniesiony z płaszczyzny politycznej na estetyczą; z istotnej na nieistotną.

Na tej samej estetycznej płaszczyźnie została dokonana "odwilż" literacka. Bardzo prędko położono kres twórczości obrachunkowej, zmierzającej do opowiedzenia ideowej i moralnej, politycznej i społecznej historii minionych lat, tak zwanego "okresu błędów i wypaczeń" czy "kultu

jednostki". Położono kres nawet obrachunkom ściśle literackim, bo i one prowadziły za daleko: do podważenia całej teorii realizmu socjalistycznego i stwierdzenia, że w owym minionym okresie literatura została włączona bezpośrednio do aparatu propagandy i represji, że pisząc powieść o współzawodnictwie pracy, pisarz sam stawał się naganiaczem do śrubowania norm, a pisząc o walce klasowej na wsi i o kolektywizacji, stawał się naganiaczem od kołchozów, a pisząc o knowaniach imperialistycznych, spiskach podziemia, o zgniliźnie upadłych klas, wspomagał określone działania policji politycznej i przyczyniał się do sterroryzowania społeczeństwa.

Najczęściej nieświadomie, oczywiście.

Nie dopuszczając do politycznego rozrachunku z "minionym okresem", władza stworzyła literaturze odwilż estetyczną. Powiedziano: piszcie jak chcecie. Nie co chcecie, czy co uważacie za ważne, lecz jak chcecie. A że wszystko to stało się w bardzo krótkim czasie, że odwilż i socrealizm robilo wciąż to samo pokolenie literackie, które przeżyło wojnę, wyłonił się z owej odwilży jakby dalszy ciąg literatury dwudziestolecia! Pojawiły się nowe utwory poetyckiej awangardy, nowe powieści psychologiczne i egzystencjalistyczne, pojawiła się nowa groteska. Nastąpiło odkrycie Witkacego, a Gombrowicz wtedy święcił triumfy. "Literatura polska będzie – powiedział gorzko pewien krytyk w roku 1958, gdy zadekretowano (tym razem ustami odpowiedniej władzy) koniec literatury "obrachunkowej" – ale będzie to literatura nieistotna". Ani dla świata, ani dla polskiego społeczeństwa. Bo pod pseudonimem literatury "obrachunkowej" (każda rzecz miała wtedy swój pseudonim) kryła się literatura **świadcząca**, literatura wspomagająca społeczeństwo polskie w jego cichej, upartej walce o zachowanie tożsamości.

I przyszły lata rzeczywiście przeraźliwie nieistotne, lata, w których jeden tylko pisarz odniósł sukces prawdziwy: Paweł Jasienica, ogłaszając wówczas swój cykl dziejów Polski.

W roku 1964 nastąpiło szczególne zdarzenie: 34 pisarzy, krytyków i humanistów wystosowało list do premiera rządu PRL sygnalizujący zagrożenie kultury narodowej.

Dlaczego właśnie książki Pawła Jasienicy miały wówczas autentyczny sukces i dlaczego list 34 był takim wydarzeniem? Bo były to pierwsze próby odbudowania więzi pomiędzy literaturą a społeczeństwem – odbudowania naruszonego ethosu społecznego polskiej literatury.

Co to jest "ethos"?

Ładne słowo, kojarzy się z kamieniem. Obiecuje coś pewnego. A odnosi się zarazem do dziedziny tak niepewnej, jak zasady postępowania, jak stosunek człowieka do praw, które nie on ustanowił. To znaczy nie ten człowiek, który je stosuje albo łamie. Jakiś inny człowiek – nieznany, więc wieczny. Ethos – skała i żywioł, słup kamienny wbity w morze i odmierzający nie wiadomo co.

"Ethos – pisze Józef Tischner – jest częścią nas samych (...) (jest) integralnym składnikiem naszego sumienia (...) naszym światłem wewnętrznym, które pozwala na odczytywanie istotnego sensu dziejącego się wokół nas dramatu, jest głosem, który dyktuje nam kierunek naszego zaangażowania w jego wielokierunkową akcję. Nie zawsze udaje się nam iść za jego wołaniem i zbudować świat wedle jego wymogów. Zawsze jednak (...) buduje nasze wnętrze... ".

Inaczej: to sposób postępowania w kwestiach wymagających etycznego wyboru. Stały sposób. Jeszcze inaczej: metoda osiągania etycznych celów. Etyczne cele są nam znane, wiedzę o nich odbieramy wraz z kulturą naszego wychowania. Od kultury – to znaczy książek, legend, mitów, przysłów, idiomów, zwyczajów, obrzędów, konwencji – wiemy, co jest dobre, a co złe, a gdy nas to wszystko zawiodło, jeszcze pozostaje nam wiedza od wszystkich głębsza, wiedza zbiorowa gatunku ludzkiego, Bóg wie skąd idąca – nasze sumienie. Więc wiemy, ale nie znaczy to, że umiemy wybierać. Tej umiejętności musimy się dopiero nauczyć. Nie tak jak uczymy się abecadła, lecz tak jak uczymy się współżycia z innymi ludźmi, jak uczymy się miłości i radości. Jak uczymy się naszych zamiłowań i talentów. Ethos jest to zamiłowanie do etycznego życia, to etyczny talent.

Czy literatura ma swój "ethos"?

Nie jest osobą; czy nie–osoba (instytucja, zbiór rzeczy, ciąg zdarzeń) może mieć swój stały "sposób postępowania", swą stałą "metodę osiągania etycznych celów", czy może mieć sumienie (mówimy o niej wszak, że ma "wrażliwe sumienie" albo że jej sumieniem był ten czy ów pisarz, na przykład Stefan Żeromski lub Maria Dąbrowska)? Czy to, co nie jest osobą, może mieć "światło wewnętrzne", "talent do etycznego życia", i czy na tym, co z natury swej jest zmienne, skoro odbywa się w czasie historycznym, można polegać jak na opoce? Literatura zmienia się wraz z językiem, z konwencją kulturalną; zmienia się wraz z warunkami politycznymi i gospodarczymi życia; zmienia się wreszcie wraz z ludźmi, którzy ją tworzą, propagują i czytają. Ethos to osobowość etyczna; czy nie–osoba może mieć osobowość? W jakim sensie można mówić o jej jedności, skoro jest tak zmienna i skoro jest tylko zbiorem rzeczy? W jakim sensie, skoro nawet język jej zmienia się tak bardzo, że po paru wiekach staje się ledwo zrozumiały?

Tischner powiada dalej, że "ethos społeczny" jest to "sposób przeżywania przez nas naszego życia społecznego (...) na wpół refleksyjny, na wpół instynktowny sposób reagowania na wydarzenia (...) również sposób uczestniczenia w nich (...) Jest to wspólne myślenie o wartościach które stanowią życie danej wspólnoty... " Czego dotyczy, do czego odnosi się owo myślenie? Wokół jakich wartości podstawowych krąży? Jakich pytań i jakich problemów nie jest w stanie się pozbyć?

Jak literatura polska zachowuje się wśród wartości narodowych, i czy jest to jakiś jeden, powtarzający się przez wieki sposób zachowania, jakiś jeden sposób etycznego

bycia? Czy jest w niej – prócz podobieństw języka – coś, co jej początek łączy ze stanem dzisiejszym, pomimo zmian w formach społecznego życia i literackiego wyrazu? Czy dzisiejszy poeta, powieściopisarz, publicysta zachowuje się i postępuje (choćby bezwiednie) tak samo lub podobnie jak w analogicznych sytuacjach społecznych (na przykład wobec klęsk ojczyzny, wobec niesprawiedliwości, wobec kryzysu państwa) zachowywali się i postępowali Mikołaj Rej z Nagłowic albo Frycz Modrzewski?

Jest to pytanie o świadomość tożsamości; o świadomość indywidualną i świadomość zbiorową. Ta pierwsza jest niejasna: jest zawsze polem ścierania się sprzecznych tendencji. Raz w pisarzu zwycięża chęć kontynuacji, drugi raz chęć odmowy: raz kocha swych przodków, innym razem ich wszystkich nienawidzi. Raz go historia literatury uskrzydla, drugim razem ogranicza. Gdyby nie był tak rozdarty pomiędzy sprzeczne uczucia i sądy, gdyby świadomość jego nie była sceną nieustannego dramatu, gdyby z duchami przeszłości nie walczył jak Jakub z aniołem, gdyby mózg jego i dzieło nie nosiły obrażeń wyniesionych z tej walki, nie byłby wcale pisarzem. Constans jego świadomości – jego ethos – znajduje się poza nim, w historii literatury i w sposobie jej nauczania. Ethos literatury to ethos szkoły. To ethos wszystkich szkół narodowego życia: nie tylko zakładów nauczania, lecz także domu, Kościoła, wojska, krytyki i publicystyki, retoryki politycznej. Wszyscy poeci, powieściopisarze i dramatopisarze narodzili się z domowego czytania, z lekcji języka polskiego, ze sposobu cytowania literatury w publicznym życiu, z jej wychowawczego i propagandowego użytku, z odtwarzania jej wzorców.

Szkoła ma tu oczywiście pierwszeństwo. Gdyby zbadać zbieżność twórczości i nauczania na przestrzeni całych dziejów kultury polskiej – od początków nauczania literatury narodowej w kolegiach pijarskich; zastanowić się nad tym, jaki ideał literatury przyświecał reformie Konarskiego; jak nauczano literatury w liceum krzemienieckim i w szkołach wileńskich za kurateli Adama Czartoryskiego; jak kształtowały się programy tajnego nauczania w Królestwie Polskim po utracie autonomii, a jak w szkołach i uniwersytetach galicyjskich po uzyskaniu przywilejów szkolnych, i jaki to miało wpływ na generację Młodej Polski; jak wyglądały programy szkolne w dwudziestoleciu, jakich autorów, jakie utwory, jakie epoki preferowano i jak interpretowano arcydzieła; jak wyglądały te programy w PRL przed rokiem 1956 i potem; jakie były w różnych okresach, w różnych szkołach lektury obowiązkowe; gdyby pokazać okresy, w których literatura współczesna świadomie i wiernie kontynuowała program wychowania, czyli pisano tak jak jej nauczano (i tak było na przykład w okresie pozytywizmu), i wskazać momenty zakłóceń, gdy mianowicie literatura zdecydowanie występowała przeciwko programom szkolnym, gdy je wyprzedzała, gdy stanowiła ich pośrednią krytykę, a tak było w okresie Młodej Polski czy, inaczej mówiąc, neoromantyzmu – gdyby więc prześledzić zbiegające się i rozbiegające drogi twórczości i nauczania, uzyskalibyśmy odpowiedź na pytanie o tę jedność, o tę osobowość etyczną.

I doszlibyśmy do zjawiska zupełnie nowego: do powstania literatury anty-szkolnej, anty-wychowawczej, której najpełniejszym, najbardziej prowokacyjnym wyrazem jest *Ferdydurke* Gombrowicza. Ale nie była pierwsza. Zaczęło się to w Polsce chyba od Przybyszewskiego. Maria Dąbrowska w *Nocach i dniach* zapisała wstrząs, jakim dla ówczesnego pokolenia pensjonarek i gimnazjalistów była zakazana lektura pisma krakowskiego demona, który im powiedział, że prawdziwa poezja rodzi się poza murami tej narodowej instytucji wyrosłej na grobach Reja, Kochanowskiego i Frycza Modrzewskiego – w innych rejestrach duchowych, w innej zupełnie komunikacji, w innym języku. Od Przybyszewskiego zaczynają się dzieje buntu przeciw literaturze pojmowanej jako część społecznej, wychowawczej budowy, bunt, na skutek którego powstały dwie literatury: szkolna i anty-szkolna, i dwie zwrócone przeciw sobie tradycje. Do pierwszej należą wszystkie zjawiska zachowawcze, do drugiej wszystkie prądy awangardowe. Do pierwszej należy na przykład Maria Dąbrowska czy Leon Kruczkowski, do drugiej na przykład Stanisław Ignacy Witkiewicz i Witold Gombrowicz. Zjawisko dwóch literatur znane jest również z przeszłości: obok literatury kościelno-akademickiej istniała w średniowieczu literatura plebejska, parodiująca tę pierwszą, i wydawała takie arcydzieła jak *Gargantua i Pantagruel*; podobnie literatura dworska miała swe odbicie w krzywym zwierciadle komedii i romansu awanturniczego. Zawsze też bywały w literaturze skandale, które mijały z czasem i zawstydzały tylko tych, co je wywoływali werdyktami obyczajowej czy innej cenzury – tak było z *Kwiatami Zła*, z *Panią Bovary*. Teraz jednak – to znaczy począwszy od Młodej Polski i ruchów awangardowych – porządek i proporcje zostały odwrócone: skandal jest warunkiem debiutu, wyzwanie rzucone tradycji warunkiem promocji do literatury pierwszej rangi, natomiast szkolna oficjalność stała się profesją pisarzy drugorzędnych, wreszcie pisarzy specjalizujących się wyłącznie w twórczości dla młodzieży. Literatura narodowa, jako instytucja, rozpadła się na dwie co najmniej instytucje, z których każda ma własny "społeczny sposób bycia", swój własny "społeczny ethos".

Czym był socrealizm? Oficjalnie – próbą odbudowy utraconej jedności. W programach powoływano się na "postępowe", czyli wychowawcze, obywatelskie, realistyczne tradycje; potępiono awangardę i wręcz zakazano uprawiania jej poetyk; tworzono literaturę wokół państwa i szkoły, dla państwa i szkoły; literatura realizmu socjalistycznego znalazła wiele miejsca w nauczaniu szkolnym i programach lektur obowiązkowych. Ale przecież ta właśnie literatura wyrastała z naruszenia podstawowych elementów jedności. Dzieliła całą tradycję i całe dzieje narodowe – ba, dzieje ludzkości – na właściwe i niewłaściwe, pogrążając olbrzymie ich obszary w niepamięci; wywracała fundamentalne zasady współżycia społecznego – zasadę solidarności, zasadę wierności, zasadę honoru – a w ich miejsce wprowadzała system moralności relatywistycznej, której punktem

odniesienia była abstrakcyjna zasada racji historycznej. Gardziła psychologią. Gardziła rzeczywistością. I gardziła czytelnikiem: to on, nieuświadomiony co do wyższych celów literatury i polityki, winien był dorosnąć do zrozumienia dialektycznej gry. To on powinien był nauczyć się wzgardy dla "płaskiej, empirycznej prawdy" – jak zwykli mawiać koryfeusze tej literatury.

Wywodzili się ze szkoły awangardy, z literatury anty-szkolnej. Nie z rodziny duchowej Żeromskiego i Dąbrowskiej, nawet nie z rodziny duchowej Kruczkowskiego i Broniewskiego, lecz z rodziny duchowej Przybyszewskiego, Witkacego i Gombrowicza. Ich słownictwo programowe było ze szkolnego ducha, natomiast ethos ich był w istocie anty-szkolny. Toteż gdy rozsypał się stalinowski system, który tę literaturę zrodził i utrzymywał, z gruzów wyłoniły się wszystkie widma wszystkich awangard dwudziestego wieku. Czytajcie literaturę lat sześćdziesiątych – czy nie mogłaby powstać trzydzieści lat wcześniej, gdyby nie było ani wojny, ani Stalina?

Każda literatura jest wyjątkowa i zarazem podobna do innych. Wyjątkowa przez to, że powstaje w jednym, niepowtarzalnym języku, w jednym, niepowtarzalnym układzie warunków społecznych; wyjątkowa przez to, że jest literaturą polską, czeską, czy swahili.

Podobna do innych przez to, że jest literaturą, to znaczy zbiorem drukowanych i nie drukowanych pism, a ponadto tematów, idei, prądów umysłowych podporządkowanych wspólnemu, powszechnemu przekonaniu, że słowo jest bytem realnym, że wypowiedziana rzecz istnieje, żyje, a niewypowiedziana nie istnieje, nie żyje, że więc wypowiadanie, porządkowanie i zapisywanie słów, a także uczenie się ich i powtarzanie, jest czynem rzeczywistym i równie odpowiedzialnym jak stawianie domów, fabrykacja broni, rodzenie dzieci. W odwiecznym sporze nominalizmu i realizmu o to, czym jest słowo – albo znakiem rzeczy, albo rzeczą samą – literatura jest po stronie realizmu; jest zinstytucjonalizowaną, wypowiedzianą wiarą w to, że słowo jest źródłem wszelkich praw i wszelkich instytucji, że jest sprawcą, przyczyną uporządkowanych ludzkich działań, że historia rozgrywa się pomiędzy czynem a słowem, że porządek werbalny jest w historii pierwotny, że "na początku było Słowo".

Gdybyśmy tego przekonania, tej wiary nie mieli, nasza działalność byłaby tylko fabrykacją i sprzedażą słów – wszystko jedno w jakim języku: polskim, czeskim czy swahili. Mając to przekonanie, tę wiarę, wchodzimy w uniwersalny porządek twórczości, aby spełnić jej cel nadrzędny, jakim jest stwarzanie w słowie światów idealnych.

Na ich ekran, na ich świetliste tło, rzucamy cienie naszych partykularnych przygód, losów i dramatów. Gdy powołujemy się na ethos literatury, chcemy znać jej zasadę stałą. I nie wystarczy nam powiedzieć, że tą jej stałą zasadą jest umiłowanie prawdy, czy wolności, czy godności człowieka. Każda z tych wartości podlega czasowej interpretacji i kto z niej czyni sobie absolut, łatwo znaleźć się może w dialektycznej pułapce. Ta stała zasada jest zawsze wyżej, niż można sięgnąć i w niej wyraża się ethos, którego szukamy – nakaz sięgania po nieosiągalne.

Literatura polska narodziła się z misji edukacyjnej i pozostaje w swej części edukacyjna po dziś dzień, troszcząc się wciąż o podnoszenie ogólnego poziomu świadomości i wykształcenia. Narodziła się jako część politycznej budowy i pozostała nią przez wszystkie wieki, umacniając ją, gdy była silna, podtrzymując, gdy chyliła się do upadku, pracując nad jej odtworzeniem, gdy upadła, i tak po dziś dzień. W każdym momencie zachwiania równowagi lub bezpieczeństwa państwa, odradzają się najtrwalsze polskie style: styl politycznego pamfletu, reformatorskiego traktatu, prorockiej wizji – style ukształtowane w walce o egzekucję praw za ostatnich Jagiellonów, w walce o reformę państwa przed rozbiorami, w porozbiorowych dysputach nad przyczynami upadku królestwa i wyborem właściwych dróg do jego odbudowy, w dysputach polityczno-ideowych II Rzeczypospolitej. Od Andrzeja Frycza Modrzewskiego do Marii Dąbrowskiej, od kazań sejmowych księdza Piotra Skargi do publicystyki księdza Jana Piwowarczyka, od dydaktycznych poematów Reja albo satyr biskupa Krasickiego do *Traktatu moralnego* Miłosza droga wydaje się prosta i dziwnie krótka.

Trzecią – obok edukacyjnej i reformatorskiej – cechą polskiej literatury nabytą w chwili narodzin jest jej historyczność. Narodziła się z przeżycia historii; historią były pierwsze jej dzieła pisane z myślą oświecania, i obok intencji opowiedzenia historii przyświecała im inna, śmielsza, już na poły poetycka intencja tworzenia historii z nicości. Nieznany cudzoziemiec, który swe kroniki podpisywał jako Gall Anonim, opisał tylko to, co widział; polscy kronikarze – Wincenty Kadłubek i Jan Długosz – rozszerzyli dzieje Polski o parę tysięcy lat wstecz, ulegając pragnieniu, które nie było odtąd obce żadnemu pokoleniu Polaków, a w szczególności żadnemu pokoleniu polskich pisarzy: aby mianowicie Polskę – ten niewyraźnie ukształtowany kraj o granicach przesuwanych wciąż ze wschodu na zachód lub z powrotem – lepiej ugruntować w historii; albowiem jedynym trwałym kształtem Polski jest ten, który otrzymała w historii i w słowie – reszta jest zmienna. Toteż pisanie historii nie było tutaj nigdy i nie stało się po dziś dzień zwykłym opowiadaniem zdarzeń, lecz było i jest moralistyką historyczną i fantazją historyczną. Od Długosza, Kromera i Stryjkowskiego niedaleko do Naruszewicza, Lelewela i tych historyków szkoły krakowskiej, lwowskiej i warszawskiej, którzy w XIX wieku toczyli o interpretację dawnych zdarzeń spory tak namiętne, jakby chodziło w nich nie o dawny, lecz o przyszły kształt państwa i władzę nad nim – bo też o to w nich naprawdę chodziło. I niedaleko od nich do Pawła Jasienicy, pod którego piórem ożyła cała historia Polski jako otwarty problem, czym ten kraj ma być: lepiej czy gorzej urządzonym obszarem zamieszkałym przez etnicznych Polaków wędrujących tam i na powrót – czy też stałym ośrodkiem promieniowania ideowego, moralnego i kulturalnego na cały obszar zamieszkały przez ludy nie

mające, podobnie jak Polacy, wyraźnych granic osiedlenia i nie mające takiej jak oni wyraźnie ukształtowanej politycznej i duchowej historii... I od fantazji Wincentego Kadłubka, który na polski użytek przysposobił i w polskie odział kształty cudze, uniwersalne legendy, tworząc tym sposobem z niczego polską mitologię – grunt dla poezji, materiał dla wychowania, łożysko dla uczuć – od owego uczonego biskupa krakowskiego o synkretycznej wyobraźni niedaleko do *Króla Ducha* Słowackiego i do tego wiersza Czesława Miłosza:

"Myszy zjadły Popiela. Koronę z diamentem
Dostał później. I jemu, dotąd zniknionemu,
Który miał w skarbcu trzy monety Gotów
I laski bronzu, jemu, który odszedł
Gdzie, nie wiadomo, z dziećmi, z kobietami,
Lądy i morza oddał Galileo,
Newton i Einstein. Aby długie wieki
Na swoim tronie nożem wygładzał sulicę."

(*Król Popiel*)

Była to literatura nie tylko społeczna, bo któraż społeczną nie jest; w każdym razie ta "społeczność" stanowi jej partykularny ethos; była to, i jest literatura państwowa, to znaczy przywiązana na śmierć i życie do zorganizowanego, zinstytucjonalizowanego, zwerbalizowanego bytu narodowego, i świadoma zarazem, iż państwo, które buduje i któremu służy, nie jest z tego świata; że jest ono mianowicie państwem moralnym, które wpada raz po raz za sprawą złych duchów historii w ręce wrogów, warchołów lub oszustów, lecz jako idea trwa niezmiennie, i misją, obowiązkiem, sztuką poety – pisarza – jest odczarować Polskę idealną, aby odzyskała swój kształt właściwy. Stosunek pisarzy polskich do narodowych wad i błędów państwa jest analogiczny do tego, jaki katolicy mają do Kościoła, którego historia polityczna i doktrynalna – pełna błędów i skandali – jest pozorna w świetle wiary; Kościół rzeczywisty, Kościół wiary nie ma historii, tylko tajemnicę wieczną i niezmienną. Tak i Polska w wizji swej literatury: od początków swego istnienia literatura polska tworzy naród i jego historyczne bytowanie w chmurach utopii. W terminach utopii humanistycznej kreślił jej kształt Frycz Modrzewski; w terminach utopii katolickiej – państwa chrześcijańskich rycerzy – tworzył ją Piotr Skarga. Upadła potem, i powstała w utopiach racjonalistycznych jej reformatorów z doby Sejmu Wielkiego, w romantycznych utopiach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego – anielska i ewangeliczna, w pozytywistycznych utopiach Prusa i Świętochowskiego, w socjalistyczno–spółdzielczych wizjach Żeromskiego, Dąbrowskiej... Nigdy nie pisano tu ani prawdziwej historii, ani prawdziwej powieści (która jest przygodą serca), tylko fantastyczne dzieje zbiorowości. Przez całe dzieje literatury rysuje się głębokie rozdarcie pomiędzy rzeczywistym obrazem kraju, narodu, państwa, a ich kształtem podobłocznym, rozdarcie z katolickiego ducha na Państwo Boże i Państwo Szatana – na historię i tajemnicę, na byt i istotę.

"Najczystszy z narodów ziemi gdy osądza je światło błyskawic,
Rozmyślny a przebiegły w trudzie zwykłego dnia.
Bez litości dla wdów i sierot, bez litości dla starców,
Kradnący z przed ręki dziecka skórkę od chleba.
Życie składa w ofierze aby ściągnąć gniew niebios na wrogów,
Płaczem sierot i kobiet wroga poraża.
Władzę oddaje ludziom o oczach handlarzy złotem,
Pozwala wznosić się ludziom o sumieniach zarządców burdelu.
Najlepsi jego synowie pozostają nieznani,
Zjawiają się tylko raz jeden, aby umrzeć na barykadach
Gorzkie łzy tego ludu przerywają w połowie pieśń,
A kiedy umilknie pieśń, mówi się głośno dowcipy.
W kątach izb cień przystaje i pokazuje na serce,
Za oknem wyje pies do niewidzialnej planety.
Naród wielki, naród niezwalczony, naród ironiczny,
Umie rozpoznać prawdę, zachowując o tym milczenie.
Koczuje na targowiskach, porozumiewa się żartem,
Handluje starymi klamkami ukradzionymi w ruinach.
Naród w pomiętych czapkach, z całym dobytkiem na plecach,
Idzie szukając siedzib na zachód i na południe.
Nie ma ni miast, ni pomników, ni rzeźby ani malarstwa,
Tylko z ust niesione słowo i wróżbę poetów.
Mężczyzna tego narodu, przystając nad syna kołyską
Powtarza słowa nadziei, zawsze dotychczas daremnie

(Czesław Miłosz, "Naród")

W poczynaniach "opozycji literackiej", której dzieje zaczynają się od "listu 34" i które poprzez różne protesty i odpowiadające na nie represje doprowadziły do powstania literatury niezależnej, odbudowano sens haseł, zachowań, postaw i gestów zapomnianych dawno lub zafałszowanych. Odbudowano – w jakiejś mierze – prestiż społeczny literatury zachwiany przez pół wieku trwający rozbrat literatury ze społeczeństwem; odtworzono bodaj w części jej więź ze społeczeństwem i zarazem jej więź z wielką tradycją. Odbudowano ethos społeczny w deklaracjach i w gestach. Jaka twórczość, jaki styl stąd się zrodzi? Jaki ton moralny?

Żaden z ogłoszonych dotąd utworów powstałych na fali opozycji nie zapowiada odnowy literatury. Wszystkie wyrastają z klimatu groteski i czarnej literatury lat sześćdziesiątych. Inaczej być nie może. Ale dziś właśnie jest moment, kiedy trzeba zastanowić się, zasłuchać w literaturę jutra, która – jak myślę – będzie, musi być literaturą w pełni odbudowanego społecznego ethosu – nakazującego wciąż, nieodmiennie sięgać po nieosiągalne, wierzyć w nieprawdopodobne i z gruzów nadziei tworzyć nadzieje nowe. ▩

Tekst pochodzi z końca lat siedemdziesiątych. Kolportowany był w 1985 roku w formie odbitki powielaczowej, jako pozycja Biblioteki Kultury Niezależnej.

NIEPODLEGŁOŚĆ LITERACKO NIEATRAKCYJNA?

Wacław Lewandowski

Gdyby dziś, po trzech z górą latach od początku III RP, zechciał ktoś zainicjować dyskusję na temat "Literatura wobec niepodległości", zbyto by go puknięciem w czoło lub wzruszeniem ramion, a to z prostej przyczyny – nie byłoby o czym dyskutować. Można by jedynie zainicjować kolokwium na temat "Désintéressement literatury polskiej wobec niepodległości", co jednak nie miałoby większego sensu; po cóż dyskusja o kobyle – jaka jest każdy widzi.

Artykuł ten był już publikowany ("Res Publica Nowa" nr 6 z 1993r.). Decyduję się na powtórne jego ogłoszenie, gdyż uważam, że redakcyjne skróty dokonane, bez uzgodnienia tego ze mną, w pierwodruku wypaczają autorską intencję. Podobnie – niektóre zmiany stylistyczne czy drobne korektury. Na przykład zmiana pisowni "okrągły stół" na "Okrągły Stół". Pisząc o "upadku komunizmu" miałem na myśli zobiektywizowane odczucie społeczne, nic więcej. Krótko mówiąc – niewątpliwie większość społeczeństwa sądzi, że komunizm upadł i jest to fakt świadomości zbiorowej, którego nie sposób nie dostrzegać. Osobiście jednak nie postrzegam owego "upadku" tak jednoznacznie i bez wątpliwości, toteż nie widzę powodu, by posługiwać się w tym miejscu wielkimi literami.

Pominięte w pierwodruku fragmenty tekstu zaznaczyłem podkreśleniem. Nie zaznaczyłem natomiast korektur stylistycznych; niektóre z nich nie budziły zresztą mojego sprzeciwu.

Podając ponownie do druku ten artykuł, kieruję się, sądzę – zrozumiałą, autorską chęcią ujrzenia tekstu wydrukowanego bez zniekształceń merytorycznych. Nie winię (sympatycznej mi zresztą) Redakcji "NRP", ani nie wszczynam publicznego sporu. Nie należę do grona autorów, którzy zawzięcie bronią każdego własnego słowa. Bywa bowiem, że redakcyjne skróty rzeczywiście ulepszają artykuł i mam takie pozytywne doświadczenia. W tym jednakże wypadku zmiany przeobraziły też wymowę artykułu, co skłania mnie do ponownej jego publikacji.

Wacław Lewandowski

Nie ma już szansy, by "o brzasku Niepodległej" jakiś współczesny Lechoń, pod jakimś tam "Pikadorem", z młodzieńczym przejęciem deklamował nowego "Mochnackiego", tchnąc "to nieuchwytne" w słuchaczy i współbraci poetów. Trzy lata upłynęły bez nowego *Karmazynowego poematu*, bez śmiałego i arbitralnego gestu literatury, która ogłaszając i uświęcając zaistnienie "nowego", potrafi odważnie (bo nie bacząc na to,że "nowe" domaga się nowatorstwa, jeśli nie nowatorszczyzny) wskazać swym kształtem ten obszar tradycji, na którym nowe ma być osadzone. Poezja polska lat ostatnich nie zdobyła się na taki gest, ba – w sprawie niepodległości nie wydała nawet kameralnego pomruku. Ta wstrzemięźliwość zadziwia i frapuje, jeśli wspomnieć, że ta sama poezja potrafiła w sporej swej części, w latach stanu wojennego, stać się bezwstydnie wręcz służebną, użytkową i nie-autonomiczną, gdy sławiąc "chłopaków z podziemia" ubierała się w łachman więźniarskiej piosenki. Nie znaczy to, że obojętna wobec niepodległości poezja nabrała klasycystycznego dystansu i z jego wyżyn gardzi doraźnością i codziennością. Nic podobnego; młoda poezja na przykład i teraz chce być "młodą", to znaczy dynamiczną i jak najdalszą od klasycystycznego ładu i chłodu. Rzecz w tym jednak, że i ten agresywny odłam młodzieńczości po-

WACŁAW LEWANDOWSKI – ur. 1962, historyk literatury, publikował na łamach "Nowej Respubliki", niebawem ukaże się jego książka o pamflecie w życiu literackim międzywojennego Wilna. Mieszka w Bydgoszczy.

etyckiej jest jakby programowo ślepy na polityczne przemiany. Korzysta z nich, ale ich nie dostrzega, bo – wydaje się – dostrzegać nie chce.

Reakcje prozy na przemiany historyczne były zawsze w stosunku do poezji, z naturalnych przyczyn, późniejsze. Ale już dziś, po doświadczeniu milczenia poetów, można zaryzykować twierdzenie, że żadnego z prozaików nie zajmuje obecnie cyzelowanie powieściowego powitania Niepodległej. Gdyby uznać tak zarysowany stan rzeczy i chcieć dociekać przyczyny, trzeba by zadać kilka pomocniczych pytań. Pierwsze z nich brzmi: czy literatura w Polsce nagle zapragnęła przestać zależeć od uwarunkowań i systemów wartości, które można rozpoznać w życiu społecznym?

– By odpowiedzieć, trzeba z kolei zapytać, czy w naszym życiu społecznym lat ostatnich można było dostrzec euforię niepodległości? Czy punkt końcowy "starego" i datę startową "nowego" zaakcentowano wystarczająco silnie, aby utrwaliły się w świadomości społecznej? – Na pewno nie.

Gdy już był "nasz premier", był też "ich prezydent"; gdy na scenę polityczna wkroczyli nowi aktorzy, starzy z niej nie zeszli, posunęli się jedynie ustępując miejsca. W efekcie ślimaczyły się posunięcia, których szybkie skumulowanie mogło wywołać efekt euforyczny (na przykład zniesienie cenzury, urzędowe ogłoszenie przynajmniej części poczynań komunistycznych władz nielegalnymi bądź agenturalnymi). Nic takiego nie nastąpiło. Co gorsza, od początku starano się przekonać społeczeństwo, iż od politycznej ważniejsza jest ekonomiczna strona przełomu, co sprawiło, że rozdrobnione gesty polityczne wkrótce przestały mieć jakąkolwiek społeczną nośność. Koniec końców ogół społeczeństwa przestał w ogóle zmianę ustroju uważać za zmianę formy państwowego bytu. Dodatkowo (i tak nikłe) społeczne odczucie istotnej przemiany politycznej rozbili politycy nie dopuszczeni do okrągłego stołu, głosząc postulat "prawdziwej niepodległości". Wreszcie, gdy zmiany ekonomiczne dały się silnie we znaki, polityka jako taka w ogóle straciła na znaczeniu. Szybko odnowił się podział "oni" – "my" i dla przeciętnego obywatela świat elit politycznych stał się enklawą, której hierarchie, wartości i problemy mają się nijak do tychże w życiu społeczeństwa.

Jedno tylko rzec można na usprawiedliwienie polityków, którzy euforii niepodległości nie potrafili wywołać ani zdyskontować. W polskiej świadomości wielkie przewroty i nowe jakości historyczne są wynikiem konfliktów zbrojnych. Trywializując: "mamy niepodległość, bośmy ją sobie wywalczyli". Dodajmy, że w polu znaczeniowym owego "wywalczyli" nie mieści się kompromis ani polityczne negocjacje. Paradoksalnie, wartość sama w sobie, jaką było bez wątpienia obalenie komunistycznego reżimu na sposób bezkrwawy, najbardziej przeszkodziła wywołaniu społecznego poczucia historycznego sukcesu.

Rozumowanie, w myśl którego za historycznie doniosłe uważa się konflikty zbrojne i ich skutki, jest specyficznie polskim konglomeratem tradycji romantycznej i (w znacznie większym stopniu) przestarzałej, a głęboko w społecznej świadomości osadzonej, marksistowskiej wizji historii. Ona bowiem, ze swym dogmatem "faktu obiektywnego", sprawia iż dla przeciętnego Polaka historia to przede wszystkim dzieje zbrojnych konfliktów, a czas przerw pomiędzy nimi jest tylko czasem przygotowań do przyszłych walk. Zdaniem przeciętnego Polaka, przeciwnie niż na przykład przeciętnego Francuza, historia życia codziennego, sprzętów użytkowych, zmian mentalnych i prądów intelektualnych historią sensu stricto nie jest. W tym sensie literatura, nie podejmując tematu "niepodległość", pozostawała w zgodzie z odczuciem społecznym.

Należy jednak postawić jeszcze jedno, bardziej zasadnicze pytanie. – Czy w ogóle wypada mówić, że w czerwcu 1989 roku (albo nieco później – data do ustalenia) Polska odzyskała niepodległość?

Znamienne, że tego rodzaju oświadczeń w polskim życiu publicznym nie było. Coś niecoś mówili na ten temat weterani polityki emigracyjnej, ale w kraju kwestia była na tyle niejednoznaczna, że nawet w Sejmie niepodległościowa uchwała wzbudzała wątpliwości. Nawet artystka scen, która z prawdziwie sceniczną niefrasobliwością i wdzięcznym brakiem oporów umysłowych, postanowiła za pośrednictwem telewizji ogłosić historyczną datę graniczną, nie obwieszczała narodzin Niepodległej, ale tylko upadek komunizmu. Ci, którzy w Polsce formułowali doktrynę obywatelskiego nieposłuszeństwa, najwidoczniej odżegnali się od uznawania okresu PRL za czas przerwy w ciągłości Polski państwowej. Konsekwentnie o braku niepodległości mówili ci, którzy nie wierzyli w bezkrwawe odejście komunizmu i nigdy w przeszłości nie brali udziału w próbach reformowania PRL. Nie było ich wielu, jeśli zważyć, że nawet na emigracji z haseł konieczności walki o Niepodległą najczęściej nie wyciągano konsekwencji, co osadzało "niepodległość" w gronie sformułowań żargonowych. Spór o to czy PRL to "okupacja" czy "co gorszego" (Józef Mackiewicz – Krystyna Marek) na krótko rozgorzał na emigracji, ale nie został potraktowany jako wyzwanie do dyskusji, której wynikiem byłoby ustalenie, czy PRL można traktować jako, kaleką i zniewoloną, ale kontynuację państwowości polskiej. Brak takiej dyskusji, tak na emigracji jak i w kraju, sprawił że owo pytanie powraca teraz w roli upiora przeszłości. Za jego sprawą rzeczywistość polityczna III RP jest rzeczywistością permanentnego paradoksu. Bo na przykład, legitymizuje się urząd prezydenta, zaopatrując go w insygnia najwyższego urzędu na emigracji, którego istnienie miało symbolizować nie uznawanie PRL za kontynuację państwowości polskiej. Z drugiej strony, zarządców PRL traktuje się jako polityków przegranej doktryny, nie zaś jako agentów obcego państwa, bądź przynajmniej urzędników gubernialnych. W tym wszystkim czasem słyszalny jest głośny zgrzyt, gdy na przykład nie wiadomo, co począć z panem Kuklińskim, zwłaszcza, gdy z ust jego opiekunów płyną pouczenia, by uznać go za bohatera narodowego, Wallenroda w mundurze pułkownika LWP. Logicznie rzecz biorąc, niepodległość odzyskuje się po okresie państwowego niebytu. Czy można więc świętować jej odzyskanie po okresie pół- czy ćwierć-niepodległości? Czy w ogóle istnienie państwa niepodległego jest kategorią podzielną? Czy można mówić o częściowej kontynuacji państwowości?

– Te i inne pytania, na które nie sformułowano publicznie odpowiedzi, powstrzymały niewątpliwie społeczną euforię powitania Niepodległej. A skoro społeczną, więc i literacką.

Zostawmy jednak kwestię społecznej świadomości (lub jej braku) niepodległości odzyskanej, by przyjrzeć się problemowi od innej strony. Wszak literackie reakcje na wszelkie zmiany polityczne nie muszą być aprobatywne wobec kierunku tych zmian. Dotyczy to zwłaszcza reakcji prozatorskich, mniej gorących, w stosunku do poetyckich w o wiele większym zazwyczaj stopniu zdystansowanych. Przypomnijmy chociażby przepełnione goryczą powieściowe skwitowania "radości z odzyskanego śmietnika" po roku 1918 – Kadena, Struga, wreszcie Żeromskiego. Czy można od prozy współczesnej porównywalnych reakcji oczekiwać? – Nie sądzę. Po upadku komunizmu wszyscy odczuli, jak nadmiernie i wręcz chorobliwie życie nasze w PRL nasycone było polityką. W tym sztucznym świecie doktryny nie tylko każdy konflikt wartości, ale i każdy w ogóle konflikt był, bądź stawał się, konfliktem politycznym. Nagle dane nam było odczuć, jak wiele sfer codzienności może być od polityki wolne; nagle ujrzeliśmy, że można doskonale realizować jakiś swój własny program życiowy, bez stałego odnoszenia go do realiów politycznych. To uzdrowieńcze uwolnienie miało jednak także i chorobowy skutek. Stworzyło mianowicie pokusę budowania hierarchii równie sztucznych jak te obowiązujące poprzednio, tyle że odwróconych. Jeśli w okresie trwania komunizmu tematyczne nasycenie dzieła literackiego polityką mogło niekiedy (a bywało często) być wystarczającym powodem do wyznaczenia temu utworowi (pisarzowi) wysokiej rangi (o ile, oczywiście, kierunek politycznych zaangażowań dzieła był zgodny z czytelniczym), tak obecnie "politycznie zaangażowany" czy chociażby "ocierający się o politykę" bardzo często znaczy: "zły, nie wart uwagi". W tym nowym rankingu wartościowań wszystko jest równie sztuczne i doktrynalne jak w tym, od jakiego wyzwolił nas upadek komunizmu. Tak jak o wartości literatury miały dawniej stanowić jej zaangażowania polityczne, tak teraz – ich brak. Dla nowej hierarchii wyznaczono już dwa bieguny: z jednej strony Józef Mackiewicz (najbardziej "polityczny", więc najmniej wart), z drugiej strony Miron Białoszewski – najmniej upolityczniony, zatem najbardziej wartościowy. W ten sposób na naszych oczach kształtuje się i krzepnie jakaś nowa bzdura. Nowe, a rebours pomyślane, polityczne ocenianie literatury. I już nawet nie to jest ważne, że zwolennicy wspomnianych dwóch biegunów skrzętnie zapomnieli, jak istotną, polityczną właśnie, wymowę miały "peryferyjność i prywatność" Białoszewskiego w sztucznie upolitycznionej rzeczywistości PRL; nie to, że zatracili świadomość mnogości wielkich dzieł literackich Europy, które w pierwszych warstwach odczytań uchodziły wyłącznie za polityczne pamflety, ale to przede wszystkim ma znaczenie, że podejmujący się takich przewartościowań nie chcą dostrzec, iż de facto powtórnie przyznają w ocenie dzieł literatury prymat kryterium politycznemu, zaniedbując estetyczne. Myślę, że pisarz współczesny widzi i odczuwa ów nowy układ wartościowań. A skoro niepodległość to temat polityczny, temat ten nie będzie dlań interesujący.

Innych przyczyn owej wymuszonej apolityczności najnowszej literatury można dopatrzyć się w "wojnie na górze", w nad podziw szybkim wyobcowaniu się elit politycznych, wreszcie w klęsce polityków–moralistów. Są to sprawy znane. – Z braku profesjonalistów, nową klasę polityczną zaczęły tworzyć tak zwane autorytety moralne, w sporej części intelektualiści, także pisarze. Moralista w polityce się nie sprawdza, przeto autorytety szybko przestały być autorytetami i nadszedł czas ogólnej frustracji. Społeczeństwo straciło zaufanie do klasy politycznej, moraliści – do polityki. Ci sami pisarze, którzy przedtem z ochotą udawali polityków, dziś mówią, iż polityka jest bagnem, a wszelkie wartości lokują się poza polityką. Hasło, które kiedyś uznali za dowód głupoty komunistycznej propagandy, ów okrzyk "Pisarze do piór!", wielokroć wyśmiewany, dziś jest przez samych pisarzy podejmowany. Jak kiedyś oznacza: "Jak najdalej od polityki!", ale dziś jest traktowany poważnie, przedstawiany jako skutek doświadczenia i rzetelnego wyboru.

Tymczasem moralista jest polityce potrzebny, a w życiu społecznym wręcz niezbędny, o ile nie uczyni sceny politycznej teatrem swych działań. Pisarze doskonale potrafią spełniać (i czynili to w przeszłości) tę społeczną funkcję. Wypełniając ją stają się "sumieniem społeczeństwa" – w jakiś sposób stymulują poczynania polityków, przypominając, że są one postrzegane i oceniane z pozycji nieuleczalnego moralisty, jakim jest ogół obywateli. Pisarz–moralista uzyskuje silny rezonans, a więc i powagę, która daje mu siłę oddziaływań opiniotwórczych, wtedy i tylko wtedy, gdy sam – pisząc o polityce – nie jest aktorem politycznej sceny. Najpełniej rozumiał to Żeromski, gdy u progu II Niepodległości zalecał przyszłej organizacji zawodowej pisarzy powstrzymanie się od działań politycznych, co oczywiście nie dotyczyło zakazu sięgania po polityczne tematy w działalności literackiej. Na tym chyba między innymi zasadzał się przeogromny społeczny autorytet autora *Przedwiośnia*, który w dziele swym postrzegał i oceniał (niechby czasem naiwnie) politykę z pozycji nie uwikłanego w nią moralisty.

Pozostaje zapytać, dlaczego dzisiaj nie objawiają się tego rodzaju próby literackie, dlaczego żaden spośród pisarzy, chociażby tych, którzy nie próbowali czynnej działalności politycznej, nie pretenduje do osiągnięcia, poprzez uprawianie twórczości literackiej, miana "wyraziciela społecznego sumienia"?

Oprócz zarysowanych wyżej, przyczynę tego braku widziałbym w dostrzegalnej ostatnio nonszalancji w stosunku do polskiej, także literackiej, tradycji, która – stanowiąc punkt odniesienia – umożliwiałaby uprawianie tego typu literatury. Inteligent polski, zwłaszcza młody, szukając gorączkowo "drogi do Europy", zbyt często zaczyna dostrzegać rodzimą tradycję jako przeszkodę, przypisuje jej bowiem prawie wyłącznie zaściankowość, prowincjonalność i nacjonalizm, a więc to wszystko, co w "Europie narodów" nie będzie potrzebne. Rzecz pewnie miałaby się inaczej, gdyby Polacy dowiedli, że – by strawestować kwestię sporną ojców bolszewizmu – komunizm można obalać w jednym kraju. Wówczas z pewnością duma polska rozdęłaby się do monstrualnych rozmiarów. Na szczęście, już tylko "wyspa jak wulkan gorąca" przeszkadza w stwierdzeniu powszechnego od komunizmu wyzwolenia. Po pierwszym łyku dumy z "naszej pionierskiej roli" szybko poczuliśmy się jednymi z wielu, wcale nie tak wyjątkowymi, jak o tym lubiliśmy myśleć. Tyle tylko, że uwolnienie od jednej skrajności rzuca nas niebezpiecznie w drugą i coraz częściej daje się słyszeć, że "trudno w polskiej tradycji

odnaleźć cokolwiek atrakcyjnego". Jest to bardzo wąskie i bardzo jednostronne owej tradycji postrzeganie, oparte na zapomnieniu, że przez wieki polskość mieściła w sobie to, co jednoczącej się Europie jest najbardziej potrzebne – pojęcie narodu definiowane według kryteriów politycznych, a nie etnicznych. Warto dziś głośno przypominać, że idea państwa etnicznego, polskości etnicznej, która dziś rozumnego Polaka potrafi wyleczyć z poczucia dumy narodowej, jest smutnym dorobkiem mniej więcej stu ostatnich lat naszej historii, ostatecznie utrwalonym przez propagandę komunistyczną. Ta bowiem chętnie podtrzymywała nacjonalistyczny ideał "państwa jednonarodowego", by móc sakralizować powojenne "przesunięcie Polski na zachód". Warto więc dziś przypominać tę, z dawna nie uprawianą, część naszej tradycji, bo ona może naszą przyszłość obdarzyć świadomością zakorzenienia. Warto wracać chociażby do dorobku dawnej Rzeczypospolitej w kwestii tolerancji. Z pewnością nie była ona tolerancją w dzisiejszym tego słowa rozumieniu, ale na pewno przewyższała ówczesne europejskie standardy. I dobrze byłoby dziś pomyśleć, że jeśli Rzeczypospolita Obojga Narodów mogła się tolerancją szczycić, to nie dlatego że ówcześni Polacy byli jakoś lepsi od dzisiejszych, ale dlatego, że rozumieli, iż siła państwa zależy bezpośrednio od poszanowania odrębności etnicznej, wyznaniowej i językowej. I jeżeli w tragicznych zwrotach najnowszych polskich dziejów pisarz polski na emigracji nie obumierał w kostniejącym języku, to działo się tak również dlatego, że słysząc na co dzień mowę rodzimą na tle innych języków, znajdował się w sytuacji odpowiadającej najgłębszym trydycjom polszczyzny i polskości. A jeżeli – by posłużyć się innym przykładem – uczestnicy dziewiętnastowiecznej Wielkiej Emigracji byli serdecznie witani i rozumiani przez społeczeństwa (nie: rządy) Europy, to przede wszystkim dlatego, że nieśli ze sobą tę część dziedzictwa wielonarodowej Rzeczypospolitej, która tak odpowiadała ówczesnej myśli europejskiej, a która nakazuje rozumieć, że "braćmi" mogą być ludzie wolni, a nie – ludzie z jednego pnia etnicznego. A jeśli dla Europy tego czasu był autorytetem Adam Czartoryski, to nie dlatego, że nagle zapanowała moda na sympatię do książąt ze Wschodu, ale po prostu dlatego, że był Czartoryski konserwatystą liberalnym, to znaczy szanował wszystko, co dziś chętnie nazywamy prawami człowieka. Czymże wreszcie byłby dla Europy Mickiewicz ze swoją mesjadą, jeśliby jego wizja narodu była etniczna? – Jedynie egzotycznym piewcą obskurantyzmu.

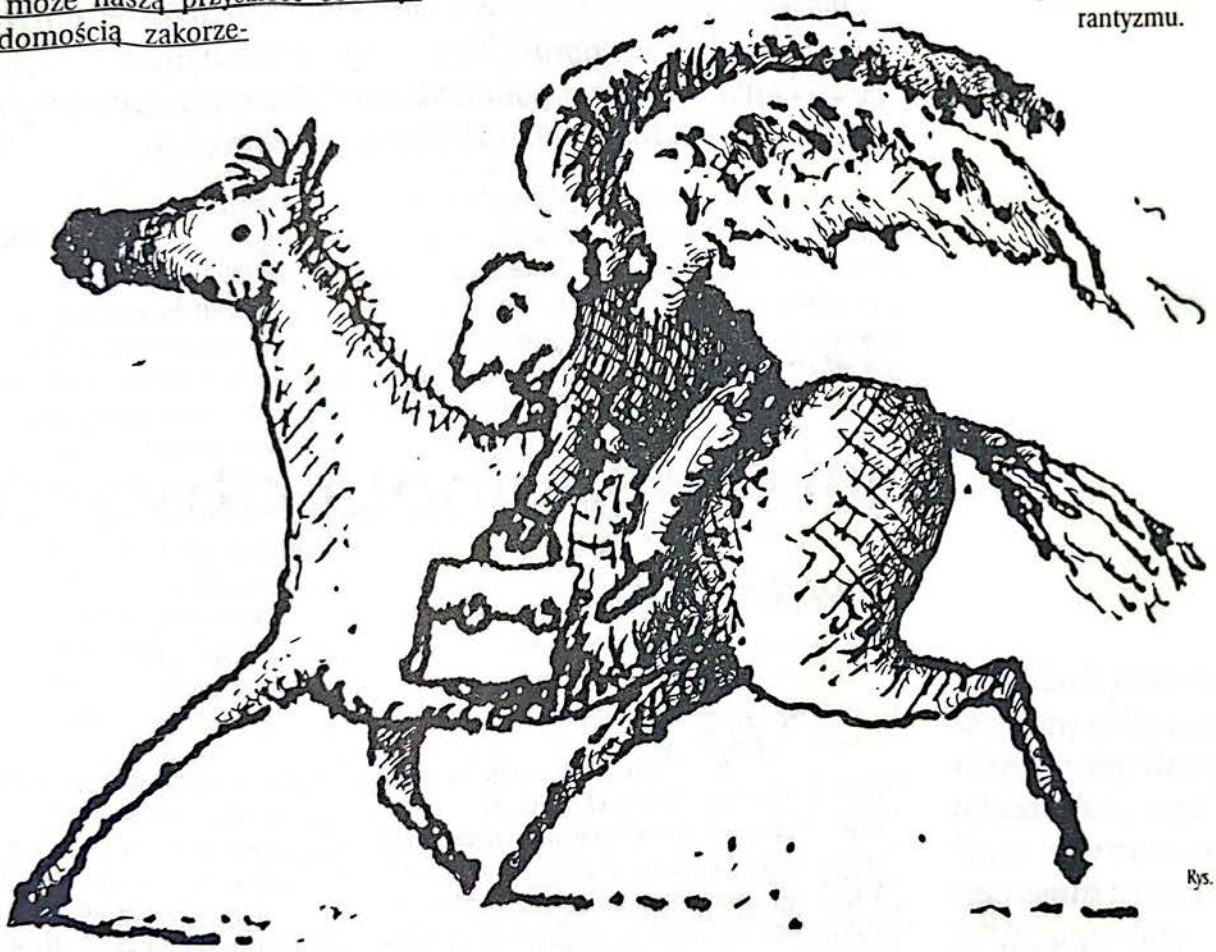

Rys. Marek Raczkowski

Jeżeli tę część tradycji należycie przypomnimy i ożywimy, stanie się jasne, że odpowiadającego współczesnym potrzebom sposobu myślenia nie musimy zapożyczać z antypodów. Ale na to potrzebna normalności, do której dobrym wstępem będzie odrzucenie dzikiej mody na pogardę dla wszystkiego co "nasze", która jest często reakcją na prostactwo spojrzenia w przeszłość "patriotyczno-komunistycznej" propagandy PRL. Lekceważenie en bloc naszej tradycji jest równie nieuczciwe intelektualnie jak absolutyzowanie jej wartości w nacjonalistycznych uproszczeniach. A jeśli ów "wstęp do normalności" zostanie zrobiony, wtedy – być może – pisarz polski, bez obaw, że zostanie okrzyczany "poetą niemodnym", sięgnie po tematykę polityczną i współczesną, by pomóc nam wszystkim określić miejsce, w którym się znajdujemy i rozdroża z tego miejsca widoczne. ■

KRYZYS POLSKOŚCI?

Coraz częściej w wypowiedziach polityków i twórców kultury pojawia się teza o kryzysie polskości. Jeżeli pogląd ten jest prawdziwy, jeżeli mamy do czynienia z porzuceniem przekonania o tym, że polskość jest istotnym czynnikiem kształtującym tożsamość jednostek i całego społeczeństwa, wówczas zjawisko takie może mieć ogromne skutki kulturowe, polityczne i gospodarcze. Poprosiliśmy cztery wybitne postacie naszego życia publicznego o potwierdzenie lub zaprzeczenie tej diagnozy oraz o wskazanie źródeł istotnych zagrożeń.

debata

Polskość jako wspólnota otwarta

PAWEŁ HERTZ

W moim przekonaniu "polszczyzna", czyli polskość, tak jak ją rozumiano i określano w okresach największych wzlotów umysłowości polskiej, była zaproszeniem dla wszystkich, otwarciem wspólnego domu. Wynikało to zapewne przede wszystkim z tradycji Pierwszej Rzeczypospolitej, która – jakkolwiek organizowana przez Polaków, obejmowała ogromne obszary bardzo zróżnicowane narodowościowo, językowo, kulturowo i wyznaniowo. Polacy w tym państwie niewątpliwie dominowali, ale nie zaznaczali swojej dominacji w sposób nazbyt jaskrawy, co w jakimś stopniu wyróżnia Pierwszą Rzeczypospolitą spośród innych formacji historycznych. W tak umiejscowionym historycznie pojęciu polskości dopatruję się przede wszystkim takich elementów jak: zacność i poczciwość, czyli stan ducha i umysłu otwartego na to, co rozstrzyga, że człowiek – nie tylko Polak – kieruje się poczuciem godności, czci i sumienia. W tym rozumieniu, tak jak to można wyraźnie znaleźć u Mickiewicza, polskość jest właściwie szczodrą ofiarą, zaproszeniem do wspólnoty, rzeczą powszechną, czyli katolicką, w pierwotnym greckim znaczeniu wyrazu "katolicki" (powszechny).

Nie jest to jednak jedyny sposób przejawiania się polskości. Okoliczności historyczne (rozpad Rzeczypospolitej, groźba wynarodowienia) spowodowały, że polskość otwarta, owa "polszczyzna", stawała się – wraz z narastającym zagrożeniem – polskością obronną, skupioną na obronie swojej tożsamości. Coraz częstsze stało się określanie polskości jako plemienności. Jest to zresztą wymiar istniejący we wszystkich tradycjach. Wystarczy wziąć do ręki Stary Testament. Wszystkie narody powstawały z czegoś pierwotnego, plemiennego, obronnego, zamkniętego. I dopiero potem, rozrastając się, tra-

PAWEŁ HERTZ – ur. 1918, poeta, eseista, tłumacz. Debiutował w "Wiadomościach Literackich" (1934). Publikował w wielu pismach (m.in. cykl felietonów w "Tygodniku Powszechnym"). Kierował redakcją literacką PIW. Członek władz ZLP (do 1982) i polskiego oddziału PEN-Clubu. Autor licznych książek – m.in. "Nocna muzyka" (1935), "Sedan" (1948), przekładów, a także prac edytorskich. Swój tradycjonalistyczny program literacki Hertz rozwinął w zbiorach szkiców "Domena Polska" (1961), "Ład i nieład" (1964) oraz w wyborze "Świat i dom" (1977).

ciły te cechy obronne i zaczynały promieniować na zewnątrz. Natomiast w polskim przypadku delikatność, czy nawet drażliwość pojęcia plemienności, polegała na ujawniającej się stopniowo jego dwuznaczności. Nie tylko bowiem oznaczając coś mianem plemienności włączano ludzi i ich dzieła w krąg kultury narodowej, lecz także, z upływem czasu coraz częściej, posługując się kryterium plemienności, czy rdzenności, dokonywano eliminacji, wyłączenia. Tym sposobem polskość, rozumiana jako jeden z czynników stanowiących o równouprawnionej obecności w dziejach i kulturze Europy, owa polskość otwarta, szczodrobliwa, powszechna, czyli katolicka, wchodziła w coraz ostrzejszy spór z polskością pojmowaną jako odrębność, swoistość, plemienność.

Trzeba jednak powiedzieć sobie wprost i otwarcie, że im bardziej w drugiej połowie XIX stulecia, z pośpiechem godnym lepszej sprawy, odrzucano, a nawet atakowano wszelką myśl o polskiej rdzenności i swoistości na rzecz utopii uniwersalnych zapominając przy tym, że narody pozbawione suwerenności nie mogą pozbawiać się pamięci o własnych początkach, tym bardziej – na zasadzie reakcji – po drugiej stronie podbijano bębenek uczuć pseudopatriotycznych, rozumianych jako zwolnienie od konieczności przemyślenia problemu narodowej tożsamości. Do tego właśnie sporu odwoływał się Wyspiański, każąc w *Wyzwoleniu* mówić Konradowi, że nieznośne jest manifestowanie polskości bez określania jaka to ma być polskość. Ta otwarta, promieniująca, narodowa, czy ta ograniczająca, plemienna, pierwotna, która nie dorasta do stadium promieniującego na zewnątrz narodu i oznacza regres.

Ale powtarzam zawsze, co pewnie niektórzy będą mi mieli za złe, że należy bronić także tego pierwotnego pojęcia polskości jako plemienności. Nie chcę powiedzieć, że jestem lepszym Polakiem od Konrada, nie mam w dodatku z polskością związków rdzennych, czy plemiennych i pojmuję ją właśnie jako rzecz pospolitą, powszechną, europejską. Nie mogę jednak zapomnieć, że owo węższe, wyodrębniające poczucie polskości, które od stu z górą lat jest przedmiotem niechęci jednych, uznania zaś drugich, należałoby traktować z większym obiektywizmem. Powinienem pamiętać, że u początków kształtowania się tysiącletniej historii narodu, w której mój i moich przodków udział jest znacznie krótszy, było właśnie owo plemię, bez którego zalet i wad nie powstałby naród. Bez tego, ci, do których nie stosuje się węższa definicja polskości, nie mogliby w stosownym czasie mieć swojego udziału w polskości otwartej i powszechnej. Nie mogliby jej zatem współtworzyć.

Powróćmy jednak do naszego podstawowego pytania. Dlaczego tak wielu intelektualistów odnosi się z podejrzliwością do terminu "polskość" i dlaczego używanie takiej terminologii dla bardzo wielu ludzi w Polsce, zwłaszcza dla ludzi działających poprzez środki przekazu, jest jak gdyby kompromitujące, pomniejszające? Dzieje się tak właśnie dlatego, że nie rozumiejąc historii kształtowania się tego pojęcia, nie rozumiejąc, że plemienność i narodowość wynikają z siebie wzajemnie, nie pojmuje się, iż bycie Polakiem, przyznawanie się do polskości, nie oznacza zamykania się na inne tradycje i na inne narody. Jeżeli mówię, że jestem w narodzie, że należę do wspólnoty narodowej to znaczy także, że ten naród ma swoje prawa i swoje obowiązki, tak samo jak każdy inny naród na obszarze tego kontynentu. Europa jest zamieszkana przez narody i żadne, najbardziej liberalne koncepcje gospodarcze, nie powinny, a jeśli są naprawdę liberalne, nie chcą tego zmieniać. Można znieść granicę celną pomiędzy Niemcami i Francją, nie można znieść granicy między Niemcem i Francuzem, ponieważ jeden będzie czytał jako pierwszą, najbliższą lekturę Goethego, a drugi Balzaka, Stendhala, czy Baudelaire'a. Nie znaczy to, że nie będą szanować, a nawet podziwiać innych pisarzy, ale podstawą istnienia każdej ukształtowanej społeczności jest jej odrębny język, kultura i plemienne początki.

Odrzucanie tych prawd przez część polskich intelektualistów wynika prawdopodobnie z ich nietolerancji, z niechęci do rozmaitych cech, które uznają za nienowoczesne, nie mające prawa obywatelstwa we współczesnym świecie. Jest to także produkt pewnego kompleksu i spowodowanego nim snobizmu kulturowego, który kwitnie zresztą w Polsce nie od dzisiaj, bo to jest również fenomen dwudziestolecia międzywojennego, a i wcześniej takie postawy w kulturze polskiej były obecne. Wyobrażanie sobie, że stanę się Europejczykiem, kiedy wyzbędę się swojskości, narodowej odrębności, nigdy nie przyszłoby do głowy Francuzowi, Anglikowi, czy Niemcowi. Norwid napisał, że nie można kultury do narodu "przywieźć koleją żelazną", że kultura musi tworzyć się z głębi naro-

...polskość jest właściwie szczodrą ofiarą, zaproszeniem do wspólnoty, rzeczą powszechną, czyli katolicką, w pierwotnym greckim znaczeniu wyrazu "katolicki" (powszechny)...

...Okoliczności historyczne (rozpad Rzeczypospolitej, groźba wynarodowienia) spowodowały, że polskość otwarta, owa "polszczyzna", stawała się wraz z narastającym zagrożeniem polskością obronną, skupioną na obronie swojej tożsamości. Coraz częstsze stało się określanie polskości jako plemienności.

du. To się odnosi także do owej kultury europejskiej traktowanej czasami jako coś innego, lepszego od sumy kultur narodowych. Kultury europejskiej, którą by trzeba po Europie rozwieźć "koleją żelazną". Nie ma myślenia bez języka. Każdego Polaka, Niemca, Żyda, Greka określa język, w jakim myśli. A ten język jest naturalnie dziedziczony od pokoleń. Niedostrzeganie tego jest pewnego rodzaju pogardą wobec historii. Przy tym należy dodać, że w żadnej społeczności narodowej nie da się oddzielić tego, co wzniosłe od tego, co przaśne, co stanowi o jej otwartości, od jej wymiaru plemiennego. Formacja narodowa nigdy nie jest monolitem. Są w niej najrozmaitsze warstwy i jest współżycie między nimi; solidarne współżycie występujące zwłaszcza w momentach zagrożenia. Zjawiska, które w Polsce określa się jako przaśne, plemienne, pewnego rodzaju szowinizm, to wszystko znajdzie się również u Niemców i Francuzów. Chyba, że nie wyjeżdża się poza Paryż i poza uniwersytety amerykańskie.

Przy okazji dystansowania się od pojęcia polskości bardzo często atakowany jest inny fundament społecznej tożsamości – Kościół. Kontestacja Kościoła płynie przede wszystkim ze środków masowego przekazu i od ludzi, którzy są przedstawicielami jednej, dość wąskiej zresztą, warstwy inteligencji humanistycznej. Nie ma zasadniczo aktywnej kontestacji roli Kościoła w Polsce ze strony wsi, środowisk robotniczych, inteligencji zawodowej, czy tego, co można by już nazwać początkiem klasy mieszczańskiej. Myślę wobec tego, że mówienie o jakimś zagrożeniu, kryzysie jest dosyć przesadzone. Kościół przecież nie jest w Polsce ani tak słabą, ani tak mniejszościową instytucją, żeby trzeba się było takimi atakami zbytnio przejmować.

Istotne jest jednak rozważenie tego zjawiska na płaszczyźnie światopoglądowej, cywilizacyjnej. Niechęć do Kościoła rozumiana głębiej może być pochodną trwającego w całej Europie, od czasów Oświecenia, procesu sekularyzacji kultury, zakwestionowania judeochrześcijańskiej tradycji postrzegania wzajemnego stosunku Boga i człowieka. Jesteśmy coraz bardziej skłonni widzieć w człowieku jedynego stwórcę i prawodawcę otaczającego nas świata. Boga usuwamy na margines. Łaskawie pozostawiono Mu w czasie rewolucji francuskiej miano najwyższej istoty, ale cała historia człowieka jako Syna Bożego, opowiedziana w obu Testamentach, została odrzucona.

Wszystkie straszne rzeczy, które wydarzyły się w Europie po rewolucji francuskiej wynikały właśnie z odrzucenia idei Boga. Myślę, że hitleryzm był tak okrutny nie dlatego, że Niemcy chcieli – jako naród – podbić świat, ale dlatego, że jego głównym celem było całkowite opanowanie ludzkich umysłów i dusz, a zatem wykorzenienie idei Boga i zaprowadzenie w to miejsce neopogaństwa. To samo rozpoznanie obowiązuje w stosunku do komunizmu. W obu przypadkach, na drodze do zdobycia totalnej kontroli nad człowiekiem stanęła idea Boga. Posunąłbym się jeszcze dalej i powiedział, że cała sprawa żydowska polegała – w ujęciu hitlerowskim – na pragnieniu likwidacji narodu, który jest w Biblii narodem wybranym, i któremu Bóg nigdy tego wybraństwa nie cofnął. Stąd jednoczesna próba likwidacji narodu i likwidacji Starego i Nowego Testamentu. Zatem, o ile w rządzeniu państwem, w administrowaniu państwem, należy uniknąć faworyzowania jakiegoś stanowiska wyznaniowego, to trzeba sobie powiedzieć, że kultura bez Boga jest martwa, a filozofia po odrzuceniu idei Boga może usprawiedliwiać, lecz nie może zapobiec wynaturzeniu idei człowieka.

Wszystkie straszne rzeczy, które wydarzyły się w Europie po rewolucji francuskiej, wynikały właśnie z odrzucenia idei Boga. Myślę, że hitleryzm był tak okrutny nie dlatego, że Niemcy chcieli jako naród podbić świat, ale dlatego, że jego głównym celem było całkowite opanowanie ludzkich umysłów i dusz, a zatem wykorzenienie idei Boga i zaprowadzenie w to miejsce neopogaństwa. To samo rozpoznanie obowiązuje w stosunku do komunizmu.

Ze sprawą dechrystianizacji Europy łączony jest zwykle problem zachowania tożsamości narodowej. Wojciech Wasiutyński napisał niedawno: "Polsce zagraża fundamentalne niebezpieczeństwo związane z idącą przez świat falą dechrystianizacji. Nie idzie tu o walkę z organizacją kościelną, ani z dogmatami religijnymi, ale z całym etosem chrześcijańskim, z całą tradycją i urobioną wiekami moralnością. (...) To, co dla narodów zachodnioeuropejskich może być przejściową chorobą, w Polsce mogłoby się okazać śmiercią kultury narodowej, końcem odrębnego bytu. Fizycznie Polacy istnieliby nadal i mówili po polsku (...), ale straciliby żywą łączność z własną przeszłością. Obserwując postępy faktycznej dekatolicyzacji Polski w ostatnich latach, to niebezpieczeństwo trzeba poważnie brać pod uwagę." Otóż nie zgadzam się z opinią, że Polak niewierzący przestaje być Polakiem. Niewierzący Polak ma te same źródła wiedzy o Polsce, co Polak wierzący. Nie potrafiłbym powiedzieć, że profesor Kotarbiński nie był dobrym Polakiem, czy też w ogóle nie był Polakiem. Oczywiście, że był Polakiem, nawet bardzo typowo wyglądał. Zachowywał się także jak polski szlachcic. Był jednak człowiekiem programowo niewierzącym. Dla mnie zatem rzecz przedstawia się następująco. Kultura pol-

ska, jak każda europejska kultura narodowa, ma źródła chrześcijańskie. Jak powiedział Krasiński – chrześcijaństwo jest źródłem narodów, źródłem tego rodzaju wolności, dzięki której tworzyć się mogą formacje narodowe. Bez niego byłyby tylko jakieś olbrzymie masy rządzone przez satrapów, tyranów, cezarów. I tak jak nie ma narodu polskiego bez chrześcijaństwa, tak reszta jest jednak sprawą sumienia poszczególnych członków tego narodu. Jeśli zachowujemy się w sposób intelektualnie uczciwy, musimy przyznać, że polska tradycja narodowa jest produktem działania społeczności, która kierowała się w tych działaniach nauką Kościoła rzymskokatolickiego. I tylko tyle. A jak to traktujemy, czy wyłącznie jako fakt społeczny, czy też przyjmujemy to z uwzględnieniem całej sfery nadprzyrodzonej, transcendentnej, to już jest sprawa naszego sumienia.

Każdy, kto wchodzi w krąg polskości, musi mieć świadomość, że tutaj wszystko zaczęło się od chrztu. Od chrztu katolickiego, bo tylko taki wtedy był. Tu się wszystko zaczyna od świętego Wojciecha; język, literatura, kultura, stosunki między ludźmi – wszystko jest przez chrześcijaństwo formowane. Jest lekkomyślnością atakowanie swego najistotniejszego dziedzictwa. Być może wielu ludzi nie bardzo sobie z tego zdaje sprawę. Inteligent postępowy w ogóle nie lubi prowadzić takich rozmów. Jemu się wtedy wydaje, że schodzi na pozycje prymitywnej dewotki, bigotki, a strasznie się tego boi. Bo oczywiście 200 lat odrócenia się od koncepcji świata i człowieka jako tworów Bożych ugruntowało bardzo mocno ten wstyd. Wstyd, żeby broń Boże o tym nie rozmawiać, a jak już ktoś mówi, to żeby go gwałtownie atakować, bo on mnie chce sprowadzić w mroki średniowiecza. Myślę, że tutaj jest źródło histerycznych zachowań części naszej inteligencji i źródło kryzysu obrazu polskiego katolicyzmu prezentowanego w mediach. Ponieważ nasza inteligencja, szczególnie jej część nazywająca siebie postępową, jest w gruncie rzeczy szalenie zacofana. Ona dopiero oswaja się z dziedzictwem Oświecenia, które na Zachodzie Europy zostało już w pewien sposób przetrawione i uporządkowane. No i jeszcze ten wstyd inteligenta – nuworysza, wstyd wobec zachowań ludowych. Kiedyś, w rozmowie z Andrzejem Micewskim poświęconej katolicyzmowi ludowemu i katolicyzmowi intelektualnemu w typie Maritaine'a, powiedziałem, że nie widzę żadnej sprzeczności pomiędzy czytaniem Maritaine'a i klękaniem na ulicy, wraz z innymi ludźmi, kiedy przechodzi procesja. Nie widzę żadnej degradacji dla człowieka czytającego Maritaine'a, w tym, że on razem z ludźmi, na wiejskiej drodze, czy na ulicy w mieście, uklęknie. Co więcej, przypuszczam, że intelektualista, który dostrzega w tym jakąś degradację, Maritaine'a nigdy w życiu nie przeczytał, albo go nie zrozumiał.

I na koniec chciałbym wspomnieć o istotnym wymiarze kryzysu polskości, jakim jest mentalność oblężonej twierdzy, bardzo powszechna wśród ludzi, którzy się z polskością, z tradycją narodową, w jakiś sposób utożsamiają. Jarosław Marek Rymkiewicz stwierdził ostatnio, w bardzo ważnym i głośnym już wystąpieniu, że ostateczne pytanie, jakie z dramatyczną wyrazistością przed nami ostatnio stanęło, brzmi: czy Polacy pozwolą sie przerobić na jakiś inny naród, czy też potrafią obronić swoją swoistość, swój styl życia. Myślę, że te słowa podsunęła Rymkiewiczowi gorycz i poczucie tego, że znalazł się w swoim środowisku intelektualnym w mniejszości. Bo tak istotnie jest. Zbuntował się zresztą nie tylko on. Dzięki takim buntom to środowisko ulega w tej chwili pewnej, może jeszcze nie polaryzacji, ale przynajmniej zróżnicowaniu; przestaje być monolitem. Pluralizm sięgnął również elity intelektualnej.

Rozumiejąc zatem przyczynę tak ostrego sformułowania przez Rymkiewicza problemu polskości, myślę, że niebezpieczeństwo o którym mówi, nam nie zagraża. Niemożliwe jest bowiem, by jakiś naród przestał być narodem. Przeciwnie, są przykłady rozkwitu tendencji narodowych wszędzie tam, gdzie jeszcze pięćdziesiąt lat temu nie było o tym mowy. Mamy Basków, Walonów, Flamandów, pojawił się problem narodów i państw narodowych dawnego imperium rosyjskiego, problem narodów i państw narodowych Islamu. Myślę, że Polacy są mniej niż jakikolwiek z narodów europejskich skłonni przestać być narodem. Są niesłychanie samoistni, niezwykle szczególni, bardzo niepodatni na to, żeby ich zniemczyć, zruszczyć. To właśnie Polacy przez dwieście lat polonizowali Niemców, austriackich urzędników, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, nie dysponując żadną siłą polityczną, nie mając, słabego nawet, państwa. Natomiast nie jest wykluczone, że dystansując się do własnej przeszłości, wynarodowi się pewna część intelektualistów, ale to jest ich zmartwienie. ▩

Jeśli zachowujemy się w sposób intelektualnie uczciwy musimy przyznać, że polska tradycja narodowa jest produktem działania społeczności, która kierowała się w tych działaniach nauką Kościoła rzymskokatolickiego. I tylko tyle. A jak to traktujemy, czy wyłącznie jako fakt społeczny, czy też przyjmujemy to z uwzględnieniem całej sfery nadprzyrodzonej, transcendentnej, to już jest sprawa naszego sumienia.

Próba polskości

HANNA SUCHOCKA

Kryzys? Nie sądzę. Raczej kolejna, poważna próba naszej polskości. Jednym z elementów tej próby jest to, jak zachowamy się w sporze "europejskość" kontra "zaściankowość" – sporze, który bardzo często przybiera wymiar karykaturalny. Z jednej strony mamy do czynienia z niebezpieczeństwem ksenofobii i nacjonalizmu, z drugiej – z powierzchowną europejskością.

Słyszymy o zagrożeniach z Europy, ze strony ludzi obcych nam narodowo i rasowo, którzy mają nas wykupować, wynaradawiać, czynić z nas niewolników. Lekarstwem na te zagrożenia ma być zamknięcie kraju przed obcymi wpływami, autarkiczna gospodarka, a przede wszystkim oddanie władzy tym, którzy nas straszą.

Innym razem mamy iść do Europy, do świata, bezkrytycznie przyjmując tamtejsze wzory. Polska jest przedstawiana jako kraj brudu, ciemnoty, religianctwa i partackiej roboty. Lekarstwem na to ma być karta kredytowa "Visa", hamburger, hollywoodzkie filmy i komiksy.

Taki spór jest niepoważny i niebezpieczny. Cywilizacja europejska to wielowiekowy proces skomplikowanego przenikania się tradycji różnych narodów i współistnienia różnych religii. Bez tego pluralizmu postęp cywilizacji byłby niemożliwy. Dlatego nie wolno zamykać swojej narodowej kultury przed tym, co napływa do niej z zewnątrz. Równocześnie jednak trzeba mówić własnym językiem i rozwijać własną tradycję, by uczestniczyć w wielkim procesie wzajemnego bogacenia się.

W trudnych latach zaborów polski patriotyzm czerpał wielokroć swoją siłę i dumę z europejskiego zakorzenienia. Podobnie w niedawnych latach walki z totalitaryzmem rodem z Moskwy: Podkreślanie naszej europejskości było elementem tożsamości, którą przeciwstawiliśmy wzorom "homo sovieticus".

Jeszcze bardziej oczywiste jest to w gospodarce. W dzisiejszym świecie czystym szaleństwem i skazaniem się na nędzę byłoby zamknięcie kraju na nowoczesne technologie i zagraniczny kapitał. Nie stać na to nawet mocarstw. Siła ekonomiczna wielu krajów płynie właśnie z umiejętnego przyciągania kapitałów i technologii.

Drugim elementem próby polskości jest praktyczna umiejętność przekładania wielkich słów na czyny. Łatwo powtarzać słowo "naród", trudniej wyciągnąć z tego oczywiste konsekwencje. Nie chcę wdawać się w skomplikowaną materię definicyjną tego słowa. Napisano na ten temat wiele rozpraw. Jedno nie ulega wątpliwości. Naród to wspólnota pokoleń. To zobowiązanie wobec tych, którzy przeminęli pracując, walcząc i umierając dla Polski. To wreszcie nasz obowiązek wobec generacji, które przyjdą po nas.

Zdaliśmy już jeden trudny egzamin z rozważnej walki: mamy Polskę niepodległą. Wyjdziemy zwycięsko z próby polskości, jeśli nauczymy się walczyć o coś, zamiast przeciw czemuś lub komuś – to znaczy, jeśli będziemy umieli pracować i myśleć "po gospodarsku", codziennym wysiłkiem budując dostatek. Jeśli nie ulegniemy iluzji cudownych recept, które miałyby sprawić, że jutro będziemy bogaci bez pracy i trudnych przemian gospodarki. Mamy szansę w ciągu dziesięciolecia podwoić dochód narodowy i dołączyć do krajów bogatych. Dążenie do tego jest – jak sądzę – praktycznym przełożeniem zobowiązań płynących ze słowa "naród".

I ostatnia uwaga. Polskość też ma różne kształty, a w ramach polskiej tradycji mamy do czynienia z różnymi wzorami. Ja o polskości mówię z pewnym zażenowaniem. W Wielkopolsce, z której pochodzę, raczej się działa niż mówi. Dlatego wierzę, że nam się uda. ■

HANNA SUCHOCKA – Prezes Rady Ministrów od lipca 1992. Poseł na Sejm w latach 1980–1985 i 1989–1993. Prawnik, profesor i wykładowca prawa na UAM w Poznaniu i na KUL-u. Redaktor naukowy publikacji "Tworzenie prawa w demokratycznym państwie prawnym" (1992). Należy do Unii Demokratycznej.

Naród zamiast tłumu

WIESŁAW CHRZANOWSKI

Powstanie i rozwój nowoczesnych narodów to proces, który jest jednym z ważniejszych zjawisk ostatnich stuleci. W Polsce proces ten miał kilka zasadniczych faz, w odniesieniu do których tworzony był program ruchu narodowego. Wojciech Wasiutyński formułuje tezę, że w pierwszym z tych okresów obóz narodowy czynnie uczestniczył w rozszerzaniu się poczucia narodowego w masach ludowych. W drugim zabiegał o interesy polskie w wielonarodowościowej II Rzeczypospolitej. Trzeci, którego jesteśmy świadkami, to faza, w której mamy do czynienia z kryzysem polonizmu, zagrożeniem tożsamości narodowej.

U progu pierwszego okresu – pod koniec wieku XIX – Jan Ludwik Popławski postawił tezę o konieczności uświadomienia narodowego mas ludowych, rozszerzenia narodu polskiego z kilkusettysięcznego narodu szlachty, mieszczaństwa i inteligencji do kilkunastomilionowego nowoczesnego narodu. W procesie upodmiotowienia, unarodowienia mas ludowych uczestniczył wówczas nie tylko ruch narodowy, lecz także ludowcy i socjaliści. Zbudowane na przełomie wieków poczucie narodowe zostało silnie umocnione w latach II Rzeczypospolitej. Ostatnim etapem dojrzewania nowoczesnego narodu, była masowa konspiracja w latach II wojny światowej. Młodzież wiejska powszechnie uczestniczyła w tworzeniu Armii Krajowej, a po roku 1944 stanowiła zasadniczy trzon partyzantki antykomunistycznej.

Jednak nad zjawiskami pozytywnymi zaczynają dominować negatywne. Bezpośrednio po wojnie następują gwałtowne migracje: geograficzne – z dawnych kresów wschodnich na zachód oraz społeczne – ze wsi do miasta. Dzieje się to w warunkach braku normalnych form organizacji społeczeństwa – samorządów, stowarzyszeń, czy chociażby organizacji parafialnych. Skonstruowane jako namiastka samorządu terytorialnego rady narodowe były przecież kompletną fikcją, zaś stowarzyszenia zostały sprowadzone do roli instytucji ułatwiających kontrolę życia społecznego. Ich istnienie pogłębiało raczej atomizację, uniemożliwiając tworzenie się autentycznych struktur nieformalnych. Utrzymaniu takiego zatomizowanego społeczeństwa sprzyjały – na co zwrócił kiedyś uwagę profesor Stefan Kurowski – nawet koncepcje urbanistyczne. Koncepcja oddalonych od centrum miasta i pozbawionych jakiejkolwiek infrastruktury kulturalnej osiedli mieszkaniowych, z których człowiek po pracy nie wraca już do miasta a jednocześnie nie ma okazji do kontaktu z sąsiadami, wzmacniała poczucie samotności, alienacji. Społeczeństwo polskie stawało się bezładnym zbiorowiskiem jednostek – tłumem.

Trzeba zauważyć, że cała duszpasterska koncepcja Kościoła lat 1956–1981 prowadzonego przez Kardynała Wyszyńskiego dostosowana była do tego nowego kształtu polskiego społeczeństwa. Organizowano wielkie, masowe uroczystości – takie jak peregrynacja Obrazu NMP, obchody Millenium Chrztu Polski, pielgrzymki do sanktuariów maryjnych. One dawały poczucie siły, poczucie uczestnictwa w wielkiej wspólnocie, nawet gdy była ona w istocie zatomizowanym tłumem.

To zjawisko społeczne dało znać o sobie również w roku 1980, w pierwszym okresie rozwoju "Solidarności". Ówczesne protesty powstawały pod wpływem czegoś, co nazywamy psychologią tłumu, co nadawało całemu ruchowi specyficzny charakter. Nowe, autentyczne więzi społeczne zaczęły powstawać dopiero po powstaniu "Solidarności". Tylko temu, że okres ten potrwał szesnaście miesięcy, że nie skończył się wcześniej, zawdzięczamy odbudowanie zalążków struktur, które funkcjonowały potem w latach osiemdziesiątych.

WIESŁAW CHRZANOWSKI – ur. 1923, Prezes Zarządu Głównego Zjednoczenia Chrześcijańsko – Narodowego, marszałek Sejmu RP I kadencji, autor zbioru tekstów publicystycznych "Rzecz o obronie czynnej" (1988).

Obecnie problemem numer jeden jest odbudowa autentycznych więzi narodowych i więzi społecznych. Obserwujemy już naturalne odradzanie się patriotyzmów lokalnych, życie stowarzyszeniowe. U progu naszego stulecia bardzo czynnie uczestniczyło w podobnych procesach duchowieństwo. Dziś, po Soborze Watykańskim II, który ograniczył społeczne i polityczne zaangażowanie księży, ich uczestnictwo jest mniejsze. Większa rola przypada natomiast środowiskom świeckim, które w sposób naturalny uczestniczą w życiu ekonomicznym, społecznym i politycznym i dzięki temu wywierają wpływ na współczesne oblicze narodu.

Jednakże odbudowa życia narodowego odbywa się w trudnych warunkach. W warunkach, które rzeczywiście możemy określić jako kryzys polskości. To, co stało się z polskim społeczeństwem w minionych czterdziestu latach jest pożywką nihilizmu. Nihilizmu, który sprawia, że dziś bardzo łatwo przyjmujemy z Zachodu treści negatywne, nie posiadając jednocześnie tego, co stanowi pozytywną treść tamtej kultury.

A ponieważ naród identyfikuje się przede wszystkim przez kulturę, to zmiany kulturowe mogą być zagrożeniem dla poczucia narodowego. To jest to wyzwanie, o którym mówi Wasiutyński, stanowiące istotę programu współczesnego polskiego ruchu narodowego. Jego sensem jest kształtowanie postaw, które nie odwołują się do psychiki tłumu, lecz do zakorzenionej w poczuciu narodowej tożsamości idei porządku społecznego.

Dzisiaj takich postaw bardzo nam brakuje – zarówno na poziomie lokalnym, jak i elit ogólnopolskich. Mówimy wiele o kryzysie demokracji, słabości elit politycznych – tymczasem to przypomina anegdotę o tym jak w teatrze odbywa się przedstawienie *Moralności pani Dulskiej*, publiczność się śmieje, bije brawo – ale na sali siedzi sto pań Dulskich, które nie zdają sobie sprawy, że to jest ich portret. W końcu to, co mogliśmy obserwować ostatnio w Sejmie to nie jest obraz jakiejś chorej elity, lecz całego narodu.

Sądzę mimo to – a jest to spojrzenie człowieka, który widział Polskę w znacznie większych opałach – że kryzys polskości, kryzys poczucia odpowiedzialności za sprawy wspólne, zostanie przełamany przez odrodzenie się naturalnych zachowań społecznych. Mam nadzieję, że sprzyjać temu będzie również inne spojrzenie elit politycznych i umysłowych na samo zagadnienie wspólnoty narodowej. ▩

Profesor Pimko contra profesor Gombrowicz

MACIEJ ZIĘBA OP

Kryzys polskości wiąże się z powszechnym kryzysem rozumienia i przeżywania wolności. Od dawna bliskie mi jest przekonanie, że trzeba być konserwatystą, aby móc być liberałem. Niestety, jest to stanowisko nader rzadko akceptowane przez opiniotwórcze elity. Bliższy im jest "totalny" liberalizm. A przecież, będąca jego rezultatem amorficzna wolność, sprawia, że właściwie każdy wybór staje się równoprawny. Wolność taka jest nie tylko zimna i smutna dla "wyzwolonych" jednostek, ale i niszcząca od wewnątrz dla społeczeństwa. "Totalny" liberalizm (który niesie ze sobą również wizję kultury) jest wewnętrznie sprzeczny, a przez to słaby i kruchy. Nie potrafi utrzymać spoistości społeczeństwa. Jest niezwykle użyteczny jako technika życia gospodarczego, sprawdza się w polityce, ale zawodzi jako sposób życia w ogóle. Do tego potrzeba jeszcze pewnej gleby etycznej: wspólnych wartości i powstałego wokół nich consensusu społecznego. Tym naturalnym fundamentem jest dla cywilizacji Zachodu, a więc i dla Polski, chrześcijaństwo. Jest to fundament tyleż naturalny, co podważany dziś, choćby w imię idei państwa "neutralnego" – idei, z której wyciąga się skrajne i dziwaczne zarazem konsekwencje. Okazuje się wówczas na przykład, że w państwie świeckim nie mogą wisieć na szkolnych ścianach obrazy o treści religijnej. Wszystkie Piety, Ukrzyżowania, sceny Zmartwychwstania czy Zwiastowania, które są również po prostu znakami piękna muszą być usunięte. Chyba że na jednej ścianie powiesimy obraz buddyjski, na innej chrześcijański. Na jednej katolicki, a na drugiej protestancki. Takie "kwotowe" myślenie jest żałosne. I jak daleko to ciągnąć? Kasować święta Bożego Narodzenia? Czy obchodzić wszystkie święta, jakie są na świecie? A może tylko tych społeczności, których jest ponad 3% czy 5% w danej populacji? Gdzieś tu wkraczamy w myślenie absurdalne, myślenie ściśle techniczne, myślenie w kategoriach społecznej inżynierii. Sądzę, że także człowiek niewierzący powinien dostrzec, iż na naszych oczach dokonuje się zerwanie z kulturową tradycją, z pewną ciągłością kulturową. To oznacza, że weszliśmy w fazę kryzysu cywilizacyjnego, a nie tylko kryzysu Kościoła czy kryzysu polskości.

Kultura europejska jest zakorzeniona w chrześcijaństwie, co nie znaczy, że wszystko w tej kulturze jest chrześcijańskie. Byłaby to uzurpacja. Ale jest to jeden z najbardziej żywotnych, twórczych jej elementów. Zerwanie ciągłości z chrześcijaństwem oznacza dla mnie uwiąd tejże kultury, zamknięcie pewnego okresu cywilizacyjnego. Kościół, tu jestem zupełnie spokojny, przetrwa ewentualny koniec cywilizacji euroamerykańskiej. Zamiast pogrążać się w millenarystycznym pesymizmie, lepiej to wyzwanie sekularyzmu podjąć na poziomie kultury. Przekonanie takie od bardzo dawna celnie i jasno formułuje Papież. Wiara artykułuje się w przestrzeni kultury. Jeśli traci tę zdolność to staje się skansenem, anachronicznym systemem zamkniętych znaczeń, nieczytelnych dla następnych pokoleń.

Kultura uniwersalna wyraża się jednak przez to, co partykularne i konkretne. Polskość jest dla mnie tą przestrzenią, w której odczuwam, myślę i oddycham. Nie przepadam za zbitką Polak-katolik, natomiast bardzo lubię zbitkę

MACIEJ ZIĘBA OP – ur. 1954, dominikanin, publicysta, dyrektor wydawnictwa "W drodze". Publikuje m.in.

katolik–Polak; pierwszy (i na wieczność) jest mój katolicyzm; przyjęcie Objawienia poprzez Słowo Boże i wychowanie w Kościele, życie w pełni Kościoła, które jednakże realizuje się w polskiej kulturze. Ma ona swoje uwarunkowania, ma ograniczenia, okresy lepsze i gorsze. Wolno, a nawet trzeba, je krytycznie rozważać. Niemniej warto zawsze pamiętać, że każdy z nas, nawet mimowolnie w tej przestrzeni żyje i się porusza. Zarazem polskość jest to przepustka do uniwersalizmu, uczestniczenia, porównywania, współdziałania z innymi tradycjami. Od paru lat fascynuje mnie tradycja amerykańska, co wcale nie przeszkadza mi sądzić, że imitowanie amerykańskości jest żałosne, głupie i bez sensu. Tylko poprzez swoją polskość mogę sensownie czerpać z kultury amerykańskiej, rozpoznać, czym się te kultury różnią – na przykład amerykański indywidualizm, tak różny od polskiego, dużo bardziej wspólnotowego przeżywania rzeczywistości. Muszę być w pełni Polakiem, żeby twórczo i ciekawie dyskutować z dziedzictwem amerykańskim.

I kolejny problem. Myślenie w kategoriach bardziej uniwersalnych, na przykład europejskich, wytwarza na różnych poziomach napięcia z tożsamością Polaków. Już choćby dlatego, że kiedy ktoś mówi Europa, to nie wiadomo, czy ma na myśli – używam tu nazwisk jako symboli – Europę Attalego, Wojtyły, czy Le Pena. Myślę, chyba nie tylko dlatego, że jestem zakonnikiem i Polakiem, iż wizja Jana Pawła II jest mi najbliższa. Przecież formuła Papieża, choć jest chrześcijańska, ma też wymiar ponadkonfesyjny. Jest otwarta na kulturę uniwersalną, ale i na różnorodność kultur narodowych. Z kolei Europa Le Pena jest w Polsce możliwa, jako histeryczna reakcja na wizję Europy Attalego, Europy raczej technokratycznej i zunifikowanej. Jeżeli będziemy chcieli ujednolicać Europę, będzie to – prawem ruchu wahadłowego – uruchamiało ogromne energie agresywnych nacjonalizmów i etnicznych czystek. Trzeba pilnować, starać się działać w taki sposób, aby naród miał przestrzeń artykułowania swojej tożsamości – przestrzeń, którą jest kultura. Jeśli kultura narodowa więdnie, jest blokowana w imię pewnych ogólników bazujących na ideologii Oświecenia, wtedy istnieje zagrożenie, że tę tożsamość będzie się artykułować na poziomie etnicznym, na poziomie czystości etnicznej.

Miejscem, w którym rozstrzyga się problem polskiej kultury i tożsamości jest szkoła. System edukacji to podstawowy system wychowujący obywateli. Właśnie szkoła tworzy wspólny świat przekonań. Nadaje społeczeństwu poczucie tożsamości, daje wspólną pamięć o tym, co było. Naród, ale również państwo i demokracja szalenie potrzebują consensusu, pewnego systemu pojęć, wspólnego języka, artykułowania, odniesień. Jeżeli przerwie się tę ciągłość, to rozsypuje się społeczeństwo. Mamy obecnie w Polsce do czynienia z szalenie silnym kryzysem tej najważniejszej instytucji budującej zbiorową tożsamość. Jest to kryzys rozgrywający się na dwóch poziomach. Pierwszy jego aspekt to cywilizacyjny kryzys szkolnictwa, który obserwujemy również w Europie Zachodniej i USA; to idea, żeby szkoła stała się miejscem przyjemnego kreatywnego wypoczynku, samorealizacji, nie przymuszająca do czegokolwiek, czyli nie "opresywna". Natomiast uczenie o wartościach uznawane jest za ideologię. Dlatego na przykład w stanie Nowy Jork władze szkolne zdecydowały – wbrew opinii rodziców – że dziesięcioletnie dzieci nie mogą się uczyć Pisma Świętego w szkołach publicznych, bo to jest nieneutralne światopoglądowo. Natomiast mimo protestów rodziców ich dzieci uczone są technik seksu oralnego, analnego, nakładania prezerwatyw itd., ponieważ jest to neutralna światopoglądowo kwestia techniki. Argument, że w ten sposób chroni się przed AIDS jest niekiedy ogromną manipulacją, bo tu chodzi jeszcze bardziej o wizję życia rodzinnego, sposobu przeżywania więzi międzyludzkich, wizję ludzkiej płciowości, także sensu ludzkiego życia. Przy takim rozumieniu "neutralnej światopoglądowo technologii", czy to zachowań seksualnych, czy innych zachowań społecznych, uniemożliwia się dokonanie przez dziecko i przez rodziców wyboru. Zarazem odrzuca się każdą

Kryzys polskości wiąże się z powszechnym kryzysem rozumienia i przeżywania wolności. Od dawna bliskie mi jest przekonanie, że trzeba być konserwatystą, aby móc być liberałem. Niestety, jest to stanowisko nader rzadko akceptowane przez opiniotwórcze elity. Bliższy im jest "totalny" liberalizm. A przecież, będąca jego rezultatem amorficzna wolność, sprawia, że właściwie każdy wybór staje się równoprawny. Wolność taka jest nie tylko zimna i smutna dla "wyzwolonych" jednostek, ale i niszcząca od wewnątrz dla społeczeństwa.

formę mówienia o dobru i o złu, nazywając ją ideologizacją. To jest to szalenie głęboki absurd cywilizacyjny.

Na ten ogólny, cywilizacyjny, wymiar kryzysu nakłada się specyficznie polski, ilościowy i jakościowy kryzys szkolnictwa. Trzeba bić głośno na alarm, gdyż pod względem ilości osób uzyskujących średnie wykształcenie jesteśmy na przedostatnim miejscu w Europie, przed Albanią. Wyprzedza już nas parę krajów afrykańskich, z Nigerią na czele. Jest to zapaść kulturowa, i to zapaść na którą nakłada się pięćdziesiąt lat komunizmu, który dobrze wiedział, że szkoły są ważnym miejscem dla reprodukcji systemu. Wobec tego, kryzys ma też charakter jakościowy, bo przez dziesiątki lat dokonywała się negatywna selekcja nauczycieli. Nauczyciele, nawet ci prawi i porządni, nie mogli mieć własnych poglądów, musieli je w szkole zawiesić. Musieli być obecni na wszystkich akademiach, pochodach pierwszomajowych, masówkach. Na co dzień pokazywano młodzieży, że ludzi można upokorzyć. To sprawiło, że nie tylko brakowało w komunistycznej szkole niewygodnych politycznie informacji, ale jeszcze bardziej brakowało w niej wychowawców. Szczęście, że w szkołach wyższych nie było tak dalece posuniętej degradacji pozycji wychowawcy jak w szkołach podstawowych i średnich.

I jeszcze jedno. Synonimem zachowawczości w Polsce stała się szkoła Pimki – szkoła tradycyjna, ucząca w sposób trochę ciasny, dogmatyczny, trochę autorytarny, opierająca się na kompendium faktów itd. Z pewnością nie jest to dobry model szkoły. Ale potem przyszła szkoła komunistyczna, przy której szkoła Pimki mogła być wzorem, bo ona jednak – choć daleka od ideału – rozwijała uczniów intelektualnie i moralnie. I poważnie obawiam się, że w III RP może zatryumfować szkoła Pimków "nowoczesnych", dzisiejszych Pimków, którzy mają wtłoczoną do głowy jakąś ilość oświeconych kanonów i bezmyślnie je realizują, ale są o wiele gorzej edukowani niż Pimkowie przedwojenni. Sam byłem edukowany dość tradycyjnie, na – by tak rzec – reliktach pierwszej szkoły Pimki. Gdzieś w okresie maturalnym, a wtedy jeszcze Gombrowicz był zakazany, dostałem pisma autora *Ferdydurke*, przeczytałem jednym tchem i ze trzy lata żyłem Gombrowiczem. Potem musiałem go skontestować, dostrzec ograniczoność tej postawy i ją przekroczyć. I to jest bardzo sensowne, tego nie należy się bać. Niech żyje twórcza kontestacja. Najbardziej niebezpieczni są ludzie, którzy przeczytali tylko jedną książkę i traktują ją jako dogmat. Nieważne jest wtedy, czy napisał ją profesor Pimka, czy profesor Gombrowicz.

O dominację w szkole walczą ideolodzy, państwo, nauczyciele, a prawie nie ma miejsca dla rodziców. Należy więc jak najszybciej zacząć realizować ideę prywatyzacji polskiej szkoły po to, żeby stworzyć szkołę bez porównania bardziej należącą do rodziców. To właśnie im naprawdę zależy na tym, żeby dzieci były dobrze wyedukowane i ukształtowane przez przyzwoitych nauczycieli. Podam przykład nader pouczający, przykład nauczycieli z Illinois. Są oni zaangażowani w związku zawodowym (dobrych parę tysięcy osób), w którym bardzo aktywnie walczą o szkołę permisywną, oświeconą, szkołę będącą miejscem samorealizacji. Jako nauczyciele pilnują też swoich przywilejów i swoich praw socjalnych. Ich szkoła publiczna – jak głoszą – jest remedium na bolączki społeczne i trzeba jej bronić, pilnować i walczyć o nią. To ich działanie jako nauczycieli jest racjonalne, leży w interesie szeroko pojętego zawodowego lobby. Ale jako rodzice też działają bardzo racjonalnie. Ponad 90% tych samych osób nie posyła swych dzieci do szkół państwowych, lecz do prywatnych, bo tam można uzyskać edukację lepszą, edukację bardziej tradycyjną.

Chodzi więc o to, żeby szkoła była w Polsce różnorodna. Ważnym problemem będzie, aby ta szkoła była powszechnie dostępna, żeby nie powstawały enklawy i getta, żeby nie było tak, iż ludzie ubożsi mają mniejsze, czy raczej znacznie mniejsze możliwości – bo oczywiście zamożniejsi zawsze będą mieli większy wybór. To jest do przemyślenia. Ale niech każdy ma prawo wyboru. I można mieć zaufanie do tego, że rodzice wybiorą właściwie, wybiorą szkoły kształcące prawych obywateli, uczące wolności, ale także dające poczucie zakorzenienia i odpowiedzialności, bez których wolność nie jest możliwa. ▩

Wiara artykułuje się w przestrzeni kultury. Jeśli traci tę zdolność to staje się skansenem, anachronicznym systemem zamkniętych znaczeń, nieczytelnych dla następnych pokoleń.

Trzeba pilnować, starać się działać w taki sposób, aby naród miał przestrzeń artykułowania swojej tożsamości – przestrzeń, którą jest kultura. Jeśli kultura narodowa więdnie, jest blokowana w imię pewnych ogólników bazujących na ideologii Oświecenia, wtedy istnieje zagrożenie, że tę tożsamość będzie się artykułować na poziomie etnicznym, na poziomie czystości etnicznej.

O IDEOLOGIĘ POLITYCZNĄ NOWOCZESNEGO POLAKA

Stefan Kisielewski

Kilkanaście lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej wydał Roman Dmowski swą słynną książkę *Myśli nowoczesnego Polaka.*

Książka wielkiego polityka-realisty stała się drogowskazem pokolenia – w latach głuchej niewoli zapaliła przed społeczeństwem lampę, oświecając drogę – ku Europie.

Wiele burz i kataklizmów przewaliło się przez Polskę od tego czasu. *Myśli nowoczesnego Polaka* to dziś już książka merytorycznie nieaktualna – jej znakomity autor przeszedł w ciągu swego czynnego i pracowitego życia daleką drogę – ostatnie jego dzieła inne już ukazują horyzonty i perspektywy. Lecz tytuł tej jego dawnej książki pozostał do dziś symbolem usiłowań wielkich polskich patriotów-realistów, jak Świętochowski, Szczepanowski, Koźmian, Bobrzyński i wielu innych, usiłowań mających na celu przekształcenie polskiego sposobu myślenia politycznego i działania oraz stworzenie nowego typu Polaka, Polaka nowoczesnego, Europejczyka, który wytworzyłby w sobie zespół właściwości umysłu i charakteru umożliwiających stawienie czoła wszystkim arcyciężkim trudnościom i przeszkodom piętrzącym się na drodze narodu położonego w tym "nieszczęsnym" miejscu Europy.

Być Polakiem to rzecz wielce trudna, przestać nim być – nie sposób. "I nie miłować ciężko i miłować..." – napisał niegdyś Sęp-Szarzyński. Pasmo nieustających klęsk militarnych i politycznych, jakim było dla Polski ostatnie dwieście lat, zacofanie gospodarcze i społeczne spowodowane niewolą, zniszczenia wojenne, prześladowania i terror – oto w jakich warunkach kształtować się musiało życie psychiczne wielu pokoleń i oto źródło wielu skrzywień i niedoskonałości psychiki polskiej; rezultatem ich były nieraz błędy polityczne – błędy, które, choć później wydały się oczywiste i łatwo dostrzegalne ("mądry Polak po szkodzie"), nie do uniknięcia były w aktualnych okolicznościach przy takim temperamencie, w takim "klimacie" politycznym. Niejednokrotnie gromi się głupotę polityczną Polaków, ale krytykować łatwo – trudniej znaleźć środki zaradcze, znaleźć skuteczny sposób wychowania narodu w naszych warunkach. Poprzez dzieje polskiej myśli politycznej biegnie zasadniczy, uporczywy dualizm: z jednej strony bohaterskie postacie rycerzy, wcielających w sobie polski temperament narodowy, odwagę, brawurę, bezgraniczny patriotyzm, ale również i nadmierną skłonność do ryzyka, do liczenia na szczęście, do irracjonalizmu – z drugiej strony "głowacze" polityczni, opanowani, trzeźwi, racjonalistyczni politycy. Jedni i drudzy wyrośli na podłożu żarliwego patriotyzmu; ale ciekawe zjawisko: pierwsi osiągają popularność, "rząd dusz", władają psychiką narodu w momentach próby, w momentach dziejowej decyzji – drudzy, początkowo niechętnie słuchani, niepopularni, znajdują posłuch dopiero po klęskach, w okresach upadku ducha, w okresach "niżu historycznego", w latach rezygnacji. Jedni i drudzy reprezentują dwie strony tej samej w istocie psychiki, lecz tragicznym paradoksem polskiej historii politycznej jest ich rozdwojenie, jest ów dualizm, uniemożliwiający syntezę, która – ona jedna tylko – pozwoliłaby stworzyć podstawę prawdziwej polskiej siły politycznej.

Bo zważmy: nigdy prawie najpopularniejsze, najpłomienniejsze zrywy brawury nie przynosiły Polsce w ogólnym rozrachunku korzyści i nigdy prawie nasi racjonaliści polityczni nie potrafili osiągnąć takiej popularności i wpływu, aby owe zrywy okiełznać i dynamizm ich skierować we właściwe łożysko. Te dwa prądy polskiego działania patriotycznego nigdy niemal nie koordynowały swych wysiłków, z reguły kierując je w przeciwne strony.

Gdy zadajemy sobie pytanie, czy i w jaki sposób synteza tych dwóch kierunków byłaby możliwa, spójrzmy przede wszystkim na obecną sytuację w naszym kraju. Jest to sytuacja jedna z najtrudniejszych, jakie przeżyliśmy kiedykolwiek. Po okresie pozornej prosperity dwudziestolecia niepodległości, prosperity opartej w gruncie rzeczy na nędzy chłopów, "zgnębionych" niskimi cenami ziemiopłodów, po rujnującej okupacji niemieckiej, po straszliwych zniszczeniach wojennych i po szeregu gorzkich rozczarowań na arenie polityki międzynarodowej – stajemy oto do dzieła odbudowy najzupełniej do tego ani pod względem gospodarczo-cywilizacyjnym, ani polityczno-ideowym nie przygotowani. Złożyło się na to szereg przyczyn. Polska jest krajem gospodarczo zacofanym, bo

STEFAN KISIELEWSKI – (1911-1991) - kompozytor, prozaik, publicysta. Publikowany przez nas szkic pochodzi z tomu "Polityka i sztuka"(1949).

nie przeżyła nigdy heroicznej epoki młodokapitalistycznej. W okresie, gdy dynamiczny kapitalizm mieszczański uprzemysławiał Europę, budując zręby jej materialnego dobrobytu, my, omroczeni czadem niewoli, rozmyślnie przez Rosję carską utrzymywani w starych formach struktury społecznej, pozostaliśmy w niżu i prymitywie wielkiego kraju drobnych rolników. Zaś w okresie dwudziestolecia, gdy otworzyły się możliwości kapitalistycznego "wyścigu pracy" i prosperity, nie mogliśmy już sprostać szalonemu tempu uprzemysławiania, jakie narzuciły Europie kraje totalistyczne, które do kapitalistycznego rozmachu dołączyły fanatyzm rewolucyjny. My z naszym "wielkim" przemysłem, kartelami, francuskimi i belgijskimi koncesjonariuszami, stanowiliśmy już kompletny anachronizm. Bardzo niezdarne, nieudolne i nieśmiale były te próby uprzemysłowienia Polski i zmiany jej struktury gospodarczej w okresie dwudziestolecia – wielką część winy za tę nieudolność ponosi, moim zdaniem, skądinąd zresztą bardzo zasłużony twórca Gdyni, Eugeniusz Kwiatkowski, który jednak na stanowisku kierownika polskiego życia gospodarczego odegrał przez swą kompromisowość, bojaźliwą ostrożność, brak inicjatywy, ograniczającej się wyłącznie do "nakręcania" koniunktury, rolę czynnika hamującego i wstecznego.

Gdy robiło się quasi totalizm polityczny, trzeba było sięgnąć do rzeczywiście twórczych pomysłów totalistycznych Niemiec w gospodarce: jakiś gigantyczny plan robót publicznych i zatrudnienia bezrobotnych, żywiołowa dynamika organizacyjna – to jedno mogło usprawiedliwić dyktaturę pułkowników i zrobić z nas, na pozór choćby, partnera czy rywala Niemiec. Lecz z tymi rzeczami nie umiała sobie dać rady epoka piłsudczyzny. Choć nie brak jej było zewnętrznego blasku (pod tym względem nasuwają się duże analogie z okresem cesarstwa Napoleona III we Francji) – pierwszy podmuch wojny nielitościwie zmiótł ją z powierzchni ziemi, a z nią – pozorne "uprzemysłowienie" Polski.

Okupacja, zniszczenia wojenne, zburzenie Warszawy – dokonały reszty. Dziś mamy do odrobienia zaległości olbrzymie: dogonić inne kraje, odzyskać stracony teren, jakimiś siedmiomilowymi krokami dopędzić te wszystkie etapy rozwoju gospodarczo-cywilizacyjnego, jakie – z własnej czy cudzej winy – przespaliśmy. W dodatku dzieła tego dokonać mamy niemal bez środków, bez kapitału, bez aparatu cywilizacji technicznej, bez doświadczenia. Jak to zrobić?

Jasne jest, że do wypełnienia tych zadań potrzebne będą zasadnicze rozstrzygnięcia polityczne, gospodarcze, ustrojowe, organizacyjne. Zaś do tych rozstrzygnięć, do tego, by klucz sytuacji pozostał w polskich rękach, potrzeba – konsolidacji i krystalizacji politycznej, potrzeba stworzenia nowoczesnej polityki polskiej, ideologii "nowoczesnego Polaka". Potrzeba właśnie owej syntezy temperamentu narodowego, uczuciowej i ideowej głębi, żarliwości, wysokiej temperatury duchowej natury polskiej z racjonalizmem, dyscypliną, powściągliwością, zdolnością do narzucenia sobie kompromisowej metody działania, słowem, z tym wszystkim, co w dziejach polskiej myśli politycznej XX wieku reprezentował i symbolizował Roman Dmowski.

Syntezy tej dokonać musimy nie tylko w trudnych, kryzysowych warunkach gospodarczych, ale w okresie dotkliwego kryzysu politycznego. Polskie życie polityczne przeszło fazę katastrofalnego upadku i dezorganizacji. Wyjałowione przez długie, ogłupiające rządy "sanacji", wyniszczone przez bezprzykładny w dziejach terror okupanta zwrócić się musi do jedynej siły, jedynego autorytetu, jedynej postawy, która wyszła z burzy wojennej nie tylko nie osłabiona, lecz przeciwnie – silniejsza i intensywniej gotowa do walki niż kiedykolwiek. Tym autorytetem, tą jedyną bazą, na której oprzeć się dziś może rzeczywiście polska myśl polityczna, jest katolicyzm.

Polska jest katolicka nie tylko z wiary i tradycji. Polak jest katolikiem z temperamentu, z upodobania i – co najważniejsze – z typu swego światopoglądu. Katolicyzm skojarzył się z pojęciem europejskości; on przeorał kulturę, sztukę i styl życia Europy; on łączy pozorne przeciwności i antynomie w układ harmonijny i doskonały, zadowalający zarówno naszą potrzebę wiary uczuciowej jak i skłonność do konstrukcji konkretnych i racjonalnych. Pomiędzy oschłym, surowym i purytańskim protestantyzmem a zmysłowym, nieświadomym, egzotycznym prawosławiem trwa katolicyzm jako symbol europejskości; przy tym myśl katolicka, choć ściśle związana z tradycją i Objawieniem, rozwija się ciągle: od św. Tomasza z Akwinu, który ją "uracjonalnił", podbija ona i przyswaja sobie coraz to nowe dziedziny ludzkiej wiedzy i myśli; przebrzmiały i nieistotne są dziś zarzuty o "nienaukowości" czy "nieracjonalności" filozofii katolickiej. Myśl katolicka godzi w sobie i przetrawia wszelkie zdobycze nauk ścisłych i dyscyplin metodologicznych, a także socjologii i nauk społecznych. Katolicyzm, przy swym spirytualizmie, opiera się na konkrecie, katolicyzm jest wszechstronny, bogaty, ciepły, humanistyczny, pulsuje w nim żywa krew. Jego symbolem jest jego sztuka, wielka twórczość gotyku, renesansu czy baroku, odzwierciedlająca rozwój form ludzkiego życia, rozwój i wzbogacenie stylu tego życia, jego intensywność i bujność. Wyrazem bogatej, wszechstronnej żywotności katolicyzmu jest Kościół – instytucja wojująca, lecz zdolna do kompromisów i taktyki, niezłomna, lecz elastyczna i ulegająca w pewnych dziedzinach ewolucji, żarliwa, a zarazem – opanowana, pełna spokoju i powagi, nadprzyrodzona – lecz tak konkretną rolę spełniająca w życiu narodów i państw.

Około Kościoła – instytucji wiecznej i na wieczne nastawionej cele – a zarazem realnej i bliskiej, skupia się z natury rzeczy masa, skupiają się narody w okresach wielkich przemian i kataklizmów, w okresach, gdy walą się tradycje, gdy krańcowość tych przemian wydaje się grozić przerwaniem ciągłości życia narodu, gdy przyszłość przedstawia się ponuro i mrocznie; Kościół bowiem to owa arka przymierza między dawnymi a nowymi laty; wyrasta z tradycji, kultywuje ją, a zarazem nie lęka się wychodzić na-

Katolicyzm jest ideą wytrzymującą próbę nowoczesności a legitymującą się tradycją dwóch tysięcy lat; katolicyzm posiada koncepcję uniwersalistyczną, obejmującą wszelkie dziedziny życia – od problemów gospodarczych do sztuki i obyczajowości włącznie; katolicyzm godzi indywidualizm, poszanowanie jednostki z dążnością do rozstrzygnięć ogólnych; Kościół katolicki wreszcie jest instytucją, która oparła się groźnym podmuchom wojen i rewolucji. (...)

Jedno jest dla mnie pewne: w powojennej Europie – zniszczonej, zubożonej, zdeprecjonowanej i prześcigniętej przez inne części świata, po straszliwym kataklizmie totalistycznym, który obalił bezpowrotnie pewne formy życia, uważane niegdyś za kwintesencję "europejskości" – jedynym motorem odrodzenia i odzyskania przez stary kontynent roli ideowego ośrodka globu jest chrześcijaństwo. (...) Do tej walki o chrześcijańskość i europejskość – pojęcia to nierozdzielne – pragnąłbym, w miarę oczywiście swoich niewielkich możliwości, przyłączyć swój głos.

Stefan Kisielewski

przeciw przyszłości. Kościół to siła na pozór łagodna, lecz żywiołowa jak morze, siła, która przekształca rewolucję w ewolucję, łagodząc jej formy i przystosowując ją do koryta, którym płynie harmonijna – w istocie – rzeka dziejów ludzkich.

I stąd niepomierny wzrost politycznego i społeczno-moralnego znaczenia Kościoła w epokach przemian rewolucyjnych.

To właśnie zjawisko obserwujemy dzisiaj w Polsce. Obóz katolicki jest dziś obozem, do którego garną się masy; obserwujemy wybitną dynamizację i popularyzację publicystyki katolickiej, obejmującej coraz szerszy zakres tematów, z polityką i sztuką włącznie. Pisma katolickie osiągnęły znaczenie i wpływy nie spotykane przed wojną – do obozu katolickiego schronili się wszyscy ci, którzy w czasach ciężkich i powikłanych chcą zachować jasny pogląd na rzeczy, spokój i opanowanie wobec wydarzeń, szacunek i miłość do przeszłości, nie wykluczające przystosowania się do wymagań nowych czasów, a wreszcie – którzy potrzebują autorytetu, pionu, stałej linii. Instynkt masy wskazuje tu drogę nowoczesnej myśli polskiej. Sądzę, że właśnie owej syntezy ideologiczno-taktycznej, o której pisałem na początku, syntezy wiary z rozumem, żarliwości z opanowaniem, pragnienia czynu z powściągliwością, odwagi z przebiegłością, można dziś dokonać tylko w oparciu o Kościół i o myśl katolicką. Tylko wielki autorytet moralny może pogodzić antynomie, tak w dzisiejszych zawiłych, namiętnych czasach zaognione, i nakazać taktykę powściągliwą, ostrożną a celową. Przy tym Kościół sam jest przykładem harmonijnego pogodzenia pozornie najbardziej skrajnych przeciwieństw: wieczność godzi z doczesnością, bezkompromisowość wiary z życiowym kompromisem, żarliwość uczuć ze spokojem i rozsądkiem. Wreszcie nie należy zapominać o jednym: autorytet Kościoła jest międzynarodowy, Kościół jest instytucją ogólnoludzką – spojrzenie jego na rzeczy ma perspektywę wielu krajów i wielu wieków, działanie jego wzmocnione jest i uskrzydlone krzepiącym powiewem europejskości – to jest okno na świat niezniszczalnych wartości kulturalnych i moralnych Europy. Dziś, gdy przed Polską stoją tak doniosłe, trudne, ciężkie i skomplikowane problemy gospodarczo-polityczne, które zadecydować mogą o dalszym istnieniu naszego narodu, gdy w pierwszym rzędzie staje przed nami konieczność wykrystalizowania ideologii i stworzenia arsenału środków działania nowoczesnego Polaka, godzącego dyspozycje duchowe indywidualnie narodowe z uniwersalistycznymi wymaganiami współczesności, jasne jest, że ta ideologiczna synteza dokonać się może tylko w oparciu o Kościół i o świat myśli katolickiej. W związku z tym coraz bardziej paląca staje się sprawa aktywizacji politycznej naszego katolicyzmu – czołowe dziś i kluczowe zagadnienie polskiego życia publicznego.

(1947)

Zapoczątkowana w drugiej połowie lat 40. operacja przekształcenia zbiorowej świadomości Polaków w dużej mierze powiodła się. Nie mogło być inaczej, skoro proceder moralnej delegalizacji tradycyjnych wartości i instytucji stał się normą życia intelektualnego i kulturalnego Polski Ludowej. Paradoksalnie, szczególne zasługi w wytwarzaniu i upowszechnianiu negatywnych stereotypów myślowych należy przypisać literaturze rozrachunkowej. Wyrazistą ilustracją tej tezy jest wizerunek religii i Kościoła obecny w prozie pisanej w kraju po roku 56. O tym, jak doszło do jego wykreowania opowiada w swoim szkicu Jacek Kopciński.

debata

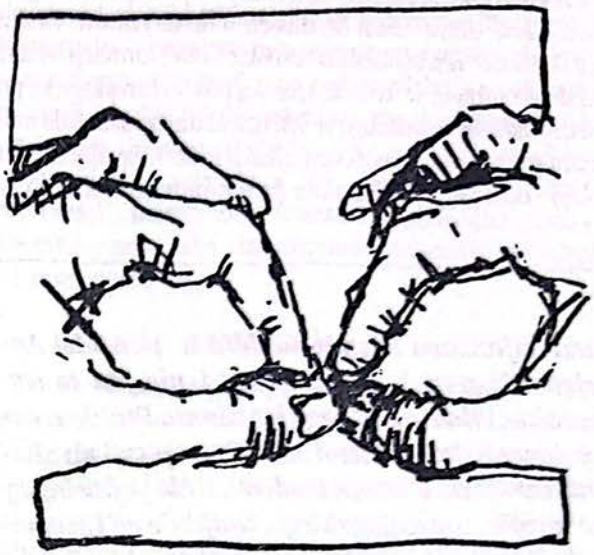

KOŚCIÓŁ, PISARZE, DIALOG

Jacek Kopciński

Zastanawiam się od pewnego czasu, dlaczego kiedy czytam gazetę, słucham radia, oglądam telewizję, dociera do mnie właściwie niezmiennie ten sam głos? Rzecz jasna nie chodzi tu o jakieś konkretne poglądy - te rzadko kto artykułuje wprost - raczej o wspólny ton przejęcia, ironii, sarkazmu, ton charakterystyczny dla jednego chóru, albo uczniów tego samego nauczyciela. Kim jest ów mistrz?

Cofnijmy się do czasów Polski gomułkowskiej, lata 1957 – 1970. W polskiej prozie czas rozrachunku ze stalinizmem, rewizji marksizmu w imię prawdziwej rewolucji, potem – w imię niezależności. Długa dekada wytrwałych "Wallenrodów", którzy szybciej lub wolniej tracili złudzenia, odchodzili z partii lub pozostawali w niej, złączeni w groteskowym kontredansie z władzą. Epoka pisarzy. Ich dzieła koncentrowały uwagę wszystkich. Były namiastką wolnej trybuny i... niezwykle skutecznym argumentem w rękach "liberalnej" władzy; podtrzymywały zanikającą nić społecznej komunikacji, jednocześnie manipulując świadomością swoich odbiorców.

Z tego okresu pozostało kilka książek, które odbierano jako spowiedź pokolenia doświadczonego wojną i zaplątanego w stalinizm. Większość z nich do dziś kojarzona jest z początkiem "likwidacji" komunistycznego reżimu. Jest to przekonanie ugruntowane przez samych autorów, mimo iż przełom z roku 1980. mocno nadwyrężył ich autorytety. System półprawd – a nawet całych kłamstw – celnie opisany przez Andrzeja Wernera w książce *Polskie arcypolskie*, w szerokim odbiorze literatury gomułkowskiej jest właściwie niezauważany. Jeszcze rzadziej dostrzega się, że powieści Andrzejewskiego, Brandysa, Woroszylskiego, prócz ideo-

JACEK KOPCIŃSKI – ur. 1965, pracownik IBL PAN, krytyk literacki, publikował w "Tygodniku Literackim", "Dialogu", "Tekstach Drugich", "Exlibrisie".

wej, a zarazem osobistej potyczki ze stalinizmem, przynoszą bardzo konkretną wizję człowieka, kultury i życia społecznego. Wizję budowaną w odniesieniu do dwóch totalitaryzmów. Oczywiście przynależność "rewizjonistów" do określonej formacji była rzeczą naturalną, problem w tym, że szeroką i skuteczną krytykę projektu rzeczywistości wpisanego w ich dzieła uniemożliwiała nie tylko cenzura strzegąca zgodności publikacji z obowiązującą doktryną, ale sam "opozycyjny" charakter prozy Andrzejewskiego czy Bocheńskiego, by pozostać w kręgu głośnych nazwisk. W Polsce realnego socjalizmu wszystko, co naruszało ideologiczny kanon, w powszechnym odbiorze zyskiwało opinię racji niemal naturalnej, a więc jedynie słusznej... To zbiorowe przekonanie o oczywistości prawd formułowanych ówcześnie na marginesie potyczki z systemem jest chyba najbardziej charakterystyczną cechą dyskusji toczonych obecnie.

...chrześcijaństwo Rzymu nabiera w powieści Andrzejewskiego cech gnostycyzmu i nie jest to wyłącznie kwestia literackiego kostiumu. Problem dotyczy genezy zła na ziemi oraz "przepisu" na zbawienie człowieka. Temat teodycei, stale pojawiający się w prozie Andrzejewskiego, znajduje w Ciemnościach... swoje szczególne rozwiązanie. Zło zostaje tu wpisane w rachunek zbawienia, zaś zbrodnia stanowi najważniejszy element metody, jaką wtajemniczeni kapłani stosują w procesie "uszczęśliwiania" człowieka. Tym samym powieść, nie tracąc nic ze swojej antystalinowskiej wymowy, wpisuje się w całą twórczość autora "Ładu serca" jako punkt graniczny w wewnętrznych zmaganiach pisarza z katolicyzmem. W 1957 roku Andrzejewski wyartykułował wprost niewiarę w sens religijnego apostolstwa, za którego ostateczną realizację uznał swoje zaangażowanie w stalinizm...

Poszukując źródeł prawd "naturalnych", zakorzenionych w zbiorowej świadomości i niemal automatycznie stosowanych przy okazji prowadzonych dziś sporów publicznych, sięgnąłem do kilku powieści, które stały się kiedyś istotnym wydarzeniem literackim. Utwory te, szeroko komentowane i wznawiane do dziś, nie tylko wygrywały w plebiscytach czytelników, ale także trafiały do kanonu lektur uniwersyteckich, współkształtując świadomość dwóch pokoleń inteligencji polskiej. W wybranych przeze mnie powieściach odnajdujemy charakterystyczny styl światopoglądowej dyskusji, który warto odtworzyć, by uświadomić sobie pochodzenie i naturę współczesnych standardów myślowych.

Idea i zbrodnia

Literatura po 1956 roku stanęła przed problemem, który dyskutowano przeszło dziesięć lat wcześniej: jak wyrazić doświadczenie totalitaryzmu? Wzorce wypracowane na użytek opisu okupacji hitlerowskiej i nazizmu okazywały się jednak, w przekonaniu niedawnych adeptów "nowej wiary", bezużyteczne w konfrontacji ze stalinizmem, mimo narzucającego się podobieństwa obu systemów. Pisał o tym Roman Zimand w 1957 roku ("Nowa Kultura" nr 33), analizując pierwsze dzieła tak zwanej literatury rozrachunkowej, to jest opowiadania i powieści Woroszylskiego, Brauna, Kazimierza Brandysa, Ścibora-Rylskiego i Andrzejewskiego. Socjologiczny aspekt uwiedzenia "beriowszczyzną" – zwłaszcza, co znamienne, sytuacja utożsamienia kata i ofiary – interesował krytyka najbardziej. Pytania moralistów: "dlaczego TO się stało?" i "czy byliśmy uczciwi?" Zimand, nie unikając moralnego samopotępienia, zastępował pytaniami socjologa i krytyka: "jak to się stało?" i "jak to wyrazić?".

Rozrachunkowi ze stalinizmem Zimand nadawał wymiar dyskusji światopoglądowej, oczekując powstania powieści łączącej w sobie cechy prozy psychologicznej i traktatu filozoficznego. Próbkę projektowanego stylu odnajdujemy już na wstępie artykułu, który autor opatrzył mottem wziętym z książki Ignacego Radlińskiego *Jezus, Paweł, Spinoza*. Brzmiało ono następująco: "Paweł nie był pisarzem z zawodu, lecz z powołania. Zawodem Pawła, jak to uwydatnia cały jego żywot, była działalność praktyczna, agitacja charakteru społecznego. Agitacja zaś ta, wskutek właściwości temperamentu, przy pewnej ciasnocie umysłu spotęgowanej jednostronnym wychowaniem i ograniczonym wykształceniem przybierała zawsze skrajne kierunki. Równie żarliwie obalał to, co wcześniej obraniał." Poszukiwanie analogii dla totalitaryzmu w religii, a konkretnie w dogmatyce i historii Kościoła (a nawet w mistyce!) stało się po Październiku powszechną formą rewizji zasad marksizmu-leninizmu. Przytoczony fragment stanowi także świetny przykład stylu, w jakim dokonywał się literacki rozrachunek pisarzy z własną biografią. Podjęta przez nich analogia nie była neutralna, dlatego też "rewizja" i "rozrachunek" szybko nabierały wymiaru uniwersalnego.

Pierwszy był Jerzy Andrzejewski, umieszczając akcję *Ciemności kryją ziemię* (1957) w XV wiecznej Hiszpanii. Historia Diega, wrażliwego zakonnika, którego Tourquemada przemienia w donosiciela i kata, była kostiumową alegorią władzy. Ale nie na tym polegała oryginalność powieści. Sposoby sprawowania władzy w Polsce stalinowskiej, jak słusznie zauważył Andrzej Kijowski w recenzji utwory ("Twórczość" 57 nr 10/11), znała w Polsce każda praczka, nie mówiąc już o ludziach, którzy stanowili intelektualną i propagandową świtę polityków. *Ciemności...* były w istocie przypowieścią o ustroju totalitarnym w ogóle, a dokładniej o sposobie konstruowania utopijnej i zniewalającej ideologii, której podstawą jest wizja raju na Ziemi, a właściwym zapleczem pogarda dla człowieka.

Kijowski, odwołując się do fragmentów *Braci Karamazow* i *Czarodziejskiej góry*, przypominał istotną tradycję mówienia o wolności i zniewoleniu za pomocą motywu hiszpańskiej inkwizycji. Literatura polska – zdaniem tego krytyka – problemu wolności, pojmowanej jako wolność od religijnego czy kulturowego dogmatu, do tej pory nie znała, za wyjątkiem twórczości Krasińskiego. Zdaniem Kijowskiego wolność była dla Polaków przede wszystkim problemem politycznym, nie zaś światopoglądowym, a mocno ugruntowany w Polsce mesjański katolicyzm dążenia niepodległościowe wspierał, nie wchodząc w kolizję z sumieniem indywidualnym.

Te, skądinąd słuszne, uwagi budzą jedną zasadniczą wątpliwość. Chodzi o zgodę Kijowskiego na możliwość budowania tego

typu przypowieści w odniesieniu do najnowszej historii Polski, tak jakby wybór ideologii przez intelektualistów nie miał żadnego związku z utratą niepodległości. Andrzejewski w *Ciemnościach...* w ogóle takiego problemu nie stawia. Stalinizm jest tu jakby wewnętrzną sprawą samych intelektualistów, którzy patronując szlachetnej, choć w efekcie zbrodniczej misji polityków, wchodzili na niebezpieczną ścieżkę wewnętrznego zniewolenia. Przyjęty przez Andrzejewskiego styl rozliczania się ze stalinowską przeszłością przydawał decyzjom pisarzy socrealistycznych cech tragicznej wzniosłości, wszak kuszeni, oddawali duszę księciu ciemności, nie zaś okupantowi. Właśnie dlatego motyw inkwizycji w prozie rozrachunkowej od początku brzmi fałszywie.

Idea i zbrodnia – to dwa miejsca w powieści, w których stalinizm i inkwizycja przylegają do siebie ściśle. Ideą jest zbudowanie Królestwa Bożego na Ziemi, zbrodnia rodzi się z przekonania o przyrodzonej słabości człowieka, którego trzeba złamać, by uświadomić mu konieczność zbawienia. W obu wypadkach szczęście budowane jest na zniweczeniu, lub drastycznym ograniczeniu wolności człowieka, na zbrodni, która stanowi – w przekonaniu autora – cechę wspólną wszelkich ideologii, włączając w to systemy religijne z ich dogmatyką. Andrzejewski inkwizycję traktował jako przykład utopii realizowanej bez względu na koszty ponoszone przez "zbawianego" człowieka. Ów inkwizycyjny schemat rzeczywistości totalitarnej autor konstruował w nawiązaniu do opowieści Iwana z *Braci Karamazow* Dostojewskiego. Wielki Inkwizytor przekonuje w niej zjawiającego się w dzień autodafe Jezusa, iż ludzie nie potrzebują jego wolności, z natury pragną pełnej miski i przewodnika, któremu gotowi są powierzyć wszelkie wewnętrzne rozterki nawet za cenę życia. Dostojewski w opowieść Iwana zawarł krytykę Kościoła Zachodniego, dając – co szczególnie istotne – bardzo konkretną diagnozę człowieczeństwa, którą przejmą autorzy inkwizycyjnych przypowieści. Duch Iwana Karamazowa będzie im towarzyszył nieustannie.

W zgodzie z przekonaniem autora *Biesów* chrześcijaństwo Rzymu nabiera w powieści Andrzejewskiego cech gnostycyzmu i nie jest to wyłącznie kwestia literackiego kostiumu. Problem dotyczy genezy zła na ziemi oraz "przepisu" na zbawienia człowieka. Temat teodycei, stale pojawiający się w prozie Andrzejewskiego, znajduje w *Ciemnościach...* swoje szczególne rozwiązanie. Zło zostaje tu wpisane w rachunek zbawienia, zaś zbrodnia stanowi najważniejszy element metody, jaką wtajemniczeni kapłani stosują w procesie "uszczęśliwiania" człowieka. Tym samym powieść, nie tracąc nic z ze swojej antystalinowskiej wymowy, wpisuje się w całą twórczość autora *Ładu serca* jako punkt graniczny w wewnętrznych zmaganiach pisarza z katolicyzmem. W 1957 roku Andrzejewski wyartykułował wprost niewiarę w sens religijnego apostolstwa, za którego ostateczną realizację uznał swoje zaangażowanie w stalinizm...

Henryk Bereza w recenzji powieści Andrzejewskiego ("Nowa Kultura" 1957/41) pisał: "Antywyznaniowy stosunek do wiar jest doniosłym odkryciem Andrzejewskiego ze względu na bogate doświadczenia wyznaniowe samego pisarza, jak również ze względu na religijne, w szerokim rozumieniu, tradycje naszej kultury." Doszło do sytuacji szczególnej: w ocenie "rewizjonistów" zarzut, iż stalinizm jako próba realizacji utopii posiadał cechy religii stał się jednym z zarzutów najcięższych. Nic więc dziwnego, że dyskusja oszukanych adeptów "nowej wiary" nad książką Andrzejewskiego szybko dryfowała w stronę krytyki religii i Kościoła, jako potencjalnego dyktatora. W cytowanej recenzji Bereza zawarł na przykład takie enigmatyczne zdanie: "Pisarz chce kreować świat nie taki, jaki się zdarzył, ale taki, jaki mógłby się zdarzyć według praw życia". Wydawało się, że najgorsze było już za nimi; tymczasem dostrzegano już nowego przeciwnika, co szybko znalazło swoje odbicie w artykułach i publicznych dyskusjach rewolucjonistów polskiego Października. Dominował w nich głos Leszka Kołakowskiego, który tekstami drukowanymi w "Po prostu", "Nowej Kulturze" i "Twórczości" teoretycznie uzasadniał podwójny rewizjonizm (skierowany przeciwko stalinizmowi-katolicyzmowi) schyłku lat 50. i początku 60.

Dwie rewizje

Próbkę stylu tej kampanii przynosi pierwszy artykuł z niedawno wydanego zbioru *Pism rozproszonych* Leszka Kołakowskiego zatytułowany "Jezus – prorok i reformator". Postać i filozofia Jezusa została tu zaprezentowana w zgodzie ze znanym schematem marksistowskiej rewizji, jaki stworzył Kołakowski w słynnym eseju "Kapłan i błazen". Czytamy w nim: "Antagonizm między filozofią utrwalającą absolut i filozofią kwestionującą absoluty uznane wydaje się antagonizmem nieuleczalnym, jak nieuleczalne jest istnienie konserwatyzmu i radykalizmu we wszystkich dziedzinach życia. Jest to antagonizm kapłanów i błaznów, a w każdej niemal epoce historycznej filozofia kapłanów i filozofia błaznów są dwiema najogólniejszymi formami kultury umysłowej." Dialektyka przeciwieństw, nie zaś stabilizacja jednego z poglądów gwarantuje równowagę, przekonywał Kołakowski, udowadniając przy pomocy marksistowskiego instrumentarium konieczność rewizji "jedynie słusznego" światopoglądu w obawie przed dyktaturą kapłanów strzegących dogmatu. Sama treść owego dogmatu wydaje się już dla filozofa mniej istotna. Toteż Kołakowski nie obawiał się dogmatów marksizmu, ale dogmatyzmu jego kapłanów. Oba elementy powyższej tezy zdominowały też jego tekst o Jezusie.

Łatwo się domyślić, iż Jezus Kołakowskiego znajdzie się po stronie błazna, przy czym jego idee – na przykład prymat miłości nad prawem – przechowuje, zdaniem autora, przede wszystkim marksizm, oczywiście jeśli sięgnąć do jego źródeł: "A kiedy Marks przeciwstawia więziom interesu w społeczeństwie wymiany towarowej – więź swobodnego zrzeszania ludzi dobrowolnie solidarnych, podejmuje, za dawnymi socjalistami, ten sam motyw wyrosły z korzenia Jezusa, a w chrześcijaństwie nowoczesnym obecny najczęściej w herezjach, a najrzadziej w kościele". Rzecz jasna to nie Kołakowski po raz pierwszy ideę socjalizmu odnalazł w Ewangelii, jednak dla naszych rozważań istotniejsza wydaje się krytyka Kościoła współczesnego poprzez odnowienie jego jednostronnego obrazu z późnego średniowiecza. To właśnie wtedy, bardzo rzadko wcześniej, a nigdy później, o przynależności wiernych do Kościoła decydowali jego hierarchowie. Mowa oczywiście o inkwizycji i nadużywanym prawie anatemy, legitymizującym wyroki śmierci na podejrzanych o herezję, oraz o wyprawach krzyżowych, czyli zbrojnym apostolstwie. Kołakowski w całym tekście dokonuje pewnego szczególnego zabiegu, a mianowicie odwołując się do inkwizycji, której kapłani uzasadnienia dla swoich działań szukali w Starym Testamencie, stawia znak równości pomiędzy tradycją kościoła chrześcijańskiego i tradycją judaistyczną. Jego zdaniem obie tradycje fundują religię autorytarną, opartą na hierarchii i "więzi interesów", której skutki dla życia społeczeństw i jednostek są z definicji negatywne. Jezus w takim ujęciu staje się podwój-

nym heretykiem w istocie przeciwnym idei jakiegokolwiek kościoła, a zwłaszcza kościoła "fanatycznego i tępego katolicyzmu, który od czterech stuleci przygniata i sterylizuje naszą kulturę narodową" (Kołakowski, "Jezus...").

W tekstach Kołakowskiego styl rewizji stalinizmu paradoksalnie pokrywał się ze stylem marksistowskiej krytyki religii. Tę znaczącą zbieżność zauważył w 1989 roku jeden z recenzentów *Pism rozproszonych* Kołakowskiego pisząc: "Wiele z tych tekstów zawiera jeszcze ślad młodzieńczej (z lat 1948–1954) postawy myślowej autora Szkiców o filozofii katolickiej, kiedy to będąc wiernym akolitą marksizmu (w jego stalinowskiej wersji) wyznawał alienacyjną teorię religii, w myśl której religia była zaprzeczeniem humanizmu, przeszkodą w urzeczywistnianiu pełni człowieczeństwa, negacją wolności działania i swobody myślenia." (Z.Skrok, "Nowe książki" 1990/9). Autor nie odnotował jednak, iż artykuły o Jezusie i Erazmie, noszące "ślad młodzieńczej postawy myślowej" Kołakowskiego, zostały napisane w 1965 roku.

W literaturze "odwilżowej" mechanizm podwójnego rewizjonizmu – przy całkowitym odarciu religii z metafizyki i bez refleksji nad treścią dogmatów – został zaakceptowany i utrwalony już na początku lat 60. "Polityka" z 31 grudnia 1960 roku ogłosiła wyniki ankiety literackiej przeprowadzonej wśród swoich czytelników. Przytłaczającą większością głosów za najwybitniejszy utwór roku uznano *Spiżową bramę* Tadeusza Brezy (51%, przy średnio 5% głosów na inne utwory). Nie mniejszym bestselerem stał się, wydany niemal równolegle, *Urząd*, którego bohater dostaje się w tryby współczesnej Inkwizycji, sam reprezentując liberalizm wywieziony z Polski po roku 56. W książce Brezy Papież i jego "terenowi" urzędnicy nie chcą zrozumieć, że w katolickiej Polsce wiele się zmieniło, a niechęć biskupa do własnego urzędnika otwartego na współpracę z komunistyczną władzą jest objawem dogmatycznej ciemnoty. Breza, nie oglądając się na realia polityczne, wprowadził Polskę w obszar liberalnej Europy, przed którą zamyka się konserwatywny Watykan Piusa XII.

Ankieta "Polityki" i zamieszczane tam omówienia-powieści nadawały utworom Brezy rangę poważnego namysłu nad kondycją współczesnego Kościoła będącego przedłużenie średniowiecznej inkwizycji. Tadeusz Drewnowski w recenzji *Urzędu* pisał wprost: "Bo słowo 'Rota' wykłada się dwojako: to krąg najmniejszej jurysdykcji i zarazem koło tortur, na którym w średniowieczu rozpinano człowieka. Powieść Brezy brzmi obydwu znaczeniami słowa" ("Polityka" 1961/7). W powieści Brezy inkwizycyjny schemat nie służy ocenie ideologii, lecz krytyce samej hierarchicznej instytucji. Metaforę zastępuje realny opis (czasem śmieszny – jedną z watykańskich represji jest wymaganie od urzędników Kościoła obecności na niedzielnej Mszy). Pomijam fakt propagandowej użyteczności książki Brezy. Istotna jest jednokierunkowość krytyki Kościoła dyktowana antystalinowskim, ale zarazem wyraźnie koniunkturalnym odruchem. W krytyce tej nie mieściła się w ogóle refleksja nad rolą tej instytucji w, sprzeciwie wobec totalitarnego państwa. Po naprawieniu "błędów" i likwidacji "wypaczeń" Kościół w oczach rewizjonistów pozostawał historycznym reliktem, i jednocześnie ideologicznym wrogiem.

Idea przeciw życiu

Andrzejewski szybko zrozumiał, że istotną słabością jego przypowieści z *Ciemności kryją ziemię* były jedynie szczątkowo zarysowane motywacje ofiary ideologii – oszukanego i w efekcie zdeprawowanego adepta "nowej wiary", który w finale powieści zamienia się w kata. Dlatego mit grzechu pierworodnego, opowiedziany przez diabła w finale *Ciemności...* zostaje w *Bramach raju* (1959) spsychologizowany. Dzieje się to jednak na poziomie kolejnej, kostiumowej paraboli. Andrzejewski uniknął tym samym bezpośredniego rachunku sumienia, mimo iż tematem jego powieści jest powszechna spowiedź uczestników dziecięcej krucjaty. Owo dziecięce "rozmarzenie religijne" wędrujących do grobu Jezusa pielgrzymów łatwo przyrównać do tęsknoty za ładem społecznej sprawiedliwości. Młodzi pielgrzymi byliby w tym wypadku kontynuatorami utopijnego dzieła, któremu jednoznacznie zbrodniczy charakter nadali cyniczni dorośli.

Uproszczeniem byłoby jednak sądzić, że przedmiotem *Bram raju* są złudzenia rewizjonistów. Andrzejewski artykułuje własną koncepcję natury człowieka, którego najbardziej zagadkową cechą jest skłonność do autoiluzji. Autor wątpi w czystość intencji młodych pielgrzymów, a właściwie – i tu otwiera się nowa perspektywa powieści – stawia pod znakiem zapytania autentyczność wszelkich idei. Choć nie wszystkie prowadzą do zbrodni, wszystkie są maską ludzkich namiętności, nadają życiu sens pozorny, fałszywie uszlachetniają podłość i śmierć. Gromadka pielgrzymów w *Bramach raju* to ludzie, których w rzeczywistości nie łączy wspólna wiara, lecz wzajemne pożądanie, głęboko ukryty strach lub silne poczucie winy. Tym samym wszelkiego typu idealizmowi Andrzejewski przeciwstawia freudowski schemat sublimacji, bynajmniej nie odnajdując w sformułowanej diagnozie pocieszenia. Idea jako sposób poskramiania zwierzęcia w człowieku jest dla autora wyłącznie lepiej lub gorzej kontrolowaną mistyfikacją, na którą nikt traktujący siebie uczciwie nie może się zgodzić.

Odrzucenie wszelkiej ideologii, płynące między innymi z krytyki stalinizmu, doprowadza Andrzejewskiego do negacji kultury. Właśnie ten fakt, nie zaś pominięcie perspektywy metafizycznej w refleksji nad religią, stawia pod znakiem zapytania możliwość jakiejkolwiek dyskusji z autorem *Bram raju*. Być może dlatego, wspominany już wielokrotnie Andrzej Kijowski, uważny czytelnik całej twórczości Andrzejewskiego, kończy swoją recenzję dość obcesowo: "Andrzejewski chce powiedzieć, że świadomość zbiorowa jest fałszem, zasłoną dymną, gdyż prawda tkwi w brzuchu, we flakach. No to co? Świadomość zbiorowa jest tym, co człowiek stwarza, flaki po prostu są. Co do mnie, interesuje mnie człowiek wyzwalający się od siebie samego nawet za cenę fałszu." ("Przegląd Kulturalny" 1960/24). Kijowski nie próbował w powieści Andrzejewskiego dostrzec rysu duchowej tragedii – tragedii wątpienia. Uciął dyskusję, nie zgadzając się na główne założenie powieści: kultury jako mistyfikacji.

Pytania, które zadał Andrzejewskiemu Jan Błoński, dotyczyły konkretów, przez co rozbijały paraboliczny porządek *Bram raju*. Najważniejsze z nich brzmiało oczywiście: jak żyć z taką świadomością? Krytyk dostrzegał w powieści zawiązek trzech różnych projektów. Pierwszy z nich to apologia "egotyzmu i rozkoszy", o której krytyk mówi skąpo, ale domyślać się w niej można kultu ciała, który uprawia na przykład współczesna kultura masowa. Drugim projektem jest psychiczna stabilizacja pozbawionych złudzeń cyników, "obłudnych w dobrem i bezwzględnych w złem". Trzecim – ostrożność praktycznego rozumu: "Gdyby nie wierzyć ani namiętnościom, ani ideom, sprawdzać własne posunięcia, przyjmować ludzi takimi, jakimi są? Gdyby nie budzić złu-

dzeń, godzić się na ułomności, cząstkowość, mierność własnych decyzji i usiłowań, ufać prawu, pamiętać o pokorze?" ("Życie Literackie" 1962/51). Andrzejewski wątpi w możliwość realizacji takiego projektu. Główna postać *Bram raju*, mnich-spowiednik, który ze współczuciem, ale i ze słabnącą cierpliwością wysłuchuje wyznań kolejnych pielgrzymów, jest w *Bramach raju* postacią najbliższą ideałowi "praktycznego rozumu". To człowiek silnie związany z ziemią – w utworze regularnie powraca metaforyczny obraz bosych i zmęczonych stóp mnicha, znajdujących w spopielałej ziemi silne oparcie. W finale powieści spowiednik, próbując zatrzymać pochód, zostaje zadeptany przez młodych pielgrzymów. Andrzejewski nie wierzy w możliwość powrotu, istnienie innej drogi, lub choćby innej, nie "systemowej" interpretacji krucjaty! Staje się ofiarą zanegowanej przez siebie ideologii, którą, przy istotnej pomocy Freuda, nieszczęśliwie utożsamił z kulturotwórczą pracą człowieka. Życie nie ma sensu, jeśli raj na ziemi nie jest możliwy – oto wnioski wyciągnięte z krytyki marksizmu, wobec których, jak zaznaczył Błoński, aktualne pozostają jedynie dwa pozostałe projekty życia: hedonizm lub cynizm.

Andrzejewski, podobnie jak inni bohaterowie "odwilży", stał się podwójną ofiarą stalinizmu. Po raz pierwszy uległ mu pod koniec lat 40., po raz drugi w dziesięć lat później, współtworząc język ideologicznych "likwidacji". Jego literackie doświadczenia udowodniły, iż na poziomie przypowieści można dokonywać ideowych rozstrzygnięć, nie sposób jednak badać losu konkretnego człowieka, obdarzonego konkretną biografią, wychowanego w danej kulturze i danym kraju, postawionego przed problemami codzienności, wśród których najważniejszym jest nie tylko problem wolności, ale także odpowiedzialności i sensu życia. Język decyduje nie tylko o formie powieści. Powieść realistyczna narzuca autorowi i czytelnikom ostrożność w sądzeniu człowieka i świata, zmusza do sięgnięcia pod podszewkę idei czy naukowych koncepcji w poszukiwaniu elementarnych potrzeb ludzkich, na przykład potrzeby zakorzenienia i grupowej komunikacji, których zaspokojenie nie ma nic wspólnego z kreacją ideologicznej utopii.

Właśnie dlatego trzy opowieści Jacka Bocheńskiego opatrzone wspólnym tytułem *Tabu* (1965) stanowią jakby krok wstecz w rozpoczętej przez Andrzejewskiego dyskusji. Ponownie natrafiamy tu na "inkwizycyjny" schemat rzeczywistości. Opowieść pierwsza przenosi czytelnika w epokę dyżurną – schyłek hiszpańskiego średniowiecza – zaś akcja dwóch następnych rozgrywa się współcześnie. Niestety głównie w rewolucyjnej Hiszpanii, ponieważ tematem całości na powrót staje się uzależnienie człowieka od ideologii, coś w rodzaju choroby monistycznej, na którą zapada się ze strachu przed życiem bez złudzeń i fałszywej świadomości. Bohaterem Bocheńskiego jest Hiszpan Diego – zbieżność imion z postacią Andrzejewskiego nie jest tu chyba przypadkowa. Diego numer jeden jest komediantem porywającym zakonnicę. Na straży sumienia Dolores stoi inkwizycja, przed którą dziewczyna składa swoje zeznania. Inkwizycja nie ma jednak fizycznej władzy nad Diegiem, który mimo to kapituluje i odwozi dziewczynę pod bramy klasztoru. Zagadkę tej wewnętrznej inkwizycji wyjaśnia Bocheński w następnej opowieści, przenosząc nas we współczesność i rekonstruując freudowską teorię tabu religijnego.

Jego presji ulega Diego numer dwa – "komunista mędrek" – jak nazwie go Dolores, który wybiera rewolucję zamiast miłości. Miłość, jako zjawisko pozbawione w jego przeświadczeniu motywacji, rozbija dialektyczny opis rzeczywistości i marksista, mimo iż pragnie dziewczyny, opuszcza ją na zawsze. Diego z powieści

Rys. Marek Raczkowski

Andrzejewskiego bije po twarzy trupa Tourquemady, który właśnie nazwał ideę oszustwem, Jakub z *Bram raju* depcze mnicha, który próbuje zatrzymać pochód. Diego Bocheńskiego porzuca kobietę ze strachu przed luką w teorii, unosząc w pamięci obraz pewnego mistycznego przeżycia, które niejako naznaczyło go na komunistę-idealistę. Jacek Bocheński poszedł najdalej w poszukiwaniu religijnych cech marksizmu-leninizmu, demaskując "fałszywą świadomość" człowieka. Cień wielkiego ptaka rewolucji, który ukazał się bohaterowi *Tabu*, wylatuje wprost ze zbiorowej nieświadomości Europejczyków XX wieku! Tym samym decyzja światopoglądowa komunisty nabiera cech mistycznego "pochwycenia".

Analogii jest więcej, choć oczywiście w religijnych motywacjach Diega kryje się przede wszystkim chęć odtworzenia schematu psychologicznego postaci. Mimo to zastosowany przez Bo-

cheńskiego język analizy świadomości rewolucyjnej utrwala charakterystyczny wzór odbioru rzeczywistości. We wzorze tym dążenie do odnalezienia w świecie porządku zostaje przeciwstawione elementarnym potrzebom człowieka, to jest jak miłości i przywiązaniu do drugiej osoby. Bocheński w 1965 dość naiwnie przywołuje mit "dobrego komunisty" z Hiszpanii po to, by oddzielić zbrodnię od ideologii i udowodnić prawdę uniwersalną: religia, którą jest także marksizm, zaprzecza życiu spontanicznemu i jedynie prawdziwemu.

Andrzejewski, podobnie jak inni bohaterowie "odwilży", stał się podwójną ofiarą stalinizmu. Po raz pierwszy uległ mu pod koniec lat 40., po raz drugi w dziesięć lat później, współtworząc język ideologicznych "likwidacji". Jego literackie doświadczenia udowodniły, iż na poziomie przypowieści można dokonywać ideowych rozstrzygnięć, nie sposób jednak badać losu konkretnego człowieka, obdarzonego konkretną biografią, wychowanego w danej kulturze i danym kraju, postawionego przed problemami codzienności, wśród których najważniejszym jest nie tylko problem wolności, ale także odpowiedzialności i sensu życia.

Tymczasem w *Tabu* prawda życia nie wykracza poza sentymentalizm porzuconej kochanki i małżeńską zdradę, która staje się tematem trzeciej części książki Bocheńskiego. Diego – tym razem jako amerykański jubiler – ucieka od Dolores i wraca do żony. Porzucona kochanka długo nie może dojść do siebie. Bezradność Bocheńskiego próbującego układ modelowy (inkwizycja, rewolucja) zastąpić opisem stosunków personalnych przekonuje, jak wielkim uproszczeniem był inkwizycyjny schemat sporu światopoglądowego. Być może dlatego krytycy, którzy do niedawna podejmowali ulotną dyskusję z Andrzejewskim – Kisielewski, Maciąg, Kijowski, Błoński – nie zabrali głosu po ukazaniu się *Tabu*. Przyczyna wydaje się jasna. Bocheńskiemu nie udało się wznieść ponad światopogląd rozczarowanego marksisty.

Osobisty dramat Andrzejewskiego utrwalił się w jego powieści jako norma rozpoznawania i opisywania rzeczywistości i wydaje się, iż był to mechanizm powszechny. Andrzejewski budował świat swoich powieści na wyrzutach sumienia. Były to wyrzuty świadka okupacji i entuzjasty stalinizmu. Oba doświadczenia musiały prowadzić do osobistego sceptycyzmu, który rewizjoniści chętnie przenosili na plan paraboli, w ogólnej diagnozie człowieczeństwa poszukując rozwiązania osobistych problemów. Stąd freudyzm, który doskonale nadaje się do postmarksistowskich ekspiacji: potwierdza deterministyczną koncepcję natury ludzkiej i znosi osobistą odpowiedzialność.

Docieramy w tym momencie do zagadnienia najważniejszego. Jest nim pytanie o pozytywny projekt życia zbiorowego wpisany w schemat inkwizycji. Odpowiedź przynosi *Msza za miasto Arras* (1971), paraboliczna powieść Andrzeja Szczypiorskiego, w której autor domyka podejmowane przez nas wątki. Najbliższym kontekstem *Mszy...* były wydarzenia marca 1968 – Szczypiorski opowiada o pogromie Żydów we francuskim mieście Arras w roku 1461. Kontekst dalszy wyznacza biografia samego pisarza – także i ta powieść jest spowiedzią rozczarowanego adepta "nowej wiary". Ambicją autora było jednak stworzenie wielkiej summy doświadczeń ludzi XX wieku i tak książkę tę spróbujmy odczytywać. Potraktujmy ją także jako ostateczne wypełnienie inkwizycyjnego schematu stworzonego przez marksistowskich rewizjonistów i likwidatorów.

Dwa miasta

Pytanie Romana Zimanda z 1957 roku "jak TO się stało?", kierowane do intelektualistów wspierających stalinizm, Szczypiorski stawia Europejczykom, których kultura wydała z siebie dwa totalitaryzmy. Zagłada Żydów i antysemityzm to tylko punkt wyjścia do refleksji nad mechanizmem zbiorowego "opętania", przy czym autor w taki sposób rekonstruuje poglądy i metody działania głównego ideologa – ojca Alberta – by postawiona diagnoza miała zastosowanie zarówno do hitleryzmu, jak i stalinizmu. Buduje ją w oparciu o teorię Ericha Fromma zaprezentowaną w *Ucieczce od wolności*, nawiązując do opowieści Iwana Karamazowa o Wielkim Inkwizytorze. Schemat jest doskonale znany. Oto Europejczyk początku XX wieku, dzięki filozofii i nauce ostatnich trzystu lat wyzwolony od tradycyjnej hierarchii budowanej na wierze i zabobonie, cofa się przed koniecznością uniesienia własnej wolności. Swoje życie oddaje w ręce ideologów, którzy budują dla niego nową religię i nowy porządek, za cenę którego ów słaby Europejczyk gotów będzie uczynić wszystko, aż do akceptacji powszechnego kłamstwa i zbrodni dokonywanych własnymi rękami na sąsiadach.

Istotny w koncepcji Szczypiorskiego jest moment nałożenia na teorię Fromma opowieści o Wielkim Inkwizytorze. W relacji Jana, który rekonstruuje historię zarazy w mieście Arras, pojawiają się znaczące "ewangeliczne" aluzje: "I oto obywatele Arras w godzinie konania, w strasznej męce, rozpaczy i lubieżności zarazem, powiadali sobie szeptem: – 'Jestem synem człowieczym. Jestem synem człowieczym i nic ponad to!' Był to ciężar nie do zniesienia i chyba dlatego spadliśmy wtedy na samo dno." W powieści Szczypiorskiego wirus choroby odczytywać można jako alegorię humanizmu, a dokładniej: naukowej wiedzy o świecie. W tym sensie zaraza stanowi czas próby dla dawnej hierarchii. Aluzje do słów Jezusa użyte w opisie dżumy czynią z niej jednocześnie rodzaj inicjacji w filozofię Dobrej Nowiny, której fundamentem jest wolność człowieka. Objawienie wolności, na jaką zostają wystawieni mieszkańcy Arras, to świadomość własnego człowieczeństwa, które bohater Szczypiorskiego opisuje następująco: "Jest w tym jakieś zwątpienie, jakieś wahanie, jakby w umysłach naszych zrodziła się myśl, że wraz z ostatnim oddechem wszystko się kończy, że umierając wkraczamy do nicości, do ciemności, do niebytu, gdzie nawet nie istnieje już świadomość tej wszechogarniającej pustki, a zatem i tej pustki nie ma, nic nie ma, nic nie ma..."

I tu właśnie dostrzegamy istotną manipulację. Wpisana w Ewangelię perspektywa wolności niewiele ma wspólnego z egzystencjalistyczną koncepcją człowieczeństwa przytaczaną przez Szczypiorskiego. Oczywiście nie zajmuje nas kwestia ortodoksji. Sprawa dotyczy interpretacji kultury europejskiej. Porównywanie świadomości człowieka początku XX wieku ze świadomością kształtowaną przez Jezusa wśród jego uczniów jest po prostu błędem. Podobnym błędem wydaje się zacieranie przełomu, jaki

nastąpił w kulturze europejskiej za sprawą Ewangelii. Była to jednak praktyka powszechna wśród części współczesnych filozofów postrzegających religię jako jedynie system ideologiczny, potrzebny do integracji społecznej, socjalizacji czy utrwalenia istniejącego status–quo (tu powraca wątek Jezusa–rewizjonisty u Kołakowskiego). Należał do nich Erich Fromm, z myśli którego czerpie Szczypiorski. Przywoływana przez Fromma koncepcja wolności wywodzi się, jak wiadomo, z myśli Oświecenia. Oparta na racjonalizmie, doprowadziła do sekularyzacji kultury, w oczywisty sposób zaprzeczając istocie chrześcijaństwa. Charakterystyczne, że współczesna krytyka kultury europejskiej podejmowana przez socjologów i psychologów religii jest przede wszystkim krytyką "encyklopedycznego" racjonalizmu, nie zaś " zabobonnej" obyczajowości (dla której rzecz jasna Ewangelia nadal pozostaje wyzwaniem). Pod koniec XX wieku zaczynamy się jednak przekonywać, że dla zrozumienia duchowego i społecznego wymiaru Ewangelii, musi dokonać się istotna rehabilitacja wiary i intuicji, co w życiu publicznym oznacza akceptację pre–sądów i pre–czuć wpisanych w kulturę i organizujących życie grupy. Koncepcja ta niewiele ma wspólnego z nowożytną wizją człowieka wyzwolonego. Człowieka nauczonego wierzyć, że za ideą lub wyobrażeniowym fantazmatem Boga nie kryje się żadna rzeczywistość, w związku z czym religia jest jedynie odurzającym opium w rękach władców, a kultura fikcyjną konstrukcją ludzi uciekających przed prawdą o swojej egzystencji.

Twórca *Mszy...* za własną przyjmuje tezę, iż akceptacja totalitaryzmów i przyjęcie przez miliony Europejczyków "nowej wiary", kompromituje wiarę starą, czyli chrześcijaństwo i oparty na nim porządek kulturowo–społeczny. Dawna wiara, zniekształcając własne założenia, nie zdołała uodpornić człowieka na społeczny kryzys, który wykorzystali ideologowie. Na dodatek struktura fałszywej "nowej wiary", tak bardzo przypominając religię, każe sądzić, iż człowiek w chwili kryzysu uwierzy w cokolwiek, jeśli owo cokolwiek zorganizwać w system.

Szczypiorski twierdzi, iż ludzie, raz zakażeni wirusem dżumy, nie są w stanie powrócić do dawnej wiary i zaakceptować porządku, w którym nie sam człowiek, ale człowiek w zgodzie z tradycją i kulturą kreuje rzeczywistość według ustalonego systemu wartości. Niemożliwość tę, sugeruje Szczypiorski, prędzej czy później zrozumieją ich duchowi przywódcy, świadomie prowadząc do eskalacji wymagań i nastrojów. Nieprzypadkowo w powieści Szczypiorskiego katolicki zarządca miasta Arras przed wybuchem zarazy, przemienia się w duchowego przywódcę pogromu Żydów i heretyków. Porzucając dawny porządek, oparty na franciszkańskiej prostocie i miłości, Ojciec Albert urządza apokalipsę, która ma obudzić ducha w mieszkańcach Arras, przy czym nie ukrywa, iż religia opiera się na wmówieniu i konwencji. Powieść Szczypiorskiego przynosi jasną tezę: w świecie współczesnym każda próba restauracji dawnego "domu", wspólnej, niepodważalnej formy, w jaką wpisuje się zmienną codzienność nie będzie niczym innym, jak psychologiczną manipulacją tłumem i stanie się początkiem zbrodni. Znamy już autorskie uzasadnienie przedstawionej tezy, sięgnijmy jednak do jej podstaw.

Narrator Jan w powieści Szczypiorskiego, opisując dwie wizje ustroju, operuje symbolem drzewa i ptaka. Drzewo oznacza dogmatyczny bezruch, który grozi rozpadem lub wybuchem, lot ptaka jest metaforą bezpiecznej zmienności, którą projektował Kołakowski. Jednak jeszcze niedawno narrator Jan wyznawał: "niepodobna istnieć bez pewnych miar wartościujących, tylko dla żołądka, w żołądku, żołądkiem..." Doświadczenie pogromów każe jednak Janowi zamienić metaforę gastryczną na ornitologiczną, nie zmienia to jednak faktu, iż poetycki opis dotyczy ciągle tej samej rzzywistości! W dyskusji nad kształtem życia społecznego jak bumerang powraca pytanie o istotę społeczeństwa. Nie trudno spostrzec, iż marzenie błaznów o ludziach unoszących z godnością niczym nie ograniczoną wolność budowane jest na redukcji człowieka do poziomu żołądka. Szcypiorski potwierdza tę smutną tezę wielokrotnie, na przykład formułując kąśliwe uwagi na temat motłochu zasiadającego w Radzie Miejskiej Arras. Czyż teza ta nie stanowiła treści dogmatu Wielkiego Inkwizytora?

Charakterystyczne, że współczesna krytyka kultury europejskiej podejmowana przez socjologów i psychologów religii jest przede wszystkim krytyką "encyklopedycznego" racjonalizmu, nie zaś "zabobonnej" obyczajowości (dla której rzecz jasna Ewangelia nadal pozostaje wyzwaniem). Pod koniec XX wieku zaczynamy się jednak przekonywać, że dla zrozumienia duchowego i społecznego wymiaru Ewangelii, musi dokonać się istotna rehabilitacja wiary i intuicji, co w życiu publicznym oznacza akceptację pre-sądów i pre-czuć wpisanych w kulturę i organizujących życie grupy. Koncepcja ta niewiele ma wspólnego z nowożytną wizją człowieka wyzwolonego. Człowieka nauczonego wierzyć, że za ideą lub wyobrażeniowym fantazmatem Boga nie kryje się żadna rzeczywistość, w związku z czym religia jest jedynie odurzającym opium w rękach władców, a kultura fikcyjną konstrukcją ludzi uciekających przed prawdą o swojej egzystencji.

Powiedzieliśmy na wstępie, iż cała dyskusja wpisana w literaturę inkwizycyjnej paraboli odbywa się w duchu opowieści Iwana Karamazowa. Jakże jednak niekonsekwentne to nawiązanie! To stamtąd pochodzą wypowiedziane przez Iwana najcięższe oskarżenia tradycji zachodnioeuropejskiej. Stamtąd także zostaje wzięta diagnoza ludzkiej natury – skaza cielesności, skłonność do autoiluzji i strach przed wolnością – którą formułuje Inkwizytor. Na przekór, ale przecież także w myśl tej diagnozy (bo przecież wszystko jest fałszem) Iwan powtarza przed Aloszą swoje credo: "wszystko wolno". Charakterystyczne jednak, że żaden z autorów inkwizycyjnych parabol, może z wyjątkiem Andrzejewskiego w *Bramach raju*, nie zauważył, że Iwan Karamazow stworzył postać Wielkiego Inkwizytora jako własny, duchowy autoportret! Jest to autoportret skrajnego nihilisty, którego koncepcje stały się fundamentem dwudziestowiecznych totalitaryzmów.

Jezus w powieści Dostojewskiego składa pocałunek na czole swojego kata. Taki sam zalękniony pocałunek składa Alosza na czole Iwana Karamazowa, co nie powstrzymało uczniów Iwana od realizacji planów uszczęśliwiania ludzkości. ▩

Dział "Polityka i Sztuka" otworzył esej Andrzeja Kijowskiego "Ethos społeczny literatury polskiej". Zagadnienia religijne w twórczości tego autora są przedmiotem refleksji Andrzeja Horubały. Publikowany poniżej tekst prezentuje Kijowskiego, wybitnego krytyka, eseistę i prozaika jako autora rozważań mogących być inspiracją jak najbardziej aktualnej rozmowy o Kościele, religii, kulturze i ich wzajemnych odniesieniach.

debata

TROPAMI ANDRZEJA KIJOWSKIEGO

Andrzej Horubała

Pisarz umarł, a więc żyć zaczyna" – takim efektownym zdaniem otwierał Andrzej Kijowski swój szkic "Po śmierci Marii Dąbrowskiej" i wyjaśniał ten swoisty paradoks: "Skończyły się manewry krytyków wokół niego i gra towarzysko-polityczna, której był jednym z partnerów. Nie będzie się już myliło jego sztuki z jego charakterem, autorytetu z urokiem osobistym, znaczenia kulturalnego z reprezentacyjnym."

"Pisarz umarł, a więc żyć zaczyna" – zdanie przewrotne, błyskotliwe, toteż powtórzyło je wielu, budując wokół niego swe teksty po odejściu Andrzeja Kijowskiego. A przecież to zdanie, zwiastujące podjęcie rzetelnej lektury pism zmarłego, brzmiało niezwykle fałszywie w roku 1985. Bo zgon tego pisarza i dzieła ostatnie, jakie napisał, zbyt silnie obciążone były znaczeniami symbolicznymi, by nie zastygnąć we wzniosłym geście.

Więc wspomnienia o zmarłym, recepcja jego książek, które jęły ukazywać się nakładem wydawnictwa "W Drodze", najczęściej były świadectwem lektury nie tyle krytycznej, co chwalebnej. Dojście Kijowskiego do katolicyzmu, jego zafascynowanie narodową wspólnotą, traktowane były jako wyraz przemiany duchowej polskich intelektualistów i jako taki gloryfikowane. Wypełniał się kolejny wariant polskiego powrotu: na łono Kościoła i polskości.

Fragmenty tekstów o tematyce religijnej czy wstrząsającego dziennika pisanego przez Kijowskiego w obliczu śmierci cytowane były obficie w zwieńczeniach artykułów czy recenzji.

Umarł człowiek – symbol, reprezentant generacji intelektualistów peerelowskich. Odchodził więc nie jak pisarz żywy, czyli budzący kontrowersje, lecz jak polski święty inteligent.

Czyż mogło być inaczej? Bez większego echa przeszedł nawet napisany przez Marka Zielińskiego artykuł "Wolność i udawanie", którego autor z niezwykłą intuicją stawiał pytania o zaszyfrowany przekaz ostatnich pism zmarłego.

"Pisarz umarł, a więc żyć zaczyna." A Kijowski swego prawdziwego życia jeszcze nie zaczął. I nie pomógł tu nawet świetny wstęp Tomasza Burka do *Wyboru szkiców*, jaki ukazał się w 1991 roku nakładem "Biblioteki Więzi". Nie pomógł, gdyż ratował pamięć o Kijowskim, upominając się o jego miejsce w historii literatury polskiej. Literatury współczesnej, prawie najnowszej, ale już minionej, zamkniętej. Nie przywracał więc Kijowskiego jako partnera w sporze, lecz unieruchamiał, nie ukazywał tego, co budzi wątpliwości, co niejasne, niewyartykułowane, lecz to, co klarowne i zasługujące na zaufanie.

Tropy Kijowskiego – zbiór jego tekstów o tematyce religijnej, stoją więc dziś zakurzone na półce jako pamiątka dawnej mody, pozornego jak zwykle i zbyt łatwego, pospiesznego pojednania, zbyt powierzchownej radości z dojścia do upragnionego serca polszczyzny. Stoją trochę jak wstydliwe wspomnienie złudzeń i samooszustwa, uniesienia, którego nie sposób oglądać dziś bez zażenowania.

ANDRZEJ HORUBAŁA – ur. 1962, krytyk literacki, publikował m.in. w "Tygodniku Literackim", "Dialogu" i "Kinie".

Ale stanowią one jednocześnie wyzwanie do lektury bogatszej o doświadczenia lat ostatnich, lektury uważniejszej i na pewno trudniejszej.

"Co się zmieniło w świadomości polskiego intelektualisty po 13. grudnia 1981?" – pytał Kijowski w tytule swojego głośnego, drukowanego w krakowskiej "Arce", szkicu z maja 1982 roku. I odpowiadał, komentując duchowe i polityczne wydarzenia przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: "intelektualista polski uznał nad sobą i nad krajem władzę większości". Zrezygnował z misji narzucania społeczeństwu obcych wzorów w imię rewolucji, postępu, walki z Ciemnogrodem i odkrył naród, tradycję i Kościół jako źródło sensu, źródło niezatrute i żywe. Abdykował z funkcji nauczyciela mas i jednocześnie wypowiadał komunistycznej władzy posłuszeństwo, nie chcąc tworzyć kultury służącej państwu za alibi.

Deklaratywny charakter wypowiedzi Kijowskiego zaciera różnicę między diagnozą a postulatami, trudno też oddzielić indywidualne opcje autora od zbiorowych. Oto bowiem własne wybory ideowe przypisuje całej formacji korowskiej i przecież mija się z prawdą, gdy pisze: "Przystępując do totalnej krytyki systemu rządów komunistycznych w Polsce i do programu unarodowienia państwa partyjnego, ta mniejszość, która ukonstytuowała się w opozycję przemawiającą w imieniu milczącej większości, musiała uznać wyższość tej ostatniej nad sobą – wyższość nie liczbową, ale duchową, wyższość mianowicie w wierności pewnym zasadom życia narodowego i wartościom ludzkim, które przetrwały właśnie tam, we wzgardzonej "masie", w pospolitości życia powszedniego, wśród ludzi nie oświeconych przez materializm dialektyczny, ani przez Heglowskiego ducha dziejów, w głębi narodowej gleby, której nie zdołały zryć ani Bierutowskie, ani Gomułkowskie, ani Gierkowskie buldożery." Zafascynowany społeczeństwem idealizuje je tak bardzo, iż rozgrzesza je ze wszystkiego twierdząc, że "wady narodowe to cechy charakteru, którym nie dano warunków rozwoju".

Pisał więc Kijowski tekst programowy, przemilczając – w celach perswazyjnych zapewne – niektóre wątpliwości, tekst miejscami jednak uderzający trzeźwością, wyzbyty złudzeń, choćby wtedy, gdy wymieniał zewnętrzne, niskie motywy odejścia intelektualistów od wierności ustrojowi: urażoną dumę z odtrącenia przez Gierkowską władzę i zwykłą nieopłacalność dalszego serwilizmu. Pisał tekst będący też na poły osobistym wyznaniem, gdy wspominał o odbywaniu przez polskiego intelektualistę Canossy w trakcie pierwszej wizyty Papieża w ojczyźnie.

Pisał tekst o swoim powrocie. Powrocie, dokonującym się latami, stopniowo, powrocie z daleka, powrocie – rozliczeniu ze stalinowską przeszłością i zdradą. Bo nie było przecież tak, jak starali się to ukazać w pośmiertnych wspomnieniach przyjaciele Kijowskiego, że epizod lat pięćdziesiątych stanowił drobne, nieważne zdarzenie w biografii autora *Tropów*. Nie było tak, że szkoła Wyki wyszła nieskażona ze spotkania z socrealizmem. Owszem, napominana przez Putramenta i Markiewicza za zbyt małe upartyjnienie, cieszyła się pozycją – jak napisał marksistowski krytyk – niesfornych trochę ministrantów dokazujących przy liturgicznej posłudze, ale przecież teksty Kijowskiego z tamtego czasu, podobnie jak artykuły jego kolegów, są świadectwem poparcia sowieckiej władzy. I to wcale nie zdawkowego, wyrażanego gdzieś na marginesie twórczości, ale organizującego całe wypowiedzi, puentującego publicystyczne artykuły.

Nowomowa z aprobatą wplatana w narrację, zdania o budowaniu "fundamentów najszczęśliwszej epoki, o jakiej marzyć mógł człowiek", erotyczna prawie ekstaza, w którą wpada autor na widok pieczątki z napisem "Najwyższa Rada ZSRR" i opowieść o doznanym na Kremlu "wzruszeniu tak bezpośrednim, tak bliskim, jakby widać było jeszcze drżenie drzwi dotkniętych ręką" Stalina – obalają tezę, iż szkoła krakowska była odporna na bakcyla stalinizmu. Nekrofilskie, czy może raczej naśladujące katolicki kult relikwii, tony, w jakie uderza Kijowski z pietyzmem opisując zabalsamowane zwłoki Lenina, dokumentują głębię upadku debiutanta.

W finale otwierającego *Tropy* tekstu pod tytułem "Polak głową Kościoła Powszechnego" Kijowski opisuje sen, jaki miał 16. października 1978 roku, tuż po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Obaj – Jan Paweł II i autor – ubrani w jednakowe szerokie ornaty szli "obok siebie z założonymi rękami, równym krokiem, pustą, półkolistą nawą, wzdłuż kolumnady, za którą było mnóstwo starców w purpurze i w czerni, w bieli i fioletach. Nawa, którą szliśmy – pisze Kijowski – była ciemna, za kolumnami płonęły liczne światła. Wokół nas była cisza, tam panował gwar, a nikt nie zwracał na nas uwagi.

Przestraszyłem się. Zrozumiałem, że popełniliśmy straszną rzecz: wdziałiśmy na siebie ornaty, chociaż byliśmy dziećmi.

I powiedziałem:

– Nie widzą nas, bo jesteśmy mali.

Odpowiedział:

– Idź powoli. Idź bardzo powoli.

Zwolniliśmy. Odmierzaliśmy teraz krok za krokiem starannie, zupełnie tym pochłonięci.

I poczułem, że w tej powolności nabieramy powagi i siły, że nas otacza majestat, że teraz wszyscy na nas czekają, że zbliżamy się do środka kolumnowego kręgu, do środka bazyliki, do światła." Publiczna opowieść Kijowskiego o tym śnie, komuś nieznającemu jego pisarstwa, może zdać się czymś niestosownym, pysznym. Cóż to za brak pokory, stawiać się na równi z następcą świętego Piotra i zapisywać takie wybryki wyobraźni bez należytego komentarza.

A przecież sen ów, gdy weźmie się pod uwagę twórczość autora *Tropów*, okaże się obrazem pokutnym. Przestrach pisarza, jego obawa, "że jesteśmy mali" to nic innego, jak rozliczenie z maską, którą na lata przywdział jako twórca. Poznawszy nieludzkie oblicze dziejów i własną podłość zaangażowania, Kijowski – podobnie jak większość pisarzy debiutujących pod znakiem socrealizmu – popadł w niewolę samousprawiedliwiającej wizji, iż "ironia jest jedynym stylem historii". Wizji, która rozpanoszyła się w peerelowskiej twórczości i obrodziła całym szeregiem dzieł pokracznych, nieszczerych, skłamanych. Zdawało się, że to nurt europejski i nowoczesny im przewodzi, bo tak też było w istocie, lecz u ich źródeł bardzo często leżał po prostu brak męstwa. Gombrowiczowski duch

patronował wypowiedziom, na dnie których tkwiła rozpacz. Rozpacz obserwatorów, ale i niedawnych sprawców społecznego zła. Rozpacz sceptyków, którzy raz zaangażowawszy się, uwierzyli, że wszelka postawa serio jest niestosowna. Niemęskie, zdziecinniałe tłumaczenia własnej przeszłości stały się dominującym tonem polskich twórców. W zdrobnienie uciekali, w ironię, w drwinę. Odrzucali kryteria i w ruchu, w przeczeniu widzieli jedyną postawę przysługującą

Przestrach pisarza, jego obawa, "że jesteśmy mali" to nic innego, jak rozliczenie z maską, którą na lata przywdział jako twórca. Poznawszy nieludzkie oblicze dziejów i własną podłość zaangażowania, Kijowski – podobnie jak większość pisarzy debiutujących pod znakiem socrealizmu – popadł w niewolę samousprawiedliwiającej wizji, iż "ironia jest jedynym stylem historii". Wizji, która rozpanoszyła się w peerelowskiej twórczości i obrodziła całym szeregiem dzieł pokracznych, nieszczerych, skłamanych. Zdawało się, że to nurt europejski i nowoczesny im przewodzi, bo tak też było w istocie, lecz u ich źródeł bardzo często leżał po prostu brak męstwa. Gombrowiczowski duch patronował wypowiedziom, na dnie których tkwiła rozpacz. Rozpacz obserwatorów, ale i niedawnych sprawców społecznego zła. Rozpacz sceptyków, którzy raz zaangażowawszy się, uwierzyli, że wszelka postawa serio jest niestosowna. Niemęskie, zdziecinniałe tłumaczenia własnej przeszłości stały się dominującym tonem polskich twórców.

intelektualiście. Odnajdywali się w europejskich wielkich duchach. I gdy Kijowski w szkicu poświęconym Baudelaire'owi pisał o grymasie znużenia panującym na jego twarzy, który był grymasem duchowym, to szkicował swój własny wizerunek, ale tylko częściowo prawdziwy, bo nie wyznawał głęboko ukrytej istotnej przyczyny swego smutku i zniechęcenia.

Gdy niestrudzenie dawał popisy ekwilibrystyki krytycznej, z artykułu na artykuł zmieniał kryteria wartościowania, przeczył sam sobie, przemawiała przez niego rozpacz wydziedziczenia.

Ze złośliwością i maestrią opowiadał, jak duch niedojrzałości rządzi historią. Analiza narodowej tradycji ukazywała ją pod postacią potwornych majaczeń dziecka, zagubionego w pustych znakach i symbolach, które obecnie złożyć się mogą tylko w groteskową opowieść o rekwizytach przeszłości.

"Jesteśmy mali" – to przecież do własnego zwątpienia przyznaje się Kijowski opisując swój sen. Imaginowana rozmowa z Janem Pawłem, mająca swój odpowiednik w ewangelicznej opowieści o Chrystusie kroczącym po wodach jeziora Genezaret, to elemet osobistego mitu, wokół którego pisarz pragnie budować myślenie o nawróceniu.

Kreowanie osobistego mitu, organizującego życie duchowe, stanowi jeden z istotniejszych, choć często skrytych, wątków przewijających się przez późną twórczość Kijowskiego. Motyw ów wskazać można zarówno w zamyśle scenariusza filmu o Karolu Wojtyle, opartego na założeniu równoległego prowadzenia dwóch biografii – papieskiej i peerelowskiej, jak i w licznych fragmentach *Tropów* oraz w ostatnich opowiadaniach – drukowanych w "Twórczości" częściach zamierzonego dzieła zatytułowanego. *Dziesięcioksiąg*. Mit osobisty, będący sposobem religijnego przeżywania własnej biografii, obejmuje zarówno sferę rodzinną, sferę tradycji narodowej i katolickiej, jak i zdarzenia z życia autora, którym on sam, historia czy Bóg nadają znaczenie symboliczne. Mit osobisty, prywatny to dla życia duchowego wielka szansa, ale i wielkie niebezpieczeństwo. Może stać się wyzwaniem dla życia wewnętrznego, pomocą w modlitwie, rachunku sumienia, odkrywaniem spychanych w niepamięć spraw, uczynków. Ale może stać się także zbyt łatwą autokreacją, poetyzowaniem własnego życia, oddaniem go we władanie estetyki, mierzeniem własnej biografii kryteriami literackiego efektu.

Dla Kijowskiego mit osobisty to przede wszystkim mit pokutny. Źródłowe zdarzenie stanowi w nim spotkanie z osobą Karola Wojtyły, którego kazań "w sekrecie przed otoczeniem" wysłuchiwał w latach pięćdziesiątych. Jego to osobowość obok świętego Augustyna patronuje *Tropom* i refleksjom o religii. Minięcie się z nim na krakowskiej ulicy w roku 1950, Kijowski traktuje jako punkt węzłowy swojej biografii:

"Któregoś dnia minęliśmy się przed domem. Było zimno, szliśmy obaj skuleni, z rękami w kieszeniach. Ja miałem 22 lata, on 30. Więcej niż chciałem, wiedział o mnie od mojej matki, która odbywała z nim długie rozmowy, oczywiście głównie na mój temat. Zobaczywszy mnie, zwolnił kroku, prawie przystanął i patrzył. Czekał. Minąłem go, ocierając się prawie o ramię bez słowa, bez gestu, albowiem na plecach moich siedział diabeł pychy. Wcisnąłem ręce głębiej w kieszenie i wytrzymałem jasny, pytający wzrok. Było mi gorąco, jakbym przez ogień przelazł."

W zapisie tym pojawia się też osoba matki, której postać, stylizowana trochę na świętą Monikę, modlącą się przez lata o nawrócenie syna, odegra dużą rolę w kreacji mitu osobistego. Ona to, popadająca w dewocję skrupulantka, w zamiarze pisarza miała stać się właściwą bohaterką książki zatytułowanej *Tropy*. "Może to być właśnie – pisał o planowanym dziele – pamiątka cierpień mojej matki. Mogę pokazać ich wielką powagę w pozornej śmieszności. Mogę pokazać ich znaczenie w planie 'zbawczym' ". Okruchy tego zamysłu znajdują się w opublikowanych na łamach "Twórczości" wspomnieniach z dzieciństwa, w których obsesja matki na punkcie higieny łączy się z jej żarliwością w modlitwach, a wszystko to ociera się niebezpiecznie o obłęd.

Myśl zapisania religijnej interpretacji własnego losu nie opuszczała Kijowskiego nawet w szpitalu, gdzie leżał z powodu nowotworu oka. W dzienniku pod datą 10. maja 1983 notował:

"Do mnie należy wyznaczenie temu doświadczeniu wartości. Oko jest w moich rękach. Będzie banalne lub doniosłe, zależnie od tego co ja z nim zrobię. Bóg daje przeżycie jako materiał do moralnej obróbki. Możemy z tego zrobić przedmiot codziennego użytku lub pomnik. Rzecz bez znaczenia lub znak na wieczność.

Próbowałem to doświadczenie dopisać do mojej biografii i tę biografię w pełni wypowiedzieć. Nie potrafię. Rozumiem z tego, że powinienem w ogóle porzucić ten rodzaj pisania."

Nie rezygnując więc z mitycznego stylu przeżywania własnego losu, Kijowski zaniechał myśli o bezpośrednim zapisie tego rodzaju doświadczenia.

Zapiski do *Dziesięcioksiągu* w postaci trzech opowiadań drukowanych w "Twórczości" wyraźnie zbliżają się do apoteozy modelu stereotypowej, odziedziczonej wiary, którą Kijowski porzucił w młodości i do której nie chciał wracać, krytykując tego rodzaju marzenia za sentymentalizm i złudę. A jednak jego "poema naiwne", przynoszą wspomnienie o tego rodzaju zakorzenieniu, o jakim pisał z przekąsem: "Święta Trójca i Matka Boża należą do rodziny, niebo jest częścią domu, epizody historii świętej oglądane w obrazach stanowią całość z fotografiami ze starego albumu, na których rodzice są dziećmi i siedzą na kolanach u swoich rodziców, i z obrazami z historii kraju przedstawiającymi brodatych królów i ich czyny". Zdania te, pochodzące z artykułu "Wiara i niewiara w życiu Polaków" znajdują swój odpowiednik w opowiadaniu "Czarny zeszyt" przewidzianym do *Dziesięcioksiągu*, w którym właśnie historia rodzinna łączy się z dziejami narodu, a te, gdy cofać się coraz dalej, splatają się z Biblią w jedną całość. Całość wzruszającą, ale naiwną. Czy taka ma być podstawa osobistego mitu? Czy taki sentymentalny ma się okazać każdy powrót do wiary?

W 1966 roku w artykule "Sienkiewicz i polska nerwica" Kijowski pisał: "Kontrowersja sienkiewiczowska trwa ciągle, lecz na wyższym niż dawniej planie, gdyż dotyczy polskiego stylu duchowego.(...) Idzie w niej o to, że nauka chrześcijańska, jeśli ją domyślić do konsekwencji ostatecznych, nie jest słodką wiarą, ale heroiczną dyscypliną, że nie wraca się do niej, lecz się ją bez końca wypracowuje, że u źródeł, w przeszłości, w dzieciństwie własnym, ludzkości, Kościoła czy narodu, nie ma prawdy, bo jest ona zawsze w przyszłości."

A jednocześnie przecież w szkicach do *Dziesięcioksiągu* obejmował pełnym współczucia spojrzeniem swoje dzieciństwo tak bezlitośnie traktowane w "Dziecku przez ptaka przyniesionym". Te same motywy, które prawie niezmienione składały się w groteskową wiwisekcję szalonej duszy polskiej – tragicznie zaginiony krewny, postać dziadka, stróż Dubiel, czarny zeszyt z obrazkami z historii Polski – powróciły w pisanych niedługo przed śmiercią opowiadaniach jako istotne elementy duchowego krajobrazu autora, elementy, do których powraca się ze wzruszeniem po życiu pełnym błędów i zdrad. Bo przecież utwory z *Dziesięcioksiągu* to "Dziecko przez ptaka przyniesione" opowiedziane bez groteskowych szarż, opowiedziane z tkliwością i zawierzeniem.

Ale i relacja z pierwszej wizyty Papieża w Polsce to pochwała religijnego sentymentalizmu. Choć w przytaczanym szkicu z "Arki" Kijowski twierdził, iż w czasie jej trwania "intelektualista odbywał swoją Canossę – pokutną pielgrzymkę w głąb polskiej rzeczywistości", jej zapis, jaki odnajdujemy w *Tropach* jest świadectwem pielgrzymki nie pokutnej, lecz raczej sentymentalnej właśnie. Jest świadectwem powrotu dawnego ministranta do porzuconego rytuału, zapoznanych pieśni, powrotu do marzeń o wspólnocie, radosnym opisem odkrywania realizujących się stereotypów.

Czy więc religia sentymentalna, intelektualnie odrzucana, ale emocjonalnie, duchowo aprobowana, stać się ma podstawą wiary wszelakiej, marzeniem o powrocie, bezustannym apelem do marnotrawnych synów? Czy ona to, możliwa do opisu w kategoriach psychologii głębi, nie stanowi czasem realnego zaplecza każdego nawrócenia?

Uroda polskości, urok wspólnoty w dwa lata później Kijowskiemu – sceptycznemu badaczowi i znawcy narodowych mitów, podyktują słowa absolutnej afirmacji:

"Modlitwa to refleksja nad mądrością Boga. Nie wysłuchał żadnego z powstańczych pokoleń. Żadnemu nie dał zakosztować zwycięstwa, lecz wysłuchał wszystkich razem, skoro po dziś dzień żyjemy we wspólnocie, która nigdy – w czasach największej potęgi – nie była ani tak jednolita, ani tak wyrazista, jak jest dzisiaj, nigdy nie skupiała na sobie uwagi świata w tym stopniu, co teraz, i nigdy jej wartość nie była wyżej ceniona. Kościuszko winien więc być zadowolony, że przegrał pod Maciejowicami i że do wspaniałych dziejów narodu zmierzających ku apogeum duchowej sławy przez klęski i tragedie, dorzucił tragedię własną. Gdy generał Sikorski spocznie w krypcie św. Leonarda obok dwóch generałów klęski – Kościuszki i Poniatowskiego – pogadają sobie wszyscy trzej o tym, co im razem Bóg dał, nie wysłuchując żadnego."

Swój zachwyt i entuzjazm odwoła już w roku 1983, mówiąc przeprowadzającej wywiad Ewie Berberyusz:

"Każde społeczeństwo składa się z inercyjnej masy i z elit. (...) Niech pani przejdzie się wśród tych niekończących się kolejek, niech pani wsiądzie do pociągu... Obraz jest straszny: gdzieś tam towar rzucą i gromadzi się wielka kolejka, a potem do tych drzwi ciągną stracy, kaleki, kobiety z wielkimi ciążami i zaczyna się walka u drzwi, kto pierwszy chwyci za klamkę. (...) moralność społeczna rodzi się z odruchów (...) w masowych skalach trudno mówić o moralności, trzeba przewidywać, rejestrować odruchy i liczyć się z odruchami. Społeczeństwa jako masa nie są moralne ani niemoralne. Moralne lub niemoralne są tylko jednostki."

A jednak – choć porażony klęską masowego ruchu – do końca pozostanie zafascynowany wspólnotą narodową i religijną. Da temu wyraz jeszcze w 1984 roku w referacie o Prymasie Tysiąclecia. Da temu wyraz starając się w ostatnich swych latach służyć Kościołowi, jeżdżąc z odczytami po duszpasterstwach akademickich, uczestnicząc w dniach kultury chrześcijańskiej, wykładając klerykom.

Wypowiadając się o Kościele i religii, Kijowski poszukuje języka. Języka, który obejmowałby tradycję, ale nazywał ją w sposób nowoczesny.

Pisząc reportaż dowartościowujący zbiorowe doświadczenie udziału w pielgrzymce Papieża-Polaka, posługuje się kat-

egorią sacrum i odwołuje do myśli Mircea Eliadego, by stworzyć wypowiedź czytelną i atrakcyjną dla współczesnego inteligenta. To obiektywizowanie wrażeń z uczestnictwa w mszach świętych, posługiwanie się językiem religioznawstwa, stanowi jednocześnie zasłonę uniemożliwiającą artykulację własnych głębokich przeżyć duchowych.

Podobnie dzieje się i w innych artykułach zamieszczonych w *Tropach*, w których zagłuszone zostają intymne, osobiste pytania. Główny zsekularyzowany nurt kultury, narzucający swój styl i kryteria, nadaje sporym partiom tekstów Kijowskiego charakter mało zindywidualizowanych wypowiedzi. Wypowiedzi, jakich pełno w dialogu, który Kościół, najczęściej nie swoim głosem, toczy ze światem gazet i uniwersytetów.

Kijowski więc cały czas poszukuje języka na wypowiedzenie, ogarnięcie doświadczenia wiary. Omawiając papieskie encykliki, z nich czerpie rytm i obrazowanie. Zachwycając się pisarstwem księdza profesora Tischnera, staje się nie tyle jego komentatorem, co naśladowcą. Zdaje sobie sprawę ze swej roli. Nieprzypadkowo zapis medytacji nad *Wyznaniami* świętego Augustyna tytułuje "Dopiskami". Ale nawet wtedy, gdy obcuje z arcydziełem literatury konfesyjnej, nie przekracza zdecydowanie granicy własnej intymności.

Na przestrzeni całej książki stara się raczej o stworzenie bardzo potrzebnego instrumentarium do rozmowy o istocie Kościoła i religii. Swą rolę zdaje się pojmować służebnie. Dostosowuje charakter wykładów do poziomu odbiorców. Tworzy w ten sposób teksty poniżej swoich możliwości. Poniżej swojej drapieżnej inteligencji, tak wspaniale owocującej w polemice, w starciu poglądów, w odrzucaniu złudzeń. Owszem, dużo miejsca poświęca analizie fałszywych postaw i oczekiwań wobec religii, jednak ton apologii Kościoła, żywioł afirmacji zbyt łatwo uzyskuje przewagę nad nieufnością i podejrzliwością.

Być może dzieje się tak za sprawą narzuconej sobie pokory wobec tematu; świadomości że nawet odpryski dawnej postawy ironisty-obserwatora nie przystoją pisarzowi, ukazującemu Kościół jako zwieńczenie kultury, najistotniejszy tej kultury wyraz, Kościół, będący przekazem doświadczenia, pamięcią ludzkości.

Wiara w Kościół to dla Kijowskiego naturalna konsekwencja wiary w Boga. Kościół – założony przez Chrystusa, będący uobecnieniem Boga wśród ludzi, staje się centralnym tematem jego refleksji, czy może raczej apoteozy.

Niewiele jest we współczesnej publicystyce polskiej tekstów tak konsekwentnie eklezjocentrycznych, wskazujących na Kościół jako źródło sensu.

Kijowski chce wierzyć w Kościół "stanowczy i jasny w trzech punktach – w punkcie nieomylności, w punkcie Eucharystii i w punkcie Zmartwychwstania". Chce wierzyć w świętość Kościoła i dlatego oczyszcza myślenie o nim ze złudzeń, jakim można ulec. Po pierwsze – mówi: "nie ma historii moralnej (...) czystość Chrystusowa jest historycznie, politycznie, społecznie niemożliwa, to znaczy że nie ma świętej zbiorowości ani świętej instytucji, że tylko człowiek poszczególny jako żywe naczynie łaski może być święty (...) Kościół jest święty przez swoje sakramenty i wiarę tych, co je przyjmują, z resztą jest częścią świata i nigdy od niego się nie różni."

Po drugie, i tu myślenie Kijowskiego wikła się w sprzeczności, "Kościół odnawia się nieustannie w ciągu całych swych dziejów, a kierunek tych zmian jest wciąż ten sam; Kościół oczyszcza mianowicie stosunki człowieka z Bogiem z elemetów archaicznych, z obciążeń Starego Przymierza i z nawyków religijności magicznej". Rozwijając tę refleksję, autor bez zastrzeżeń akceptuje przemiany dokonane przez Vaticanum II, ukazując je jako równoważenie "pierwiastka boskiego z pierwiastkiem ludzkim, mistycznego z humanistycznym". Zachwyt nad mądrością ewolucji Kościoła kilkadziesiąt stron później zderzony zostaje z wypowiedzianym tym samym apodyktycznym tonem, sprzeciwem wobec niechęci Kościoła "do zstępowania zbyt głęboko w zło". Zwięzły, lakoniczny opis współczesnej praktyki księży z ust których płynie "mowa słodka, usprawiedliwiająca, wybaczająca, kształtowana bardziej na podręcznikach psychoterapii niż na Ewangelii" świadczy, iż i w tym punkcie trudno osiągnąć pewność.

Ale Kijowski tej pewności pragnie, chce mieć wiarę wyraźnie określoną, intelektualnie spójną. I to jego pragnienie stwarza nieco irytujący ton wyższości, przekształcający rozważania i medytacje w wykład o pozorach ścisłości.A przecież do ścisłości tym wypowiedziom Kijowskiego daleko. Raz Kościół jest dla niego zwieńczeniem kultury i gwarantem jej trwałości, kiedy indziej z wiary wypływa postulat odrzucenia współczesnej kultury. "Wiemy, że bredni słuchamy – pisze Kijowski o nawróceniu świętego Augustyna i własnym – bredniom się przyglądamy, brednie oklaskujemy, brednie tworzymy, ciesząc się z oklasków i nagród". Raz więc Kościół jest elementem cywilizacji, kiedy indziej znakiem sprzeciwu.

Raz kategoria sacrum służy uwznioślenia wiary, w innym miejscu autor pokazuje, że Chrystusowa ofiara dokonana poza świętym miastem przezwyciężyła dychotomiczny podział na sacrum i profanum.

Są więc *Tropy* świadectwem poszukiwania wiary w Kościół, poszukiwania dróg jego apoteozy. Kształt wykładów, prelekcji porządkujących artykułów, jaki przybrały, jest więc mylący. Mimo pozorów intelektualnej spójności, stanowią raczej zapis intuicji, fascynacji i gorącego pragnienia świata zwartego i klarownego.

W niezwykłym wywiadzie, jakiego Kijowski w roku 1970 udzielił księdzu Januszowi Pasierbowi, a który opublikował "Przegląd Katolicki" dopiero po śmierci pisarza, autor *Tropów* określając się jako dezerter i wychodźca z Kościoła, Kościół właśnie określił jako swą duchową ojczyznę i zarazem główny nierozwiązany problem wewnętrzny. "Radość życia i tworzenia – mówił – znalazłbym w dwóch wypadkach: albo gdybym zdecydował się zwalczać Kościół w sposób obłąkany (...), albo gdybym został fanatykiem Kościoła."

Wybór więc, którego świadectwem stały się *Tropy* miał o wiele bardziej tragiczne oblicze niż wynikałoby to z prostej lektury książki. Opowieść o piwrze, będącej dla udręczonej duszy lekarstwem, jaką snuje Kijowski przy okazji rozważań o świętym Augustynie, nie ukazuje w żadnym stopniu wewnętrznego przełomu, gwałtu, jakiego dokonać musiał sam autor. Owszem, rekonstruuje stan duszy niewierzącego, beznadziejność poszukiwania sensu poza chrześcijaństwem, ale czyni to kreując jakiś zbiorowy podmiot, jakieś "my", często opierające się na diagnozach kultury wysuwanych przez modnych sezonowych myślicieli.

Przeskok z niewiary w wiarę powoduje, iż osobiste wątpliwości, jakie towarzyszyły dawniej autorowi zagłusza ton apologetyczny bądź opowieść o przeciętnych, powszechnych oporach budzonych przez fałszywe rozumienie Kościoła.

"W planie osobistym - pisze Kijowski w Tropach - wiara dojrzała wyrasta z pełnego rozpoznania własnych słabości i z refleksji nad własną biografią (...) Samowiedza psychologiczna i płynące z niej ofiarne posłuszeństwo chronią wiarę przed sentymentalnym stereotypem..." Ale analiza podejrzeń dotyczących osobistych przesłanek nawrócenia, refleksja nad psychologicznymi, pozareligijnymi przyczynami związku autora-intelektualisty z Kościołem nie pojawiają się prawie na przestrzeni Tropów. Chęć obiektywizacji doświadczeń duchowych, chęć pisania książki wyrażającej zbiorowe przeświadczenie, tłumi akcenty indywidualne, uniemożliwia zapisanie refleksji choćby o tym, jak dawna relacja pisarz-państwo grozi recydywą przy okazji związku z Kościołem, jak własne marzenie zagłusza wątpliwości, jak pytanie o realizowanie zwykłych psychicznych potrzeb wierzącego dramatyzuje jego życie religijne.

"Napisać taką książkę, którą sam bym przeczytał. Jaką książkę o wierze i religii sam bym chętnie przeczytał?" – zapytywał na kartkach dziennika, którego fragmenty zamykają *Tropy* – "Taką, która by mnie jeszcze raz przekonała, że to wszystko prawda i że nie mylimy się, tkwiąc przy Kościele, wracając do Kościoła, namawiając innych do Kościoła, utrzymując, że Kościół jest 'siłą' czy 'wartością', czy wreszcie 'prawdą'."

Ale przecież książka taka to mityczna księga polskiego intelektualisty, księga – wyzwanie, która w okruchach i niedopełnieniach swoich istnieje i stanowi najwyższy, niedokonany wyraz polskiej kultury. Fragmenty jej tworzyli Karol Ludwik Koniński i Marian Zdziechowski. Jej przebłyski analizował Kijowski, gdy w roku 1966 pisał: "ostateczną wizją Brzozowskiego jest Kościół – jako figura ludzkości pogodzonej ze swą naturą i ze swoim losem: 'Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest Kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez Kościoła. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli Kościoła nie ma'. (...) Kościół jest dla niego – komentował dalej myśli Brzozowskiego z "Pamiętnika" – miłością przetłumaczoną na język prawa. Jest zarazem siłą ekspansywną, zdolną transmitować na świat wartości wykształcone w ciągu wieków w najżywotniejszym, najbogatszym, najgorętszym ognisku kultury, jakim jest Europa."

Księga ta, pisanie której wciąż na nowo jest podejmowane, czerpie swą siłę z mocy biografii jej autorów, jest deklaracją, ale i świadectwem; wykładem, ale i dziennikiem duchowym. Rodzi się nie z postawy akceptacji, lecz wewnętrznej szamotaniny, nie z ducha uległości, lecz buntu. Zapewne jakieś jej fragmenty odnaleźć można i w *Tropach*, ale Kijowski przecież świadomie decyduje się na niemieszanie żywiołu autobiografii z intelektualnym wykładem. Powstrzymuje się przed podwyższaniem temperatury swoich szkiców, przed otwieraniem swojego wnętrza wobec odbiorców.

To, co ukazują dopiero fragmenty jego dziennika, mogłoby stać się zaczynem takiej księgi, ale pisarz kapituluje. Przyznaje się do niemożności. Może bojąc się rodzącego się przy takich okazjach wybujałego, zazwyczaj niezwykle naiwnego, indywidualizmu religijnego, może zrażony niepowodzeniami swoich wielkich poprzedników, których słabości przecież przenikliwie dostrzegał, może z pokory, ze świadomości, w jakim obszarze problemów się znalazł. Pisze: "nie wolno mi w żadnej formie mówić o sobie".

Pozostawia więc kształt księgi, jej zarys, projekt, a jednocześnie wyraźny znak wycofania się, wstrzymania przed podejmowaniem tak potężnego wyzwania.

W jednej z gier prowadzonych bodaj w *Miniaturach krytycznych*, Kijowski zabawił się w ukazanie swojego szczerego oblicza krytyka i opowiedział, jaki jest jego prawdziwy stosunek do współczesnych literatów polskich. Owszem, ceni książki niektórych z nich, ale jeszcze bardziej ceni książki, które mogliby napisać, książki, które sam Kijowski im projektuje, książki, które chętnie by opowiedział pisarzom, by ci napisali je wykorzystując w pełni swój talent i doświadczenie.

Lektura ostatnich dzieł Kijowskiego aktualizuje tę grę. Z przebłysków, z niedomówień zarysowuje się wymarzona powieść, której nie napisał Kijowski. Powieść, przed którą się może mimowolnie bronił. Gdy w wykładzie "Religia i literatura", przeznaczonym dla kleryków seminarium warszawskiego, apelował do Kościoła, by porzucił myśl o stworzeniu katolickiej powieści, katolickiego dramatu, katolickiego kina. Gdy twierdził, iż "to będzie zawsze marne, zawsze drugorzędne, bo napiętnowane tendencją, która te rodzaje sztuki pisarskiej i kreacyjnej zabija". Gdy dodawał cytowane później wielokrotnie słowa: "wszelka sztuka przedstawieniowa jest rekonesansem w dziedzinę zła wysuniętym tak daleko, że przybiera jego znamiona jak szpieg działający w kraju wroga", to przecież odpychał jednocześnie myśl o projekcie literatury, która by zdała sprawę z katolickiego przeżywania świata. Nie literatury, która by katolicyzm, czy Kościół gloryfikowała, ale obrazowała te niezaświadczone w polskiej prozie artystycznej przeżycia duchowe.

Kijowski mógłby taką książkę napisać. W rozmowie z księdzem Januszem Pasierbem odsłonił się i wyznawał: "Podstawową rzeczą, którą wziąłem od Kościoła i która kształtuje mój cały światopogląd, jest poczucie winy, grzechu". I dalej: "Do dziś nie wiem, w jakim stopniu jestem przez Kościół stworzony, a w jakim okaleczony". Ten kompleks winy w społecznym wymiarze opisany został w "Oskarżonym", jak i w najlepszym chyba opowiadaniu Kijowskiego – "Szyfrach", historii o zranionym dzieciństwie i niedorosłości do ojcostwa.

Ta opowieść o Kościele, który – jak mówił Kijowski – "był zawsze przeżyciem winy i grzechu, straszliwym i kształtującym", o Kościele, przed którym Kijowski uciekał, mówiąc: "do strachu, do poczucia winy nie chcę wracać, opędzam się, aby czuć się wolnym", mogłoby stać się prawdziwym arcydziełem polskiej prozy. Opowieścią nie tendencyjną, lecz właśnie "nazywającą to, co składa się na rzeczywistość".

Ta opowieść istnieje jako wyzwanie dla nowych generacji pisarzy polskich, gdyż istnieje niezaświadczona rzeczywistość przeżyć duchowych związanych z katolicyzmem. ■

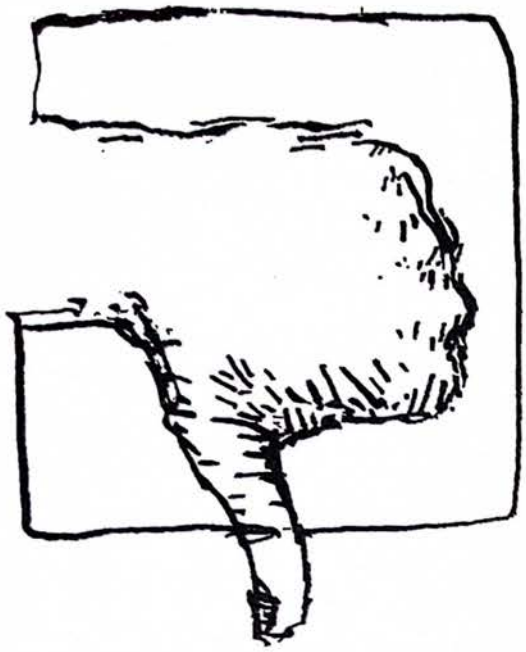

CHRZEŚCIJANIN W III RZECZYPOSPOLITEJ

Paweł Lisicki

Wydana przez Jana Marię Jackowskiego książka "Bitwa o Polskę" to bestseller na naszym rynku czytelniczym. Kilkadziesiąt tysięcy sprzedanych egzemplarzy, życzliwe przyjęcie przez szerokie kręgi kościelne sprawia, że stała się ona ważnym faktem społecznym, a zawarta w niej argumentacja będzie z pewnością wykorzystywana w sporach prowadzonych w życiu publicznym. Książka opowiada o zasadniczym konflikcie ostatnich lat, którym jest spór o koncepcję człowieka obowiązującą w prawie i życiu publicznym III Rzeczypospolitej.

Książkę Jackowskiego należy uznać za ważną choćby z tego względu, iż zbiera ona i prezentuje poglądy liczącego się odłamu polskiej opinii publicznej. Podejmuje próbę opisu zagrożenia laicyzacją oraz wskazuje możliwe sposoby obrony. Jest również książką o wyraźnym profilu politycznym. Tu zresztą prawdopodobnie – w pomieszaniu konfliktów światopoglądowych z politycznymi – tkwi największa jej słabość.

Nieścisłości czy przerysowania w opisie zjawisk politycznych służyć mają bowiem podtrzymaniu tezy, że opisywany konflikt światopoglądowy ma dla polityki znaczenie podstawowe. To prawda, że taka jest motywacja pewnych środowisk, znajdujących się jednej i drugiej stronie barykady. Jednak jest to tylko jedna z osi polskich konfliktów. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że choć polityka nie może uwolnić się od sfery wartości, to jednak nie jest ona podstawowym terenem sporu o racje. Chrześcijaństwo nie powinno występować w roli światopoglądowej i politycznej alternatywy liberalizmu. Jego podstawowa funkcja wykracza daleko poza świat polityki, podczas gdy przeciwnicy z opisywanego przez Jackowskiego pola bitwy dysponują przede wszystkim pewnym światopoglądem politycznym.

"Na naszych oczach rozgrywa się bowiem decydująca faza bitwy o Polskę" – pisze na początku swej książki Jan Maria Jackowski. Takie stwierdzenie zmusza czytelnika do zadania sobie kilku podstawowych pytań. Kto z kim walczy? Po co toczona jest bitwa? I dlaczego, mówiąc o obecnej sytuacji w naszym kraju, mamy posługiwać się językiem stosowanym do opisu zmagań militarnych?

Zdaniem Jackowskiego celem, o który toczy się bitwa jest Polska, a precyzyjniej świadomość współczesnych Polaków. Przeciwnikami są z jednej strony ci, którzy opowiadają się za tradycją, rodziną, Kościołem, chrześcijaństwem, niepodległością i prawdziwą wolnością, z drugiej zaś zwolennicy nowego "totalitaryzmu fałszywej wolności", konsumpcjonizmu, liberalizmu, praw człowieka, jednostki, zjednoczonej

PAWEŁ LISICKI – ur. 1966, absolwent prawa UW, publikował w "Znaku", "Rzeczypospolitej", "Życiu Warszawy", "Res Publice". W przygotowaniu zbiór esejów filozoficznych "Nie-ludzki Bóg".

Europy i ateizmu. Ci pierwsi zostali w książce nazwani prawicą, tych drugich określa autor jako lewicę. Bitwa, o której mowa, przenika w rzeczywistości cały świat, cały nasz kontynent: Polska jest tylko jednym z wielu placów boju. Środki, za pomocą których prowadzona jest walka, to wszystkie narzędzia służące oddziaływaniu na świadomość: prasa, radio, telewizja, książki.

Można zatem przyjąć, że również ta książka ma być orężem w walce. Celem autora *Bitwy o Polskę* jest bowiem atak na lewicowego przeciwnika, ujawnienie jego strategii i taktyki i przyczynienie się w ten sposób do zwycięstwa prawicy. Wiadomo jednak, że sukces każdej operacji zbrojnej zależy od wykorzystania właściwych środków walki. Do czego innego służy karabin, czołg czy samolot, a do czego innego sztylet czy cep. Nieszczęściem Jackowskiego wydaje się właśnie zapomnienie o tej podstawowej dla każdego stratega wiedzy. Można by mu było jeszcze wybaczyć, że posługuje się cepem do rozprawy ze skomplikowaną sytuacją polityczną, trudno jednak pozwolić mu, aby tej nadzwyczaj nieporęcznej broni używał do zmagań intelektualnych.

Nicią spajającą poszczególne rozdziały *Bitwy o Polskę* jest antylewicowa emocja. Tam jednak, gdzie królują namiętności, śpi rozum. Tym samym zamaszyste ciosy przechodzą obok przeciwnika, a zaślepienie powoduje wystawianie siebie samego na sztych. Zamiast zwalczać lewicowe przesądy, Jackowski występuje przeciw nieistniejącemu, stworzonemu przez samego siebie przeciwnikowi.

Pierwszym i kardynalnym błędem jego książki jest przyjęcie dychotomicznego podziału świata na prawicę i lewicę. Oczywiście, tego typu podział istnieje, ale występuje tylko w ograniczonej sferze naszego życia – w polityce. Uznanie, że w schemat lewica–prawica można wtłoczyć praktycznie każdą ludzką myśl prowadzi do całkowitej polityzacji świata. Przyjęcie tego schematu oznacza bowiem, że intelektualne spory o wartości są zależne od procesów politycznych, a co za tym idzie, że prawda zostaje zrelatywizowana i może pojawić się tylko w formie politycznej ideologii. Skutkiem takiego podejścia jest pomieszanie pojęć i porządków, o czym najlepiej świadczy dokonany przez Jackowskiego dobór reprezentantów każdego kierunku: po prawicy jest mecenas Jan Olszewski, Jarosław Kaczyński, Antoni Macierewicz, Papież Jan Paweł II, św. Tomasz z Akwinu i Arystoteles, a za lewicę uznano Platona, Protagorasa, "Gazetę Wyborczą", profesora Bronisława Geremka, Unię Demokratyczną i tygodnik "Nie". "Semantyczny podział lewica–prawica wytworzył się – pisze Jackowski – podczas Rewolucji Francuskiej. W dziejach ludzkości, odkąd istnieją źródła pisane, daje się zauważyć pewną prawidłowość, że większość konfliktów społecznych, politycznych i gospodarczych, nie wspominając o ideowych, można odczytać jako konfrontację dwóch porządków".

Przyjęcie założenia o uniwersalnym podziale na prawicę i lewicę jest zatem tyleż jasne i jednoznaczne, co absurdalne. Prowadzi to do takiej sytuacji, w której Jackowski jako konserwatystów jednym tchem wymienia de Maistre'a i lorda Actona. Autorowi *Bitwy o Polskę* nie przeszkadza to, że o ile ten pierwszy, występując w obronie autorytetu Kościoła katolickiego, odrzucał wolność jednostki, ten drugi uważał tę wolność za największą wartość. Nieprzystawanie owego schematu do rzeczywistości widać jeszcze wyraźniej na przykładzie dokonanej przez Jackowskiego oceny myśli starożytnej. "Silnie zakorzenione w platonizmie i neoplatonizmie branie pięknych idei za rzeczywistość jest źródłem i przyczyną utopii i totalitarnych ideologii, jakich doświadczyła ludzkość". Winą za totalitaryzm w *Bitwie o Polskę* zostaje obarczony Platon, podczas gdy "prawdziwa myśl chrześcijańska korzystała z realizmu Arystotelesa". Jackowski zapomina dodać, że przez kilkanaście wieków po narodzeniu Chrystusa owej prawdziwej myśli nie było (zanim w XII wieku do Europy dotarły pisma Stagiryty, panowała w niej niepodzielnie myśl "niechrześcijańskich" neoplatoników, takich jak św. Augustyn). Jackowski zdaje się nie dostrzegać, że nawet jeśli między św. Tomaszem a św. Bonawenturą czy św. Anzelmem występował zasadniczy spór filozoficzny (i nawet, jeśli którejś z ich filozofii przyznamy pierwszeństwo ze względu na zgodność z prawdą wiary), to w żaden sposób nie da się go opisać odwołując się do kategorii lewica – prawica. Autor *Bitwy o Polskę* nie tłumaczy również, jak to możliwe, że cytowany przez niego Eric Voegelin, jeden z twórców współczesnej amerykańskiej myśli konserwatywnej, tak wysoce cenił sobie "lewicowca" Platona (co gorsza, przedkładał go nad Arystotelesa!)

Przyjęcie dwubiegunowej wizji świata powoduje, że do jednego worka wrzuca się liberalizm, masonów, ruch "political correctness", platoników, kantystów, racjonalistów, przeciwników ustawy antyaborcyjnej i czytelników "GW". Zamiast walki prawicy z lewicą mamy bitwę grochu z kapustą.

Ten sam błąd, obecny przy opisie historii intelektualnej utrudnia, a niekiedy wręcz uniemożliwia Jackowskiemu rzetelne przedstawienie rzeczywistości politycznej w Polsce. Nie ma dla niego różnicy między ideologami Unii Demokratycznej czy Sojuszu Lewicy Demokratycznej: i jedni i drudzy "upowszechniają twierdzenie, że w Polsce następuje klerykalizacja życia publicznego, w związku z czym należy rozdzielić, według praktyki jakobińskiej, państwo od Kościoła". O ile bowiem zdanie to jest prawdziwe w odniesieniu na przykład do Barbary Labudy, to w niewielkiej mierze opisuje ono postawę Tadeusza Mazowieckiego.

Ktoś mógłby powiedzieć: mniejsza o szczegóły, w końcu celem Jackowskiego było napisanie pamfletu i tyle. W tym jednak sedno sprawy, że ten pamflet na lewicę również prawicy się nie przysłuży! Utożsamienie polskiego zła z "zachodnim liberalizmem" prowadzi wprost do ataku na zachodnią cywilizację, której częścią chce być przecież polska prawica. To, że można bronić Zachodu i występować przeciw totalnemu liberalizmowi umyka uwadze autora *Bitwy o Polskę*. Jackowski nie rozróżnia bowiem między obyczajowym liberalizmem głoszącym hedonizm, swobodę i autonomię jednostki a liberalizmem pojmowanym jako doktryna gospodarcza. Jeszcze bardziej ryzykowna jest próba oparcia polskiego konserwatyzmu na uczuciach frustracji, na odwoływaniu się do poparcia ludzi, którym się nie powiodło. Bo jak inaczej można zrozumieć uwagi Jackowskiego, że polskie reformy umożliwiły w istocie przejęcie władzy grupie niezlustrowa-

nych, przebiegłych agentów, którymi kierują albo światowe korporacje finansowe, albo centrum w Moskwie, albo też tajemnicze loże masońskie. Jackowski nie jest w stanie dostrzec różnicy między faszyzmem i komunizmem a ładem społeczeństwa liberalnego. Tym samym zamyka sobie drogę do zrozumienia tego społeczeństwa, a przez to do krytyki jego głównych wad. Zakładając, że autor *Bitwy o Polskę* ma dobre intencje, że występuje w obronie rzeczywistych wartości, że broni rzeczy cennych i godnych zachowania: tradycji, rodziny, Kościoła, musimy przyznać – i na tym polega podstawowy mój zarzut, że dobre intencje to za mało. Nie wystarczy pisać chrześcijaństwo przez duże C, aby obronić religię katolicką i ochronić ortodoksję. Ortodoksja bowiem to nie to samo co sztywny tradycjonalizm. Przywiązanie do ortodoksji wymaga bowiem od chrześcijanina odnajdowania w tradycji odpowiedzi na współczesne wyzwania. Bez wysiłku myślenia i zrozumienia tradycja milczy, albo też jej odpowiedzi pojawiają się w postaci zużytych formuł, a te z pewnością nie pomogą w przezwyciężeniu bezradności, która wyładowuje się w miotaniu przekleństw i gromów.

Współczesność wcale nie pozwala nam na rezygnację z posłuszeństwa ortodoksji. Wręcz przeciwnie, powinna ona wymuszać nowe przywiązanie do starych pojęć. Jest to o tyle trudne, że tradycja przestała już do nas przemawiać bezpośrednio. W żadnym razie jednak pragnienie zrozumienia obecnej sytuacji nie może prowadzić chrześcijanina do rezygnacji z roszczenia do posiadania absolutnej Prawdy. Jeśli chrześcijanin rezygnuje z posiadania jedynej Prawdy i zastępuje przywiązanie do niej abstrakcyjną postawą otwarcia wobec innych prawd, relatywizuje swoją wiarę. Przestaje sie ona opierać na zewnętrznym, niezależnym od człowieka Objawieniu, a staje się przejawem jego własnej duchowej twórczości. Wtedy nie sposób wytłumaczyć, czym się różni chrześcijańska wiara od przekonania, że rządzą nami gwiazdy lub krasnoludki.

Chrześcijanin i dechrystianizacja

Problem zachowania chrześcijańskiej wiary polega na tym, że chrześcijanie zostali skazani na życie w coraz to bardziej niechrześcijańskim otoczeniu. Przekazane przez tradycję prawdy mają coraz mniejszy wpływ na obyczaje, świadomość, mody i gusta współczesnego społeczeństwa. Coraz mniej ludzi zachowuje wierność głoszonym przez Kościół naukom. Niektóre chrześcijańskie cnoty jak czystość, pobożność czy posłuszeństwo zostały wręcz odrzucone, inne, jak miłość bliźniego, przejęto w zmienionej formie. W ostatnich latach jesteśmy świadkami procesów laicyzacji. Religia traci swe znaczenie i przestaje dyktować wzorce zachowań. Trudno sobie wyobrazić, że zahamowaniu ulegnie powszechna tendencja do poszerzania indywidualnej wolności i ograniczania zakresu obowiązywania dotychczasowych zakazów. Rzeczywisty pluralizm światopoglądowych ofert powoduje, że kwestionowane są uświęcone autorytety, a zamiast nich ostatecznym sędzią staje się jednostkowy rozum. Sytuacji nie zmienia fakt, że taki jednostkowy rozum bardzo często posługuje się sądami wynikającymi z mody czy zewnętrznej presji. Jeśli za wyrazicieli przekonania o wadze jednostkowego rozumu uznać nowożytnych intelektualistów, to trzeba jednocześnie przyznać, że w swym postępowaniu kierują się oni w nie mniejszym stopniu (a może nawet większym) przesądami i cudzymi opiniami, niż każde inne środowisko.

Wszystko to razem nie tylko osłabia znaczenie religii, ale też uderza w jej wewnętrzną siłę. W obawie przed niezrozumieniem i pozostawaniem w mniejszości, wielu chrześcijan, również wyznawców Kościoła katolickiego, za wszelką cenę próbuje ponownie zdobyć uznanie świata. Stare prawdy próbują ubierać w nowe formuły, które odpowiadałyby życzeniom współczesnego człowieka. Zamiast nauczać o posłuszeństwie Bogu mówi się o miłości człowieka. Zamiast uczyć bojaźni, wskazuje się na boską wyrozumiałość. Religia ma być dla człowieka. Ma zaspokoić jego potrzeby i uleczyć jego słabości. Ma odpowiadać nowym czasom, w których człowiek polega na sobie. Mniejsza o to, że taki Bóg jest pustym pojęciem, i że, o ile stracił wszechmoc, o tyle przestał być sobą. Wystarczy, aby odpowiadał naszym, ludzkim wymaganiom.

Zasygnalizowane tu jedynie przemiany w niczym jednak nie mogą zmienić sytuacji chrześcijanina. Bowiem są to zawsze przemiany dokonujące się w świadomości jednostek. Czy chrześcijanin ma prawo choćby na jotę odstąpić od swej wiary, tylko dlatego, że większość ludzi wokół niego tę wiarę odrzuciła? Nie, ponieważ większość nie oznacza prawdy. Nie ma czegoś takiego jak powszechna przemiana świadomości: jestem zawsze sam wobec pewnych przekonań czy poglądów. W tym sensie chrześcijanina nic nie zwalnia od obowiązku dochowania wierności skierowanemu do niego przed wiekami wezwaniu. Jeśli chce on być bardziej człowiekiem współczesnym aniżeli wiernym, jeżeli odrzuca, łagodzi, zmienia sens czy humanizuje odziedziczone dogmaty, gubi więź z przeszłością, gubi samego siebie. Albo po prostu przestaje być chrześcijaninem, do czego ma zresztą pełne prawo.

Współczesność wcale nie pozwala nam na rezygnację z posłuszeństwa ortodoksji. Wręcz przeciwnie, powinna ona wymuszać nowe przywiązanie do starych pojęć. Jest to o tyle trudne, że tradycja przestała już do nas przemawiać bezpośrednio. W żadnym razie jednak pragnienie zrozumienia obecnej sytuacji nie może prowadzić chrześcijanina do rezygnacji z roszczenia do posiadania absolutnej Prawdy. Jeśli chrześcijanin rezygnuje z posiadania jedynej Prawdy i za-

stępuje przywiązanie do niej abstrakcyjną postawą otwarcia wobec innych prawd, relatywizuje swoją wiarę. Przestaje się ona opierać na zewnętrznym, niezależnym od człowieka Objawieniu, a staje się przejawem jego własnej duchowej twórczości. Wtedy nie sposób wytłumaczyć, czym się różni chrześcijańska wiara od przekonania, że rządzą nami gwiazdy lub krasnoludki.

Takie absolutne roszczenie, jakie zawiera w sobie chrześcijańska wiara, wcale zresztą nie musi się kłócić z praktyczną tolerancyjnością, o ile przez tolrancję nie rozumieć po prostu akceptacji każdego innego poglądu. Tego rodzaju tolerancyjności domagają się zwolennicy ruchu political correctness w USA. Żądają oni w istocie rzeczy rezygnacji z wszelkiej formy oceniania i osądzania. Paradoks polega jednak na tym, że żądanie to oparte jest na wcześniejszej ocenie, czym jest prawdziwa tolerancja. Jeśli swój pogląd usiłują krzewić przy użyciu przemocy lub nacisków, stają się nietolerancyjni.

Mogę wierzyć, że istnieje Prawda, i wcale nie muszę narzucać mojego przekonania innym. Równie dobrze mogę wierzyć, że Prawda nie istnieje i starać się zmusić bliźnich do przyjęcia takiego przeświadczenia. Tolerancja jest tylko praktyczną postawą.

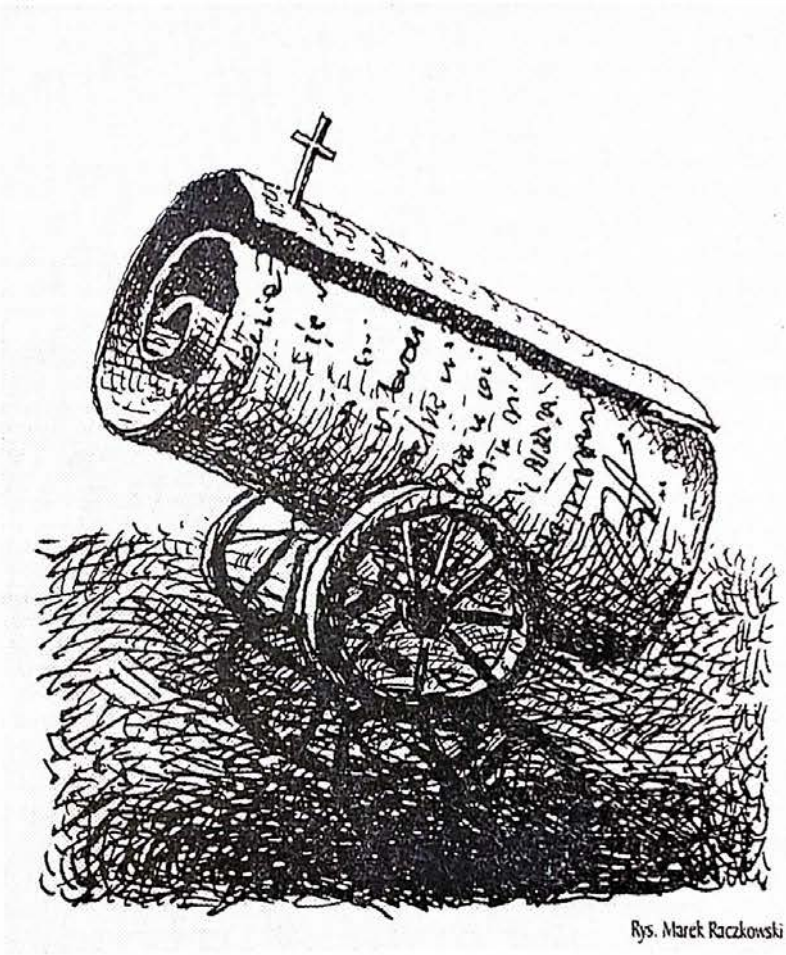

Rys. Marek Raczkowski

Kryzys religii i kryzys legitymizacji

Jeżeli dokonane we współczesności przemiany nie mogą mieć wpływu na zachowanie prywatnej wiary, jeżeli nie mogą stanowić wymówki czy alibi dla słabości pojedynczego człowieka, to jednak mają one bezpośrednie konsekwencje dla kształtu sfery publicznej. Upadek znaczenia religii powoduje po pierwsze stały niedobór legitymizacji porządku politycznego w nowoczesnych demokracjach, a po drugie uniemożliwienie pojawienia się Prawdy w sferze publicznej. Obydwa procesy i ich rezultaty są tylko pozornie sobie przeciwne.

Problem legitymizacji we współczesnych społeczeństwach wynika z faktu, że nie ma ładu politycznego, który nie wspierałby się na pewnych wartościach. Nie ma czegoś takiego jak państwa neutralne etycznie, ponieważ neutralność już jest postawą światopoglądową i dlatego domaga się uzasadnienia. Albo zatem przyjmiemy, że wartości te są arbitralne (a więc dlaczego te, a nie inne?) albo, że są nam z góry dane. Druga odpowiedź jednak, właśnie ze względu na kryzys społecznego znaczenia religii, nie wchodzi w rachubę. Pozostajemy z odpowiedzią pierwszą, która, jak wiadomo, odpowiedzią nie jest. Można wprawdzie utrzymywać, że demokracje liberalne stosują się do zasady, że każdemu wolno czynić to, co nie narusza wolności drugiego. Ale definicja ta posługuje się otwartym określeniem "naruszania wolności drugiego", które samo jest względne. Dla katolika tradycjonalisty widok reklamy Bennetona, przedstawiającej księdza i siostrę zakonną w miłosnym uścisku, jest naruszeniem sfery jego wolności, podczas gdy dla dziennikarza tygodnika "Wprost" nie. To, że znalezienie legitymizacji nie jest czynnością jałową widać w sytuacjach skrajnych. Tam, gdzie pozornie neutralny ład liberalny zostaje zagrożony przemocą, musi sam użyć przemocy. Aby powstrzymać samowolę jednostki, albo nawet większości jednostek, konieczne jest odwołanie się do obiektywnej Prawdy czy kategorii prawa naturalnego.

Z drugiej strony Prawda, której reprezentantem jest Kościół, staje się na rynku politycznym jedną z opinii. Demokracja, można powiedzieć, nie zna prawdy. Podstawą demokracji jest pluralizm, czyli uznanie równości pojedynczych sądów. Ten, kto sądzi, iż posiada Prawdę, musi do tego przekonać większość. Tym samym musi dla uznanych przez siebie za obiektywne wartości zdobyć poparcie większości obywateli. Sama prawda zatem oraz podstawowe wartości przestają być bezpośrednio dane, ale pojawiają się w postaci opinii. Demokracja ze względu na zasadę równości jednostek, wyklucza istnienie jednego uprzywilejowanego stanowiska, autorytetu, który mógłby narzucać, co jest dobre.

W sytuacjach skrajnych liberałowie muszą porzucić swój relatywizm oraz przekonanie o braku obiektywnych wartości i odwołać się do absolutu. Przekonani o posiadaniu Prawdy konserwatyści, jeśli chcą być skuteczni i zapewnić

prawu stanowionemu zgodność z moralnością, muszą zdobyć sobie poparcie większości. Oto zaklęty krąg, w którym przyszło nam żyć. Powstał on jako skutek nowożytnej dechrystianizacji i dlatego tak trudno sobie obecnie wyobrazić sposoby jego przezwyciężenia.

Prawda i opinia

Wiele wskazuje na to, że owa dechrystianizacja stanie się też doświadczeniem Polski. Zaskakiwać może jedynie niefrasobliwość, czy nawet radość dużej części polskich elit intelektualnych manifestowane z tego powodu. Zachowują się one tak, jakby nie zauważały, że osłabienie religii jest podkopaniem samych podstaw ładu politycznego. Jakby miały do zaofiarowania cudowny środek pozwalający na wyjście z opisywanego wyżej zaklętego kręgu. Choroby braku legitymizmu, czyli braku prawomocności instytucji państwowych, nie da się bowiem usunąć za pomocą tyleż krzykliwych co pustych haseł o wierze w człowieka i godność jednostki.

Dla części polskich intelektualistów liberalizm utożsamił się po prostu z nowoczesnością. Cnotą w ich oczach stał się relatywizm i nieposiadanie własnych przekonań, tak jakby milczenie w sprawie podstawowych wartości było zdolne usunąć przyczyny konfliktów. Nic zatem dziwnego, że nagle największym wrogiem tak rozumianego liberalizmu musiał okazać się wczorajszy sprzymierzeniec w walce z komunizmem – Kościół katolicki. To właśnie dziedziczone przez Kościół roszczenie do posiadania bezwzględnej prawdy musiało okazać się kamieniem zgorszenia w oczach zwolenników tolerancji, otwarcia i neutralności.

Jednak używane przez nich słowa-wytrychy, nie zawierają istotnej treści. Nie ma bowiem czegoś takiego jak absolutna tolerancja – zawsze musi pojawić się dla niej granica. Ale istnienie granicy rodzi zawsze pytanie o to, kto ją ustala. To z kolei nie da się rozwiązać bez odwołania się do instancji pozaludzkiej. Ani abstrakcyjne prawa człowieka, ani wolność jednostki nie są same przez się czymś oczywistym. Nawoływanie do tolerancji za wszelką cenę jest zatem jedynie zabiegiem propagandowym. Daje on dużej części intelektualistów poczucie wypełniania dziejowej misji, ale to wszystko. W ten sposób głosiciele szczytnych haseł przyznają sobie prawo do nauczania pozostałych – mniej edukowanych i mniej tolerancyjnych – rodaków, dzięki czemu zyskują miłe przekonanie o własnej wyższości. Jeśli ktoś nie chce się poddać takiej edukacji to znaczy, że posiada zaściankową, niedojrzałą i ksenofobiczną świadomość. Ci, dla których cała aktywność polega na walce z zaściankowością, i którzy z walki tej czerpią przekonanie o własnej wyższości, są w nie mniejszym stopniu mieszkańcami zaścianka, niż ich przeciwnicy. Potrzebują swych wrogów, gdyż jedynie walka z nimi pozwala im chodzić w glorii nauczycieli i mentorów. Co by im pozostało do zrobienia, gdyby krnąbrni i zacofani uczniowie wreszcie dorośli?

Sukces takiego myślenia i jego zasięg pokazuje, że zarówno polski katolicyzm, jak i polska tradycja są znacznie słabsze, aniżeli można to było wcześniej przypuszczać. W dużej mierze wynika to z braku przygotowania się do nowej sytuacji samego Kościoła. Polski Kościół nie znał przez długie lata tych wszystkich zagrożeń, którym musiał stawiać czoła Kościół w zachodniej Europie. Co gorsza, odziedziczone po epoce walki z komunizmem środki walki najczęściej nie przystają do nowych czasów. Wielu katolików nie zrozumiało podstawowej przemiany, jaka nastąpiła wraz z pojawieniem się demokracji: Prawda musi stoczyć bój na rynku opinii. Oczywiście, pozostanie ona sobą, nawet jeśli jej zwolennicy przegrają, ale przestanie wtedy wpływać na sferę publiczną.

W okresie komunizmu prawdy wiary były przez Polaków niemal powszechnie przyjmowane, ponieważ Kościół był jedynym reprezentantem narodu. Katolicyzm stał się czymś oczywistym i praktycznie niepodważalnym. Ataków ze strony komunizmu można było nie brać poważnie (przynajmniej ataków intelektualnych). Spowodowało to rozleniwienie krajowej myśli katolickiej, która w nowej sytuacji nie potrafiła konkurować na pluralistycznym rynku z innymi propozycjami ideowymi. Pozwala to na mówienie o kryzysie katolicyzmu w Polsce. Taka sytuacja wcale jednak nie musi oznaczać katastrofy. Niekiedy załamanie i choroba potrzebne są jako środek oczyszczenia, dzięki któremu na nowo odzyskuje się dobrze znane prawdy. ■

Dla części polskich intelektualistów liberalizm utożsamił się po prostu z nowoczesnością. Cnotą w ich oczach stał się relatywizm i nieposiadanie własnych przekonań, tak jakby milczenie w sprawie podstawowych wartości było zdolne usunąć przyczyny konfliktów. Nic zatem dziwnego, że nagle największym wrogiem tak rozumianego liberalizmu musiał okazać się wczorajszy sprzymierzeniec w walce z komunizmem - Kościół katolicki. To właśnie dziedziczone przez Kościół roszczenie do posiadania bezwzględnej prawdy musiało okazać się kamieniem zgorszenia w oczach zwolenników tolerancji, otwarcia i neutralności

(...)

Polski Kościół nie znał przez długie lata tych wszystkich zagrożeń, którym musiał stawiać czoła Kościół w zachodniej Europie. Co gorsza, odziedziczone po epoce walki z komunizmem środki walki najczęściej nie przystają do nowych czasów. Wielu katolików nie zrozumiało podstawowej przemiany, jaka nastąpiła wraz z pojawieniem się demokracji: Prawda musi stoczyć bój na rynku opinii. Oczywiście, pozostanie ona sobą, nawet jeśli jej zwolennicy przegrają, ale przestanie wtedy wpływać na sferę publiczną.

JUDAIZM TO SPOSÓB POJMOWANIA ŻYCIA

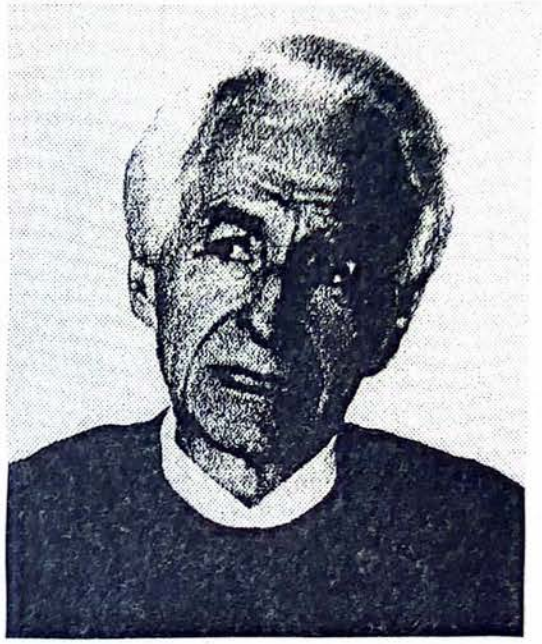

O istocie judaizmu i relacjach kultury żydowskiej z Europą mówi CLAUDE VIGEE, poeta żydowskiego pochodzenia, eseista, profesor literatury na Uniwersytecie w Jerozolimie.

debata: **We wstępie do polskiego wydania *Księgi Psalmów* w tłumaczeniu Czesława Miłosza można znaleźć intrygujące twierdzenie, że "Żydzi nie wierzą w Boga, Żydzi wierzą Bogu, a to nie to samo"...**

Claude Vigée: ... rzeczywiście – w tym określeniu jest coś trafnego.

– Jak Pan to tłumaczy?

– Wydarzeniem na Synaju. To ono zrodziło i urobiło duszę Izraelity. Tam, wobec proponowanego im Prawa, zobowiązali się z góry do tego, że będą je czynili. Proszę zauważyć: nie zastrzegli się, że najpierw poczytają, zastanowią się, i potem – ewentualnie – przyjmą, ale na odwrót, jakby wbrew rozsądkowi: zobowiązali się, że będą tak czynić i dzięki temu właśnie zrozumieją. Ta postawa jest u narodzin narodu izraelskiego, ona rzeczywiście cechuje ten naród: słowu Boga najpierw się ufa, i tylko tak możemy je pojąć...

– Judaizm to sposób bycia

– Dlatego judaizm nie jest w ścisłym sensie religią, judaizm jest sposobem bycia, sposobem myślenia o życiu i samą praktyką; nie ma w tym nic z dogmatów, chodzi raczej o zobowiązanie się do postępowania według pewnej prawości... I co ważne – wcale nie dla zasad samych w sobie, ale z powodu Kogoś Żywego, z powodu Jego świetności w obliczu Boga. To właśnie praktyczne doświadczenie przynosi nowe rozumienie rzeczy... rozumienie czegoś więcej i inaczej... Wiem, że ta postawa jest dość niepojęta: bo przecież podpis in blanco jest ryzykiem. Tym niemniej, Izrael tak właśnie uczynił wobec swego Boga.

– W biblijnych walkach Machabeuszy lub w postawie Judyty w wojnie z Asyryjczykami uderza fakt, że Izraelici powodowali się zazdrością o samo Imię Najwyższego. Judyta czyni zdumiewające wyrzuty padającym z głodu i pragnienia obrońcom Betuli, że w swej desperacji dali Bogu termin pięciu dni, by wreszcie zareagował. "Jak mogliście to uczynić wobec Najwyższego?" – grzmi na nich. Nam może się zdawać, że Judyta przesadza, dla niej jest jednak jasne, że Najwyższemu ufa się z powodu Niego samego, dlatego że to On...

– Niech się Pan nie dziwi Judycie. To zachowanie i zachowanie jej podobnych, tłumaczy się – jak już po-

CLAUDE VIGEE – ur. 1921, poeta, profesor literatury francuskiej na uniwersytetach w Ohio, w Harvardzie i na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Laureat nagród literackich Prix Pierre de Regnier (przyznawana przez Akademię Francuską) (1972), Prix Femina (1979). Opublikował m.in. "Żyć w Jerozolimie"(1978), Ekstaza i tułaczka (1982), "Manna i Róża"(medytacje nad świętami Tory) (1986), "W ciszy Alefu"(1992).

wiedziałem – istotą wydarzenia na Synaju. Tam stało się coś bardzo ważnego, do tego stopnia, że Izraelici, żyjąc wśród cywilizacji bałwochwalczych, nie mają wyboru: muszą albo się sprzeciwić, albo zniknąć. Stąd konflikty i napięcia w kontaktach z innymi. Machabeusze są tego przykładem, tak samo jak i walka z Rzymianami i okrutna cena zupełnego zniszczenia i wygnania. Późniejsze pogromy to wciąż ta sama historia, nie mówiąc o nienawiści nazistów. To powraca, w różnych formach...

– Pan również doświadczył tej nienawiści, opuszczając rodzinną Alzację tylko dlatego, że był Pan Żydem...

– ... nie "opuściłem", zostałem wygnany, to nie to samo...

– To prawda. Ile miał Pan wtedy lat?

– Dziewiętnaście, ale wykazałem więcej rozsądku niż starsi. Dla mnie było jasne, co się święci. Od roku 1933 mogliśmy słuchać radia ze Stuttgartu i płynące stamtąd wieści nie pozostawiały złudzeń: "problem żydowski" miał być "rozwiązany definitywnie". Dla mnie zagrożenie było oczywiste. Moi starsi nie wierzyli jednak, że coś takiego może się stać i że w dodatku sama policja francuska, pod rządami Vichy, będzie w tym gorliwsza od nazistów! Szybko znaleźli się w transportach kierowanych do obozów... Ja zdążyłem uciec do wolnej strefy na południe, do Tuluzy.

– Czy zrozumiał Pan wtedy, skąd się bierze ta nienawiść do Semitów?

– Wtedy zrozumiałem tylko jedno: że kosztuje być Żydem. Wcześniej nie uświadamiałem sobie tego za bardzo. Urodziłem się w rodzinie, która zaasymilowała się w Alzacji od przeszło dwóch wieków. Rodzice nie przekazali mi wiele z judaizmu. Dopiero w Tuluzie zacząłem czytać Biblię, studiować uważnie historię, no i powoli zacząłem odkrywać, kim jestem.

– Jak Pan dzisiaj tłumaczy sobie nienawiść do Semitów?

– Wydawałoby się, że zasadniczym powodem prześladowań Żydów były w historii przekonania religijne czy też interesy polityczne. Ale czy to prawda? Ja myślę raczej, że po prostu nie cierpiano faktu, iż Żydzi są kim są... Dowodem jest choćby fakt, że Żydzi ochrzczeni, tak zwani conversos, byli w Hiszpanii jeszcze bardziej prześladowani. To, co działo się gdzie indziej też nie przynosi chwały. Gorzej orientuję się w sytuacji Żydów wschodnich, ale nie mam wcale wrażenia, że tam "nawrócenia" pomagały im w czymkolwiek... To raczej w samym jestestwie Żydów jest coś, co irytuje, co drażni, co wręcz wywołuje rodzaj paniki, wściekłości, konwulsji u innych...

– Co to jest, Pana zdaniem?

– To bardzo ważne, ale niezwykle trudne pytanie... To, co na ten temat myślę jest moją osobistą odpowiedzią, i jest ona taka sama, jak poprzednia. Dla mnie to "coś", co drażni, zakorzenia się bezpośrednio w tym, co mówi Biblia...

– Czyli to nie odmienność kultury jest tu powodem konfliktów?

– Nie, to nie kultura, ona jest emanacją czegoś głębszego... Rzecz rozgrywa się jakby w konstytucji człowieka. Szybko się to znajdzie otwierając Biblię. Na przykład: nie zabijaj. Takie przykazanie jest bardzo kłopotliwe. Nie chodzi tylko o zabójstwo jako takie, drugiemu można przecież odbierać życie inaczej i z premedytacją. Biblijne Prawo uwiera. Całe Prawo – jeśli je brać poważnie, jeśli przyjąć w szczegółach Objawienie, jest ogromnie kłopotliwe... Oto co przeszkadza, denerwuje... A już najbardziej irytuje zakaz uznawania się za Boga, zastępowania Boga! Oh, to drażni do szpiku kości. Ze wszystkiego to jest najgorsze do zniesienia. Jak Pan widzi, Prawo dotyka głębi człowieka, tu nie chodzi o sztywne przepisy czy nakazy... To Prawo pulsuje w człowieku. Co więcej, przyjmując Prawo, człowiek bierze na siebie pewną współodpowiedzialność za powodzenie tego, co Bóg zamierza wobec świata. To fascynujące i trudne. To jakby rola wspólnika u boku Stworzyciela, który mnie jednak zupełnie przerasta, a jednocześnie w tym wszystkim gra toczy się o mnie samego. Czy to nie jest paradoksalne? I czy to jest do pomyślenia? A przecież taki właśnie jest judaizm! Otóż ta perspektywa współodpowiedzialności za rzeczywistość też jest kłopotliwa, kosztuje...

– Zatem nie uważa Pan Prawa za wyłączną własność narodu żydowskiego...

– Oczywiście, że nie!

– W swoich książkach akcentuje Pan często słowo "słuchaj", które otwiera na transcendencję.

– To jest słowo podstawowe, najpierwsze przykazanie. Pociągające, ale wcale nie oczywiste. Wymaga bowiem uznania siły, która przenika mnie całego i jednocześnie mnie przerasta, ona mnie zna, ale ma coś tysiąc razy ciekawszego do powiedzenia niż ma człowiek człowiekowi, lub ja sam sobie; może też wzbudzić we mnie coś tysiąc razy bardziej niesłychanego, niż sobie mogę wyobrazić. Nie zmusza i jednocześnie nie można się jej

wymknąć. Przystać na wymagania tej siły, na świętość tego Boga, to tym samym je czynić. Gorzej lub lepiej, ale czynić, chcieć czynić. I myślę, że właśnie to jest u podstaw antysemityzmu. Samo nasze istnienie jest wyrzutem. Antysemityzm, w swej istocie, to nienawiść do postępujących według Prawa, do żyjących w obliczu swego Boga. Nie znaczy to wcale, że Żydzi są doskonali, bez uchybień. Wie Pan, wystarczy znów otworzyć Biblię i stwierdzić jak niewierny i twardy jest ten naród. Ale już samo jego istnienie, bez względu na jego grzeszność jest wyrzutem. Żydzi sami z siebie są nikim, zresztą nie istnieliby bez Prawa, bez wydarzeń, o których mówi Biblia. Jeśli żyjemy w napięciu w stosunku do innych, to tylko z powodu Prawa, a nie dlatego, że jesteśmy lepsi lub gorsi, niebezpieczni czy jacyś tam... Te kategorie są śmieszne i wytwarzane na użytek nienawiści.

– Jeśli ktoś, kto jest Żydem, deklaruje się jednocześnie jako agnostyk, to czy nie stawia się niejako w sprzeczności z samym sobą?

– Dla każdego Żyda przyjęcie Prawa, ze wszystkimi konsekwencjami, zależy tylko od jego osobistej decyzji. Może się zdarzyć, że nawet będąc Żydem ktoś o Prawie długo nie słyszał. Można też spierać się z Prawem, odrzucić je. Ale – i tu odpowiadam na Pana pytanie – nawet wtedy, gdy Żyd deklaruje się jako agnostyk, nie jest zwykłym agnostykiem. Bo nie wiedzieć czemu uparcie definiuje się właśnie jako Żyd. Ta przynależność do judaizmu bywa mocna też i u tych, którzy nie utożsamiają się w ogóle z państwem Izraela, ani tym bardziej z rzekomą "rasą żydowską". Tym niemniej mówią o sobie "jestem Żydem". Kropka.

– Co Pan sądzi o twierdzeniu, że jeśli judaizm nie jest prześladowany, to zanika?

– Ależ judaizm istnieje wcale nie dlatego, że jest prześladowany! Jeszcze raz powtórzę: jestestwo Izraelity zakorzenia się w Biblii, w Prawie. I jakby nie ma na to rady! Nie wymyśliliśmy sobie Prawa. Natomiast bywa i tak, rzeczywiście, że zagrożenie pobudza potrzebę określenia samego siebie, zaś brak zagrożenia może taką potrzebę uśpić. Wie Pan, przeżywamy te same pokusy konformizmu czy samozadowolenia, co ci, którzy Żydami się nie urodzili. Poza tym, jak już mówiłem, Żyd może też odrzucić Prawo i powodować się w życiu często niskimi pobudkami... Ale wtedy właśnie przeczy swemu żydowstwu. Czy chcemy czy nie, jesteśmy skazani na pamięć o sumieniu i o Obecności Najwyższego, na współdziałanie z Nim. Wie Pan, to coś naprawdę kosztuje, czasem byśmy woleli "tego" nie znać. Są chwile w historii, że nie potrafimy już dźwigać tego dziedzictwa. Ale nie ma wyjścia. Z powodu Abrahama, Mojżesza, bo powiedzieli "tak", podpisali coś in blanco... Judyta ma rację, że nie można się wycofać. Lecz kiedy przychodzi holocaust, gdy zdajemy się być zupełnie opuszczeni... to jest ponad siły... Wtedy żyjemy z "tym", jak możemy. I niech się Pan nie dziwi, że wówczas jedynym wyjściem jest dla nas zaniemówienie, cisza. Ale jednocześnie, któż żyjący Prawem zaprzeczy, że Prawo czyni go wolnym, że w nim właśnie jest szczęście? To wszystko jest rzeczywiście pełne sprzeczności. Gdyby Europa chciała jednak posłuchać...

– Obecność chrześcijaństwa w Europie powinna była ułatwić ten dialog, a przecież chrześcijanie byli nieraz zdumiewająco pasywni wobec antysemityzmu, jeśli już oni sami go nie wywołali.

– Taką postawę rzeczywiście trudno pojąć, bowiem jeśli chrześcijanin jest antysemitą, to nienawidzi tym samym Jezusa z Nazaretu. Nienawidzi tego, co w nim jest z żydowskiej duszy... Czyli prawie wszystko! Mówiąc to wprawiam być może Pana w zdumienie. I to, że jeśli tak często antysemityzm miał i ma wciąż miejsce dowodzi, że tak naprawdę to Europa była i pozostaje w dużej mierze, nie-chrześcijańska. Ileż było już prób, by wymazać wszystkie odniesienia chrześcijaństwa do Semitów i – pośrednio – wymazać także odniesienie kultury Europy do sumienia. Co prawda Kościół zaczyna mówić o tym zdecydowanie i mam nadzieję, że tym razem jest to rzeczywisty początek nowych relacji. Nie-chrześcijańskość Europy jest jej nieszczęściem i jest też nieszczęściem dla nas samych, dla Żydów.

– Europa jednak też wiele przyjęła z judaizmu, właśnie poprzez chrześcijaństwo...

– Raczej przywłaszczyła, a to jest różnica. Przetworzyła to dziedzictwo, ale odżegnała się jednocześnie od tego źródła. Siłą rzeczy doszło do falsyfikacji judaizmu, co zrodziło teorię o bogobójstwie, o zastąpieniu narodu izraelskiego przez nowy "naród wybrany" itd. I choć nie kto inny, jak Paweł z Tarsu jasno mówi o dziczce zaszczepionej na "pierwotnym pniu", to postępowano akurat na odwrót – aż do dziś, lub prawie do dziś. "Prawie", bo jak już powiedziałem – mam nadzieję, że dzieje się powoli coś (myślę zwłaszcza o Soborze Watykańskim), co da początek nowym relacjom.

– Czego potrzeba, według Pana, żeby poznać siebie nawzajem bez fałszu?

– My musimy odrzucić pokusę mentalności getta, zaś ze strony chrześcijan trzeba, żeby serce każdego, kimkolwiek by on nie był, zapytało się szczerze o jedno – skąd pochodzi, skąd jest? I czy wolno mu odżegnywać się od tego, co stanowi substancję Objawienia, Prawa, tożsamości Semitów, nie przecząc Jezusowi z Nazaretu, nie przecząc w końcu i sobie?

Być może jest im bardzo trudno chcieć postawić sobie pytanie. Historia nabrzmiała uprzedzeniami. Ale jeśli ktokolwiek uważa, że dziedziczy Biblię, to jak może czynić to tylko częściowo? Wie Pan, to są wtedy żarty z Bogiem. My nie możemy z Nim żartować, oni też nie.

– Co, według Pana, zdecydowało, że w rozproszeniu, które praktycznie skazywało ich na zniknięcie, Żydzi przetrwali i to przez dwadzieścia stuleci?

– Odpowiedź znów jest bardzo trudna. To chyba sprawa przywiązania do wolności, która decyduje o naszej tożsamości. Bowiem Objawienie związane jest w sposób bezpośredni z porzuceniem i odmową niewoli, z odmową poddaństwa wobec kogokolwiek. Pierwsze z przykazań (które są czymś więcej niż przykazaniami) brzmi: "Ja sam (Anokhi) jestem Pan (JHWH), Bóg twój, który cię wyprowadził z niewoli." Wobec zgromadzonego pod Synajem ludu Bóg odkrywa się (poprzez słuch) jako ten, który jest i będzie (tetagram JHWH zawiera też czas przyszły czasownika "być"), używa słowa "twój", a nie "wasz", czyli odkrywa się jako Bóg każdego z osobna i precyzuje, że jest tym właśnie, który "wyprowadził z niewoli". Czyli stać się wolnym to jednocześnie poznać tego, co stwarza. I na odwrót – nie można Go poznać w zniewoleniu. Oczywiście, w wielu znaczeniach tego słowa. Dlatego Żydzi nigdy nie zaakceptują poddaństwa wobec drugiego narodu, okupacji. Dla nich być wolnym, to ugiąć kolana przed Bogiem Izraela i tylko przed Nim i żadnym innym bogiem czy bożkiem – jak na przykład cezar. Myśli Pan, że Rzymianie zrozumieli co innego? Właśnie dlatego zniszczyli Świątynię i zakazali, by jakikolwiek Żyd stanął kiedyś w Palestynie. Stąd przecież bierze się dwadzieścia wieków rozproszenia, diaspory. Ale – paradoksalnie – to, co spowodowało nasze rozproszenie, było jednocześnie ratunkiem na wygnaniu. Prawdą jest, że wielu Żydów uległo zasymilowaniu. Ale to jakby zrozumiałe – jak mogło do tego nie dojść w takich warunkach? Faktem zdumiewającym jest raczej to, że jednak ten naród przetrwał.

– Od co najmniej dwóch stuleci cywilizacja europejska szuka swoich dróg w dużej mierze z dala od inspiracji biblijnej. Czy dziś judaizm ma jej coś do zaproponowania?

– Myślę, że tak; wciąż to samo: człowieczeństwo, piękno. Nawet Żydzi "niewierzący" wnosili i wnoszą w kulturę tego kontynentu owo "coś". W Prawie kryje się istota człowieczeństwa. Nie jakiś ogólny humanizm, ale człowieczeństwo, a to nie to samo. Jego wartości nie pozwalają zadomowić się na stałe w tym świecie, ale pociągają w inne, tajemne i nie mniej rzeczywiste przestrzenie ducha. Jesteśmy w tym świecie nie do końca u siebie. Nawet Dawid – znów przychodzi mi on na myśl – mówi to wprost w swoich psalmach. A jeśli on tak mówi, to co dopiero mają powiedzieć inni? Judaizm przynosi tę szczególną wizję człowieka, o jakiej mówiłem – słowo "słuchaj", słowo "bliźni", czyli szczególne pojęcie relacji między ludźmi... choćby owo "nie zabijaj", które ma ogromne konsekwencje, szersze niż się zdaje, wreszcie specyficzne poczucie wolności, o którym przed chwilą była mowa. Ono bardzo odbiega od łudzącego egalitaryzmu, od tak zwanej "równości", którą stanowi człowiek sam i która okazuje się tragicznie ułomna. Proszę dobrze zrozumieć: w tym, co mówię nie ma jakiegoś prozelityzmu, chodzi o to, by zacząć to poznawać, o tym rozmawiać. To może być inspirujące.

– A przecież zawahał się Pan , gdy poprosiłem o spotkanie...

– ...przyzna Pan, że z waszej strony rzecz nie wygląda zawsze różowo... można mieć obawy. Poza tym nigdy dotąd nie rozmawiałem z Polakiem. Dziś ta rozmowa mnie zaskakuje, nie ukrywam.

– Pewnie byłby Pan równie zdziwiony, gdyby – na przykład – zobaczył Pan w polskich księgarniach autorów żydowskiego pochodzenia: Singer, Grynberg, Wiesel, Grossman, Lévinas... Mogę Pana zapewnić, że nie wszyscy są wobec nich obojętni...

– ...zadziwia mnie to ogromnie...

– Czy Pańskie książki, publikowane w Europie Zachodniej, są takim "wyjściem z getta", o którym Pan wcześniej mówił?

– Można tak to ująć. Wierzę, że judaizm ma Europie coś do powiedzenia. Jak Pan to już wie, nie o naród żydowski tu chodzi, toż sama Biblia mówi, że jest on tylko "najmniej znaczący ze wszystkich". Żyd sam w sobie nie jest nikim szczególnym; ciekawe jest to, co przenosi on od trzech tysięcy lat – doświadczenie Abrahama i potem Synaj, Objawienie Żywego Boga, Prawo i wywodzący się stąd sposób pojmowania życia. Przyczepiliśmy się do tego na śmierć i życie. Prawdą jest, że owo Przymierze częściej zdradzamy niż jesteśmy mu wierni, ale w głębi przywarliśmy do niego nieodwołalnie. Przymierze trwa, dowodem jest cena, jaką przychodzi nam często płacić. Było nie było wciąż istniejemy. Chcę powiedzieć, że z jednej strony judaizm bywa dla drugich nie do przełknięcia, ale jednocześnie może stanowić – i stanowi na pewno – ogromną szansę... ▩

Rozmawiał:
Antoni Bartosz

Wyższa Szkoła Biznesu
National – Louis University

Wyższa Szkoła Biznesu – National–Louis University w Nowym Sączu powstała 1.X.1992. Jest niepaństwową szkołą wyższą zarejestrowaną w Ministerstwie Edukacji Narodowej. WSB–NLU posiada także status Centrum Akademickiego NLU. Absolwenci otrzymują polski tytuł licencjata oraz certyfikat National–Louis University.

Siedzibą Uczelni jest Pałac Stadnickich w Nawojowej. Tworzymy obecnie centrum akademickie w 6-piętrowym budynku w Nowym Sączu, w którym w 1996 roku studiować będzie około 800 studentów.

Uczelnia posiada zespół pracowni komputerowych i laboratoriów językowych, w najbliższym czasie uruchomiona zostanie elektroniczna biblioteka, dająca dostęp do kilku tysięcy bibliotek akademickich na całym świecie oraz posiadająca na dyskach CD zbiory specjalistycznych artykułów ze wszystkich znaczących światowych czasopism biznesowych.

W ciągu trzech lat studiów studenci realizują czteroletni program amerykańskiego uniwersytetu. Rok akademicki podzielony jest na cztery dziewięciotygodniowe "kwarty". Przeciętna liczba zajęć tygodniowo wynosi 30–40 godzin. W ramach Uczelni działają: Instytut Języka Angielskiego, Instytut Języka Niemieckiego, Instytut Przedmiotów Biznesowych.

Język angielski jest prowadzącym językiem obcym. Kurs języka angielskiego podzielony jest na 8 poziomów, studenci uczą się języka angielskiego 22 godziny tygodniowo. W miarę opanowania języka angielskiego wprowadzany jest od podstaw język niemiecki. Kurs obejmuje 720 godzin zajęć i podobnie jak angielski, podzielony jest na 8 poziomów.

Studenci w trakcie studiów uczestniczą w zajęciach i wykładach z 31 przedmiotów biznesowych (m.in. księgowość, prawo handlowe, marketing, zarządzanie, finanse, bankowość, korzystanie z ośmiu programów komputerowych). W ramach studiów na III roku studenci uczestniczą w cyklu wykładów ogólnych z 18 przedmiotów (m.in. psychologii, socjologii, filozofii, polityki, sztuki, nauk przyrodniczych).

Studia kończą się przygotowaniem i obroną pracy dyplomowej.

Aktualną kadrę dydaktyczną Uczelni tworzy 4 amerykańskich profesorów, oddelegowanych przez NLU, 6 lektorów angielskiego z USA i Wielkiej Brytanii, 5 polskich lektorów języka angielskiego i niemieckiego, 5 polskich informatyków i ekonomistów oraz wykładowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

W ciągu całego roku młodzież korzysta z wykładów wygłaszanych przez goszczących w Szkole dyplomatów, polityków naukowców i przedsiębiorców. Uczelnię odwiedzili m.in: prof. dr Jerzy Dietl, prof. dr Jerzy Mikułowski – Pomorski (Rektor AE w Krakowie), prof. dr Andrzej Zawiślak, minister Goran Lannemarker (Szwecja), prof. Miron Wolnicki (Villanova University, USA), John Pedersen (Roskilde University, Dania), ambasador Rosji prof. dr Jurij Kaszlew i dr Zachmatow (Ambasada Rosji w Warszawie), ambasador Izraela Miron Gordon, Hubert Romanowski (Radca Ambasady RP w Waszyngtonie), John Ruteford (Ambasada Wielkiej Brytanii w Warszawie), David Glasgow (Wielka Brytania), Joe Brush (Kongresman z Georgii, USA), Cindy Colton i Małgorzata Wójcik (Progress and Business Foundation, Kraków), Krzysztof Heller (Systems and Software Solutions Ltd).

W WSB–NLU studiuje aktualnie 140 studentów, w roku akademickim 1993/94 zamierza się przyjąć 200 nowych studentów. Miesięczna opłata za naukę w chwili obecnej wynosi 1 800 000 złotych.

Uczelnia dysponuje funduszem stypendialnym. Co kwartę przyznawane są stypendia naukowe dla najlepszych studentów w wysokości 2/3 opłat czesnego i stypendia socjalne dla studentów znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej w wysokości 1/3 opłat czesnego.

W roku akademickim 1993/94 WSB–NLU oferuje:

– studia stacjonarne – specjalność: zarządzanie

– 18–miesięczny stacjonarny kurs językowo – sekretarski

– trzyletni kurs wieczorowy – specjalność: zarządzanie

ADRES:

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
33–335 Nawojowa 1 (Pałac Stadnickich)
woj. nowosądeckie
tel/fax (18) 205 47
Wyższa Szkoła Biznesu
National – Louis University

INFORMACJA

Studia Zaoczne w Wyższej Szkole Biznesu – National–Louis University organizowane są w systemie wyższych studiów zawodowych, po ukończeniu których absolwenci otrzymują tytuł licencjata oraz dyplom ukończenia Wyższej Uczelni.

Plan studiów zawiera łącznie około 1500 godzin dydaktycznych, w tym:

– ok. 500 godzin nauki języka angielskiego,

– ok. 1000 godzin przedmiotów biznesowych, komputerowych i ogólnych.

Plan studiów oparty jest o programy nauczania National–Louis University i wstępnie przewiduje zajęcia z następujących przedmiotów:

Matematyka uniwersytecka, Wstęp do ekonomii, Organizacja i zarządzanie przedsiębiorstwem, Wprowadzenie do komputerów, Matematyka w nauce o zarządzaniu, Systemy informacyjne, Makroekonomia, Podstawy zarządzania i kierownictwa, Edytory tekstów, Metody statystyczne, Zaawansowane edytory tekstów, Podstawy marketingu, Podstawy rachunkowości, Zastosowanie arkusza kalkulacyjnego, Finanse i bankowość, Encyklopedia prawa, Prawo gospodarcze, Rachunkowość w zarządzaniu, Zaawansowane użycie arkusza kalkulacyjnego, Instytucje rynkowe, Systemy informacyjne w zarządzaniu, Analiza rynku, Gospodarka międzynarodowa, Zarządzanie operacyjne, Logika i myślenie efektywne, Zarządzanie strategiczne, Zarządzanie personelem, Przedsiębiorczość, Wstęp do bazy danych.

Nauka trwa trzy lata i podzielona jest na 9 trymestrów, z czego:

– dwa trymestry realizowane są w formie dwudniowych zjazdów (sobota i niedziela co dwa tygodnie);

– trzeci trymestr realizowany jest w formie trzytygodniowego kursu stacjonarnego w czasie miesięcy letnich.

Przewidywana odpłatność – 6 milionów za trymestr, tj, 18 milionów za rok.

Rok akademicki rozpocznie się ok. 9–10 października 1993 r.

Zainteresowanych prosimy o składanie podań (na druku podań) do sekretariatu WSB–NLU w Nawojowej do dnia 20 września 1993 r.

Informacji telefonicznych udziela sekretariat WSB–NLU przy ul. Zielonej 27; tel. 222-10, 11, 12.

SERDECZNIE ZAPRASZAMY

DWUMIESIĘCZNIK

ARKA

(ukazuje się bez cenzury od 1983 roku)

To przyjemność intelektualna na najwyższym poziomie

W ostatnich numerach m.in.:

Knot sezonu, czyli o moralistyce Andrzeja Szczypiorskiego

Polowanie na intelektualistów: J.J. Szczepański, P. Wierzbicki, G. Herling-Grudziński, T. Łubieński, T. Strzembosz, L. Elektorowicz

bp Życiński o polityce i Kościele

W. P. Szymański o Dąbrowskiej

K. Kąkolewski o Jaruzelskim

W. Odojewski o Mackiewiczu

Dobro i Zło w historii nazywają: J. Bartyzel, Z. Brzeziński, J. Garliński, W. Maciąg, Z. Najder, P. Raina, S. Świerzawski, P. Wandycz i in.

J. M. Rymkiewicz o poezji swojego powiatu

W każdym numerze m. in.:

staranny dobór utworów literackich, eseje historyczne, studia o sztuce, recenzje, przeglądy

TO PISMO NIE POZWOLI CI SIĘ NUDZIĆ!

Warunki prenumeraty: 75 tys. za 2 półrocze 1993 (3 numery)

Konto: Bank PKO S.A. o/Kraków, Rynek Gł. 31, nr 5.35078-7002476-2511-20-1110

Adres redakcji:

31-150 Kraków, Rynek Kleparski 4, IVp.

tel. 22-96-99, fax. 21-75-02

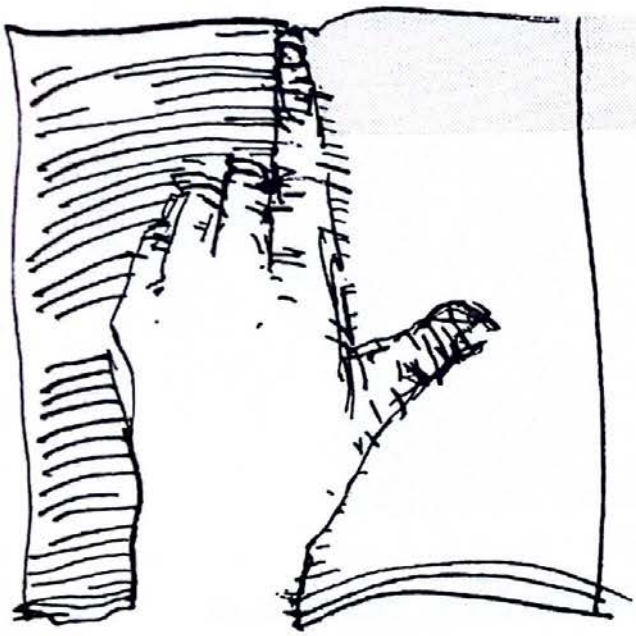

KSIĄŻKA DO debaty

Wojciech Zajączkowski
Czy Rosja przetrwa do roku 2000?
Rytm, 1993

Semiotyka dziejów Rosji,
wybór i przekład Bogusław Żyłko
Wydawnictwo Łódzkie, 1993,

Ryszard Kapuściński *Imperium*
Czytelnik, 1993

PISANIE O ROSJI, czyli uroki poruszania się w ciemności

Jadwiga Staniszkis

Niedawno mój 18 letni pies prawie zupełnie oślepł. I nagle zaczął robić to, co mu się nigdy wcześniej nie udawało. Przełazi na przykład przez niewielki otwór wycięty dla kotów w ścianie werandy, nie widzi już bowiem, jak ciasne jest to przejście. Robi to jednak tylko w jednym kierunku; gdy wraca z ogrodu w mrok domu. Pod słońce widzi bowiem jeszcze zarys konturów otworu i to go paraliżuje.

Właśnie Rosja wydaje się być zawieszona między zakodowanymi w kulturze i paraliżującymi ją wyobrażeniami na własny temat, a otwierającą się nową przestrzenią umykającą wszelkim próbom opisu. Przy czym ten stan zawieszenia jest równocześnie szansą (bo wszystko wydaje się możliwe) i pułapką (bo bez uporządkowania doświadczeń trudno rejestrować przebywaną drogę).

JADWIGA STANISZKIS – socjolog, profesor UW, kierownik Pracowni Sowietologii Instytutu Nauk Politycznych PAN, najważniejsze publikacje: "Patologie organizacji" (1973), "Poland: Self-limiting Revolution" (1984), "Ontologia socjalizmu" (1989).

Dwie książki o Rosji, które przeczytałam ostatnio, dobrze pokazują oba bieguny powyższej opozycji. Pierwszą z nich jest *Semiotyka dziejów Rosji* – zbiorowa praca rosyjskich i estońskich badaczy zajmujących się semiotyką kultury. Mówiąc najprościej jest to zbiór niesprawdzalnych empirycznie wyobrażeń dotyczących innych niesprawdzalnych empirycznie wyobrażeń zawartych w kulturze Rosji i odciskających się na jej historii. Rozmach wyobraźni autorów tej książki porywa. Nawet jeśli ich tezy nie są prawdziwe, to czytelnik pozostaje na długo uwiedziony elegancją i oddechem ich argumentacji. Książką prezentującą drugi sposób mówienia o Rosji jest opublikowana właśnie praca Wojciecha Zajączkowskiego *Czy Rosja przetrwa do roku 2000?* Jej autor świadomie unika wszelkich uogólnień i to nie tylko dlatego, że jest historykiem, a historycy boją się przedwczesnego teoretyzowania. Autor wydaje się pozostawać pod wpływem tego, co obecnie mówią o sobie sami Rosjanie... "jesteśmy cząsteczkami poruszającymi się ruchem Browna, w systemie zmierzającym ku entropicznej śmierci". Tak więc, o ile w pierwszej książce mamy próbę odtworzenia apriorycznej logiki, decydującej o kierunku i rytmie historii Rosji, to w drugiej znaleźć możemy sugestię o braku jakiejkolwiek wyraźnej logiki obecnych rosyjskich przemian.

Autorzy *Semiotyki* poszukują mechanizmów kierujących historią Rosji w jej kulturze, a konkretnie – w zakodowanej tam szczególnej epistemologii. Jej kamienie węgielne to antynomie, na które składa się znak kulturowy i jego przeciwieństwo. Przeciwieństwo traktowane zresztą jako dopełnienie znaku, a nie jego zaprzeczenie. Pozwala to likwidować całą sferę pośrednią pomiędzy znakiem i jego przeciwieństwem, unikając jednocześnie przypisywania znakom jednoznacznych ocen aksjologicznych. W prawosławiu nie ma pojęcia czyśćca z jego wieloznacznością. Jest tylko piekło i niebo. W ramach owej dwumianowej struktury myślowej kon-

ceptualizowanie, wyjaśnianie nowych sytuacji, odbywa się nie poprzez doprecyzowywanie znaczeń z "szarej" strefy pomiędzy przeciwieństwami, ale raczej na drodze rozumowania typu *bricolage*, przypominającego kalejdoskop. Pod wpływem empirycznego "wstrząsu" zmienia się tylko położenie i wartość przeciwnych znaków, to co było złe może stać się dobre, góra może stać się dołem. Nie powstają natomiast nowe sensy, nowe, bardziej precyzyjne pojęcia. Stąd tak charakterystyczne dla Rosji gwałtowne zwroty myślowe, a równocześnie – odczucie poruszania się po kole, w pewnym zamkniętym cyklu. Dodajmy, że sytuację jeszcze komplikuje fakt, iż owe powracające w rosyjskiej kulturze znaki to często zapożyczenia z innej rzeczywistości cywilizacyjnej wtłoczone w swoistą dla Rosji dwubiegunową strukturę myślową. Stąd zresztą coraz częstsze powracanie tezy, iż "rosyjskość", rozumiana jako istniejąca już na poziomie epistemologicznym osłona przed wpływami Zachodu, powinna zostać zaakceptowana także przez narody słowiańskie znajdujące się w podobnej co Rosjanie sytuacji. Omawiana tutaj struktura rozumowania nie pozostała bez wpływu na sposób wyjaśniania odgórnych zmian jakim podlega rosyjska rzeczywistość. Gdy bowiem dopełnienie pojęcia traktowano jako część jego definicji, wówczas na przykład "komunizm" pojmowano jako "nie-kapitalizm". W sytuacji, kiedy także Rosja carska była "nie-kapitalistyczna", prowadziło to do surrealistycznych podobieństw projektu ładu komunistycznego i – odrzucanej przez rewolucję – carskiej autokracji. Ta zakodowana na poziomie struktur rozumowania statyczność, z jej cyklicznymi powrotami do myślowych punktów wyjścia i wszechobecnością tradycyjnych *cliches* utrudniała i utrudnia w tym kręgu kultury przeżycie uczestnictwa w historii.

Paradoksalnie, podobne konsekwencje ma druga skrajność – niepodejmowanie wysiłku konceptualizacji, uporządkowania i wyjaśnienia historycznych przemian. Czasem zresztą owa poznawcza bezradność jest symulowana. Określa się na przykład własne działanie za pomocą zużytego stereotypu, aby zamaskować jego rzeczywisty charakter. Wygodnie jest maskować dążenia odśrodkowe używając tradycyjnego języka aspiracji narodowych, podczas gdy najczęściej rzeczywistym ich motorem są rdzennie rosyjskie, lokalne elity, próbujące zawłaszczyć lokalne zasoby, o co znacznie łatwiej w warunkach "autonomii". Argument "etniczności" kamufluje i "racjonalizuje" w ten sposób uwłaszczanie się lokalnej nomenklatury. Podobnie charakterystyczna dla całego, oprócz Chin, dawnego bloku komunistycznego "rewolucja od góry" legitymizuje oficjalnie pozycję nowych elit, podczas gdy właściwa, dużo bardziej wstydliwa, rewolucja rozgrywa się na poziomie "kapitalizmu politycznego" uformowanego na długo przed symbolicznym przełomem i w wyniku nacisków ze strony systemu światowego, widzącego w państwach dawnego bloku potencjalny rynek i amortyzator własnej recesji. Mordercza, choć odbywająca się w milczeniu, walka pomiędzy lokalnymi producentami i importerami nie została do tej pory opisana, niemniej wpływa na kształt formujących się w państwach dawnego bloku struktury państwa korporacyjnego. Właśnie w Rosji interesy środowisk gospodarczych najszybciej znalazły swój polityczny wyraz i w największym może stopniu przesądzają o kształcie państwa. Wspomniany również w książce Wojciecha Zajączkowskiego Związek Przedsiębiorców Arkadija Wolskiego wpływa na obsadę stanowisk rządowych i promuje prawdopodobnie nomenklaturowych technokratów także w dawnych republikach. Innym ośrodkiem wpływającym na politykę rządu rosyjskiego są nieformalne porozumienia konsorcjów banków zachodnich i rosyjskich układów nomenklaturowych. Dla tych pierwszych stały dopływ twardej waluty z Rosji, innymi słowy pozostające na Zachodzie wpływy z eksportu do Rosji, stanowią istotny, w okresie recesji, zastrzyk kapitału. I wreszcie lobby technokratyczno-wojskowe, poprzez walkę o nowy podział rynków handlu bronią, wpływa na formującą się politykę zagraniczną Rosji. Tezy o "entropii" i "anarchii" służą tu maskowaniu działań nowych grup interesu. W połączeniu z teatralnością i pozornym dramatyzmem moskiewskiej "walki na górze" (nie mającej żadnych konsekwencji praktycznych, bo obaj oponenci, Jelcyn i Chazbułatow, pozbawieni są struktur wykonawczych) utrudniają one obserwatorom wewnętrznym dostrzeżenie formowania się rzeczywistych ośrodków władzy, a obserwatorom zewnętrznym odtwarzanie dawnej, regionalnej potęgi Rosji.

Zajączkowski, pisząc o puczu z sierpnia 1991, poprzestaje na określeniu "operetkowy". Takie określenie jest prawdopodobnie w tej chwili wygodniejsze także dla jego uczestników, nawet tych, którzy dziś znajdują się u władzy. A przecież pucz miał wiele twarzy, wszystkie fascynujące i warte analizy. Wszyscy aktorzy zmienili bowiem swoje role będąc już na scenie! Tak więc Gorbaczow szantażował Zachód swoją słabością (stąd plotki o puczu już od stycznia), a równocześnie sam przygotował "stan pogotowia" na 21 sierpnia (moment podpisania nowego Układu Federacyjnego mającego się łączyć z rozwiązaniem Rady Najwyższej). Kriuczkow, Pugo i inni udawali, że mu pomagają, a równocześnie przygotowywali "pucz w puczu" celem usunięcia Gorbaczowa. Czynili to z obawy przed nadmiernym podporządkowaniem ZSRR Zachodowi, a katalizatorem okazało się tutaj porozumienie między Genscherem i Bakerem z 17 maja 1991 dotyczące nadzoru USA i Niemiec nad konwersją radzieckiego przemysłu zbrojeniowego, będącego już wówczas półprywatną bazą nomenklaturowego biznesu. Łukianow z kolei, patetyczny w swoim odwoływaniu się do konstytucji i w próbach udowodnienia, iż uczestniczy w legalnym "konstytucyjnym" zamachu stanu, planował, że szefem "rządu ocalenia" zostanie Jelcyn. Ten ostatni jeszcze przed 19 sierpnia mówił "nie", ale równocześnie – za pośrednictwem Ruckoja – prowadził rozmowy z drugim szeregiem puczystów, afgańskimi pułkownikami i generałami (m.in. Gromowem i Graczowem). Niektórzy z nich już wcześniej sygnalizowali, że uważają komunizm za przeszkodę w odbudowie potęgi Rosji. Wymówili oni posłuszeństwo politycznym organizatorom puczu i całkowicie odcięli ich od wojska i sił bezpieczeństwa. Dzięki temu Jelcyn mógł spokojnie odegrać rytuał simulacrum, broniąc Białego Domu zanim ktokolwiek go zaatakował. Jelcyn wiedział już wtedy, że przywódcy puczu zostaną sparaliżowani przez wypowiedzenie posłuszeństwa ich afgańskich pretorianów. Teatralny akt "obrony", transmitowany przez CNN, do-

prowadził jednak do radykalnej reinterpretacji przestrzeni symbolicznej. Gwiazda Gorbaczowa zgasła. Jelcyn grał zresztą nie tylko na użytek własnego społeczeństwa, ale także dla polityków i publiczności Zachodu. Paradoksem, zamykającym niejako krąg wydarzeń, jest faktyczne zrealizowanie przez ekipę Jelcyna niektórych elementów politycznej wizji puczystów, choć już bez kostiumu partii komunistycznej. Rosja, w uderzająco szybkim tempie i z przyzwoleniem Zachodu, odtwarza swoją "paternalistyczną" rolę w ramach dawnego ZSRR. Stała się też znów partnerem w polityce światowej, na co wskazują choćby jej obietnice zdyscyplinowania Serbii (via nowy blok wojskowy, zwany bizantyjskim, sięgający od Grecji, przez Serbię, po Rumunię i Rosję). Jeżeli dodamy do tego krystalizującą się oś Moskwa – Bonn i już teraz widoczną zdolność Rosji do modyfikowania polityki Zachodu wobec państw Europy Środkowej (skuteczne przeciwstawianie się ich przyjęciu do NATO), to zadane w tytule książki Wojciecha Zajączkowskiego pytanie "Czy Rosja przetrwa do roku 2000?" możemy uznać za czysto retoryczne.

Nie należy oczywiście bagatelizować nomenklaturowych interesów związanych z anarchizacją państwa i ucieczką z pola oddziaływania centrum, o czym tak interesująco pisze Zajączkowski. Wydaje się jednak, że równie istotne są tendencje odwrotne: kapitaliści polityczni zaczynają się wewnętrznie dzielić i większość rosyjskich środowisk gospodarczych dostrzega ekonomiczne korzyści wynikające z istnienia silnego państwa i zintegrowanej przestrzeni instytucjonalnie pojmowanego, uporządkowanego rynku (w tym systemu bankowego, gwarancji eksportowych, kredytów, obiegu informacji itp.). Ta sama logika formowania kapitału, która w pierwszej fazie sprzyjała anarchizacji państwa, obecnie wydaje się – podobnie zresztą jak w całym postkomunistycznym bloku – oczekiwać raczej wzmocnienia struktur państwowych. Nomenklaturowy biznes deklaruje także chęć ograniczenia szarej strefy, a wiadomo że nikt nie potrafi tak zdyscyplinować mafii, jak lepiej zorganizowana mafia starszej generacji.

Podsumowując: książka Wojciecha Zajączkowskiego fascynuje szerokością pola obserwacji, irytuje zaś brakiem uogólnień. Niektóre z pokazywanych przez niego zjawisk (szczególnie nomenklaturowy kapitalizm) mają bardzo wyraźną logikę i wewnętrzną racjonalność. Autor ma rację pisząc, że o przyszłości Rosji zadecyduje prowincja, a nie walki pomiędzy elitami w centrum. Dodajmy: o losach Rosji zadecyduje też stopień patriotyzmu i zorganizowanie lokalnych, nomenklaturowych kapitalistów. Dla uzmysłowienia skali problemu tylko jeden przykład: według opinii prezydenta Banku Światowego Lewisa Prestona wygłoszonej w Nowym Jorku w marcu tego roku, ustabilizowanie w Rosji wydobycia ropy na poziomie roku 1993 będzie wymagało zainwestowania do roku 2000 około 50 miliardów dolarów. Jeżeli to nie nastąpi, Rosja stanie się pod koniec wieku importerem tego surowca, ponieważ stan techniczny jej złóż uniemożliwi dalszą eksploatację. Równocześnie ten sam Preston, aprobując pożyczkę banku na modernizację sektora wydobywczego w Rosji (w wysokości 610 milionów dolarów) stwierdził, że pieniądze te winny trafić do prywatnych inwestorów i to przede wszystkim zagranicznych, a dopiero w dalszej kolejności rosyjskich (informacja za pismem Banku Światowego "Transition", maj 1993). Oznacza to bardzo silną presję i pokusę dla centrum, żeby oddać kontrolę nad tym strategicznym i potencjalnie dochodowym przemysłem zagranicznym kontrahentom. Widać tutaj także potencjalną oś konfliktu pomiędzy słabym centrum, a interesami krajowych inwestorów i producentów, szczególnie, gdy Bank Światowy domaga się równolegle podniesienia cen rosyjskiej ropy do poziomu cen światowych. Przypomina to zresztą polski spór o dewaluację złotówki. Krajowi eksporterzy (oraz Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą) wzywają do przeprowadzenia skokowej dewaluacji złotówki, a importerzy i Fundusz Walutowy przeciwko niej oponują. Warto w tym miejscu zauważyć, że dotychczas przemysłowcy rosyjscy umieli się lepiej organizować, i wywierali skuteczniejszy wpływ na zachowania swego rządu niż ich odpowiednicy z Europy Środkowej.

Obserwacja całościowego obrazu tych zmagań (Zajączkowski pokazuje w swojej książce tylko pewne jego elementy), prowadzi do konkluzji, że właśnie na poziomie gospodarczym rozgrywa się walka o nowy kształt systemu światowego. Stary profesor Von Laue miał rację pisząc wiele lat temu w swojej *Revolution of Westernization*, że o losach krajów wchodzących stosunkowo późno w orbitę systemu światowego decyduje dynamika konfliktu między krajami bardziej rozwiniętymi. W naszym wypadku jest to trójkąt USA–Niemcy–Japonia. Nieprzypadkowo tylko ta ostatnia – oraz Chiny, mające w tym wypadku dosyć podobne interesy – zaprotestowała w ONZ, gdy Jelcyn zaproponował wzmocnienie roli Rosji jako policjanta na obszarze dawnego ZSRR. Zachód przyjął tę ofertę z ulgą. Po doświadczeniu Jugosławii rozwiały się ostatecznie pozory stosowania przez Zachód wobec nas tych samych standardów, jakie stosuje u siebie. Podobnie ostatnie zbliżenie Niemiec i Rosji można interpretować jako przygotowywanie się do kontrolowania Europy bez udziału Amerykanów. Dla Europy Środkowej może to oznaczać bardziej wyraźny podział na strefę wpływów niemiecką i rosyjską (na zasadzie ciążenia powiązań gospodarczych). W Polsce ta linia demarkacyjna może przebiec wewnątrz granic państwowych.

Jednoczesna lektura obu książek: tej o pułapkach zawartych w kulturowych wyobrażeniach i tej o dynamice procesów jeszcze nie nazwanych, uzmysławia złożoność dokonującej się historycznej transformacji. Rosja – kolos oślepiony w przeszłości przez zapożyczone pojęcia wtłoczone we własną tradycyjną strukturę myślenia, a następnie uwięziony w wizji rzeczywistości kreowanej przez ideologię – po raz pierwszy chyba w swej historii dokonuje modernizacji, w której państwo jest tylko statystą. Obserwowanie tych zmagań leży w naszym interesie. Oba rozwiązania skrajne: Rosja słaba, wynędzniała i zanarchizowana, bądź Rosja autorytarnej modernizacji, są dla nas groźne. Zjawiska opisane z dużym profesjonalizmem przez Wojciecha Zajączkowskiego pokazują jednak (może niezależnie od intencji autora) istnienie możliwości trzeciej: Rosji jako federacji okręgów zbudowanych na zasadzie przedsiębiorczości i lokalnych interesów, Rosji jeszcze raz przeprowadzającej swoją wewnętrzną kolonizację, ale już bez szaleństwa komunistycznej ideologii.

DWA SCENARIUSZE

Jerzy Marek Nowakowski

O Rosji pisano u nas w ostatnich latach bardzo niewiele. Jeśli już ukazywały się na ten temat książki, były to tłumaczenia zachodniej literatury sowietologicznej, zazwyczaj nie najwyższego lotu. W jakimś sensie taka postawa była zrozumiała. Przez całe lata władze komunistyczne z "internacjonalistycznego obowiązku" karmiły nas przecież papką propagandową, z której wynikało, że wszystko co sowieckie jest najlepsze w świecie. A że Sowiety dość powszechnie były identyfikowane z Rosją, zainteresowanie tym krajem ograniczało się w dużej mierze do głupawych dowcipów w stylu "Polak, Ruski i Amerykanin płynęli łódką...", z których niedwuznacznie wynikało, iż ów Ruski jest chamem i durniem.

Tradycja negatywnego stereotypu Rosjanina jest zresztą mocno zakorzeniona w Polsce. Jan Kucharzewski pisał przecież o Rosjanach, że "... są to wymusztrowani Tatarzy. Naród ten, to jeszcze tylko afisz nalepiony na Europie". Przekonanie, iż mamy do czynienia z kimś gorszym, "Azjatą", znakomicie pomagało przetrwać czas zniewolenia, ale nie sprzyjało ani polsko - rosyjskim stosunkom ani też głębszej refleksji nad kondycją wschodnich sąsiadów Polski.

Będzie banałem przypomnienie, że przyszłość Rosji i całego obszaru byłego imperium sowieckiego ma zasadnicze znaczenie dla biegu historii w XXI wieku. Skoro tak, to nasza wiedza o Rosji winna być głębsza, wyrwać się z sieci stereotypów, aby dać odpowiedź na pytanie, czym jest współczesna Rosja i kim jest dzisiejszy Rosjanin.

Dwie książki wydane w ostatnich miesiącach taką próbę dania odpowiedzi zdają się podejmować. Są to książki o zupełnie różnej formule - *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego stało się bestsellerem. *Czy Rosja przetrwa do roku 2000?* Wojciecha Zajączkowskiego dopiero wchodzi na rynek. W pewnym sensie są to jednak książki podobne i dlatego chciałem pisać o nich razem. Obie wsparte są (a to rzadkie zjawisko) niezwykle solidną wiedzą szczegółową i obie unikają syntezy pozostawiając ją przemyśleniom czytelników. Wreszcie - i przy tej kwestii chciałbym się chwilę zatrzymać - próbują opisywać rosyjską rzeczywistość przy pomocy zachodnioeuropejskich pojęć.

Zasadniczym pytaniem jakie wypada postawić zastanawiając się nad współczesną Rosją nie jest pytanie "czy przetrwa" ale "czy istnieje?". W moim przekonaniu zarówno Ryszard Kapuściński jak i Wojciech Zajączkowski popełniają ten sam błąd zakładając, że istnieje jakaś Rosja i naród rosyjski. Tymczasem oba te byty są bytami in statu nascendi.

Federacja Rosyjska nie ma swego odpowiednika w historii. Ani Wielkie Księstwo Moskiewskie ani Rosja carów w niczym nie przypominały dzisiejszej Federacji Rosyjskiej. Przede wszystkim dlatego, że tradycją państwa rosyjskiego "od zawsze" była ekspansja. Od chwili zrzucenia jarzma mongolskiego Rosja (a raczej podówczas Moskwa) zbierała ziemie ruskie, potem słowiańskie. Była "trzecim Rzymem". Rewolucja bolszewicka przeorała rosyjską rzeczywistość, zlikwidowała Rosję zamieniając ją na awangardę światowego proletariatu, ale przy całej odmienności bolszewizmu i jego wrogości wobec tego co rosyjskie Moskwa miała pozostać stolicą przyszłego świata. Tendencja ekspansji Imperium została zachowana.

Rosja u progu XXI wieku jest tymczasem państwem w defensywie, straciła bezpośrednią kontrolę nad znaczną częścią sowieckiego imperium, ma kłopoty z własną integralnością terytorialną. A przede wszystkim po raz pierwszy w swojej historii nie ma idei porządkującej i wyznaczającej kierunek działania państwa. Zresztą nie jestem przekonany, czy w wypadku Federacji Rosyjskiej możemy mówić o państwie w sensie takim jak na Zachodzie. Istnieje tam władza centralna i określone mniej więcej granice. Nie ma natomiast społeczeństwa, zaś struktura władzy znajduje się w stanie generalnej anarchii.

Co więcej, sądzę, że nie ma jeszcze narodu rosyjskiego. Bardzo charakterystyczne są spory językowe: czy obywatel współczesnej Rosji to "Russkij" czy też "Rossijanin". Pierwsze pojęcie oznaczało kiedyś coś więcej niż wspólnotę etniczną, "Russkij" mógł być również Ukraińcem, Białorusinem, czy rosyjskojęzycznym Polakiem. "Rossijanin" natomiast, które to pojęcie powstało dość niedawno w moskiewskich kręgach intelektualnych to świadomy członek wspólnoty narodowej. Inaczej mówiąc pierwsze pojęcie oznacza Wielkorusa a drugie człowieka akceptującego nową formułę rosyjskości.

Ta nowa formuła ogranicza się jak na razie do kręgów nielicznych intelektualistów. Rosjanin z prowincji zapytany o określenie własnej tożsamości narodowej czy państwowej zacznie ja sowiec... po czym ugryzie się język wpadając w dłuższy wywód kim jest. Mniemam, że definiując Rosjan wypadałoby posłużyć określeniem bywszyje sowieckije ludzi.

Od razu dodam wyjaśnienie, że nie jest to formuła deprecjonująca Rosjan. Ale wspólnota narodowa musi wyrastać na glebie wspólnej tradycji i wartości. Tymczasem rządy komunistyczne skutecznie wykarczowały starą tradycję Rosji carów oraz zniszczyły system wartości oparty na prawosławiu. Propozycja etyczna i ideologiczna komunistów (nie wchodzę tu w jej ocenę) zawaliła się w

---

JERZY MAREK NOWAKOWSKI - ur.1959, historyk, politolog, dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych przy Senacie RP. Publikował m.in. na łamach "Polityki Polskiej", "Res Publiki", "Więzi", "Przeglądu Politycznego", "Tygodnika Powszechnego".

połowie lat osiemdziesiątych. Pozostała pustka, którą w przyspieszonym tempie trzeba wypełnić. Najłatwiej oczywiście byłoby wyprodukować nacjonalistyczno-ksenofobiczny amalgamat w stylu Żyrynowskiego. Jest ogromną zasługą elit rosyjskich, że się przed takim rozwiązaniem bronią. W razie sukcesu skrajnych ugrupowań nacjonalistycznych Rosja stałaby się bowiem zagrożeniem nie tylko dla całego świata, ale także dla samej siebie. Oznaczałoby to bowiem koniec marzeń o Rosji demokratycznej i zasobnej.

Rewitalizacja świadomości nacjonalistycznej jest utrudniona przez fakt nieistnienia w Rosji społeczeństwa. Obywatele Federacji są "miazgą", zbiorowiskiem zatomizowanych jednostek – sukces budowy społeczeństwa bezklasowego powiódł się bowiem w tym kraju znakomicie. Równocześnie trzeba sobie zdawać sprawę, że proces odbudowy społeczeństwa i tworzenia się narodu będzie przebiegał w Rosji szybko. Życie społeczne nie znosi bowiem próżni i procesy, które na Zachodzie trwały dziesięciolecia w Rosji mogą potrwać miesiące. Katalizatorem procesu narodotwórczego mogą się stać na przykład Rosjanie z republik nierosyjskich. Obecnie stoją oni przed dylematem podobnym do przeżywanego przez Francuzów w Algierze pod koniec lat pięćdziesiątych, przechodząc równocześnie przyspieszony kurs samoidentyfikacji narodowej. Wprawdzie mentalność kolonizatorów jest groźna dla wyznaczenia kierunku rosyjskiego samookreślenia narodowego, ale stanowi niewątpliwie czynnik przyspieszający wspomniane procesy. Zwłaszcza, że ochrona współziomków jest z kolei czynnikiem wzmacniającym procesy samoorganizacji społecznej na obszarze Federacji Rosyjskiej.

Wracając do pytania postawionego przez Wojciecha Zajączkowskiego w tytule jego książki można podjąć próbę odpowiedzi. Autor rysując obraz totalnego rozkładu struktur zdaje się sugerować, że Rosja nie przetrwa najbliższego dziesięciolecia. Nie zgadzam się z tą tezą. Wydaje się, że kraj ten ma głęboko ukryte i niewykorzystane rezerwy. Sądzę, że Rosja może przetrwać w jednej z kilku postaci. Zarysuję tu dwa warianty skrajne.

Optymistyczny scenariusz rozwoju sytuacji zakłada narodziny nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego i narodowego na obszarze Federacji Rosyjskiej. Czynnikiem sprzyjającym temu wariantowi jest niewątpliwa i dość powszechna fascynacja obywateli Federacji zachodnią kulturą masową oraz tęsknota do amerykańskiego modelu społeczeństwa. Wobec wyjałowionej gleby ideowej fascynacja ta stać się może czynnikiem sprzyjającym przyjęciu przez Rosjan idei demokratycznych oraz modelu gospodarki rynkowej, jako sprawdzonej i skutecznej drogi ku społeczeństwu dobrobytu. W dalszej kolejności sprzyjałoby to wejściu Federacji do światowego obiegu gospodarczego i rynku idei oraz informacji. Taka droga jest niesprzeczna z zarysowanym przez Wojciecha Zajączkowskiego schematem procesów rozpadowych. Autonomizacja prowincji nie musi bowiem prowadzić do krwawych wojen wewnętrznych i załamania linii granicznej. Może również wieść do wykoncypowanego przed laty przez Andrieja Sacharowa modelu "Stanów Zjednoczonych Rosji". Jeden z przywódców ruchu demokratycznego w dobie jego narodzin Arkadij Muraszow z ogniem w oczach dowodził mi przed paroma laty, że ogrom państwa wymusza w Rosji rządy despotyczne i tylko daleko idąca autonomizacja prowincji może doprowadzić do demokracji.

Taka Rosja ma szansę stać się dla świata Zachodu niezwykle pożądanym partnerem. Olbrzymi, nienasycony rynek o zachodnim modelu konsumpcji, wykształcona i obyta z nowoczesną techniką siła robocza, bogactwa naturalne. To wszystko predystynuje Rosję do roli koła zamachowego gospodarki światowej, a w przyszłości do roli jednego z czołowych mocarstw światowych. Mocarstw o statusie zbudowanym na udziale w międzynarodowym podziale pracy a nie na arsenałach broni masowej zagłady. Być może urzeczywistni się wizja jednego z rosyjskich emigrantów, którego spotkałem w głębi Stanów Zjednoczonych i który powiadał: gdyby nie bolszewicy świat jeździłby teraz po nowe mody do Petersburga tak jak jeździ do Paryża i Nowego Jorku.

Równie prawdopodobny jest jednak scenariusz inny. Rosjanie zaczynają budować swoją narodową tożsamość na negacji. Żaden naród nie zniesie bowiem sytuacji, w której powtarza mu się: wszystko w waszej historii było złe, pokajajcie się, przyjmijcie nasze wzory, być może kiedyś dorośniecie do tego, by zostać uznanymi za partnerów a teraz czekajcie w przedpokoju. Odpowiedzią na coś takiego musi być powrót do tradycji mocarstwowych. Mariaż portretów Stalina i Mikołaja II już teraz noszonych czasem obok siebie podczas manifestacji nacjonal-komunistów likwiduje dylemat braku tożsamości. Przeciwnie wprowadza do niej ład i ciągłość. Dążenia autonomiczne Tatarów czy niepodległościowe Ukraińców, krzywdy Rosjan w Estonii lub Tadżykistanie mieszczą się znakomicie w takim modelu. Opisany przez Kapuścińskiego w obrazku z Irkucka spektakl teatralny dowodzi, że jest aż za wielu zwolenników pójścia Rosji drogą szowinizmu. Dla świata zaś powrót na scenę groźnego i zbrojnego po zęby niedźwiedzia oznacza nową spiralę zbrojeń i wzrost niebezpieczeństwa globalnego konfliktu. Polska staje się w takich warunkach krajem frontowym. Nasze marzenia o demokracji i dobrobycie mogą zostać odłożone na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Dylemat cywilizacyjny, przed którym stoi Rosja, a także Białoruś i Ukraina oraz cała Azja Środkowa jest podstawowym problemem ważącym na losach Świata w nadchodzącym stuleciu. Autorzy obu książek, które stały się impulsem do napisania tego tekstu zdają sobie sprawę z wagi wydarzeń rosyjskich. Jednocześnie jednak przygnieceni jakby poczuciem odpowiedzialności rezygnują z syntezy. A obaj – uchodzący za najwybitniejszego polskiego reportażystę Kapuściński i jeden z najzdolniejszych sowietologów Wojciech Zajączkowski – powinni podjąć próbę nakreślenia siatki pojęć, które będą mogły stać się narzędziami opisu rosyjskiej rzeczywistości.

W Rosji bowiem nic nie jest jednoznaczne. Armia, która do dziś nie wie czy jest rosyjska czy sowiecka, mafia, która jest gdzieniegdzie prekursorem wolnego rynku i KGB, wedle zgodnej opinii

zachodnich badaczy rozpoczynające w 1985 roku proces reform. Podobne kłopoty z opisem, jakie dziś wyzwala Rosja mieli w ubiegłym wieku podróżni definiujący rzeczywistość amerykańską. Sądzę, że pora abyśmy zaczęli definiować Rosję jako odrębną jednostkę cywilizacyjną, nie doszukując się w niej na siłę Europy czy Azji. Szacunek i sympatia ze strony międzynarodowego otoczenia – z niebagatelnym w tej dziedzinie miejscem Polski – pomogą Rosji wydobyć się kryzysu tożsamości narodowej i państwowej. Zrozumieć Rosję, to dla Polaków końca XX wieku nie tylko zadanie intelektualne. To wymóg racji stanu.

Rozpatrując obie książki pod tym kątem wyraźnie wyższą ocenę wypada dać pracy Zajączkowskiego. Nie uwalniając się od okcydentalnego skrzywienia opisuje on jednak solidny kawał rzeczywistości rosyjskiej i stawia pytania, które pomagają Rosję zrozumieć. Ryszard Kapuściński natomiast stał się więźniem własnej wielkości. Jego książka jest groźna ponieważ powiela pewien schemat patrzenia na Rosję jak na egzotyczny skansen. "Rosji zrozumieć nie można" i właściwie nie warto – sugeruje Kapuściński. Co więcej doprowadza do identyfikacji Rosji z Imperium. Wbrew samym Rosjanom. Myślę, że literacki efekt, niezmiernie błyskotliwy sprawił, że Imperium jest pracą z tezą, literacką zabawą w nowego de Custine'a, zatracając to, na co wszyscy liczyliśmy dowiadując się o rosyjskich peregrynacjach Wielkiego Reportera – wielką syntezę. Co gorsza miejscami mamy u Kapuścińskiego do czynienia z wpisywaniem się w złą tradycję ilustrowania przytoczonego na wstępie cytatu z Kucharzewskiego.

Los Rosji, powtórzę, będzie miał znaczny wpływ na przyszłość Polski. Historyczna szansa zbudowania w Rosji demokracji, proces narodzin nowego wielkiego narodu, proces transformacji mocarstwa wszystko to są gigantyczne wyzwania intelektualne. Rosyjskie elity są do przyjęcia tego wyzwania gotowe. Ale ogrom zadań sprawia, że bez pomocy świata temu zadaniu mogą nie podołać. Dlatego trzeba nauczyć się rozumieć Rosję.

Dobrze się stało, że po okresie zupełnego odwrócenia się plecami do Wschodu w Polsce zaczyna odżywać refleksja na ten temat. ▩

JAK WYMYŚLONO HOMOSEKSUALISTĘ

Marjorie Rosenberg

Tekst Marjorie Rosenberg "Jak wymyślono Homoseksualistę" publikowany przez nas, za łaskawą zgodą redaktora naczelnego "Commentary" Normana Podhoretza, opisuje szczegółowo procedurę konstruowania, w oparciu o odmienne zachowania seksualne, wykorzystywanej następnie ideologicznie i politycznie grupy nacisku – "nowej mniejszości". Od kilku miesięcy także na łamach polskiej prasy (szczególnie: "Polityka", "Wprost", "Gazeta Wyborcza") z zaskakującą czytelnika regularnością pojawiać się zaczęła postać Homoseksualisty i wezwania do podjęcia walki o jego równouprawnienie. Nie tak dawno w polskim parlamencie grupa posłów zażądała rozciągnięcia konstytucyjnych gwarancji swobód dla mniejszości etnicznych i religijnych także na "mniejszości seksualne". Ta przybierająca polityczny charakter kampania prasowa wydaje sie sugerować, że wobec faktu, iż tradycyjne mniejszości religijne i etniczne stanowią w naszym społeczeństwie statystyczny margines, a co ważniejsze, z reguły potrafiły ułożyć swoje stosunki z Państwem i Kościołem, dla uzasadnienia ideologicznych ingerencji w życie społeczne zostaną, także i u nas, wykorzystane "nowe mniejszości".

Zapewne mimowolnie, ale może właśnie dlatego wyjątkowo otwarcie, polityczne nadzieje związane z "nowymi mniejszościami" wyraziła Joanna Szczęsna. W odredakcyjnym wstępie "Magazynu Gazety Wyborczej" z 11 czerwca tego roku, poświęconego polskim homoseksualistom napisała: "Nie ma zgody na to, jaki procent populacji stanowią homoseksualiści. Głośny raport amerykańskiego seksuologa Kinseya sprzed pięćdziesięciu lat mówił o 10 procentach, dziś uczeni skłaniają się do ostrożniejszych szacunków – między 1 a 6 procent. Jakkolwiek by jednak nie liczyć, wychodzi, że w Polsce żyje co najmniej 300–400 tysięcy homoseksualistów i lesbijek, co sprawia, że jest to największa z mniejszości w naszym kraju."

W ten sposób również w Polsce, z ludzi o rozmaitych zainteresowaniach i poglądach politycznych, których łączą jedynie homoseksualne skłonności, konstruowany jest pospiesznie anonimowy Homoseksualista; człowiek jednowymiarowy, potencjalna grupa politycznego nacisku, "nowa mniejszość", w obronie której będzie można przystąpić do atakowania tradycyjnych wartości i instytucji społecznych na forum parlamentu, w sądach i w mediach.

Warto się jednak zastanowić, czy fakt, że nadano obronie Homoseksualisty tak jednoznacznie ideologiczny wymiar, nie oznacza, że jesteśmy świadkami manipulacji, lekceważącej nawet tych, w obronie których jest dokonywana.

debata

Od starożytności aż po koniec ubiegłego stulecia uznawano, że zachowania seksualne człowieka nie są zdeterminowane fizjologicznie czy psychologicznie, lecz podlegają jego wolnemu wyborowi. Dopiero jakieś sto lat temu, u schyłku XIX wieku, wraz z rozkwitem nauk medycznych, które okazały się niejako jego akuszerką, narodził się "homoseksualista" – istota dawniej nieznana, której tożsamość określały wyłącznie upodobania seksualne. Narodziny homoseksualisty nauka wyjaśniała albo przyczynami wynikającymi z jego konstytucji fizycznej albo też przyczynami psychologicznymi, inaugurując w ten sposób spór pomiędzy tymi dwiema szkołami interpretacji. Dla obu jednak przedmiot sporu, homoseksualista, zawsze pozostawał pasywną ofiarą. Jako uzasadnienie zachowań, które odtąd uznano za nie podlegające kontroli świadomej woli człowieka podano czynniki psychologiczne, których natury ani realności nigdy nie ustalono, bądź też stosunki w rodzinie w okresie wczesnego dzieciństwa, z charakterystycznym dla psychoanalizy podkreślaniem zemsty na matce.

Religia stawia człowieka wobec wolnego wyboru, także w odniesieniu do jego zachowań seksualnych. Dominacja "obiektywnej" nauki przyniosła natomiast podział mężczyzn na kategorie tworząc klasyfikację związaną z pewnymi tylko cechami ich charakteru, a nie po prostu z całym ich zachowaniem. Marzenia senne, fantazje, natręctwa myślowe czy przypadkowe doświadczenie z dzieciństwa nabrały za sprawą psychoanalizy straszliwych, nieodwracalnych konsekwencji, prowadząc między innymi do powstania nowej tożsamości "homoseksualisty". Tak jak dziewiętnastowieczna fizyka zmieniła ciała stałe w miliony tańczących elektronów a malarze impresjoniści rozbili pejzaż na cząstki światła, podobnie Freud, którego cechowało równie atomistyczne podejście do osoby ludzkiej, zredukował swoich pacjentów do pewnych szczegółów ich życia seksualnego.

Niezależnie od przełomowych aspektów freudowskiej teorii uwarunkowań seksualnych, jej ostateczne zaakceptowanie stanowiło element szerszego procesu wypierania przez naukowy determinizm dominującego wcześniej przekonania, iż człowiek wyposażony jest w wolną wolę. Wykreowanie przez naukę "homoseksualisty", uwalniając go od ciężaru wyboru, zachęcało do znalezienia w naturze fundamentów tożsamości, którą przyjmował jako daną. Ale odwieczne przekonanie o tym, iż zachowania seksualne są jednak owocem wyboru ocenianego w kategoriach moralnych nie mogło zniknąć w jednej chwili i nowa jednostka diagnostyczna ścierała się, zarówno w ramach medycyny jak i poza nią, z tradycyjnymi nawykami myślowymi.

Początkowo homoseksualista wziął na siebie ciężar całościowej identyfikacji, chyba tylko po to, by zmaltretowało go społeczeństwo jeszcze nie gotowe do zaakceptowania tej nowej postaci. Ci, którzy godzili się na przyjęcie nowej społecznej roli prowokującej negatywne reakcje otoczenia, znajdowali ratunek w psychologii bycia ofiarą, czego przejawy widać w pasywności i zniewieściałości charakteryzującej męski homoseksualizm w krajach zachodnich od wieku dziewiętnastego aż do lat sześćdziesiątych obecnego stulecia. Trzeba bowiem pamiętać, że w innych kręgach kulturowych, podobnie zresztą jak w starożytnej Grecji, przypadkowe, a nawet stosunkowo częste zachowania homoseksualne nie stanowiły wystarczającej podstawy do tworzenia odrębnej tożsamości. Także społeczne potępienie takich zachowań mogło dotyczyć natury samego aktu, nie zaś jego przedmiotu. Tymczasem psychoanaliza, a następnie cała zachodnia psychiatria zarzuciły myślenie o jakości zachowań homoseksualnych skupiając się wyłącznie na odmienności ich przedmiotu.

Pod naciskiem imperatywów klasyfikacji naukowej indywidualność ludzi angażujących się w zachowania homoseksualne zniknęła. Od tej pory zaczęli się oni postrzegać jako jedna prześladowana mniejszość w obrębie całego społeczeństwa. Wraz z opublikowaniem w roku 1948 pierwszego raportu Kinseya i jego danych statystycznych, które przez sam fakt kwantyfikacji osiągnęły autorytet zarezerwowany niegdyś tylko dla Pisma Świętego, pojawiła się koncepcja grupy nacisku. 37% badanej grupy mężczyzn przyznało, że pomiędzy okresem młodości a dojrzałością miało przynajmniej jeden zakończony orgazmem kontakt fizyczny z innym mężczyzną. Nie uznano tego wyniku za uzasadnioną podstawę do kwestionowania determinizmu kategorii seksualnych, skoro w większości wypadków pojedyncze doświadczenia homoseksualne nie zdeterminowały ostatecznego życiowego wyboru, ale przeciwnie, właśnie jako uzasadnienie owych kategorii. Istnienie 10% grupy Amerykanów, którzy angażowali się mniej lub bardziej w homoseksualne zachowania przez co najmniej trzy lata, skwapliwie wykorzystano do rozwijania poczucia przynależności grupowej, niezależnie od tego czy ich doświadczenia przesądziły o ich homoseksualizmie, czy też miały miejsce tylko w młodości i zostały zarzucone. Sam Kinsey zaprzeczał istnieniu "homoseksualisty", ale proces, który miał doprowadzić w roku 1970 do frontalnego ataku homoseksualistów na Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne został zapoczątkowany.

Pod koniec lat pięćdziesiątych homoseksualistów akceptujących diagnozę, która usuwała w cień ich indywidualne zróżnicowanie a zaogniała społeczne problemy, wsparły coraz szersze kręgi socjologów zaangażowanych w obronę ich sprawy. Owi uniwersyteccy specjaliści reprezentujący naukę odrzucającą moralne wartościowania stawiali sobie za cel doprowadzenie do uznania zasadniczej normalności homoseksualizmu i co za tym idzie pogrzebanie raz na zawsze dezaprobaty jaką teoria Freuda niosła w diagnozie homoseksualizmu jako zahamowanego rozwoju. Zadowoleni z możliwości przeciwstawienia się psychoanalizie, która w znacznym stopniu odnosiła się z pogardą do ich modeli matematycznych i ich podkreślania czynnika kwantytywnego, socjologowie wzbogacili cały spór o swą własną doktrynę. Sprowadzała się ona do relatywizmu zdecydowanie potępiającego potępianie dewiacji. Do akcji włączyła się także pewna życzliwa pani psycholog Evelyn Hooker, do której homoseksualiści zwrócili się z prośbą o podjęcie badań kwestionujących negatywne opinie na ich temat.

Dobór homoseksualistów do badanej przez panią Hooker próbki nie był przypadkowy. Zwróciła się ona do członków grup homoseksualnych szczególnie zainteresowanych zaprezentowaniem swoich najlepszych przedstawicieli. Następnie, nie chcąc uchybić intencjom środowisk, które zleciły wykonanie badań, Evelyn Hooker odrzuciła wszystkich ankietowanych, którzy wydawali się jej ewidentnie patologiczni. Dodatkowa nierzetelność badania polegała na badaniu stopnia przystosowania w oparciu o test Rorschacha i dwa inne testy projekcyjne. Testy te zazwyczaj używane są nie tyle do stawiania, co do wzmacniania już istniejącej diagnozy. Przede wszystkim jednak nie są one przeznaczone dla ankieterów, którzy nie widzieli badanego. Zwłaszcza test Rorschacha okazał się być szczególnie zawodnym narzędziem bowiem jego wyniki zależą w dużym stopniu zarówno od osobowości testowanego jak i testującego. Często nie sposób na podstawie tego testu odróżnić mężczyzn od kobiet, a co dopiero homoseksualistów od heteroseksualistów. Przy użyciu tego typu narzędzi Hooker wyprodukowała jednak wyniki upragnione przez jej homoseksualnych patronów: różniece między porównywanymi grupami okazały się nieznaczące.

Fetowana nie za to, czego rzeczywiście dokonała, ale za potwierdzenie tego, co życzono sobie na badany temat myśleć, Hooker rozpoczęła swoją karierę autorytetu w sprawach homoseksualizmu. Poproszono ją o napisanie hasła "homoseksualizm" dla *Międzynarodowej Encyklopedii Nauk Społecznych (International Encyclopedia of the Social Sciences)*, zaś pod koniec lat sześćdziesiątych Evelyn Hooker powierzono kierowanie Wydziałem do Spraw Homoseksualizmu w Narodowym Instytucie Zdrowia Psychicznego.

Odrzuciła ona koncepcję homoseksualizmu jako odrębnej jednostki klinicznej, jednak przyczyniała się do rozwoju ruchu homoseksualistów wspierając tezę, iż są oni ofiarami społeczeństwa. Podkreślanie, że homoseksualista jest ofiarą społeczeństwa, prowadziło w sposób oczywisty do pomniejszania istniejących w tej grupie różnic, które podkreślali jeszcze Kinsey i sama Hooker. Coraz szerszą akceptację zdobywały poglądy o homoseksualiście jako ofiarze natury i społeczeństwa, o naturalności jego skłonności seksualnych i o powstawaniu problemów będących wyłącznie rezultatem odrzucenia przez najbliższe otoczenie. Te przekonania, w latach pięćdziesiątych ograniczone tylko do środowisk samych homoseksualistów, dzisiaj stały się dla znacznej części ludzi wykształconych równie święte jak sto lat temu przekonanie o wolności woli w wyborze zachowań seksualnych i wynikającej z tego ocenie zachowań w kategoriach moralnych.

Zapał z jakim wielu socjologów podjęło się obrony homoseksualizmu najlepiej ilustruje kariera Laud Humphreysa, przez dziesięć lat pastora Kościoła Episkopalnego, nawróconego w latach sześćdziesiątych na socjologię. W swym drugim wcieleniu poświęcił on dwa lata na obserwowanie mężczyzn uprawiających oralne stosunki seksualne w publicznych toaletach – wchodzących tam i opuszczających to miejsce jako nieznajomi. Jego praca doktorska poświęcona tym zagadnieniom została opublikowana pod tytułem *Tearoom Trade: Anonymous Sex in Public Places (Usługa w herbaciarni: anonimowy seks w miejscach publicznych)*. Wymieniona w tytule herbaciarnia (tearoom) to slangowe określenie publicznej toalety. Praca Humphreysa, mająca starannie opracowany plan badań i pozbawiona tych skrzywień, które obniżały rzetelność pracy Evelyn Hooker, wykazywała tylko jedno zasadnicze wypaczenie charakterystyczne dla tego typu badań. Humphreys gotów był potraktować odpowiedzi udzielone na pytania kwestionariusza jako obiektywną informację o charakterze badanego. Podobnie potraktował też dobrowolne samooceny do jakich sformułowania udało mu się skłonić osiem osób, z którymi przeprowadził obszerne wywiady. Konkluzja Huphreysa była następująca: "Wobec tego, co dzieje się w "herbaciarniach", nie mam ani moralnych, ani intelektualnych zastrzeżeń i tylko nieznaczne obiekcje natury estetycznej. Mam natomiast zdecydowane moralne zastrzeżenia co do sposobu reagowania społeczeństwa na tych, którzy uczestniczą w opisywanych przeze mnie praktykach."

Zupełnie nie interesuje Humphreysa, czy dżentelmeni uczęszczający do publicznych toalet w celu uprawiania seksu z nieznajomymi mogliby bez tego hobby wzbogacać swoje doznania wynikające z faktu posiadania przez nich rodziny lub przyjaciół. Czy nie mogliby rozwinąć bardziej wartościowych zainteresowań, inaczej wykorzystując swój czas? Przyjmując, wraz z Evelyn Hooker i licznymi reprezentantami socjologicznej szkoły dewiacji, istnienie całej skali zachowań homoseksualnych, przyłączył się do ich starań o zaakceptowanie wszystkich tych form. Pragnąc poprawić jednolitą diagnozę homoseksualizmu w ujęciu psychoanalizy, socjologowie dewiacji jeszcze ją wyostrzyli. Jak stwierdził pisarz Arno Karlen "skrytykowawszy psychiatrów za wrzucanie wszystkich homoseksualistów do jednego worka i nazwanie ich chorymi, socjologowie tej szkoły w gruncie rzeczy dokonują podobnego uogólnienia traktując wszystkich homoseksualistów jak ludzi zdrowych i ofiary społeczeństwa".

Praktykujący psychoanalitycy i psychiatrzy, obeznani z teorią Freuda, upierali się jednak przy konieczności utrzymania hierarchii wartości wobec zachowań seksualnych. Zostali za to zaatakowani przez homoseksualistów. Tożsamość tej grupy wzmocniło wsparcie ze strony socjologii, zaś strategię wywierania nacisku zapożyczyli od ruchu obrony praw człowieka. Równorzędne traktowanie grup wyodrębnionych na podstawie zachowań homoseksualnych i rasy pokazuje do jakiego stopnia homoseksualizm okopał się już skutecznie na swych pozycjach wynikających z przekonania, że sfera aktywności seksualnej człowieka pozostaje poza możliwością wyboru.

Pikietowanie, rozrzucanie ulotek czy przerywanie burdami wykładów, podczas których psychiatrzy nie przedstawiali homoseksualizmu jako najdoskonalszej formy zachowań seksualnych, zaczęło się około 1968 roku. Po żądaniach tolerancji przyszły żądania akceptacji: potępienie psychiatrii posunęło się tak daleko, że nawet terapia podejmowana dobrowolnie przez homoseksualistę usiłującego zmienić swoje nastawienie seksualne była krytykowana jako wy-

"Należy ubolewać, że osoby homoseksualne były i wciąż są przedmiotem złośliwych określeń i aktów przemocy. Tego rodzaju zachowania, gdziekolwiek miałyby miejsce, zasługują na potępienie ze strony pasterzy Kościoła. Ujawniają brak szacunku dla drugich, godząc w podstawowe zasady, na których opiera się zdrowe współżycie obywatelskie. Osobista godność człowieka zawsze winna być szanowana w słowach, czynach i w ustawodawstwie. (...)

Kongregacja zachęca Biskupów, by w swoich diecezjach rozwijali duszpasterstwo osób homoseksualnych w pełnej zgodzie z nauczaniem Kościoła. Żaden autentyczny program duszpasterski nie może włączać organizacji, w których zrzeszają się osoby homoseksualne, jeżeli nie zostanie jasno powiedziane, że aktywność homoseksualna jest niemoralna. Postawa prawdziwie duszpasterska musi brać pod uwagę konieczność unikania przez osoby homoseksualne bliższej okazji do grzechu.

Co zatem ma uczynić osoba homoseksualna, która usiłuje podążać za Chrystusem? Z samej swej istoty osoby te są wezwane do tego, by w swoim życiu realizowały wolę Bożą, łącząc z ofiarą Chrystusowego krzyża wszystkie cierpienia i trudności, których mogą doświadczać z powodu swojej sytuacji. Dla wierzących krzyż jest owocną ofiarą, ponieważ ta śmierć jest źródłem życia i zbawienia."

List o duszpasterstwie osób homoseksualnych, *Kongregacja Nauki Wiary, Rzym 1.X.1986*

muszona w istocie przez społeczeństwo. Homoseksualiści, korzystając z rozprzestrzeniającej się rewolty przeciwko autorytetom, w którą zaangażowana była spora część wykształconej młodzieży, a także z sukcesów ruchu praw człowieka zarzucili dyskusję i samoanalizę na rzecz takich sposobów docierania do prawdy jak zastraszanie, denuncjacje i rozbijanie siłą specjalistycznych konferencji, o ile rozmijały się z ich oczekiwaniami. W odróżnieniu od Murzynów, którzy zwalczali przede wszystkim skierowane przeciwko nim zachowania, homoseksualiści usiłowali zmienić cały system teoretyczny, w ramach którego ich zachowania opisywano jako odbiegające od normy. Aktywne środowiska homoseksualne odniosły w tej walce znaczący sukces.

Od 1970 aż do 1973 Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA) stało się głównym przedmiotem uwagi ruchu homoseksualistów. Szczegółowy opis przejawów tego zainteresowania zawiera książka Ronalda Bayera *Homosexuality and American Society (Homoseksualizm i społeczeństwo amerykańskie)*. Choć gwałtowne i obraźliwe były już ataki skierowane przeciwko niektórym psychiatrom podczas kongresu w San Francisco, w 1970 roku, to z pełnym wyrachowaniem posłużono się wściekłymi napaściami i inwektywami jako podstawową metodą nacisku dopiero podczas kongresu w Waszyngtonie w roku 1971. Zaakceptowanie wówczas przez APA dyskusji panelowej z udziałem homoseksualistów zostało uznane przez aktywistów ruchu homoseksualnego za niebezpieczną "instytucjonalizację protestu" tym bardziej zmuszającą do przerwania obrad. Przywódca homoseksualistów, którzy zaatakowali zebranie Zarządu powiedział, że wypowiada wojnę psychiatrii – był to początek dominującego odtąd w czasie obrad nastroju zastraszenia. Zdobyte w niejasny sposób wejściówki umożliwiły homoseksualistom swobodne poruszanie się po terenach kongresu. Pod koniec obrad przywódcy ruchu homoseksualistów zgłosili żądanie usunięcia homoseksualizmu z podręcznika diagnostyki chorób psychicznych firmowanego przez APA: *Diagnostic and Statistic Manual of Psychiatric Disorders* (DSMII) (*Podręcznik diagnostyki i statystyki zaburzeń psychicznych*) i to właśnie żądanie stało się przedmiotem najważniejszego sporu.

Sukces homoseksualistów w stawianiu znaku równości pomiędzy doniosłością zabiegów na rzecz uznania ich seksualnej odmienności, a działalnością murzyńskiego ruchu praw człowieka czy ruchów antywojennych jest wymownym wyrazem ducha czasów. Reakcja wielu psychiatrów dowiodła, że uznają uwolnienie zachowań homoseksualnych od społecznych hamulców za kwestię polityczną wymagającą energicznego poparcia. Inni natomiast byli po prostu przestraszeni agresywnymi atakami i szukali jakiejś możliwości kompromisu. Na początku 1972 roku homoseksualiści po raz pierwszy przedstawili formalnie swoje żądania Komitetowi Nazewnictwa APA. Pod koniec roku 1973 zarząd towarzystwa przegłosował usunięcie homoseksualizmu z *Podręcznika zaburzeń psychicznych*. Hasło miało być zmienione na: "zaburzenie orientacji seksualnej" i – jak wyjaśniono – obejmowało tylko tych, którzy źle znosili swoją orientację seksualną lub pragnęli ją zmienić. W tekście wyraźnie zaznaczono, że "ta kategoria diagnostyczna różni się zdecydowanie od homoseksualizmu, który sam w sobie niekoniecznie stanowi zaburzenie psychiczne".

Wielu psychiatrów zdumiewało się, że subiektywne poczucie niedostosowania miało stanowić podstawę decyzji o obecności bądź niebecności elementów psychopatologicznych u homoseksualistów, skoro brak takiego subiektywnego poczucia występuje bardzo często w stanach najcięższych zaburzeń. Psychoz maniakalnych, paranoidalnych czy schizofrenii nie rozpoznaje się na podstawie subiektywnego odczucia pacjenta i deklarowanego przezeń pragnienia zmiany. Również alkoholik czy narkoman często wcale nie przyznają się do swego stanu.

Psychiatryczna definicja homoseksualizmu, stanowiąca integralną część teorii wypracowywanej przez całe stulecie, została odrzucona w ciągu dwu lat przez komitety Amerykanskiego Towarzystwa Psychiatrycznego w

reakcji na ogólny klimat polityczny oraz polityczną manipulację połaczoną z zastraszaniem. Wielu psychiatrów odebrało poddanie kategorii diagnostycznej homoseksualizmu zatwierdzeniu drogą głosowania, jako poważne pogwałcenie podstawowych zasad rządzących badaniami naukowymi i domagało się jakiegoś przeciwdziałania. Zgodzono się na rozwiązanie w postaci poddania tej kwestii ocenie wszystkich członków APA. Plan ten, jakkolwiek obarczony tym samym błędem, który miał naprawiać – to jest użyciem demokratycznego głosowania jako metody roztrzygania prawdy naukowej – mógł w końcu, jak dowodzono, odzwierciedlić zbiorową mądrość całego środowiska psychiatrów w odróżnieniu od politycznego widzimisię Zarządu Towarzystwa.

Referendum okazało się oznaką naukowej mądrości czy przykładem demokratycznego trybu podejmowania decyzji w niewiele większym stopniu niż poprzednio przegłosowanie nowej diagnozy homoseksualizmu przez Zarząd. Aktywiści środowisk homoseksualnych ruszyli do ataku, włączając się w przygotowania do referendum i podpowiadając odpowiednią strategię swoim przyjaciołom z APA. Przygotowali oświadczenie wzywające do poparcia przez wszystkich członków towarzystwa propozycji usunięcia homoseksualizmu z listy zaburzeń psychicznych. Oświadczenie to nie podejmowało głównej kwestii spornej. Odwoływano się do ewentualnych kłopotów w razie odrzucenia w głosowaniu decyzji podjętej już przez Zarząd. Sugerowano możliwość rozpadu Towarzystwa. Grupy Uderzeniowe Homoseksualistów (National Gay Task Force) zorganizowały akcję zbierania podpisów pod tym oświadczeniem wśród pracowników i kandydatów do pracy w APA. Homoseksualiści otrzymali też od władz Towarzystwa listy potrzebnych adresów i zagwarantowali pełne pokrycie kosztów wysyłania pocztą oświadczeń do psychiatrów – członków APA. Ta strategia okazała się skuteczna: 58% członków APA poparło decyzję Zarządu.

To cząstkowe zwycięstwo, odniesione przede wszystkim dzięki sprawnej organizacji, nie uchyliło poważnego konfliktu w omawianej kwestii wewnątrz samego środowiska psychiatrycznego i nie zmniejszyło zamieszania co do podstawowych zasad, jakie powinny rządzić nomenklaturą diagnostyczną. Dla ogółu społeczeństwa to, co się stało, oznaczało zakceptowanie homoseksualizmu niezależnie od sposobów jego przejawiania się. Głosy ze strony innych profesjonalistów, jak na przykład Abrama Kardinera, seniora i pioniera wprowadzania do psychiatrii elementów psychoanalizy i antropologii, nie zostały wysłuchane. Abram Kardiner napisał w liście do "Psychiatric News": "Przyszłe pokolenia nie podziękują tym, którzy wzmacniają czynniki dezintegrujące w naszym społeczeństwie. Ostatecznie ofiarą ataku homoseksualistów padnie rodzina, a tego nie może tolerować żadne społeczeństwo. Jeżeli Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne aprobuje jeden z symptomów choroby społecznej jako zjawisko normalne, to demonstruje tym samym publicznie swą ignorancję co do rozumienia dynamiki społecznej oraz co do rozumienia związków zachodzących pomiędzy osobistym niedostosowaniem, a dysharmonią społeczną. Tym samym bierze na siebie odpowiedzialność za pogłębianie istniejącego już chaosu".

Takie głosy ze strony środowisk psychiatrycznych, jak wypowiedź Kardinera, były w ciągu ostatnich dwudziestu lat coraz rzadsze. Dominującą tonację narzucił długo oczekiwany raport Instytutu Kinseya *Homosexualities (Homoseksualizmy)* opublikowany w roku 1978 w oparciu o dane zgromadzone w roku 1970. Artykuł w "The New York Times" poświęcony temu studium zatytułowano "Raport wykazuje, że niektórzy homoseksualiści są szczęśliwsi od heteroseksualistów". To przesłanie wielokrotnie powtarzali później rozmaici autorzy dodając zazwyczaj, że oprócz szczęścia mamy tu także do czynienia z lepszym przystosowaniem.

Trzeba sporej łatwowierności, na jaką wielu z nas – w odróżnieniu od naszych pełnych wiary socjologów – nie jest w stanie się zdobyć, by uwierzyć że o szczęściu lub dostosowaniu społecznym da się wyrokować na podstawie odpowiedzi na kwestionariusz dostarczony przez nieznajomego ankiete-

"– Jaki jest stosunek religii żydowskiej do związków homoseksualnych?

– W naszej religii wszystko, co wykracza poza związki naturalne, jest niedopuszczalne. Dotyczy to zarówno związków między dwiema kobietami, jak dwoma mężczyznami. Czytamy o tym w Torze. To, co dzieje się we współczesnym świecie, działo się i wcześniej na terenie dzisiejszego państwa Izrael, zanim przybyli tam Żydzi. Wierzymy, że człowiek został stworzony na ziemi Izraela i dlatego jest to Ziemia Święta. Narody, które żyły tam wcześniej, nie umiały sprostać świętości tej ziemi i dlatego Pan Bóg je stamtąd przepędził. Dał ten kraj w posiadanie Żydom i powiedział, by nie czynili tego samego, co tamci. W przeciwnym razie zostaną wypędzeni. Wszystkie narody, które nie żyją w zgodzie ze świętością tej Ziemi, zostaną stamtąd wyrzucone, tak jak morze wyrzuca na brzeg ciała rozbitków. W tamtych zamierzchłych czasach mężczyźni współtworzyli z sobą tak, jak zdarza się to teraz. Czytałem gdzieś ostatnio, że rozważa się nawet możliwość zalegalizowania tych związków. Zdarzają się – głównie w krajach arabskich – przypadki współżycia ze zwierzętami. Nasza religia surowo zabrania jednego i drugiego. Nie jest też dopuszczalnym, by kobieta brała z banku nasiona i żyła z drugą kobietą".

Menachem Joskowicz
Naczelny Rabin w Polsce,
"Tygodnik Literacki"

ra. Ale jeśli nawet ktoś pragnie wpisać się w poczet owych łatwowiernych, nie zmienia to faktu, że szczęśliwi homoseksualiści wymienieni w raporcie stanowią nieco mniej niż 10 % badanej grupy i są to osobnicy, których zachowania seksualne najbardziej przypominają małżeństwa heteroseksualne. Te 10% było jednak ciągle porównywane z całą próbką heteroseksualną. Co więcej, tę małą grupę "dobrze przystosowanych" homoseksualistów można odnaleźć tylko w tabelach z procentami. Jej rzeczywista liczebność nie jest podana w tekście.

Propagandowy zapał tego studium przebija zarówno poprzez kwestie przemilczane czy potraktowane bardzo ogólnie, jak i poprzez to, co zostało z entuzjazmem podkreślone. Wyraźny jest też rozziew pomiędzy danymi statystycznymi a komentarzem minimalizującym problemy homoseksualistów. I tak na przykład kwestionariusz zawierający 528 pytań nie porusza w ogóle kwestii używania w środowisku homoseksualistów alkoholu i narkotyków. Wzmianka o chorobach wenerycznych wśród mężczyzn ogranicza się do jednego zdania, które pokazuje zarazem i wagę problemu, i świadomą odmowę zajęcia się nim przez autorów. Piszą oni: "Około dwie trzecie mężczyzn każdej z ras zaraziło się w jakimś momencie chorobą weneryczną w wyniku stosunków homoseksualnych, ale z tej liczby większość miała taki stosunek tylko raz albo dwa razy".

W tak błyskawicznym porzuceniu tej kwestii przez autorów raportu zawarte jest implicité zaprzeczenie istnieniu związku pomiędzy indywidualnym zachowaniem seksualnym a jego konsekwencjami społecznymi. Rozwiązłość ma fundamentalne znaczenie dla związków homoseksualnych, ale autorzy raportu zaciągnąwszy się pod sztandary wyzwolenia seksualnego nie dysponują żadnymi standardami normalności mogącymi stanowić punkt odniesienia dla wynaturzeń i dlatego ignorowali je bądź usprawiedliwiali za każdym razem, kiedy się z nimi zetknęli.

Raport podaje, że prawie połowa badanych białych homoseksualistów przyznała się do co najmniej 500 różnych partnerów seksualnych i to przy średniej wieku 37 lat. Ten wysoki stopień rozwiązłości i swobody seksualnej autorzy wyjaśniają jako w znacznym stopniu charakterystyczny dla mężczyzn – nie podają jednak żadnych zestawień z heteroseksualistami. Dalej sugerują jako jedną z przyczyn tego stanu rzeczy domniemaną okoliczność, iż społeczeństwo daje homoseksualistom "niewielkie albo żadne możliwości spotykania się na gruncie pozaseksualnym". Bardzo trudno zrozumieć, co przeszkadza homoseksualistom spotykać się na gruncie nie związanym z seksem, bowiem natura tych przeszkód nie została wyjaśniona.

O łaźniach homoseksualistów wspomina się w raporcie wyłącznie w kontekście tego, jak wielu badanych z nich nie korzystało. Mamy tu jeszcze jedną wskazówkę co do tonu badań. Z tabel statystycznych wynika bowiem, że jedna trzecia homoseksualistów używa łaźni regularnie a 62% korzysta czasami z tych komercyjnych urządzeń w celu nawiązywania anonimowych stosunków seksualnych. Opisując charakterystyczne dla homoseksualistów "krążenie" – to jest poszukiwanie stosunków z nieznajomymi, co – jak się okazuje – dotyczy niemal wszystkich badanych – autorzy zauważają, że aktywność ta w ma zwykle miejsce we "względnie bezpiecznych miejscach jak bary homoseksualistów i łaźnie" i że często respondenci ankiety "spędzają przynajmniej kilka godzin w towarzystwie swoich partnerów". Bezpieczeństwo kontaktów nawiązywanych w barach homoseksualistów i łaźniach polega na wolności od jedynej groźby dostępnej zrozumieniu autorów – groźby społecznej dezaprobaty. Autorzy umieją dostrzec zło wyłącznie w zewnętrznych restrykacjach. Są natomiast w stanie wychwalać przelotne kontakty seksualne, podczas których dotrzymywano sobie wzajem towarzystwa aż przez kilka godzin.

Omawiane tu studium homoseksualizmu przepojone jest fanatyzmem wywodzącym się z

"Ton dzisiejszego myślenia i poradnictwa na temat homoseksualizmu jest niepokojąco pogański. Przymiotnika "pogański" używam tu w sensie dosłownym, a przez pogaństwo rozumiem postawę wyniesienia do rzędu wartości najwyższej czegoś, co nie jest Bogiem. Otóż wielu ludzi, którzy wypowiadają się dziś na temat homoseksualizmu, czyni to w postawie padnięcia na twarz przed bożkiem, któremu na imię potrzeba seksualna. Ludziom tym nie może się pomieścić w głowie, że człowiek o skłonnościach homoseksualnych mógłby odmówić składania ofiar temu bożkowi. Toteż bardzo trudno im wytłumaczyć, że naszą wolność urzeczywistniamy nie poprzez kłanianie się bożkom, ale wręcz odwrotnie: człowiekiem wolnym jest ten, kto jest panem swoich potrzeb i nie pozwoli się zdeterminować przez potrzeby moralnie nieuporządkowane."

Jacek Salij OP,
Poszukiwania w wierze
(1991)

powszechnego przekonania współczesnych socjologów, że moralne i społeczne wymagania obciążają psychikę homoseksualistów niezasłużenie wielkim ciężarem. Alan Bell, współautor i koordynator owych badań, był, podobnie jak autor *The Tearoom Trade* Laud Huphreys, pastorem Kościoła Episkopalnego zanim nie zajął się socjologią, skupiając swą uwagę na przyczynach homoseksualizmu. Ci dwaj mężczyźni obrócili swój moralny zapał w atak na tradycyjne wzorce społecznych zachowań, sugerując, że wraz z obumarciem zewnętrznych zakazów i dezaprobaty będzie się mógł pojawić szczęśliwy i zdrowy homoseksualista – niewinne dziecię natury deformowane dzisiaj przez społeczne zakazy.

Należy w tym miejscu zauważyć, że homoseksualizm kobiecy stanowi, zgodnie z tym jak został przedstawiony w studium Instytutu Kinseya, zjawisko wyraźnie inne niż jego wersja męska. Różnicę tę dostrzegają właściwie wszyscy podejmujący ten temat autorzy. Przede wszystkim lesbijki są mniej liczne (jest ich o blisko połowę mniej niż homoseksualistów męskich). Są również mniej swobodne i skłonne do publicznego ujawniania swej tożsamości i zachowań seksualnych. Większość lesbijek objętych studium miało w trakcie swej kariery seksualnej mniej niż 10 partnerek, wobec 500 partnerów w przypadku mężczyzn. Spośród homoseksualistek tylko mniej niż 20% angażowało się w coś odpowiadającego "krążeniu" (a jeżeli już, to na prywatnych przyjęciach i w specjalnych barach). Kontrastuje to z męskimi homoseksualistami i rozmaitością publicznych miejsc – publiczne toalety, kina, łaźnie, ulice, parki – w których aktywnie poszukują oni kontaktów seksualnych. Nic więc dziwnego, że żadna spośród białych lesbijek i tylko jedna z ankietowanych murzynek zaraziła się kiedykolwiek chorobą weneryczną, co należy zestawić z dwiema trzecimi w przypadku mężczyzn.

Wyraźnie widoczne są różnice emocjonalne pomiędzy płciami. Lesbijki i homoseksualiści wykazują spore różnice w dążeniu do monogamii i intymności oraz w skłonności do oddzielania seksu od uczucia. Dennis Altman, homoseksualista i reprezentujący sfery akademickie apologeta homoseksualizmu, rozważając "narodziny kultury gejowskiej" zwraca uwagę także na inne różnice dotyczące wrażliwości i aktywności społecznej. Pisarki-lesbijki, jak pisze Altman, "wydają się bardziej skłonne do fantazji i wymyślania utopijnych modeli; gejowie dążą bezpośrednio do potwierdzania seksualności i o ile gejowie są bardziej skłonni do rozwijania czegoś w rodzaju komercyjnych przedsiębiorstw połączonych z sauną czy dyskoteką, to lesbijki bardziej skłaniają się do nieśmiałych instytucji alternatywnych... wymagających większego stopnia wspólnotowej, intelektualnej i artystycznej aktywności."

Niezależnie od tego jakie są przyczyny ich odmiennego podejścia do homoseksualizmu, lesbijki były znacznie mniej agresywne wobec ogółu społeczeństwa niż homoseksualiści, którzy przez ostatnie trzydzieści lat stworzyli kulturę męskiego homoseksualizmu, której otwartość i jawność może się równać tylko z klasyczną Grecją. Cóż, kiedy na rygorystyczne konwenanse Greków odnośnie stosowności poszczególnych aktów seksualnych nie ma miejsca we współczesnej kulturze homoseksualnej, odrzucającej wszelkie ograniczenia. Znaczna część jej przejawów odpychałaby Greków jako absurdalna i godna pogardy. Zwłaszcza gwałtowna, niepohamowana i bezmyślna pogoń za kontaktami seksualnymi z nieznajomymi byłaby nie do pojęcia dla społeczeństwa klasycznego, które wychwalało samoopanowanie i czuło odrazę do anonimowości.

Społeczna tolerancja dla rozwiązłości doprowadziła do jej upowszechnienia; zarzucenie zakazów obyczajowych zachęciło do bardziej intensywnego pościgu za skrajnymi doznaniami. Elaboraty o koprofilii w formie anilingus i wkładaniu palców całej dłoni do anusa partnera nie są już rzadkością. Bierna rola w stosunku analnym przez Greków tolerowana co najwyżej w przypadku uległych kobiet i niewolników, jest dzisiaj szeroko rozpowszechniona, przyczyniając się do wybuchu i rozwoju epidemii wirusa AIDS. Anatomowie zwracają uwagę, że małorozciągliwe rectum nie jest przystosowane do stosunków seksualnych, nie mówiąc o wynalazku "fist fucking". Dla Greków byłoby niepojęte, że wolni ludzie mogą dobrowolnie angażować się w takie zachowania.

Wraz z wyzwoleniem seksualnym środowiska homoseksualne w coraz większym stopniu akceptowały także sadomasochizm. Apologeci transgresji nie mieli z tym kłopotów, bowiem podpierali się freudowską wizją seksu jako podstawowej ludzkiej motywacji i koncepcją nieświadomości jako magazynu potężnych sił, które najbezpieczniej wprowadzić do świadomości, by następnie pozwolić im aktywnie wyrazić się w działaniu. Tak więc Altman relacjonuje domaganie się uznania terapeutycznej roli sadomasochizmu, a powieściopisarz John Rechy usprawiedliwia sadomasochizm jako "nowy wymiar miłości i nowe odczucie rozkoszy". Co więcej, sadomasochizm jest przedstawiany jako zachowanie mimetyczne, naśladujące, a więc respektujące naturę. Nad powszechnością sadomasochizmu homoseksualnego, być może perwersyjnego symbolu poszukiwania hierarchii tak pracowicie niszczonych przez społeczeństwo, nie ubolewa żaden z wymienionych wcześniej socjologów. Pewne wątpliwości wydaje się mieć jedynie cytowany już tutaj John Rechy, który nazwa siebie uliczną prostytutką i ujawnia, że brał udział w 7.000. stosunków homoseksualnych.

Jest paradoksem, że odrzucenie wewnętrznych i zewnętrznych ograniczeń celebrowane jako ostateczne wyzwolenie przez kulturę homoseksualną określającą się wyłącznie przez seks, skończyło się dla wielu homoseksualistów na zaakceptowaniu roli niewolnika. Ale prawdziwe niewolnictwo nie ogranicza się tylko do uczestników tak dziwacznych przedstawień. Ksenofont ilustruje podobną kwestię, kiedy cytuje Sokratesa pytającego: "Czy myślisz, że człowiek jest wolny, jeżeli rządzą nim przyjemności cielesne i nie jest w stanie z ich powodu czynić tego, co najlepsze?" Myśl grecka dobrze rozumiała to, o czym zapomniała kultura współczesna: aby być wolnym w swoich przyjemnościach, nie można oddać się w niewolę swoim kaprysom. ▩

Przełożył:
Krzysztof Rafał Górski
(oryginał zatytułowany "Inventing the Homosexual" ukazał się w amerykańskim czasopiśmie "COMMENTARY" w grudniu 1987)

prosto z mostu

POLITYCZNE PRZYZWOITKI DEKONSTRUUJĄ PANA SKRZETUSKIEGO

Marek Tabor

Polaków Portret Własny – taki był tytuł zorganizowanej w 1979 roku wystawy polskiego malarstwa, która stała się bez mała najważniejszym kulturalnym wydarzeniem końca tamtej dekady. Dała ona okazję do burzliwych dyskusji wokół tematu narodowej tożsamości Polaków. A dyskusje takie toczyły się zarówno na łamach prasy (w granicach ściśle wyznaczonych przez komunistyczną cenzurę), jak też, bez tego typu ograniczeń, wśród tłumów ludzi odwiedzających Muzeum Narodowe w Krakowie i przechadzających się pomiędzy barokowymi portretami, płótnami Matejki, Malczewskiego, czy Dudy-Gracza.

Czternaście lat później, w czwartym roku istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej, diametralnej zmianie uległy, jak się wydaje, preferencje i zadania polskiej kultury. Część środowisk intelektualnych podjęła się niewdzięcznego obowiązku wychowania Polaków do życia w europejskich standardach, rozumianych u nas, nie wiedzieć czemu, jako zanegowanie narodowej tożsamości i odrzucenie zasady państwa narodowego, nawet jeśli taka interpretacja europejskiejskości wyklucza z grona światłych europejczyków jednoznacznych zwolenników Europy narodowych ojczyzn w rodzaju Jacquesa Chiraca, Johna Majora, czy Helmuta Kohla. Wybór narodu i państwa narodowego, jako najważniejszego przeciwnika w walce o europejską integrację zaowocował pojawieniem się w polskich mediach lokalnej odmiany Political Correctness, czyli zasad "Politycznej Przyzwoitości", które na co bardziej postępowych uniwersytetach amerykańskich uniemożliwiają omawianie na wykładach dramatów Williama Szekspira – znanego męskiego szowinisty ("Poskromienie złośnicy") i antysemity ("Kupiec wenecki"), natomiast w Polsce każą traktować z nieufnością i eliminować z języka mediów pojęcia tak bardzo naznaczone agresywnym szowinizmem, jak "naród" czy "polskość".

Na łamach "Gazety Wyborczej" jawne oswajanie Polaków z nowymi regułami "Politycznej Przyzwoitości" rozpoczęto wiosną tego roku. Listy i telefoniczne apele czytelników w większości redakcji na świecie traktowane są jako najbardziej skuteczny instrument prowadzenia polityki redakcyjnej (w niektórych redakcjach specjalnie oddelegowany dziennikarz pisze zamówione przez redaktorów politycznych "głosy czytelników"). Także redaktorzy "Gazety Wyborczej" postanowili rozpocząć swoją kampanię "Politycznej Przyzwoitości" od zacytowania telefonicznej wypowiedzi pewnego zdenerwowanego czytelnika. Reagując na pojawienie się słowa "naród" w homilii wygłoszonej przez Biskupa Polowego Wojska Polskiego w dniu 3 maja, anonimowy czytelnik dzielił się z innymi anonimowymi czytelnikami swoim strachem i oburzeniem mówiąc między innymi: "... Ja! Ja boję się (słowa naród), bo cudem ocalałem spod partii narodowych socjalistów... Na Bałkanach walczy Naród Wielkiej Serbii – to też powód, dla którego słowo naród opornie – bo strach dusi – przechodzi mi przez gardło." Dokładnie w dwa dni później do akcji wszedł Andrzej Osęka, pełniący na łamach GW funkcję dyżurnej Przyzwoitki Politycznej. W swoim felietonie zatytułowanym, po prostu "Boję się słowa 'naród'" Osęka powtórzył i rozwinął wszystkie argumenty "anonimowego czytelnika". Jako intelektualny erudyta i człowiek ambitny postanowił jednak sięgnąć do samego źródła narodowego szowinizmu i zlustrować pod względem Politycznej Przyzwoitości twórczość Horacego. "Słowa Horacego 'dulce et decorum est pro patria mori' (słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę) – pisał Osęka – brzmią wspaniale, wskazują na istnienie ideałów cenniejszych niż życie. Jednak niedaleko stąd do przeświadczenia, że słodko i zaszczytnie jest też wyprawiać na tamten świat ludzi, którzy mącą 'czystość etniczną' narodu." Oprócz bezwzględnego zdemaskowania Horacego jako zapomnianego duchowego ojca nazistowskiego "ostatecznego rozwiązania", Osęka powtórzył także odkrywcze twierdzenie Ernsta Gellnera, że to "nacjo-

nalizm stwarza narody, a nie na odwrót", aby zakończyć swój tekst słowami:" Kiedy słowem NARÓD posługują się obficie NARODOWCY – jest to w moim przekonaniu wystarczający powód, by się go obawiać."

Należałoby w tym miejscu zauważyć, że także powoływanie się na nieograniczoną wolność jednostki przez anarchistycznych terrorystów, czy na interes międzynarodowego proletariatu przez tych, co to wszyscy wiedzą, było przyczyną wielu zbrodni i wynaturzeń. A jednak byłoby absurdem zniechęcać z tego powodu socjologów do posługiwania się kategoriami pochodzenia społecznego, czy też uczulać psychologów na groźne skojarzenia związane z terminem "indywiduum". Wspominając o niebezpieczeństwie absolutyzowania jednego z wymiarów osoby ludzkiej, wymiaru tożsamości narodowej, Osęka zapomniał, że takim samym niebezpieczeństwem jest przedstawianie człowieka wyłącznie, lub przede wszystkim, jako jednostki czy reprezentanta jakiegoś społecznego środowiska. Dopiero suma wszystkich wymiarów, w tym także wymiaru narodowej tożsamości, sprawia, że stajemy się kompletną osobą. Jednak felieton Osęki, tak samo jak wypowiedź oburzonego czytelnika GW, nie były próbami podjęcia jakiejkolwiek poważnej polemiki. Zgodnie z naczelną zasadą perswazyjnej techniki "Politycznej Przyzwoitości" miały jedynie wytworzyć u czytelników odruchową nieufność do tego właśnie wymiaru osobowej tożsamości, umożliwiającą docelowo skuteczne atakowanie przeciwników politycznych w oparciu o bezrefleksyjne odrzucenie przez ofiary "Politycznej Przyzwoitości" wszelkich terminów opatrzonych przymiotnikiem "narodowy".

Jako pewne uzupełnienie, na łamach GW pojawiły się również inne sondażowe teksty podejmujące najważniejszy chyba motyw "Politycznej Przyzwoitości", to znaczy demaskowanie podświadomego rasizmu i fobii właściwych zbiorowej psychice narodowych wspólnot i ukrytych w ich literaturze i języku. W tekście "Niepoprawny Matołek" zamieszczonym w numerze GW z 1 czerwca tego roku (Międzynarodowy Dzień Dziecka) Monika Adamczyk-Garbowska ironizuje oczywiście na temat absurdów zachodniej Political Correctness (jesteśmy przecież dopiero w fazie oswajania polskiego czytelnika). W dalszej części tekstu autorka cytuje jednak fragment bajki Marii Konopnickiej "Sierotka Marysia", w którym krasnoludek Poziomek wygrywa na fujarce piosenkę do słów "Oj, dana, dana, pilnuj Cygana! Bo Cygan złodziej, wozy podchodzi", aby skomentować ten nieprzyzwoity fragment dziecięcej klasyki w następujący sposób: "Nie twierdzę, że istnieje bezpośredni związek między lekturą 'Sierotki Marysi' a pogromem w Mławie, niemniej scena kończąca się poturbowaniem Cygana budzi niemiłe skojarzenia. Podobnie jak używana przez Konopnicką forma "Cygany" zamiast "Cyganie"... Podobnie "niemiłe skojarzenia" budzi u autorki lektura "Przygód Koziołka Matołka", w których Makuszyński przedstawia Murzynów jako "prymitywnych dzikusów, w dodatku ludożerców". "Czytając wcześniej czteroletniemu synowi 'Koziołka Matołka' nie wiedziałam, co zrobić z tym fragmentem i najchętniej go opuszczałam" przyznaje pani Monika, sugerując jednocześnie najwłaściwszy sposób postępowania z Nieprzyzwoitymi Politycznie fragmentami dziecięcej i nie tylko dziecięcej klasyki literackiej. Pani Monice sekunduje dzielnie pewien czarnoskóry czytelnik "Gazety...", który uznaje za upokarzające używanie w odniesieniu do niego przez Polaków wysoce obraźliwego określenia "Murzyn". Zdenerwowany czytelnik nie proponuje jakiegoś istniejącego w polskim języku bardziej neutralnego określenia. Nie wspomina też o istnieniu jeszcze bardziej obraźliwego epitetu jakim obrzucamy na co dzień naszych zachodnich sąsiadów. Nazywamy ich bowiem Niemcami, czyli, etymologicznie rzecz biorąc, niemowami, tymi którzy nie mówią w żadnej ludzkiej (zrozumiałej dla nas) mowie. Oczywiście tak drobiazgowe przeszukiwanie języka potocznego w poszukiwaniu materialnych dowodów na istnienie głębokiego, aczkolwiek nie zawsze uświadomionego narodowego szowinizmu, jest zachowaniem głęboko paranoidalnym. A jednak weszło już ono do klasyki zachowań zachodnich intelektualistów o lewackich skłonnościach, którzy zaopatrzeni w słowniki terminów Politycznie Nieprzyzwoitych przystąpili do cenzorskiego oczyszczenia literatury i języka potocznego w swoich krajach.

Także zorganizowana w czternaście lat po pamiętnej wystawie *Polaków Portret Własny*, w warszawskim Muzeum Narodowym, najbardziej chyba reprezentatywna prezentacja polskiego portretu barokowego, aby nie rozdrażniać Politycznych Przyzwoitek, nazwana została po prostu *Gdzie Wschód spotyka Zachód*. Wyborowi przez organizatorów wystawy takiej definicji polskiego baroku można zarzucić pewną arbitralność. Oczywiście każda kultura narodowa kształtowała się w polu rozmaitych kulturowych, religijnych i etnicznych wpływów. Jednak istnieje mimo to jako pewna realna, odrębna kategoria właśnie dlatego, że jest wartością substancjalnie samoistną, i nie redukuje się jedynie do "spotkania", czy "dialogu" wpływów, które ją kształtowały. Szczególnie zaś trudno uznać taką redukcję w odniesieniu do kultury tak silnej i samoistnej jaką była polska kultura barokowa, która właśnie z powodu swojej wyrazistości stała się jednym z ważnych elementów historycznej samoświadomości Polaków. Myślę, że były socjalistyczny Minister Kultury Republiki Francuskiej Jack Lang, wyjątkowo konsekwentnie stosujący jako mecenas sztuki reguły "Politycznej Przyzwoitości", mógłby, korzystając ze stworzonej w Warszawie definicji kultury narodowej jako korelatu, zatytułować wersalskie zbiory francuskiego malarstwa dworskiego i rzeźby po prostu – *Gdzie Maurowie spotykają Germanów.*

młot na czarownice

OD LAT OSIEMNASTU

Wojciech Tomczyk

Miałem nadzieję, że tym razem zbastują na dłużej. Nic z tego. Jeszcze się ziemia na mogile dobrze nie uleżała, a oni z punktu ruszyli do boju. Troszkę się przegrupowali. Kto tam bardziej był umoczony to się odrobinę przyczaił, kto mniej, wyskoczył niczym królik z cylindra. I dalejże harcować na pierwszej linii w walce o rząd dusz. Konkretnie, o przyciągnięcie elit na swoje "salony". Oni słowo elita wymawiają: Nazwiska. Zawsze ich potrzebowali – to Nazwiska i Twarze ich legalizowały (obok rzecz jasna Armii Czerwonej). Teraz, może nawet bardziej niż kiedykolwiek potrzebują afiszować się w dobrym towarzystwie (czy jakimkolwiek towarzystwie).

Trzeba sobie jasno powiedzieć: ich położenie jest nader kłopotliwe. Sytuacja takiego na przykład redaktora Wojciecha Garstki, rzecznika prasowego i wpływowej osobistości "pirackiej" telewizji Top Canal jest nad wyraz niewyraźna. Społeczeństwo pamięta, że był on przez kilka długich, trudnych lat pułkownikiem Wojciechem Garstką, rzecznikiem ministra miłości Czesława Kiszczaka. Aby wystąpić w telewizji takiego pana, trzeba mieć w sobie, czy ja wiem... jakąś taką stawroginowską wręcz dwoistość albo samozaparcie.

W pracy na odcinku środowisk naukowych i twórczych większą wprawę mają funkcjonariusze frontu ideologicznego, czyli dawnego ministerstwa prawdy z przybudówkami. Niewiele się tu zmieniło. Znajomość zasady kija i marchewki, jak się wydaje, wyczerpuje ich wiedzę o życiu i Kosmosie. Doszło do tego, że na przykład w od lat intrygującym piśmie "Polityka" od kultury są Zdzisław Pietrasik i Kazimierz Koźniewski. To o czymś świadczy.

Oprócz poważnych luk personalnych współżycie z elitami utrudnia im dziś jeszcze jeden drobiazg – brak zarówno kija jak i marchewki. Mówiąc brutalnie. Na początku władzy ludowej było tak, że pan od kultury – Jerzy Borejsza nie był sam. Miał brata manicurzystę. Teraz jest inaczej. Ich nowy image – twardych fachowców, myślących racjonalnie menedżerów, pragmatyków europejskości – wyklucza stosowanie tortur. Dziś mogą Oni straszyć elity najwyżej tym, że podzielą los peerelu, to znaczy, że czeka je zgon i zapomnienie. Ponieważ w gruncie rzeczy – tak myślą Oni – polska elita jest tożsama z elitą peerelu (cokolwiek ten ostatni termin miałby oznaczać).

Równie nieświeża jest marchewka. Czterdzieści lat wcześniej panowie Borejsza, Kuryluk, Sokorski dawali WSZYSTKO. Po prostu WSZYSTKO, nawet coś na kształt obietnicy nieśmiertelności. Dziś oferują Oni tylko kasę. Lakierowane okładki broszur wydawnictwa BGW nie obiecują za grosz nieśmiertelności.

Nic dziwnego, że w tych warunkach nikt, czy prawie nikt, nie zadał się z Nimi. Jeśli kogoś nawet przekonały te argumenty i postanowił przymknąć taktycznie wrażliwe oczęta na to, kim Oni są i jaką rolę odegrali w naszej, było nie było, historii, to i tak musi się powstrzymać. Wciąż żywa jest w narodzie pamięć o ciężkim nokaucie cywilnym, jaki przytrafił się czołowej do niedawna postaci naszej sceny publicznej. Gość ów, idol młodzieży płci obojga, pojechał do Paryża promować Tego, co Państwo wiecie, oraz jego książkę. Intensywnie lansował go w programie telewizyjnym przeznaczonym dla ofiar gwałtu i gwałcicieli. Kto wie, czy ten upadek idola nie wywołał w kraju większego poruszenia niż tragiczna, bezsensowna śmierć dawnego mistrza żużla, Edwarda Jancarza. (W Warszawie skądinąd, od czasu położenia tartanu na Skrze, żużlowcy nie zażywają takiego poważania jak dawniej.)

Oczywiście zdarzają się marginalne, lecz – przyznaję – rzucające się w oczy wpadki. Przytrafiają się one postaciom głośnym, lecz w gruncie rzeczy trzeciorzędnym. Zdarzają się również wypadki uczestnictwa ludzi nieumoczonych w imprezach już nie podejrzanych, a – powiedzmy to słowo – jawnych. Na szczęście są to zdarzenia zupełnie nieistotne statystycznie. W podziemnej prasie pisało może kilka tysięcy ludzi, lecz tylko dwaj z nich – Witold Bereś i Jerzy Skoczylas – zdecydowali się na napisanie książki tak pełnej bezinteresownej podłości, jak *Generał Kiszczak mówi prawie wszystko.*

Wróćmy do elity, do której wymienieni wyżej panowie raczej nigdy nie tego. Otóż elita, wbrew temu, co nawet niektórzy z jej przedstawicieli niefrasobliwie chlapią tu i tam, spisuje się doskonale. Dobitnym tego dowodem jest ostatni film Andrzeja Wajdy. *Pierścionek z orłem w koronie* to film, który wywołał głuchą wściekłość całej lewicy, także tej niekryminalnej. Oni zareagowali na *Pierścionek* tak, jak od kilkudziesięciu lat reagują na wszystkie dzieła Wajdy i tegoż Wajdy sukcesy. Radio Zet udzieliło na ten przykład swego gościnnego mikrofonu panu Kałużyńskiemu, który ustalił, że Wajda kręcąc swój nowy film szkaluje Ludową Ojczyznę, czyli podcina gałąź, na której siedzi, bo przecież to w Polsce Ludowej kręcił arcydzieła. Innymi słowy, wraca teza o artystach stworzonych przez komunistów, wykarmionych przez nich własną piersią. Kałużyński jest kim jest i tego nie zmieni. Jednak mógłby w końcu

---

WOJCIECH TOMCZYK – ur. 1960, scenarzysta, krytyk filmowy; publikował w "Tygodniku Literackim", "Filmie", "Kulturze niezależnej", "Gazecie Wyborczej".

przestać traktować swoich czytelników i słuchaczy tak, jak ich traktuje do tej pory. To znaczy, jak pluton średnio rozgarniętych ormowców.

Tymczasem nowy film Andrzeja Wajdy lokuje się wśród dzieł wyznaczających kierunki zmian w światowym kinie. Wajda po raz kolejny potwierdza swoją przynależność do elity, tym razem światowej. Jednocześnie bezbłędnie wyczuwa, rozpoznaje i nazywa najistotniejsze problemy polskiej współczesności. Ten akurat talent Wajdy dla mnie jest po prostu nadludzki.

Ktoś zapyta, cóż takiego nowatorskiego znajdziemy w Pierścionku, co sytuuje ten bardzo wajdowski, a więc siłą rzeczy nieco tradycyjny film w głównym nurcie przemian światowego kina. Otóż Wajda, wraz z takimi tuzami jak Robert Altman i Louis Malle, poddali rewizji jeden z najświętszych dogmatów przemysłu filmowego. Wszyscy trzej panowie poświęcili swe najnowsze filmy bohaterom negatywnym. Kino zaś, jak świat światem, nie trawi łajdaków w głównych rolach. Widownia - największy dyktator kinowej mody - ma trudności z utożsamieniem się z szumowinami, ludźmi wątpliwych zasad czy słabego charakteru. W tej sytuacji *Gracz*, *Skaza*, *Pierścionek z orłem w koronie* zdają się być filmami niezwykle ryzykownymi.

Gracz to historia hollywoodzkiego producenta, przypadkowego zabójcy coraz głębiej wciąganego we flirt ze złem. Nic więc dziwnego, że osiąga sukces, na który składają się pozycja, kasa i kobieta.

Skaza Louisa Malle'a jest nie mniej zabawna. Opowiada historię starzejącego się eurokraty-idioty (w tej roli jakże przekonywający Jeremy Irons), który brykuje narzeczoną swego jedynego syna. Ten skutkiem tego popełnia samobójstwo. W tej sytuacji bohater *Skazy* robi to, co każdy mężczyzna powinien zrobić, znalazłszy się na jego miejscu. Zostaje wegetarianinem, wyjeżdża na Południe, gdzie samotnie kontempluje - sympatycznie przy tym siwiejąc na skroniach - ogromną fotografię przedstawiającą jego, ją i nieboszczyka.

Malle i Altman udowadniają wszystkim, że dzisiejsza publiczność jest w stanie zaakceptować łajdaka, jeśli tylko leży na nim dobrze garnitur. Pokazali to Miastu i światu i nikt nie poczuł się zgorszony.

Inaczej dzieje się w filmie Wajdy. Jest to film - spośród tych trzech - najpoważniejszy. Historia osadzona jest w - do bólu prawdziwych - realiach Polski lat czterdziestych. Wajda porusza istotny problem - problem ludzi z AK, którzy po wkroczeniu sowietów do Polski zdecydowali się na współpracę z marionetkowym rządem lubelskim i zupełnie nie marionetkowym Urzędem Bezpieczeństwa. Mimo presji okoliczności było to zjawisko ilościowo nieistotne. W Armii Krajowej służyło przecież kilkaset tysięcy ludzi. Część z nich mogła być podatna na demoralizację. Zresztą sytuacja historyczna, choć niezwykle istotna, stanowi tylko decorum. Andrzej Wajda nigdy nie kręcił filmów historycznych. Z właściwą sobie bezkompromisowością kręcił wyłącznie filmy współczesne. Także *Pierścionek* koncentruje się na problemach najistotniejszych dla naszej, współczesnej, zbiorowej tożsamości. Po pierwsze definitywnie rozprawia się z zespołem chorobowym Gustawa Konrada. Bohater *Pierścionka*, Marcin, posuwa się szlakiem Mickiewiczowskiego bohatera. (Dla porządku przypomnę, że chodzi o *Dziady*). Najpierw przechodzi nieszczęście osobiste, później przegrana spotyka jego pokolenie. W pewnym momencie wszelako Marcin wybiera los Jankowskiego, Konradowego towarzysza z celi. O Jankowskim znawca Mickiewicza profesor Juliusz Kleiner napisał po prostu - "Jak zwykle w takich wypadkach - znalazł się zdrajca". Podobną drogę wybiera bohater *Pierścionka*. Idzie na współpracę, podejmuje "grę" z UB. Doprowadza do wyaresztowania swoich przełożonych, przywódców podziemnego państwa. Kiedy Marcin pojmuje wreszcie, co zrobił, jest już za późno. Nikt nie chce słuchać jego wyjaśnień i skarg na niesłowność ubowców. Nie ma nikogo, komu Marcin mógłby powiedzieć, że nie chciał źle, a wręcz przeciwnie - chciał dobrze. W tej sytuacji strzela sobie z pistoletu w głowę.

I to jest kolejna rzecz, którą głośno i wyraźnie mówi Wajda. Tak kończą ludzie, którzy wdają się z Nimi - z komunistami - w układy. Czeka ich odrzucenie i potępienie. Miłoszowska "gałąź pod ciężarem zgięta", wydaje się być przywilejem dostępnym jedynie tym, którzy, jak Marcin, zachowali resztę skrupułów.

Wreszcie nie ma żadnych niedomówień i dwuznaczności - komuniści w *Pierścionku* nie noszą garniturów z angielskiej wełny, tak jak emerytowani dziś generałowie. W filmie Wajdy komuniści to potwory! Proszę tylko zobaczyć, jak rozgrywane są sceny między Marcinem i ubekiem Kosiorem (genialna rola Cezarego Pazury). Każdy najdrobniejszy nawet gest Kosiora, każde wypowiedziane przezeń słowo zmierza do zniszczenia, sponiewierania Marcina. Oto on, towarzysz porucznik Kosior - pan życia i śmierci, komunista, czyli człowiek nie rozumiejący uczciwości. Człowiek nie przyjmujący do wiadomości istnienia dobra. Klimat powszechnej nienawiści i podejrzliwości, w ohydnym świecie instalującej się przecież władzy ludowej, odtworzony został niesłychanie sugestywnie. W powietrzu unosi się zapach krwi. Tak wyglądało podbijanie krajów przez barbarzyńców. Tak wyglądały "baraki morderców". Tak wyglądały "posyłane w teren wnuczęta Aurory". Tego obrazu w kinie polskim brakowało. I taka jest (i trudno się było spodziewać, że Andrzej Wajda sformułuje inną) odpowiedź na pytania nurtujące polską opinię, a w życiu publicznym tak brzydko zatupywane i zakrzykiwane. Pytania o to, czym była peerel, czym była okupacja sowiecka, czym był komunizm?

Pośrednio z tymi pytaniami, a już na pewno z ich zatupywaniem wiąże się zasadniczy temat tego wypracowania. Po tak wyraźnej i jednoznacznej wypowiedzi Andrzeja Wajdy, każdy, kto teraz pójdzie z Nimi na współpracę, na relatywizacje, czy choćby na spijanie koktajli, każdy kto pójdzie się z nimi publicznie obłapiać, czy napisze jakiemuś łajdakowi książkę, w której tamten będzie szkalował pamięć ludzi zabitych przez swoich pomagierów, teraz, po filmie Wajdy, będzie mógł powiedzieć sobie, że wykazał się, że się tak wyrażę, specyficzną odwagą cywilną.

Dokładnie taką jak ta, dzięki której królik wyskakuje z cylindra. ■

déjà vu

PERON

Jan Wróbel

Generał Juan Domingo Peron (1895–1974) łatwo zmieniał polityczne poglądy i przyjaciół. Potrafił gloryfikować armię i wkrótce potem potępiać "koła wojskowe". Zalecał szacunek do Kościoła, po czym atakował jego antyrządowe struktury. Potępiał terroryzm i zachwalał jednocześnie "czyn rewolucyjny". "Nasza pozycja – tłumaczył po latach swoim zwolennikom – jest na lewicy, na prawicy lub w centrum, w zależności od okoliczności". Jedyną bodajże siłą, wobec której pozostał lojalny, były związki zawodowe.

Początków tego sojuszu szukać trzeba w roku 1943, gdy Peron objął funkcję kierownika Sekretariatu Pracy i Opieki Społecznej. Było to wkrótce po zamachu stanu dokonanym przez Grupę Zjednoczonych Oficerów. W ciągu kilku następnych lat działalność Sekretariatu zdobyła sobie sympatię niższych warstw społeczeństwa argentyńskiego. To z jego inicjatywy ustanowiono płatne urlopy, czterdziestogodzinny dzień pracy, płace minimalne. Zobowiązano pracodawców do wypłacania przez Bożym Narodzeniem "premii gwiazdkowych". Niebawem ustawodawstwo Republiki Argentyny zagwarantowało zatrudnionym i ich rodzinom środki na "mieszkanie, wyżywienie, naukę, a nawet odpoczynek i rozrywkę".

Kiedy dzięki poparciu robotników Peron został wybrany prezydentem, jego głównym hasłem stała się redystrybucja dochodu narodowego. Kuźnią kadr ruchu politycznego – popierającego prezydenta – stał się właśnie Sekretariat Pracy, szerokie zaplecze tworzyły natomiast związki zawodowe. Liczba ich członków rosła lawinowo. Zreorganizowana przez Perona Generalna Konfederacja Pracy (CGT) rozrosła się w dekadzie 1941–1951 z 330 tysięcy do 2,5 miliona członków. Liderzy związkowi stawali się senatorami, posłami, urzędnikami administracji państwowej i lokalnej. Instytucje państwowe związane z rozbudowaną sferą polityki społecznej zatrudniały rzesze aktywistów CGT. Związkowcy zdominowali zupełnie Ministerstwo Pracy. Instytucje państwowe interweniowały w konflikty z pracodawcami, zwykle opowiadając się po stronie związków.

Wprowadzenie w życie reform społecznych wymusiło przebudowę argentyńskiej gospodarki. Forsowna industrializacja podjęta przez Perona miała przede wszystkim uzasadnienie polityczne. Służyła wypełnianiu idei "gospodarczej niepodległości" przez nowoczesny przemysł państwowy. Liczono też, że uprzemysłowienie sprzyjać będzie awansowi społecznemu mas, znajdujących zatrudnienie w przemyśle.

Dzięki koniunkturze wojennej Argentyna posiadała znaczne rezerwy walutowe. Postanowiono spożytkować je dla szybkiej modernizacji i rozbudowy przemysłu – zwłaszcza ciężkiego. Często spotyka sie oceny tej polityki przyznające sukces pierwszemu okresowi industrializacji i porażkę drugiemu. To prawda, że obniżenie się poziomu życia wyraźnie nastąpiło dopiero po roku 1957. Jednak wcześniejsze sukcesy były spowodowane nie tyle właściwym wyborem politycznym, ile istnieniem rezerw pozwalających na ich sfinansowanie. Ogromne sumy zainwestowane w industrializację nie zwróciły się. Przemysł cierpiał z powodu niskiej wydajności pracy, przerostów zatrudnienia, biurokratycznego zarządzania. Jego wyroby nie stały się konkurencyjne na rynkach światowych, produkcja wymagała natomiast kosztownego importu. Reforma gospodarcza nie udźwignęła programu przemian społecznych.

Lewica przez wiele lat próbowała przedstawić Perona jako "bonapartystę". Argentyna lat 1943–1955 to – według tej wizji – państwo pozoru, roztaczające opiekę nad robotnikiem po to, by stabilizować dominację wyższych klas społecznych. Juan Jose Sebreli słusznie zauważa, że trzy siły stanowiące filary "bonapartystycznego państwa", czyli Kościół, wojsko i policja były bardziej życzliwe Peronowi, niżby mogły o tym świadczyć ich późniejsze wypowiedzi. Nie można się jednak zgodzić z przecenianiem znaczenia tych instytucji dla państwa peronowskiego. Każda z nich była wewnętrznie zróżnicowana. Trudno też mówić o militaryzacji życia publicznego, czy szczególnie rozbudowanych wpływach Kościoła i policji.

Peronizm przetrwał nie dzięki policji, wojsku, czy Kościołowi. Trudny okres 1955–1973 udało się przejść dzięki związkom zawodowym. Od obalenia Perona przez wojskowych do jego powrotu do władzy żaden rząd nie potrafił przelicytować generała-prezydenta w obietnicach wobec mas i związków zawodowych. Związki zatem torpedowały każdy zwrot ku polityce zaciskania pasa czy równowagi rynkowej. Obietnice krótkiego stosunkowo okresu ponuro zaważyły na gospodarczej sytuacji Argentyny. Zamiast wykorzystania istniejących u progu drugiej połowy XX wieku nadwyżek, kraj ten został wtrącony w cykl kataklizmów napędzanych nieefektywnością gospodarki i rozbudzonymi aspiracjami związków.

JAN WRÓBEL – ur.1964, historyk, publikował w "Przeglądzie Powszechnym", "Mówią Wieki".

o potrzebie głupoty

NĘDZA FELIETONU

Rajmund Kalicki

Jest jak ogon psa: nie za bardzo wiadomo do czego służy. Wlokąc się w tyle, za istotą spraw, wyraża zwykle emocje i nic ponadto, nawet jeśli udaje zamiary głębsze i dzielnie chce pomóc w narodzinach myśli. Te felietonowe porody są zresztą zwykle nieudane; powstaje myśl niekształtna, pokrętna. Pełna teratologia; potworność. Esencją felietonu jest ciało bez ciała, meduzowatość, bezlik wolnych skojarzeń, którymi rządzi duch połowiczności: mądrze, ale nie za bardzo; wesoło, lecz nie do końca; prawdziwie, choć tylko po części... Nie jest to przy tym, jak można by sądzić, owo szczęśliwe – znojnie poszukiwane przez tropicieli wszelkiej epoptyki – połączenie przeciwieństw, upragniona przez metafizyków pełnia słów i rzeczy. To tylko błahy cień obu tych tajemnic. Gra. Zabawa. Zwykłe szalbierstwo.

Najciekawsze jest, że zamykając pismo, mimowolnie puentując je lub dopełniając, felieton nadaje mu rodzaj jakiegoś bezradnego niedookreślenia, rozmywającego się wśród pomówień, luźnych domysłów i starych żartów. (Ostatnio upowszechnił się w naszej prasie zwyczaj powtarzania leciwych żydowskich anegdot, jak wiadomo – najlepszych, w których z niejasnych dla mnie powodów zmienia się to i owo, zaczynając rzecz w taki oto nieokreślony sposób; "pewien mądry człowiek...". Kochane ludziska: przecież ten mędrzec jest z Lubartowa, a więc czemu nie napisać o tym, skoro nie ma w tym nic, ale to nic wstydliwego (a poza tym wkrótce będziemy mieli tam międzynarodowy uniwersytet z angielskim językiem wykładowym!).

W Polsce felieton całkowicie (prawie) wyparł z gazet szkic, co zresztą z socjologiczno-estetycznego punktu widzenia jest łatwo wytłumaczalne: felieton jest nuworyszowski, półintelektualny, płochy jak dorastająca panienka. Esej to kobieta o spojrzeniu dojrzałym, która więcej widzi niż mówi, a wiadomo, że najciekawsze są spojrzenia kobiet czterdziestoletnich, bo odsłaniają tę nieuchwytną granicę między tak i nie, między jest i nie ma. "Tak" jest już gdzieś daleko, a "nie" dopiero się czai, aby wkrótce zamienić się w "nie ma".

Podstawowa zasada felietonu to pamięć o czytelnikach, a ponieważ tych ma być wielu, autor dwoi się i troi, i tak oto spełnia się jedna z mniej znanych myśli Ortegi: prawdziwy filozof ma zawsze jedną ideę, w którą głęboko wierzy i której broni; literat (także ten gazetowy) ma ich cały bezlik, stosownie do potrzeb i okoliczności. Idee te, rzecz jasna, są przeważnie namiastkami prawd; to komunały wyprowadzane z codzienności, z doraźnych emocji, zwykle z niechęci. Aby wszystko to – pospolite myśli, nędzne zamiary – ubarwić, wspiera się tę nijakość repertuarem przypowieści, anegdot, tym co kiedyś nazywało się rara et curiosa. Najlepsze są do tego kobiety i pieniądze.

Claudia Schiffer, niemiecka modelka, blond bóstwo o boskich wymiarach 181 cm wzrostu, 95 w biuście, 62 w talii i 99 w biodrach, poruszyła dziennikarzy nie tylko swym wyglądem, ale też wyznaniem: "Nie z własnego wyboru stałam się piękna – liczy się jedynie uroda wewnętrzna, ta która nie jest nam dana, ale trzeba ją samemu w sobie wypracować". Ba!

Pieniądze: najbogatszym mężczyzną świata jest czterdziestosześcioletni Hossanal Bolkiah, sułtan Brunei. Jego pałac liczy dwa tysiące komnat. W stajniach trzyma 800 rasowych koni, a w garażach ma 155 rolls-royce'ów.

Felieton skupia w sobie wszystkie (nazwijmy to modnie) grzechy dziennikarstwa: doraźność i powierzchowność, gubienie miary rzeczy i niedocenianie słów, rozbieżne, zezowate widzenie idei i ludzi, myśli i spraw. To ciągła pogoń za człowiekiem, który pogryzł psa.

Przed wieloma laty pracowałem krótko w agencji prasowej, robiąc przeglądy terenowych dzienników. Wyszukiwałem prowincjonalne michałki, jakie umknęły prasie centralnej. Wszystkie one, przełożone na angielski, stanowiły potem ofertę dla zagranicznych agencji informacyjnych, które w niczym nie różnią się od naszej i też gorączkowo szukają tanich niezwykłości. Reuterowi najbardziej przypadła do gustu wiadomość o wilkach, które wczesną jesienią, bodajże roku 73., zaczęły przemykać na słowacką stronę, co – zdaniem górali – zapowiadało ostrą zimę. Kupiono ten michałek i puszczono w świat pod katastroficznym tytułem "Is the harsh winter co-

---

RAJMUND KALICKI – ur. 1944; eseista, tłumacz, członek zespołu redakcyjnego "Twórczości", publikował w "Twórczości", "Odrze", "Tygodniku Literackim". Autor książek "Borges", "Tango - Gombrowicz".

ming?" (Czy nadchodzi sroga zima?).

Kupczenie informacją zaczęło się właściwie wraz z narodzinami nowożytności. W średniowieczu rzeczy trwały stosownie do swej wagi: błahość rozwiewała się z kolejnym wschodem słońca i dlatego w starych *Upomnieniach kapłańskich* o czarach, zabobonach, strachach mówi się zaskakująco przytomnie: "najlepiey niegadać o tem czego się niewidziało, a zwłaszcza niegadać tego małym dzieciom..."

Nieszczęściem dziennikarzy stało się to, że nie mogą obwieścić – jak jeden z przyjaciół Szwejka – iż Ziemia jest kulą, w której wnętrzu znajduje się inna, większa od tej zewnętrznej... Można by, co prawda dociekać, czy Claudia Schiffer poznała już sułtana Brunei, ale nie jest to, z prawnego punktu widzenia, zabawa bezpieczna...

Najgroźniejszym rywalem felietonisty nie jest dziś inny, bardziej pracowity felitonista, wypełniający swoje cotygodniowe pensum, ale bezkonkurencyjna głupota większości telewizyjnych programów. Wiemy, że obraz coraz bardziej wypiera słowo pisane, że przeżywamy elektroniczną rewolucję, która... itd, itd. I tak oto dziwnie się dzieje, że nic już po słownej bystrości i swadzie: szczebiot byle telewizyjnej panienki lepiej dziś zaspokaja naszą najskrytszą potrzebę głupoty – bo jest przecież taka, choć nikt o tym nie pisze; czemu? – niż znojne, cotygodniowe wypracowania zapełniające ostatnie lub przedostatnie strony gazet i tygodników.

Na jednym z literackich zjazdów stałem koło Karla Dedeciusa, gdzieś w tyle. Długo przysłuchiwał się on popisom mówców, a potem, kiedy już doszczętnie pomieszano absolut z marchewką, a losy świata z kijem, westchnął łagodnie: Ach, Polska, kraj felietonistów!

Henryk Waniek twierdzi (i ma podobno na to dowody), że większość gilotyn we Francji w czasach Wielkiej Rewolucji obsługiwali właśnie felietoniści. Napracowali się wtedy okrutnie, co potwierdzają między innymi nie wydane jeszcze u nas wspomnienia markiza de La Tour du Pin... Przy wtórze werbli odbywało się widowisko w niczym nie ustępujące atrakcyjnością przedwyborczym dyskusjom polityków.

Znużenie, jakie ogarnia mnie, ilekroć sięgam po naszą prasę, przywodzi na myśl bezsens codziennych porannych czynności: trzeba wstać, pójść na stronę, umyć się, wyjść z domu, i tak raz po raz. Semper idem. Ta powtarzalność ma swoje poważne nazwy i głębsze uzasadnienia, ale w niczym nie zmieniają one jej monotonii. Gazeta jest jak dzień codzienny i, co gorsza, wcale nie chce być inna. Naprzykrza się hałaśliwie po to tylko, aby nic z tego krzyku nie wynikło. Wystarczy sięgnąć po byle dziennik sprzed roku lub dwóch: w większości okażą się mniejszymi lub większymi płachtami makulatury. Kiedy napisałem o tym dziesięć lat temu w jakimś krótkim tekście drukowanym w "Twórczości", cenzura kazała skreślić to niewinne zdanie.

Głupota gazet wynika nie tyle z głupoty powszedniości, co wyczerpania się tradycyjnej redaktorskiej formuły. Prasa nie odnalazła się jeszcze w nowej sytuacji, kiedy codzienność pełniej i lepiej rejestrują obrazy niż słowa drukowane. Słowo gazetowe stało się martwe. Myśl felietonu – jego duch – jest na miarę tego słowa.

Nie zawsze tak było i nie wszędzie. Większość tekstów wielkiego Ortegi ukazywała się w pismach codziennych! Polska nie miała nigdy swego Ortegi, a najbliższy mu duchem Gombrowicz drukował w miesięczniku, a nie w buenosaireńskim "Głosie Polskim" lub "Kurierze". Naszym nieszczęściem jest jednak nie tyle brak tradycji (w XIX wieku ukazywało się w nieistniejącej Polsce sporo ważnych polskich pism), co niezmienna ideologizacja myślenia. "Nie ma sądu bez przesądu" mawiał Borges: wszystkie polskie gazety ożywia to właśnie przekonanie. Nie ma tu metafizycznych dociekań, nie ma zwięzłego i sensownego szkicu, nie ma niczego, co chciałoby się przeczytać dwa razy; w żadnej, ale to w żadnej gazecie nie znajduję niczego (prawie), co chciałbym wyciąć i zachować. Wyzute z tajemnicy, zepchnięte w kuluary politykierstwa, nędzne intelektualnie i zawzięte ideolo... wszystkie te teksty zioną beznadziejną nudą.

Redaktorzy odpowiadają: przecież właśnie tego chcą czytelnicy... Gdyby tak było naprawdę, źle widziałbym przyszłość naszego społeczeństwa. Jeśli natomiast jest inaczej, biada gazetom! Mój Boże, tyle szeleszczących płacht papieru na nic...

– Niech sczezną felietoniści – myślę wtedy i dopowiadam natychmiast, żeby uniknąć pomówień o wybiórczość – ...wszyscy! I czuję, jak to złorzeczenie powoli dopełnia się... Nie żyję. ■

lipiec 1993

męska piaskownica

NOWA ŻDANOWSZCZYZNA

Cezary Michalski

Stało się już banałem przypominanie, a mimo to przypominać tę rzecz warto, że w państwach komunistycznych pisarze zajmowali w urzędniczej hierarchii drugą pozycję po policji politycznej. Co więcej, to oni wydawali się być dla władzy najważniejsi, jako że policja polityczna pracowała w cieniu, a jej funkcjonariusze pozostawali anonimowi. Tak wysoka pozycja pisarzy w państwie oznaczała jednak również poważną odpowiedzialność i bolesne konsekwencje w wypadku, gdy pisarz przeciwko władzy się zbuntował.

Jednocześnie z policją i urzędnikami do ataku przeciwko niepokornemu ruszali wówczas pisarze wierni, dyspozycyjni, czasem koledzy. Powstająca w krajach bloku komunistycznego publicystyka "przywołująca do porządku" zbuntowanych literatów wytworzyła nawet własną, bardzo charakterystyczną poetykę. Jej proste reguły były realizowane zarówno przez rzesze bezimiennych literackich policjantów, jak i przez wybitnych literatów, których nazwisk nie warto tutaj przywoływać. Poprzestanę jedynie na przypomnieniu cyklu tekstów napisanych po ucieczce na Zachód Czesława Miłosza i mających dowodzić jednogłośnego potępienia jego decyzji przez zjednoczone w swoim oburzeniu grono polskich pisarzy. Tamta epoka szczęśliwie minęła, jednak tekst, którego analizą chciałem się zająć, tekst literackiej polemiki napisany i opublikowany bardzo niedawno, stanowi dowód na to, że pozostawiła ona po sobie pewne style literatury i style zachowania.

Felieton Marka Beylina "Pisarz i wściekły" zamieszczony 9 lipca b.r. w "Gazecie Wyborczej", rozważany w izolacji od politycznego i literackiego kontekstu, wydaje się być po prostu nazbyt może emocjonalną, a przez to pełną uproszczeń, reakcją gazetowego publicysty na wypowiedź Jarosława Marka Rymkiewicza opublikowaną wcześniej na łamach "Życia Warszawy". Publicystyczny atak Marka Beylina wpisuje się jednak w szerszy nurt zaangażowanego dziennikarstwa, stawiającego sobie za cel zniechęcenie czytelników, za pomocą kilku prostych emocjonalnych zabiegów, do różnych terminów i nazwisk. Ostatnim krzykiem intelektualnej mody stało się określanie tego typu propagandy angielskim mianem Political Correctness. Ze względu jednak na prymitywizm tych zabiegów, a przede wszystkim na ich ideologiczny kierunek, byłbym skłonny nazywać ten typ publicystyki, w nawiązaniu do pewnej lokalnej tradycji, po prostu "nową żdanowszczyzną".

Zawiedzione zaufanie

Zanim zajmę się tekstem Beylina, chciałbym przypomnieć, dlaczego właściwie ostatnia wypowiedź Rymkiewicza stała się naturalnym celem ataku funkcjonariusza "nowej żdanowszczyzny". Otóż w momencie, kiedy większość dawnych literackich i politycznych przyjaciół Rymkiewicza deklaruje chęć pospiesznego zasłużenia sobie na miano intelektualistów i pisarzy europejskich, on zachwala zalety bycia "pisarzem powiatowym". Miast rozumieć niepokój literatów, widzących, że Polacy nie potrafią dać sobie rady z odzyskaną wolnością, że okazują się ciemni i szowinistyczni, trzeba ich wobec tego "wychowywać, wychowywać i jeszcze raz wychowywać", jak powtarzał pewien dyplomowany hodowca drobiu z Monachium, Rymkiewicz w sposób zupełnie nieodpowiedzialny deklaruje: "Ja nie chcę być przerabiany na kogoś innego niż jestem..." i dodaje: "To jest teraz najważniejsze polskie pytanie: czy Polacy pozwolą się przerobić na jakiś inny naród, czy będą żyli tak, jak sami chcą żyć". Co gorsza, Rymkiewicz definiuje owych wychowawców w następujący sposób: "To była frakcja komunistyczna... ja nie mam na myśli życiorysów, ale poglądy... Tym, którzy rewidowali komunizm towarzyszyła zawsze myśl, że Polacy są groźnym narodem ciemnych, ksenofobicznych chłopów. Czyli takim, który trzeba przerobić na jakiś inny naród: najlepiej światły, liberalny i europejski". Wystarczy?

"Nim będzie zapomniany..."

Tylko na karb emocjonalnego nieopanowania można złożyć fakt, że Marek Beylin rozpoczął swoją polemikę z Rymkiewiczem używając chwytu tak jednoznacznie przypominającego "policyjną" publicystykę literacką epoki stalinowskiej. Sugeruje on mianowicie, że Rymkiewicz, buntując się przeciw warszawskim salonom polityczno-intelektualnym, znalazł się tym samym na śmietniku historii. Sformułowaniu takiej właśnie delikatnej sugestii służą otwierające polemikę słowa "To wystąpienie Rymkiewicza przeszło niezauważone. Szkoda..." użyte dla określenia wystąpienia, któ-

List Sprycimira (dziennikarza) do Sycyniusza (trybuna)

(...) Polemikę prowadzić to rzecz podrzędna, tylko do tego dwie rzeczy są potrzebne, trzeba zawiesić na kołku dobrą wiarę i sumienność, a uzbroiwszy się w bezwzględność, przed niczym się nie cofać. Przede wszystkim zaś trzeba zarzucać przeciwnikom to, o czym im się ani nie śniło, to ich najbardziej z tropu zbija. Ale najważniejszą rzeczą jest umieć w porę zamknąć polemikę, to jest wtedy, kiedy czujesz, że jesteś pobity, lub kiedy czujesz, że dalsza polemika posłużyłaby tylko do tego, ażebyś się przedwcześnie z wszystkim wygadał, lub kiedy narzeszcie spostrzeżesz się, niestety czasem za późno, że staje się ona tylko reklamą dla przeciwnika, którego z początku wcale się nie obawiałeś. W tym celu możesz użyć rozmaitych środków, jeden z niezłych jest zamknięcie polemiki oświadczeniem, że się jest wyższym nad obelgi przeciwnika. Do tego naturalnie wcale nie potrzeba, żeby przeciwnik jakąkolwiek był rzucał obelgę; wierzaj mi, to wcale niezły środek, wyższość po twojej stronie, obelgi z tamtej, to dość obrazowe. Dalej możesz także zamknąć polemikę, przedrukowując tylko tytuł artykułu przeciwnika, a pod tym tytułem pisząc zupełnie o czym innym, zakończyć zaś oświadczeniem, że przeciwnik cofnął, co powiedział, i że po cichu i skromnie wszystkiego się wyparł. Znowu, naturalnie, nie potrzeba, żeby w tym było i słowo prawdy (...)

Twój Sprycimir
(Stanisław Koźmian)
Z Teki Stańczyka, Kraków 1870

re stało się literackim skandalem sezonu, którego rozszerzoną wersję zamieścił krakowski kwartalnik "Arka", i które zostało, w rubryce "wczoraj przeczytane", zacytowane nawet przez zatrudniającą Marka Beylina "Gazetę Wyborczą". Ów dystans, odsunięcie się od dotkniętego trądem ideologicznej niełaski Rymkiewicza (w ten sam sposób odsuwano się swego czasu na ulicach Warszawy od Aleksandra Wata) deklarują głosem Beylina nie tylko żywi czytelnicy i literaci, ale także zmarli koryfeusze polskiej literatury, i to bez jednego nawet wyjątku! Beylin pisze bowiem: "...zbudowanego (przez Rymkiewicza) świata polskości nikt nie zamieszkuje. Na pewno ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński, tym bardziej nie – Prus, Żeromski. Nikogo tam nie ma...". Oprócz składni Beylina wątpliwości budzi w tym miejscu także jego zdolność do spirytualnego kontaktowania się z całym Parnasem polskiej literatury i stwierdzania w sposób tak kategoryczny, że żaden z jego mieszkańców nie odwiedził, choćby na moment, "świata polskości" budowanego przez Jarosława Marka Rymkiewicza.

Skazawszy Rymkiewicza na totalną izolację, Marek Beylin (uspokojony i jakby nieco bardziej pewny siebie) podejmuje właściwą polemikę.

Niestety, nie jest to polemika z tekstem Rymkiewicza, a tym bardziej nie z jego poglądami. Bowiem także "ustawianie" sobie przez Beylina przeciwnika przekracza wszelkie akceptowalne na terenie publicystyki literackiej granice. Czytelnik zmuszony do czerpania informacji o poglądach atakowanego pisarza wyłącznie z felietonu Marka Beylina musiałby być przekonany, że Rymkiewicz to wściekły fanatyk odrzucający jednocześnie: rozum, Europę, wartości, a nawet chrześcijański uniwersalizm. A wszystko po to jedynie, by móc swobodnie "powtarzać formułki wypowiadane przez takich ludzi jak Macierewicz czy Łopuszański", co samo w sobie stanowić już powinno dla wyrobionego, czy raczej skutecznie, po pawłowowsku uwarunkowanego czytelnika epitet wartościujący. Takie streszczenie poglądów pisarza jest możliwe wyłącznie dzięki rozmyciu przez Beylina znaczenia używanych przez Rymkiewicza terminów i zatarciu różnic pomiędzy najbardziej nawet przeciwstawnymi pojęciami. Zastosowanie takiej strategii lektury rymkiewiczowskiej wypowiedzi pozwala utożsamić Beylinowi

potępienie przez Rymkiewicza pychy ludzkiego rozumu

z potępieniem przez niego samego rozumu. Tymczasem Rymkiewicz, z nie dostrzeżoną być może przez Beylina ironią mówi: "Europejski rozum doprowadził w naszym wieku do strasznych nieszczęść... Ja nie wzywam – jak kiedyś Mickiewicz – żebyśmy przestali posługiwać się zapałkami i powrócili do hubki oraz krzesiwa. Tę moją rozmowę... autoryzuję na komputerze. Ale jeśli rozum przyniósł nam same nieszczęścia (i do tego trochę wygody), to fundamentem naszego doczesnego życia powinniśmy uczynić coś innego. Myślę o braterstwie, które wynika z naszej wspólnej wiary. Bo to ona była naszym ratunkiem w tym strasznym wieku." To właśnie pycha doprowadziła w XX wieku do zakwestionowania osiągnięć "europejskiego rozumu" i przed nią obronić nas ma, zdaniem Rymkiewicza, "braterstwo wynikające z naszej wspólnej wiary". Rymkiewicz – poeta zauważył zapewne etymologiczny paradoks, każący właśnie w języku polskim niepokojąco współbrzmieć ze sobą słowom Oświęcim i Oświecenie.

Nierozumny nieeuropejczyk

Kolejny zarzut pod adresem Rymkiewicza Marek Beylin sformułował prawdopodobnie w oparciu o następujący sylogizm: każdy rozumny człowiek jest zwolennikiem europejskości w jej ideologicznym odcieniu propagowanym na łamach "Gazety

Wyborczej", zdemaskowałem właśnie Rymkiewicza jako osobę nierozumną (a nawet gorzej anty-oświeceniową), ergo musi on być także zaciekłym wrogiem europejskości. Kolejny krok w polemice pojawia się zatem niejako automatycznie. Zdaniem Beylina Rymkiewicz lokuje Polskę "...w przeciwieństwie do europejskiego rozumu". Ów europejski rozum, czyli nowoczesność odrzuca natomiast Rymkiewicz w imię konserwatywnej utopii, czyli jak formułuje to bezpardonowy demaskator konserwatych mitów, Marek Beylin, w imię "fikcji porządku odwiecznego". Jakby tego wszystkiego było mało, Rymkiewicz nie jest w stanie w ogóle niuansować kategorii, którymi się posługuje, wobec czego "umieszcza pojęcia polskości i zmiany na dwóch biegunach znaczeniowych".

Oddajmy jednak głos samemu Rymkiewiczowi i przekonajmy się, czy europejskość i polskość rzeczywiście się u niego wykluczają, czy tradycyjny ład i zmiany rzeczywiście są przez niego "umieszczane na dwóch biegunach znaczeniowych". Rymkiewicz mówi: "To oczywiste, że musimy lepiej zorganizować nasze życie. Ale musimy je zorganizować zgodnie z naszymi tradycjami i hierarchiami. Ten wybór, który się dzisiaj stawia przed Polakami - albo będziesz Polakiem, albo Europejczykiem - jest nonsensowny. My wszyscy tutaj jesteśmy i zawsze byliśmy Europejczykami, ponieważ jesteśmy Polakami, czyli synami I Rzeczypospolitej".

Może zatem Rymkiewicz niuansuje jednak używane przez siebie kategorie mówiąc, że z polskości wynika nasza europejskość i że konieczne zmiany muszą uszanować narodowe predyspozycje Polaków. Nie jest w tym zresztą daleki od myśli, jaką sformułował niegdyś Norwid, pisząc w jednym ze swoich listów ku przestrodze inżynierów polskiej duszy: "nikt z Polakami nic nie zrobi, kto nie weźmie zakonu starej Rzeczypospolitej tak, jak Chrystus Pan wziął zakon Mojżeszowy...". Ale pewnie i Norwida, byłby w stanie Marek Beylin oskarżyć o skłonność do "myślenia biegunowego", gdyby tylko ktoś wskazał mu go jako konserwatywnego fanatyka.

Ministerstwo propagandy imienia B. Prusa

Następny przykład polemicznej nieuwagi Beylina to utożsamienie dokonywanego z pasją przez Rymkiewicza odrzucenia lewicowej "inżynierii społecznej" z potępieniem wszelkiego krytycyzmu wobec narodowych wad. Beylin cytuje Rymkiewicza, zarzucającego postkomunistycznym socjotechnikom, że "chcą z Polaków zrobić jakiś inny, podobno lepszy naród", po czym z oburzeniem dodaje: "Oznacza to, że kto krytykuje Polaków, staje się im obcy... ale co z polską literaturą? jej największe dzieła chciały zmieniać postawy Polaków, uderzały w zastane zwyczaje i tradycje". Beylin znowu nie zauważa pewnej drobnej różnicy pomiędzy krytyką, a nawet pouczaniem narodu, obecnym w dziełach wszystkich naszych klasyków, a czymś, co Rymkiewicz nazywa próbą "przerobienia" Polaków. Owo "przerabianie" to innymi słowy społeczna inżynieria, wyrastająca z metafizycznej pychy, z metafizycznej choroby, która, jak pisze Rymkiewicz, "uszkadza duchowe życie społeczeństw". Polemiczne zacietrzewienie prowadzi jednak Beylina do utożsamienia Norwida, Mickiewicza, Żeromskiego czy Prusa z atakowanymi przez Rymkiewicza lewicowymi intelektualistami, wzorującymi się w swojej wychowawczej pasji raczej na -także "krytykujących" przecież wady polskiego społeczeństwa - Wandzie Wasilewskiej czy Jakubie Bermanie (zapoznanym autorze interesujących referatów na tematy literackie, polemizującym czasami, z trybuny Plenum KC PZPR, z młodymi krytykami krakowskiego "Życia Literackiego").

To samo zacietrzewienie każe Beylinowi porównać Rymkiewicza - potępiającego intelektualną i metafizyczną pychę w imię wartości etycznych i pokory w stosunku do własnego społeczeństwa - z Borowskim, który w swoich ostatnich tekstach publicystycznych odrzucał europejską i polską tradycję w imię stalinizmu, ucieleśniającego chyba najpełniej metafizyczną pychę europejskiego rozumu.

Pospieszne uogólnienia pozwalające Borowskiemu widzieć w klasycznej kulturze greckiej źródła narodowego socjalizmu, czy utożsamiać z hitlerowcami amerykańskich polityków i zachodnioeuropejskich "mieszczan" historycy literatury tłumaczą tragizmem jego osobistych losów. Żadne traumatyczne doznania ze strony międzynarodowego faszyzmu czy polskiego ciemnogrodu nie tłumaczą jednak pośpiechu uogólnień i intelektualnego niechlujstwa zaprezentowanego przez urodzonego sporo lat po wojnie felietonistę "Gazety Wyborczej".

Z całego tekstu Marka Beylina najrzetelniej prezentuje się jego tytuł: "Pisarz i wściekły", jako że istotnie czytelnik jest tutaj świadkiem spotkania "pisarza" (Jarosława Marka Rymkiewicza) i "wściekłego" funkcjonariusza literackiego "nowej żdanowszczyzny".

I to by było na tyle. Poprzestałem jedynie na opisaniu tych stosowanych przez Marka Beylina zabiegów perswazyjnych, które można by nazwać owocami jego intelektualnego wysiłku. Poza nimi bowiem pojawiają się w tekście "Pisarz i wściekły" już tylko dosyć chamskie epitety (jak choćby porównanie słownictwa Rymkiewicza do słownictwa "młodego skina"), a także używane przez Beylina w funkcji epitetów nazwiska kilku polskich polityków. Cały tekst jest w gruncie rzeczy typowy, to znaczy ożywia pewien charakterystyczny dla minionej epoki typ wypowiedzi paraliterackiej. Ostrość niektórych użytych przeze mnie sformułowań, za którą przepraszam, wynika z mojego głębokiego pragnienia, by tekst Marka Beylina nie stał się typowy także dla współczesnych polemik literackich. Czego i Państwu, i sobie życzę. ■

Oświadczenie Grupy Windsor

Niecałe dwa miesiące przed wyborami staje się coraz jaśniejsze, iż polskie reformy są w niebezpieczzeństwie. Konkretne propozycje programowe wielu partii politycznych dążą do rozmycia zmian prokapitalistycznych oraz do spowolnienia tempa reform. Grupa Windsor uważa, iż reformy prorynkowe wymagają dynamizacji, co z kolei zakłada konieczność klarowniejszej wizji systemu kapitalistycznego do którego Polska dąży, jak i woli osiągnięcia tego celu.

Dlatego też opowiadamy się przede wszystkim za stanowczą walką z inflacją, poprzez zdyscyplinowanie wydatków budżetowych oraz emisji pieniądza. Nie można dopuścić do zaprzepaszczenia szans rozwoju gospodarczego kraju poprzez nieodpowiedzialne rozkręcanie niszczącej spirali inflacyjnej. Tym samym, widzimy gwarancję tego rozwoju w dalszej prywatyzacji majątku państwowego wszystkimi dostępnymi ścieżkami, oraz w zwiększeniu poziomu inwestycji zagranicznymi w Polsce. Jednym z warunków tego ostatniego jest stabilizacja polityczna i odżegnanie się od awanturnictwa tak przed, jak i po, wyborach wrześniowych.

Niewątpliwym hamulcem rozwoju gospodarczego są rozbudowane funkcje opiekuńcze państwa, niemożliwe do sprostania przy obecnym stadium rozwoju gospodarki. Widzimy konieczność daleko idącej reformy sfery budżetowej, prowadzącej do racjonalizacji wydatków na cele społeczne. Jednocześnie, w trosce o dobro przedsiębiorców prywatnych, sprzeciwimy się uprzywilejowanej pozycji roszczeniowo nastawionych związków zawodowych w gospodarce polskiej. Należy mieć świadomość, iż chroniąc interes przedsiębiorców, chronimy jednocześnie interes gospodarki i państwa polskiego.

Wobec gwałtownych zmian w światowym porządku politycznym, polityka zagraniczna państwa będzie miała w Polsce kluczowe znacznie dla utrwalania suwerenności kraju, a także dla zabezpieczenia jego demokratycznej drogi rozwoju. Celem strategicznym Polski musi być udział na zasadach pełnej równości w strukturach politycznych i gospodarczych Zachodu, oraz w zachodnim systemie bezpieczeństwa. Oczekujemy, że zachodni partnerzy Polski zrozumieją, iż szybszy rozwój polskiego eksportu do krajów EWG jest jednym z warunków stabilizacji gospodarczej naszego państwa. Jednocześnie, aktywna polityka wschodnia i budowanie partnerstwa z państwami postsowieckimi, a szczególnie z Rosją, stanowi jedną z przesłanek naszej podmiotowej roli w zachodnim systemie politycznym. Jest to również szansa dla gospodarki polskiej dzięki rynkom byłego ZSRR. W obu zasadniczych kierunkach nasza polityka zagraniczna powinna zdążać we współpracy z Grupą Wyszehradzką – Czechami i Węgrami oraz Republiką Słowacką. Jest to sprawdzian zdolności naszych krajów do budowania więzi kooperacji ponad granicami państw.

Jesteśmy świadomi, iż niemożliwe stanie się osiągnięcie powyższych celów w warunkach rozbicia sił proreformatorskich. Uważamy, iż otwarcie drogi do władzy dla sił lewicowych i populistycznych stanowiłoby historyczną klęskę polskich elit politycznych. Deklarujemy, iż w przyszłym Sejmie, a także poza nim, będziemy dążyli do porozumienia politycznego między siłami gotowymi do dalszej budowy wolnego rynku i demokracji w naszym kraju.

Andrzej Arendarski, Witold Gadomski, Aleksander Hall, Marek Nowakowski, Krzysztof Pawłowski, Kazimierz M. Ujazdowski

O Grupie Windsor

Grupa Windsor jest nieformalnym, ponadpartyjnym zrzeszeniem sześciu polityków polskich z różnych środowisk politycznych, których łączy świadomość zagrożeń, przed jakimi stoją polskie reformy.

Politycy ci są przekonani, iż reformy prokapitaslistyczne są w niebezpieczeństwie. Przyczyną tego jest rozbicie obozu proreformatorskiego, złożonego z tych partii, które tworzyły zaplecze rządu Hanny Suchockiej. Jednocześnie kryzys proreformatorski ma swoje źródła programowe. Uczestnicy Grupy Windsor uważają, iż reformy prorynkowe wymagają dynamizacji, a to z kolei zakłada konieczność klarowniejszej wizji systemu kapitalistycznego do którego Polska dąży, jak i woli osiągnięcia tego celu.

Grupa Windsor jest wspierana przez Fundację Heritage z USA, najsilniejszą centroprawicową fundację na świecie, oraz inne ośrodki programowo–badawcze na Zachodzie. Nazwa Grupy pochodzi od miasta w Anglii, gdzie w czerwcu tego roku odbyło się spotkanie organizacyjne polityków środkowoeuropejskich razem z przedstawicielami wyżej wymienionych ośrodków. Grupa Windsor jest bowiem jedną z trzech grup, które również rozpoczęły działalność na Węgrzech i w Republice Czeskiej. W skład grupy czeskiej i węgierskiej wchodzą znani politycy centroprawicowi o podobnej randze do polskich.

Uczestnicy Grupy Windsor zamierzają – w imieniu własnym, a nie partii, z których się wywodzą – stworzyć silne proreformatorskie lobby w kraju oraz w nowym Sejmie. Poprzez oświadczenia, publikacje, seminaria, oraz inne wspólne inicjatywy chcieliby wykazać, iż dzieło reform w Polsce wymaga rzetelnej pracy programowej wykraczającej poza podziały partyjne.

Uczestnicy Grupy Windsor

Polska: Andrzej Arendarski, Witold Gadomski, Aleksander Hall, Marek Nowakowski, Krzysztof Pawłowski, Kazimierz M. Ujazdowski

Republika Czeska: Pavel Bratinka – wiceminister spraw zagranicznych, wiceprzewodniczący Obywatelskiego Sojuszu Demokratycznego (ODA), Jiri Schneider – doradca ministra spraw zagranicznych, członek obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS), Jiri Skalicky – minister prywatyzacji (ODA), Jiri Vlach – wiceprzewodniczący parlamentu czeskiego (ODA)

Węgry: Ivan Baba – wiceminister spraw zagranicznych, Kalman Mizsei – doradca gospodarczy Związku Młodych Demokratów (FIDESZ), dyrektor programowy Instytutu Badań Strategicznych Wschód–Zachód w Nowym Jorku, Zsolt Nemeth – poseł, członek zarządu FIDESZ, Csaba Varga – doradca polityczny premiera Antalla, członek Węgierskiego Forum Demokratycznego (MDF)

ANIMEX - firma roku 1992

ANIMEX jest obecny w światowym leksykonie handlowym od ponad 40 lat, a nazwa firmy jest synonimem kupieckiej solidności, dobrej reputacji i efektywności.
Firma została utworzona w 1951 roku jako przedsiębiorstwo państwowe, następnie w 1983 roku – przekształcona w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, a od 1991 roku jest spółką z przewagą kapitału prywatnego.
Jako spółka, ANIMEX jednoczy większość znaczących firm zajmujących się produkcją i przetwórstwem mięsa, drobiu i dziczyzny.
ANIMEX zawsze należał i należy do grupy największych polskich eksporterów i odgrywa istotną rolę w polskim handlu zagranicznym.

Podstawowymi towarami, którymi obraca ANIMEX są:

w eksporcie:

mięso chłodzone i mrożone, mięsne wyroby puszkowane i wędliny, zwierzęta rzeźne, opasowe i hodowlane, drób i produkty drobiowe, dziczyzna, produkty poubojowe, konie wierzchowe, sportowe i hodowlane.

w imporcie:

mięso i przetwory mięsne, bydło, produkty poubojowe, zboża kukurydza oraz różnorodne artykuły konsumpcyjne.

W ramach działalności handlowej, bądź handlowo-usługowej ANIMEX powołał specjalistyczne spółki działające na własnym rozrachunku lecz ściśle powiązane z ANIMEXem.

Są to:

Animex-Market – prowadząca działalność handlową poprzez sieć własnych sklepów detalicznych i hurtowni na terenie całego kraju.
Animex-Trans – prowadząca działalność spedycyjną i przewozową w kraju i za granicą.
Animex-Hunting – zajmująca się organizacją turystyki łowieckiej w kraju, prowadzeniem ośrodków łowiecko-handlowych oraz eksportem dziczyzny.
Animex-Machinery – prowadząca import maszyn i urządzeń dla produkcji zwierzącej oraz przetwórstwa.

POLSKA
ANIMEX
WARSZAWA

ANIMEX Export – Import, Spółka z o.o.
ul Chałubińskiego 8, 00-613 WARSZAWA
tel.: 30-26-39, fax: 30-05-37, tlx: 814491 ax pl